



SNUJAC ZMIERZCH



ELIZABETH LIM

SNUJĄC
ZMIERZCH

ELIZABETH LIM



SNUJAC ZMIERZCH

Przełożyła Kaja Makowska



Tytuł oryginału: *Unravel the Dusk*

Copyright © 2020 by Elizabeth Lim

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2022

Copyright © for the Polish translation

by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Map copyright © by Virginia Allyn

Redaktor prowadzący: Łukasz Chmara

Marketing i promocja: Aleksandra Kotlewska, Oliwia Żyłka

Redakcja: Karolina Borowiec

Korekta: Anna Nowak, Damian Pawłowski, Robert Narloch

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki: Tran Nguyen

Adaptacja okładki, stron tytułowych i mapy: Magdalena Zawadzka

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67054-55-3

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

WE NEED YA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@weneedya.pl

marketing@weneedya.pl

www.weneedya.pl

*Mamie za to, że dała mi odwagę,
tacie za to, że podsycał moją wyobraźnię,
i Victorii za to, że zawsze śmiała się ze mną w tej podróży*



Kiedyś miałam matkę.

Nauczyła mnie prząść najcieńszą nić z jedwabników hodowanych na morwach w naszym ogrodzie. Cierpliwie namaczała tysiące kokonów, a potem wspólnie nawijałyśmy cienkie włókna na drewniane szpule. Kiedy dostrzegła, jak zwinnie moje palce pracują przy kołowrotku, jak przędą jedwab niczym pasma światła księżyca, namówiła mojego ojca, by przyjął mnie na swoją szwaczkę.

– Ucz się od Baby – poradziła mi, gdy się zgodził. – Jest najlepszym krawcem w Gangsunie, a jeśli przyłożysz się do nauki, pewnego dnia pójdziesz w jego ślady.

– Tak, Mamo – odparłam posłusznie.

Może gdyby powiedziała mi, że dziewczyny nie mogą być krawcami, moja historia potoczyłaby się inaczej. Ale niestety.

Gdy Mama wychowywała moich braci – odważnego Finleia, troskliwego Senda i dzikiego Ketona – Baba uczył mnie ciąć, szyć i haftować. Szkolił mnie, jak spoglądać poza proste linie i kształty, jak manipulować cieniami i jak równoważyć piękno konstrukcją. Kazał mi obchodzić się z każdą tkaniną, od szorstkiej bawełny po delikatny jedwab, bym opanowała tekstyla i czuła, jak układają się na skórze. Kazał mi powtarzać wszystkie ściegi, jeśli pominęłam jeden, a na swoich błędach nauczyłam się, że pojedynczy szew może zdecydować o tym, czy ubranie będzie pasować, czy nie. Że nieuważne rozdarcie da się naprawić, ale nie cofnąć.

Bez szkolenia Baby nigdy nie zostałamby krawcową cesarza. Ale bez wiary Mamy nie miałabym serca, żeby w ogóle spróbować.

Wieczorami po zamknięciu warsztatu smarowała moje obolałe palce maścią.

– Zaharowujesz się – rzekła któregoś razu.

– Nie szkodzi, Mamo. Lubię szyć.

Ujęła mój podbródek, by nasze oczy się zrównały. Cokolwiek zauważyła, kazało jej westchnąć.

– Naprawdę jesteś córką swojego ojca. Dobrze, ale pamiętaj: krawiectwo to rzemiosło, ale także sztuka. Usiądź przy oknie, poczuj światło, popatrz na ptaki i chmury. – Urwała i spojrzała za moje ramię, na wzory, które wycinałam cały dzień. – I nie zapomnij o zabawie, Maiu. Powinnaś uszyć coś dla siebie.

– Ale ja nic nie chcę.

Przechyliła głowę w namyśle. Kiedy wymieniała wypalone kadzidła przy naszym rodzinnym ołtarzu, podniosła jeden z trzech posągów Amany stojących w świątyni. To były proste rzeźby z twarzami i sukniami spłowiałymi od słońca.

– Może uszyjesz trzy suknie dla naszej bogini matki?

Wybałuszyłam oczy.

– Mamo, nie mogłabym. To musiałyby być...

– ...najpiękniejsze suknie na świecie – dokończyła za mnie. Zmierzyła mi włosy i pocałowała mnie w czoło. – Pomogę ci. Wyśnimy je razem.

Objęłam Mamę i przytuliłam się do jej piersi tak mocno, że w jej gardle zadźwięczał śmiech, delikatny jak brzęk cymbałków.

Dałabym wszystko, by znów usłyszeć ten śmiech. By zobaczyć Mamę jeszcze raz – dotknąć jej twarzy, przeczesać palcami gęste czarne włosy opadające falami na plecy. Pamiętam, że nigdy nie potrafiłam uprząść jedwabiu tak miękkiego jak jej włosy, choćbym nie wiem, jak się starała, i że uważałam piegi na jej policzkach i ramionach za gwiazdy. Keton i ja siadaliśmy jej na kolanach. Ja próbowałam je policzyć, a Keton strącić.

A jej historie! To Mama marzyła o tym, by wyjechać z Gangsunu i mieszkać nad morzem. Snuła opowieści, z którymi dorastała –

o nieustraszonych żeglarzach, smokach wodnych i złotych rybkach, które spełniały życzenia – opowieści, które Sendo spijał całą swoją duszą.

Wierzyła w duchy i wróżki, w demony i bogów. Nauczyła mnie robić amulety dla podróżnych, wycinać ubrania z papieru, by spalać je w hołdzie dla przodków, pisać zaklęcia, by odpędzić złe duchy. Przede wszystkim wierzyła w przeznaczenie.

– Keton mówi, że nie jest mi przeznaczone zostać krawcem jak Baba – szlochałam jej pewnego popołudnia, zraniona słowami brata. – Że dziewczyna może być tylko szwaczką, a jeśli będę tyle pracować, nie będę miała przyjaciół i żaden chłopak mnie nie zechce...

– Nie słuchaj swojego brata – rzekła. – On nie rozumie, że masz dar, Maiu, jeszcze nie. – Osuszyła moje łzy rękawem. – Najważniejsze jest to, czy ty chcesz zostać krawcową.

– Tak – wyszeptałam. – Najbardziej na świecie. Ale nie chcę być sama.

– Nie będziesz – obiecała. – Nie jest ci to przeznaczone. Krawcowie są bliżej przeznaczenia niż większość ludzi. Wiesz dlaczego?

Wytężyłam umysł.

– Baba mówi, że nici, które wszywa w stroje, dają jego dziełom życie.

– To coś więcej. Krawiectwo szanują nawet bogowie. Jest w nim coś magicznego. Nawet najzwyczajsza nić ma wielką moc.

– Moc?

– Mówiłam ci o nici przeznaczenia?

Pokręciłam głową.

– Każdy z nas jest przywiązany nicią do kogoś, kto ma być przy nas i nas uszczęśliwiać. Ja jestem przywiązana do Baby.

Spojrzałam po sobie.

– Nie widzę żadnej nici.

– Nie da się jej zobaczyć. – Mama zachichotała. – Widzą ją tylko bogowie. Nić może być długa, ciągnąć się przez góry i rzeki, mogą

minąć lata, zanim znajdziesz drugi koniec. Ale kiedy poznasz tę osobę, będziesz wiedziała.

– A jeśli ktoś ją przetnie? – Zmartwiłam się.

– Nikt jej nie przetnie, bo to najpewniejsza obietnica przeznaczenia. Będziecie związani bez względu na wszystko.

– Tak jak jestem związana z tobą, Babą, Finleiem i Sendem? – Byłam tak zła na Ketona, że nie obchodziło mnie, czy jestem związana z najmłodszym bratem.

– Podobnie, ale trochę inaczej. – Czule potarła mój nos. – Pewnego dnia zrozumiesz.

Tej nocy wzięłam szpulę czerwonej nici, uciąłam kawałek i zawiązałam sobie wokół kostki. Nie chciałam, żeby bracia to zobaczyli i się ze mnie śmiali, więc wcisnęłam luźny koniec nitki pod nogawkę spodni. Ale gdy chodziłam z moją łaskoczącą tajemnicą, zastanawiałam się, czy coś poczuję, gdy spotkam osobę, która jest mi przeznaczona. Czy nitka lekko pociągnie? Czy wydłuży się i zwiąże z drugą połową?

Nosiłam tę nitkę miesiącami. Powoli się strzępiła, ale moja wiara w przeznaczenie trwała.

Aż przeznaczenie zabrało mi Mamę.

Przybywało po nią powoli, na przestrzeni miesięcy, jak po cyprys przed naszym warsztatem. Każdego dnia liście opadały z jego wiotkich gałęzi – na początku niewiele, lecz z nadchodzącą jesienią coraz więcej. Pewnego ranka obudziłam się i dostrzegłam, że wszystkie konary są nagie. Nasz cyprys odszedł, przynajmniej do wiosny.

Mama nie dożyła wiosny.

Jej jesień zaczęła się od sporadycznych kaszlnięć, zawsze maskowanych uśmiechem. Nie dodała kapusty do ukochanych pierogów Finleia, tych z wieprzowiną, zapomniała imion bohaterów historii, które opowiadała Sendowi i mnie przed snem, nawet pozwoliła Ketonowi wygrać w karty i dała mu za dużo pieniędzy do wydania na targu.

Nie poświęcałam zbyt wiele uwagi tym pomyłkom. Gdyby Mama się źle czuła, na pewno by nam powiedziała.

Aż pewnego zimowego poranka, zaraz po tym, jak skończyłam ubierać posągi Amany w nasze trzy suknie – ze słońca, księżyca i gwiazd – Mama zemdląła w kuchni.

Potrząsnęłam nią. Byłam jeszcze mała, jej głowa ciążyła mi, gdy unosiłam ją na kolana.

– Babo! – krzyknęłam. – Babo! Mama straciła przytomność!

Tego ranka wszystko się zmieniło. Zamiast modlić się do przodków, by życzyć im wszystkiego dobrego w życiu po śmierci, modliłam się, by oszczędzili Mamę. Modliłam się do Amany, do trzech posągów, które pomalowałam i ubrałam, by Mama przeżyła. By zobaczyła, jak moi bracia i ja dorastamy, by nie opuszczała Baby, który tak bardzo ją kochał.

Za każdym razem, gdy zamykałam oczy i wyobrażałam sobie przyszłość, widziałam moją rodzinę w całości. Widziałam Mamę obok Baby – śmiała się i kusiła nas wszystkich pięknie pachnącym jedzeniem. Widziałam braci wokół siebie – Finlei upominał mnie, bym siedziała prosto, Sendo podrzucał mi dodatkową mandarynkę, a Keton ciągnął mnie za warkocze.

Ach, jak się myliłam.

Mama zmarła tydzień przed moimi ósmymi urodzinami. W urodziny szyła białe ubrania żałobne, które nosiliśmy przez następne sto dni. Tego roku zima wydawała się wyjątkowo zimna.

Przecięłam czerwoną nić wokół kostki. Widząc, jak śmierć Mamy zniszczyła Babę, uznałam, że nie chcę być z nikim związana, nie chcę czuć tego samego bólu.

Lata mijały, a moja wiara w bogów gasła. Przestałam wierzyć w magię. Porzuciłam moje marzenia i oddałam się rodzinie. Trzymałam nas razem, byłam silna dla Baby, dla braci, dla siebie.

Za każdym razem, gdy odrobina szczęścia ośmieliła się przesaczyć przez pęknięcia w moim sercu i próbowała je posklejać, przeznaczenie przypominało mi, że przed nim nie ucieknę. Zabrało

mi serce i powoli je kruszyło: kiedy zginął Finlei, po nim Sendo, a potem Keton wrócił ze złamanymi nogami i duchami w oczach.

Dawna Maia podnosiła te skrawki i starannie zszywała je z powrotem. Ale ja już nie byłam tą Maią.

Od dziś będzie inaczej. Od dziś, kiedy złapie mnie przeznaczenie, stawię mu czoła i zdecyduję o własnym losie.

Od dziś nie będę miała serca.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ŚMIECH SŁOŃCA



Rozdział pierwszy

Tysiące czerwonych lampionów rozświetlały Jesienny Pałac. Wisiały na nitkach tak cienkich, że światła wyglądały jak latawce dryfujące między dachami. Mogłam całą noc oglądać, jak tańczą na wietrze i malują zmierzch cudownym blaskiem, ale myślami byłam gdzie indziej. Pod morzem skocznych świateł, na Placu Idealnej Harmonii, przygotowano wszystko na cesarskie wesele.

Widok całej tej czerwieni dla uczczenia ślubu cesarza Khanujina z Lady Sarnai powinien był mnie uradować. Pracowałam tak ciężko i poświęciłam tak wiele, by ich małżeństwo wreszcie przyniosło pokój A'landi.

Ale nie byłam tą samą Maią co wcześniej.

Cynobrowe wrota Jesiennego Pałacu zagrzmiały, a ja przepchnęłam się przez tłum służących, by zobaczyć orszak weselny. Na czele miał stać ojciec Lady Sarnai, szansen. Chciałam ujrzeć człowieka, który wykrwawił mój kraj od środka, którego wojna odebrała mi dwóch braci, którego imię wystarczyło, by dorośli mężczyźni drżeli ze strachu.

Szansen w połączanej zbroi, lśniącej niczym smocze łuski spod ciemnoszmaragdowych szat, dosiadał majestatycznego białego rumaka. Siwizna przyprószyła jego brwi i brodę. Nie wyglądał tak przerażająco, jak sobie wyobrażałam – dopóki nie spojrzałam w jego oczy. Błyszczały jak czarne perły, zacięte jak oczy jego córki, lecz okrutniejsze.

Za szansenem jechał jego ulubiony wojownik, Lord Xina, następnie jego trzech synowie, wszyscy o ciemnych, niepokojących oczach ojca, aż wreszcie legion żołnierzy noszących pagony z pieczęcią szansena – tygrysem.

– Szansen wejdzie po schodach Sali Harmonii – ogłosił główny minister Yun – gdzie jego córka, Sarnai Opai’a Makang, zostanie zaprezentowana jako panna młoda naszego cesarza. – Zamilkł, a potem podjął: – Jutro przez dwór cesarza przejdzie procesja darów, a trzeciego dnia Lady Sarnai oficjalnie zajmie miejsce jako cesarzowa u boku cesarza Khanujina, Syna Niebios. Wtedy urządzimy ostatni bankiet, by uczcić ich małżeństwo przed bogami.

Muzyka weselna zagrała głośniej i zlała się ze stukotem stóp mężczyzn na schodach. Petardy trzaskały jak grzmoty, a każde uderzenie bębnow rozbrzmiewało tak nisko, że ziemia pod mną drżała. Ośmiu mężczyzn przemaszerowało przez salę, niosąc złoty palankin obwieszony haftowanym jedwabiem, zdobiony szklawionymi płytkami pomalowanymi w turkusowo-złote smoki.

Gdy szansen zajął miejsce przed salą, z palankinu wysiadł cesarz Khanujin. Muzyka ucichła i wszyscy pokłonili się do ziemi.

– Władco Tysiąca Krain – zaintonowaliśmy. – Kaganie Królów, Synu Niebios, Ulubieńcu Amany, Wspaniały Suwerenie A’landi. Obyś żył dziesięć tysięcy lat.

– Witaj, Lordzie Makangis – powitał szansena cesarz. – To zaszczyt gościć cię w Jesiennym Pałacu.

Fajerwerki wystrzeliły zza pałacu i sięgnęły gwiazd.

– Ach! – krzyknął tłum, zachwycając się widokiem.

Ja też przez chwilę się zachwyciałam. Nigdy wcześniej nie widziałam fajerwerków. Sendo kiedyś próbował mi je opisać, choć on też nigdy nie miał okazji ich oglądać.

– Są jak kwiaty lotosu kwitnące na niebie, zrodzone z ognia i światła – oznajmił wówczas.

– Jak wzbijają się tak wysoko?

– Ktoś je wystrzela. – Wzruszył ramionami, kiedy rzuciłam mu sceptyczne spojrzenie. – Nie rób takiej miny, Maiu. Nie wiem wszystkiego. Może to magia.

– Mówisz tak o wszystkim, czego nie umiesz wyjaśnić.

– A co w tym złego?

Zaśmiałam się.

– Nie wierzę w magię.

Ale teraz, kiedy fajerwerki rozbryzgiwały się jaskrawymi plamami żółci i czerwieni na tle czarnej nocy, wiedziałam, że magia wygląda zupełnie inaczej. Magia to krew gwiazd spływająca z nieba, pieśń moich zaczarowanych nożyczek, chętnych czynić cuda z nici i nadziei. Nie kolorowy pył wystrzeliwany w powietrze.

Gdy ludzie wokół mnie wiwatowali, kolejnych ośmiu mężczyzn poniosło drugi palankin w kierunku cesarza. Był obwieszony lampionami, które rzucały światło na misternie namalowanego feniksa.

Feniks do pary ze smokiem cesarza. By tchnąć nowe życie w nasz kraj i pomóc mu podnieść się z popiołów wojny.

Mężczyźni obniżyli palankin, ale Lady Sarnai nie wysiadła. Płakała tak głośno, że słyszałam ją nawet z końca placu. Zgodnie z tradycją w niektórych wioskach panna młoda płakała przed weselem na znak szacunku do rodziców, aby pokazać im, z jak wielkim smutkiem ich opuszcza.

Ale to zupełnie nie pasowało do córki szansena.

Żołnierz odsłonił zasłony palankinu i Lady Sarnai chwiejnym krokiem ruszyła, by dołączyć do cesarza i ojca. Haftowany welon z rubinowego jedwabiu przysłaniał jej twarz, a tren ciągnął się za nią, karmazynowy w delikatnym świetle księżyca. Suknia nawet się nie mieniła, jak mieniłaby się każda z moich: jedna upleciona ze śmiechu słońca, druga wyhaftowana z łez księżyca, trzecia pomalowana krwią gwiazd. Dziwne, że Khanujin nie kazał jej włożyć jednej z sukien Amany, by popisać się przed szansenem.

Zmarszczyłam brwi, gdy łkała dalej. Piskliwy dźwięk przecinał napiętą ciszę.

Pokłoniła się przed ojcem, a potem padła na kolana przed cesarzem.

Powoli, uroczyście cesarz Khanujin uniósł jej welon. Bębny znów zagrzmiały, coraz głośniej i szybciej, aż zadudniło mi w uszach,

a świat zaczął wirować.

Wtedy – gdy bicie bębnów sięgnęło gromkiego zenitu – komuś wyrwał się krzyk.

Gwałtownie otworzyłam oczy. Szansen odepchnął Khanujina i złapał córkę za szyję. Piszcząca i kopająca, a on trzymał ją nad osiemdziesięcioma ośmioma stopniami Sali Harmonii. Zerwał jej welon.

To nie była Lady Sarnai.

Rozdział drugi

Nogi fałszywej księżniczki młóciły dziko pod spódnicą, a długi satynowy tren weselnych szat trzepotał na wietrze.

– Gdzie moja córka? – zagrzemiał szansen.

Wszyscy wokół mnie już stawiali zakłady, jaki los spotka tę biedaczkę. Czy szansen poderżnie jej gardło – a może cesarz go uprzedzi? Nie, utrzymają ją przy życiu, aż zaczną gadać. Potem ją zabiją.

– N-n-nie w-w-wiem – wyjąkała. Zapłakała jeszcze głośniejszym głosem, zanim powtórzyła: – Nie wiem.

Krzyknęła, gdy szansen upuścił ją na kamienne schody.

– Znajdź moją córkę – warknął do cesarza. – Znajdź Sarnai, bo nie będzie żadnego wesela, tylko wojna.

To ostrzeżenie uciszyło cały tłum na placu.

Gdzie była Lady Sarnai? Nie dbała o to, że jeśli nie zawrze małżeństwa, zginą tysiące ludzi?

„Wojna się nie kończyła” – powiedział mi kiedyś Keton. Mój najmłodszy brat tak rzadko opowiadał o czasach walki dla Khanujina, że nigdy nie zapomniałam jego słów. „Nie, dopóki cesarz i szansen nie doszli do porozumienia. O świcie Nowego Roku spotkali się, by zawrzeć pokój. Szansen zgodził się wycofać ludzi z północy i ponownie przysiąc lojalność cesarzowi. W zamian za to cesarz Khanujin zgodził się wziąć córkę szansena za żonę i złączyć ich rodziny. Jednak córka szansena odmówiła. Walczyła w armii ojca. Widziałem ją na własne oczy, była nieustraszona jak każdy inny żołnierz. Tego dnia z pewnością zabiła co najmniej pięćdziesięciu mężczyzn”. – Keton urwał. „Podobno zagroziła, że się zabije, tak bardzo nie chciała wychodzić za cesarza”.

Kiedy Keton opowiadał tę historię, wątpiłam w jej prawdziwość. Która kobieta nie chciałaby wyjść za mężczyznę tak wspaniałego jak cesarz Khanujin?

Jednak teraz, gdy poznałam Lady Sarnai – i cesarza – wszystko rozumiałam.

Na bogów, miałam nadzieję, że nie zrobiła nic pochoptego.

Stanęłam na palcach, by mieć lepszy widok, lecz nagle moje oczy przeszył ostry ból. Zaczęły płonąć, a ja natychmiast je potarłam. Łzy napłynęły, próbując wypłukać żar, ale źrenice tylko rozjarzyły się mocniej. Zobaczyłam, że na mokrej od łez dłoni odbija się krwistoczerwony blask.

Nie, nie, nie teraz. Zasłoniłam twarz, ukrywając znak klątwy Bandura, okropną cenę, którą zapłaciłam za uszycie sukien Lady Sarnai i zagwarantowanie pokoju A'landi.

Serce waliło mi w piersi, żołądek dziko podskakiwał. Fala gorąca przetoczyła się przez moje ciało i upadłam na ziemię.

Nagle palenie ustało.

Znów widziałam wyraźnie. Chaos dookoła mnie jakby zniknął. Nadal słyszałam, jak ludzie trajkoczą i się krzątają, ale byli daleko, daleko ode mnie. Moje oczy i uszy znalazły się gdzieś indziej, poza ciałem.

Byłam tam, na schodach Sali Harmonii. Powietrze cuchnęło siarką i saletrą fajerwerków, niebo przecinały smugi białego dymu.

Ujrzałam dziewczynę, jej pomalowane na różowo usta i mokre od łez policzki. Rozpoznałam w niej jedną ze służek Lady Sarnai. Strażnicy cesarza pociągnęli ją na schody, gdy Khanujin się zbliżył.

Z trudem powstrzymywał gniew – jego palce drgały po bokach, centymetry od sztyletu. Złota rękojeść broni została umiejętnie ukryta pod warstwami jedwabnych szat i grubą szarfą, na której kołysały się jadeitowe amulety.

Uklęknął przy dziewczynie, ujął jej dłonie i rozciął sznury wokół nadgarstków. Kiedyś uklęknął tak samo przy mnie, kiedy byłam

w więzieniu. Wtedy go podziwiałam, nieświadoma potężnego uroku, który rzucił na niego Lord Czarodziej.

Bez magii Edana pot perlił się na karku Khanujina, a jego plecy garbiły się pod ciężarem szat.

Zastanawiałam się, czy szansen to zauważył.

Cesarz uniósł podbródek służki. Przycisnął palce do jej szczęki tak mocno, że na pewno zostawił siniaki. W jego czarnych oczach płonęła lodowata wściekłość.

– Mów – rozkazał.

– Jej Wysokość... nie powiedziała. Poprosiła, żebyśmy wypity z nią herbatę, by uczcić cesarskie zaślubiny, a my nie mogłyśmy odmówić. – Ukryła twarz w rąbku szat Khanujina.

– Więc cię otruła.

W jej urywanym oddechu świszczał strach.

– Kiedy się obudziłam, byłam w jej stroju. Oznajmiła, że jeśli nie wcielę się w je rolę, to mnie zabije.

Khanujin puścił służkę. Uniósł rękę, prawdopodobnie by wydać rozkaz zabrania i cichego stracenia dziewczyny, kiedy...

– Lord Xina zniknął! – zawołał jeden z ludzi szansena.

Jak za smagnięciem bicia straciłam wzrok. Cokolwiek porwało mnie z ciała, cisnęło mnie z powrotem. Znów znalazłam się wśród służących cesarza, w uszach brzęczał mi zgiełk wywołany zniknięciem Lorda Xiny.

– Znaleźć ich! – krzyknął Khanujin. – Dziesięć tysięcy jenów dla tego, kto znajdzie córkę szansena i mi ją przyprowadzi. I egzekucja dziewięciu pokoleń dla każdego przyłapanego na pomocy księżniczce.

Egzekucja dziewięciu pokoleń. To oznacza zabicie nie tylko winnego, ale i jego dzieci, rodziców, dziadków, ciotek, wujów – całej rodziny.

W odrętwieniu patrzyłam, jak tłum się rozprasza. Eunuchowie, rzemieślnicy, żołnierze i służący rozpierzchli się w poszukiwaniu

Lady Sarnai. Ja też musiałam się ruszyć, zanim ktoś mnie zauważy – albo zanim dostrzeże, że moje oczy płoną czerwienią.

Ale nie mogłam. Nie, kiedy bębny dudniły tak gwałtownie, że same chmury zdawały się trząść na niebie. Targały mną, a każde uderzenie wibrowało w kościach i przypominało, czym się staję.

„Wiesz, że kiedyś grali na bębnach, żeby odstraszyć demony?”
Wciąż słyszałam drwiącego ze mnie Bandura. „Wkrótce bębny będą tylko przypominać ci o sercu, które kiedyś miałaś. Każde uderzenie, które nie nadejdzie, każdy chłód, który cię dotknie, będzie znakiem, że pochłania cię ciemność. Pewnego dnia odciągnie cię od wszystkiego, co jest ci drogie: twoich wspomnień, twojej twarzy, twojego imienia. Nawet twój czarodziej przestanie cię kochać, gdy obudzisz się jako demon”.

– Nie – szepnęłam, przyciskając rękę do serca, czując jego nierówny rytm.

Nadal biło.

Nie byłam demonem. Jeszcze nie.

Kiedy cesarz poślubi Lady Sarnai i w A'landi zapanuje pokój, a Baba, Keton i wszyscy mieszkańcy będą bezpieczni, poświęcę każdą chwilę, by złamać klątwę. Do tego czasu...

Ktoś złapał mnie za łokieć i odciągnął od moich myśli – a także od placu.

– Ammi!

– Rusz się, „mistrzu” Tamarinie – burknęła obcesowo i przerzuciła warkocz przez ramię. – Wtrąca cię do lochu, jeśli będziesz tak stać, szczególnie teraz, kiedy wszyscy wiedzą, że masz zdrową nogę.

Po tych słowach gwałtownie się obróciła i zniknęła w tłumie służek.

Byłam oszołomiona. Ręce mi opadły, stopy zapomniały, dokąd iść.

Dlaczego Ammi potraktowała mnie tak oschle, jakbym ją obraziła?

„Mistrzu” Tamarinie.

Poczułam gulę w gardle. Zrozumiałam, dlaczego jest na mnie zła.

Poznała mnie jako krawca Ketona Tamarina, nie jako Maię. Tego ranka, gdy wróciłam do pałacu, cesarz ujawnił wszystkim moją prawdziwą tożsamość. Ammi musiała się poczuć zdradzona, kiedy usłyszała to od niego, nie ode mnie, po tym, jak wielokrotnie okazała mi życzliwość podczas konkursu na cesarskiego krawca.

– Ammi! – zawołałam i pobiegłam za nią. – Proszę, pozwól mi wyjaśnić.

– Wyjaśnić? – Zmrużyła oczy. Próbowала być chłodna, ale nie do końca jej wyszło. – Nie mam na ciebie czasu. W grę wchodzi dziesięć tysięcy jenów. Może dla ciebie to już niewiele, ale dla reszty z nas to fortuna.

– Pomogę ci.

– Nie potrzebuję twojej...

– Mogę ją znaleźć.

Słowa zamarły na ustach mojej przyjaciółki. Wzięła płytki wdech.

– Co wiesz?

Prawdę mówiąc, nie wiedziałam nic. Dawna Maia, która nie potrafiła kłamać, na pewno przyznałaby to od razu. Ale na ten nieznacznym, pozornie niepozorny sposób już się zmieniłam.

– Pokażę ci.

Ruszyłam z miejsca, zanim Ammi zdążyła odmówić, a kiedy usłyszałam jej niechętnie kroki za plecami, udałam się do komnaty Lady Sarnai. Powinnam się cieszyć, że poszła za mną, i znów próbować ją przeprosić, ale nie chciałam, by zadawała kolejne pytania. Poza tym dręczyło mnie coś jeszcze. Ołowiany ciężar, który rozpoznałam dopiero po chwili.

Zazdrościłam Lady Sarnai. Zazdrościłam jej, że miała szansę być z mężczyzną, którego kocha.

Szansę, której ja nie dostałam z Edanem.

– Chodź ze mną. – Jego prośba dźwięczała mi w uszach.

Pragnęłam tego bardziej niż czegokolwiek. Ciepła jego dłoni na policzku, dotyku jego warg na moich – wystarczyły, by mnie roztopić.

Jednak nawet gdybym mogła przeżyć tamtą chwilę ponownie, nadal wcisnęłabym mu bolesne kłamstwo i kazała wyjechać. Wolałam sama znosić cierpienie, które na mnie spadnie, wiedząc, że Edan jest wolny od pęt, które tak długo go trzymały.

– Dokąd idziemy? – spytała poirytowana Ammi. – Wszyscy szukają za bramą.

– Tędy – odparłam, wpadając do ogrodu. Głos miałam zduszony, ale liczyłam, że Ammi nie zauważy. – Znam skrót do jej komnaty.

– Dlaczego miałaby nadal tam być?

Nie odpowiedziałam, tylko puściłam się biegiem.

Pchnęłam drzwi komnaty Lady Sarnai. W środku paliły się kadzidła, więc pomieszczenie spowijała gęsta mgła. Podniosłam lampion i rozejrzałam się w poszukiwaniu śladów walki.

Cień przemknął po sypialni.

Ammi zadrżała.

– Może powinniśmy iść...

Przyłożyłam palec do ust i przywołałam ją drugą ręką.

W ciszy podążyłyśmy za cieniem. Jedwabny baldachim drżał, lecz powietrze wisiało nieruchomo – tego dnia nie wiał wiatr.

Odstawiłam lampion i odsłoniłam baldachim.

Na łóżku leżały służki Lady Sarnai, zakneblowane, z nadgarstkami i kostkami związanymi prześcieradłem. Były nieprzytomne, ale zaczynały się wiercić.

Potoczyłam wzrokiem po podłodze. Wszędzie walały się ubrania, a spod stołu wystawał porwany żółty rękaw. Schyliłam się i podniosłam skrawek, by go zbadać.

Lady Sarnai nienawidziła żółci i nie kazałaby służkom nosić tak szorstkiego materiału.

Skrawek pochodził z munduru cesarskiego strażnika. Rozdarcie wyglądało na nowe – brzegi rękawa zmarszczyły się, jakby ktoś mocno chwycił materiał.

Zlustrowałam resztę sypialni i zobaczyłam miecz oparty o jeden z kufrów przy parawanie. Był zbyt ciężki i nieporęczny dla Lady

Sarnai.

Przed oczami mignął mi niekontrolowany przebieg – Lady Sarnai i Lord Xina tuż za bramami pałacu. Ubrani jak strażnicy wtapiali się w poszukujący ich tłum. Zamrugałam i odzyskałam normalny wzrok.

– Nie ma jej w pałacu – wymamrotałam. – Przebrała się za strażnika.

– Skąd wiesz?

Nie odpowiedziałam, tylko chwyciłam miecz.

– Nie patrz – przykazałam Ammi.

Zbladła, ale posłusznie wycofała się z sypialni. Mieczem roztrzaskałam kłódkę i uniosłam wieko. Po cuchnącym zapachu, który wyzionął ze środka, wiedziałam, co tam znajdę.

Cesarskiego strażnika o oczach zamglonych śmiercią.

Zaschnięta krew, niemal czarna, zakrzepła nad jego ustami. Nos miał złamany, gardło zgrabnie poderżnięte przez kogoś o pewnej ręce, kto potrafił zadawać najszybszą, najcichszą śmierć. Jego mundur został skradziony.

W komnacie Ammi krzyknęła. Domyśliłam się, że znalazła resztę martwych strażników.



– Dobra robota – pochwalił cesarz Khanujin, kiedy powiedzieliśmy mu o naszym odkryciu.

U mojego boku Ammi kłaniała się nisko i promieniała. Przez całą drogę do komnat cesarza balansowała między przerażeniem wywołanym widokiem martwych ciał a podekscytowaniem perspektywą spotkania z władcą.

Teraz przerażenie poszło w niepamięć, ale nie mogłam jej winić. Choćby rzut oka na imponujące komnaty cesarza to więcej, niż pokojówka na jej stanowisku mogła sobie wymarzyć.

Chciałam podzielać jej entuzjazm, ale czułam tylko ostre ukłucie żalu.

– Będzie przebrana za strażnika – wyszeptałam. – Lord Xina także. Opuścili pałac razem z tłumem poszukiwaczy, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Na pewno nie dotarli daleko.

Cesarz przemówił ponownie zza wysokiego drewnianego parawanu.

– Wy dwie to odkryłyście? Nikt więcej?

– Tak, Wasza Wysokość.

– Jeśli mówicie prawdę, zostaniecie nagrodzone. Możecie odejść.

Zaczęłam się podnosić, lecz korona cesarza zadźwięczała.

– Mistrzynie Tamarin. – Strach zdjął mnie, jeszcze zanim usłyszałam kolejne słowa. – Zostań.

Ammi rzuciła mi zaniepokojone spojrzenie, a ja wykrzesalam z siebie uśmiech, by zapewnić ją, że wszystko będzie dobrze. Jednak prawdę mówiąc, miałam złe przeczucie.

Odczekał, aż drzwi zamknęły się z trzaskiem i zostaliśmy sami.

– Tego popołudnia nie było cię w pałacu.

– Jego Wysokość łaskawie dał mi dzień wolny od pełnienia obowiązków nadwornej krawcowej.

– Gdzie byłaś? – spytał ostrym tonem. Morderczym.

Żadnych gier. Zdawał sobie sprawę, że wiem o zaklęciu Edana i rozumiem, dlaczego chowa się za parawanem.

– Poszłam do świątyni się pomodlić w oczekiwaniu na wesele Jego Wysokości – skłamałam.

Cień cesarza się odchylił. Władca pociągnął nosem, nieprzekonany.

– Na pewno jesteś świadoma, że Lord Czarodziej zaginął.

Więc nie znalazł Edana.

– Nie byłam – skłamałam ponownie.

W jego głosie pobrzmiwała irytacja.

– Trudno mi w to uwierzyć, mistrzyni Tamarin, gdyż powiedziano mi, że ostatni raz widziano go z tobą.

Puls mi przyspieszył.

– Wasza Wysokość, nie widziałam Lorda Czarodzieja od dnia, w którym zaprezentowałam suknie Lady Sarnai.

– Masz czelność znowu mnie okłamywać? – Wściekły cesarz wstał i wyszedł do światła. Zgięłam się w ukłonie, nie śmiąc podnieść wzroku.

Zimny czubek sztyletu uniósł mój podbródek. Czułam się jak ryba na haczyku.

Blask dawnego uroku cesarza przygasł, ale jeszcze nie zniknął. Władca nadal imponował wzrostem, barki miał szerokie i dumne, a jego aksamitny głos zwabiłby tygrysa do klatki.

Jednak twarz Khanujina zaczęła się zmieniać. Kosmetyki maskowały ziemistą cerę. Jego usta wykrzywiały się w okrutnym grymasie, zęby były większe i bardziej krzywe, a jego oczy, które kiedyś zdawały mi się emanować ciepłem lata, przypominały zimne ślepie węża.

Wzdrygnął się, gdy zauważył, jak na niego patrzę.

– Zapytam ostatni raz: gdzie jest Lord Czarodziej?

Sztylet wpił się w moją skórę. Zerknęłam na swoje odbicie w gładkim ostrzu. Ledwie rozpoznałam dziewczynę, którą ujrzałam, oraz spokojny głos, który odrzekł:

– Nie ośmieliłabym się okłamać Jego Wysokości. Naprawdę nie wiem.

Cesarz Khanujin wpatrywał się we mnie, mrużąc oczy i oceniając sytuację.

Czekałam z walącym sercem, aż wreszcie odłożył ostrze.

– Zrobił coś, kiedy włożyłaś tamtą suknię – syknął. – Ten wybuch światła to była magia, jestem pewien. Zaplanowaliście to we dwoje.

– Jeśli zaplanowałam ucieczkę z Lordem Czarodziejem, to czemu jestem tutaj?

– Moi strażnicy znaleźli to w twojej komnacie.

Cesarz uniósł jedno czarne pióro. Jastrzębie pióro.

Pióro Edana.

Puls zagrzemiał mi w uszach, lecz co ciekawe, zachowałam spokój. To było do mnie niepodobne. Wczoraj wbiłabym wzrok w ziemię i wyjąkała coś ledwie zrozumiałego – błagałabym cesarza, by nie krzywdził Edana. Dziś tylko złączyłam dłonie i skłoniłam głowę.

– Lord Czarodziej jest znany z tego, że przyjmuje postać jastrzębia, by dobrze służyć Waszej Wysokości. Jeśli odwiedził moją komnatę, to z pewnością po to, by upewnić się, że pracuję nad moimi zadaniami dla Lady Sarnai.

– W podróży nauczyłaś się mówić jak dwórka – stwierdził cesarz. Pochwała wybrzmiała nieszczerze, tak jak zamierzył. – Spędziłaś z nim kilka miesięcy. Dlaczego odszedł?

Na to pytanie znałam odpowiedź. Edan odszedł, ponieważ go o to błagałam. Ponieważ go okłamałam i powiedziałam mu, że poradzę sobie bez niego. Ponieważ zerwałam jego więź z cesarzem i gdyby nie odszedł... bogowie wiedzą, co Khanujin by mu zrobił.

Ale nie mogłam tego powiedzieć.

Mogłam skłamać, ale żadne kłamstwo nie ochroniłoby Edana przed wściekłością Khanujina na zawsze. Chyba że...

Oblizawałam usta, smakując słodycz nowej możliwości. Zerknęłam na gardło cesarza, ledwie strzeżone przez bogato haftowany kołnierz żakietu.

Pomyśl, jakie to proste, wyszeptał mroczny głos wewnątrz mnie. Mój głos.

Jeśli chcesz chronić Edana, musisz to zrobić. Ty masz moc. Khanujin jest słaby i samotny.

Oczy mnie zapiekły, a palce drgnęły z pokusy.

Tak. Zrób to. Głos rezonował głęboko, obalając moje zmysły i mój rozum. Zabij go.

Nie! Wpiłam paznokcie w dłonie. Odejdź.

Głos w mojej głowie się zaśmiał. *Mała Maiu, wiesz, że to tylko kwestia czasu. Z każdą minutą rosnę w siłę. Wkrótce moje myśli staną się twoimi myślami. Staniemy się jednością. Nawet nie zauważysz.*

Tego się bałam. Zazgrzytałam zębami. ZOSTAW MNIE.

Kiedy śmiech odpłynął i wreszcie zniknął, rozluźniłam palce i rozmasowałam krwawe półksiężyce odbite na dłoniach.

– Tamarin! – warknął cesarz. – Jeśli mnie okłamiesz, każę sprowadzić tu twojego ojca i brata i ich powiesić.

Wściekłość zapłonęła w mojej piersi, ściskając tak mocno, że ledwie mogłam oddychać. Chciałam mu powiedzieć, że prędego go zabiję, że poddam się mojej wewnętrznej ciemności i zmiażdżę mu kości jedną po drugiej, zanim pozwolę, by tknął moją rodzinę.

Ale nie zrobiłam tego. Wściekłość zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Ukłoniłam się nisko, dotykając głową podłogi.

– Wybacz mi, Wasza Wysokość, ale nie wiem. Modlę się, by Lord Czarodziej i Lady Sarnai się znaleźli. – Zamilkłam, czekając, aż ostre ukłucie żalu w mojej piersi złagodnieje. Żałowałam, że w ogóle poszłam do komnaty Lady Sarnai, że pomogłam cesarzowi zebrać wskazówki.

Znów się ukłoniłam, a Khanujin nareszcie odprawił mnie machnięciem ręki.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. – Mój głos znów był lodowaty i ciężki od kłamstw. – Obyś żył dziesięć tysięcy lat.

Rozdział trzeci

Ze snu wyrwał mnie ryk dzwonów. Świt miał nastać za godzinę czy dwie, niebo wciąż było ciemne, ale pojaśniało na tyle, że widziałam szary dym sączący się z wypalonych lampionów.

Dzwony wciąż biły, dźwięk odbijał się echem od moich okien i wpadał do środka. Kiedy w końcu podniosłam się, by je zamknąć, dostrzegłam ruch na zewnątrz... i usłyszałam trzask bicia smagającego ciała.

Lady Sarnai. Lord Xina. Strażnicy ich znaleźli i chłostali.

Liście bambusa przylgnęły do pleców Lady Sarnai, a z jej długich czarnych włosów kapła woda. Wyglądało na to, że zanim schwytali ich strażnicy, ona i jej kochanek dotarli do rzeki Leyang.

– Nie zamordujesz więcej moich ludzi – mówił do niej jeden ze strażników. – Nie na mojej warcie. Zabierzcie ją z powrotem do jej komnaty, a jego do lochu.

Oparłam się o ścianę. Mój żołądek skręcił się w lodowaty supeł. Gdyby nie ja, może zdołaliby uciec.

Szczęście Lady Sarnai to mała cena za pokój, przypomniałam sobie. Żadne inne rodziny nie doświadczą straty, jakiej doświadczyliśmy Baba, Keton i ja, kiedy Finlei i Sendo zginęli na wojnie.

Więc dlaczego moja ulga smakowała gorzko?

Godzinę później poznałam odpowiedź. Minister Lorsa wpadł do mojej komnaty, by oznajmić, że wznawiamy obchody wesela tego popołudnia procesją darów. Miałam pomóc Lady Sarnai ubrać „sukienkę z gwiazd”. Natychmiast.

Przed apartamentami Lady Sarnai stał oddział żołnierzy, a przy oknach, za szumiącymi wierzbami, czyhał szereg łuczników.

Tego ranka na jej stole nie paliło się kadzidło, a wszystkie lampiony wiszące na suficie zostały zdjęte. Skonfiskowano wszystko, czego mogłaby użyć jako broni.

Wiatr sącył się do środka przez wybite okna, które pospiesznie załatano pergaminem i bawełnianymi prześcieradłami. Chłód przyprawiał mnie o gęsią skórę.

Ukloniłam się.

– Wasza Wysokość, przybyłam ubrać cię na wese... – Ugryzłam się w język. Podczas dzisiejszych uroczystości Lady Sarnai nie będzie się weselić. – Na bankiet.

Nie podniosła się z fotela. Jej bujne czarne włosy zostały natarte olejami i zaplecione, więc lśniły w blasku słońca. Jednak pełne usta były suche i popękane, a zaszkłone oczy beznamiętnie patrzyły w dal. Wyglądała, jakby miała się rozpaść.

Ale Lady Sarnai nie była ze szkła. Może z kamienia. A kamienie się nie rozpadają.

– Mogłabym ukręcić ci łeb tymi sukniami – mruknęła nisko niczym tygrysica. – Gdyby nie ty...

Zazgrzytała zębami. Nienawisć urywała jej oddech – wiedziałam, że gdyby nie strażnicy na zewnątrz i kochanek w lochu, spełniłaby swoją groźbę.

Spuściłam wzrok na podłogę i dobrałam słowa z rozwagą:

– Czuję ulgę, że Wasza Wysokość bezpiecznie wróciła do Jesiennego Pałacu. Dziesięć tysięcy lat szczęścia dla Lady Sarnai i Jego Wysokości...

– Dosyć! – warknęła. – Myślisz, że pomagając Khanujinowi, wkupisz się w jego łaski?

– Nie, Wasza Wysokość.

Odchyliła się na fotelu, zaciskając długie palce na drewnianych podłokietnikach.

– Kiedy zostanę cesarzową, zapłacisz jako pierwsza.

To była zabójcza obietnica, ale już się jej nie bałam.

– Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość.

Zmarszczyła brwi.

– Zmieniłaś się – zauważyła. – Jest w tobie coś innego. – Na jej usta wstał okrutny uśmiech. – Chodzi o czarodzieja, prawda?

Podniosłam wzrok i zmierzyłam ją lodowatym spojrzeniem. To ją ucieszyło, a ja pożałowałam.

– Chodzą plotki, że zaginał. Zapewniam cię, że ta wiadomość bardzo zainteresuje mojego ojca, szczególnie gdy dziś wieczorem ją potwierdzę.

– Lord Czarodziej nie zaginał – skłamałam.

– Czyżby? Nie dotarłabym aż do rzeki Leyang, gdyby Edan wciąż tu był. – Zaśmiała się chrapliwie. – Nie martw się, krawcowo. Khanujin będzie ścigał czarodzieja aż na kraniec świata, żeby go odzyskać. A może nie tego chcesz?

Próbowała mnie zranić. Wyrzuciłam jej okrutną krzywdę, a ona nie miała żadnej broni oprócz słów.

– Chcę, żebyś wyszła za cesarza – odparłam. – Ślub to nasza jedyna nadzieja na pokój.

Skrzywiła się z pogardą.

– Już za późno na pokój.

Keton powiedział mi, że Wojna Pięciu Zim skończyła się tylko z powodu impasu. Szansen bał się Edana, a Edan mrocznych mocy stojących za niezwykle potęgą szansena.

Ale jeśli Edan naprawdę odszedł, jak cesarz miał wziąć górę nad szansenem?

Ślub musiał dojść do skutku.

– Czas ucieka – oznajmiłam cicho. – Muszę pomóc ci włożyć suknię.

Służki Lady Sarnai – nowe służki – Jun i Zaini przyniosły wielką orzechową skrzynię. Gorzka zaduma ogarnęła mnie, gdy podniosłam wieko i wyciągnęłam suknie słońca, księżycy i gwiazd.

Ich blask rozjaśnił ciemną komnatę, a po suficie przetoczyły się snopy złotego i srebrnego światła.

– Jakie piękne – sapnęły służki. – Są...

– Przypuszczam, że chce, bym włożyła tę. – Machnęła ręką na suknię malowaną krwią gwiazd. Promienie słońca zatańczyły po czarnym jedwabiu i nieziemskie barwy zaśniły niczym spadające gwiazdy na nocnym niebie.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, służki zabrały mi suknię i odprowadziły Lady Sarnai za parawan.

Kiedy czekałam, obróciłam się do dużego palisandrowego lustra po mojej lewej. Ujrzałam zapadnięte oczy, zmęczone od zmartwień i braku snu, oraz czarne kosmyki wymykające się spod kapelusza. Dotknęłam piegów rozsianych po policzkach i bladych, zimnych ust.

Byłam cieniem samej siebie.

Lady Sarnai wyszła zza parawanu, ciągnąc za sobą spódnicę sukni. Gorset opinał jej szczupłą talię, a dekolt podkreślał ostre kontury ramion i piersi. Miałyśmy niemal takie same wymiary i wszystko pasowało na nią idealnie, tak jak przewidziałam.

Jednak materiał, który zaledwie kilka chwil temu ożył pod moim dotykiem, teraz zmatowiał i stał się nijaki – przybrał kolor zwęglonego drewna, nieskończonej nocy.

– To nazywasz suknią ślubną? – Łypnęła na mnie karcąco.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Suknia zmieniła się, gdy ją nosiłam. Spódnica lśniła błękitami i fioletami bardziej intensywnymi niż jakiegokolwiek barwniki z Korzennego Szlaku, otulając moją skórę srebrnawym blaskiem, dzięki któremu nawet cesarz patrzył na mnie z zachwytem.

Ale na Lady Sarnai suknia była bez wyrazu. Bez życia.

Zbliżyłam się z miarą i próbowałam wyciągnąć księżniczkę do światła.

– Zobaczmy, czy...

– Może Wasza Wysokość mogłaby przymierzyć inną suknię – zasugerowała młodsza służka, Jun. – Suknię słońca.

Lady Sarnai zmrużyła oczy.

– Przynieś ją.

Mówiła do mnie, nie do służek. Przerzuciłam miarę przez ramię i podniosłam suknię słońca z fotela, by podać ją Lady Sarnai.

Zamrugła, a jej oczy załzawiły od blasku sukni.

– Wasza Wysokość, nic ci nie jest?

– Nie chcę tej – zaczęła. – Nie... – urwała. Szczeka jej opadła, ramiona podskoczyły. Zamłóciła rękami i sapnęła, jakby nie mogła oddychać.

– Wasza Wysokość? – Jun i Zaini wachlowały ją i opukiwały ją po nadgarstkach, jakby to miało pomóc. – Wasza Wysokość, źle się czujesz?

Lady Sarnai kaszlała i dyszała. Jej usta się poruszyły, ale dobiegł z nich tylko zduszony dźwięk.

– Demony – wymamrotała bezgłośnie i w panice wybałuszyła przekrwione oczy. Wrzasnęła. – Demony! Palą mnie!

Zadrzała gwałtownie i chwyciła za gorset, próbując zerwać suknię. Służki przytrzymały ją za ręce, ale księżniczka wiła się i wykręcała. Po omacku wpadła na ścianę i potknęła się o długą spódnicę.

– Tamarin, zdejmij to ze mnie! – wychrypiała. – Zdejmij...

A potem runęła na ziemię.

Służki krzyknęły, a ja upuściłam suknię słońca i rzuciłam się na pomoc Lady Sarnai. Podniosłam jej głowę na kolana i przytrzymałam szyję nieruchomo, gdy reszta ciała się trzęsała.

To ta suknia. Musiałam uwolnić księżniczkę, zanim ją zabije.

Obróciłam ją na brzuch i sięgnęłam do pasa po nożyczki. Nie miałam czasu odpinać dziesiątek guzików, więc rozciąłam tył sukni. A przynajmniej próbowałam. Tkanina była tak mocna, że opierała się ostrzom. Cięłam i cięłam, aż szwy puściły i razem ze służkami zerwałam suknię.

– Dzięki bogom – sapnęłam, gdy Lady Sarnai wreszcie przestała się trząść. Jednak moja ulga nie trwała długo. Ręce opadły jej po

bokach, a kiedy obróciłam ją z powrotem na plecy, nie otwierała oczu.

Puściłam nożyczki. Ścisnęłam uchwyty tak mocno, że zostawiły wgłębienia na palcach. Co się działo z córką szansena?

Starsza służka, Zaini, przytknęła ucho do piersi Lady Sarnai.

– Nie oddycha! – pisnęła z rozpaczą. – Nie oddycha!

– Ćśś – uciszyłam ją. – Przynieś mi wodę.

Wykonała polecenie. Oblałam wodą twarz Lady Sarnai, ale nadal się nie poruszyła.

Służki bezszelestnie położyły ją na łóżku.

Oczy miała opuchnięte, usta wykrzywione z bólu. Siniaki wykwitły na jej szyi i piersi, a skóra przybrała nędzną barwę błękitu i szarości. Jednak najgorsze – i najdziwniejsze – było to, że po jej ciele wędrowały plamy fioletu, które błyskały przerażająco niczym płonące gwiazdy.

– Czy ona... żyje? – spytałam. Nie mogłam powiedzieć: „nie żyje”. Nie chciałam.

Zaini zwlekała, przygryzając wargę.

– Ledwo.

Ścisnęło mnie w żołądku. Serce Lady Sarnai biło, ale wyczułam najśłabszy oddech tylko wtedy, gdy dotknęłam jej ust. Jakby głęboko spała i nie mogła się obudzić.

Przypomniałam sobie ostrzeżenie Edana. „Te suknie nie są dla zwykłych śmiertelników”.

Wiedziałyby, co robić. Ale nie było go tu, a ja nie miałam własnej magii... oprócz nożyczek. Co moje nożyczki mogły zrobić dla Lady Sarnai?

Co miałam począć?

Procesja darów zaczynała się za niecałą godzinę. Bez Lady Sarnai nie będzie ślubu. Tylko wojna.

– Zajmijcie się nią – rzekłam. – Dopóki nie wydobrzeje, zastąpię ją na królewskim weselu.

Jun i Zaini na mnie spojrzały. Strach w ich oczach zniknął, zastąpiony przez niepokój i szok.

Uniosłam podbródek, by potwierdzić moje zamiary.

– Nie mówcie o tym nikomu.

Nie musiałam dodawać nic więcej – rozumiały, o co mi chodzi. Nasze życie zależało od ich milczenia i od tego, czy Lady Sarnai wyzdrowieje.

Zatrzymałam wzrok na sukni gwiazd – kupce czarnego jedwabiu na podłodze. Szwy miała poszarpane, gorset porwany, spódnicę w nieładzie. Nie miałam czasu jej naprawiać.

Sięgnęłam po suknię słońca i poszłam za parawan.

Na Dziewięć Niebios, modliłam się, żeby ten plan zadziałał. Jeśli nie zadziała, w A'landi znów wybuchnie wojna, nim skończy się ta noc.

Rozdział czwarty

Najbardziej bałam się spotkania twarzą w twarz z szansenem. Nie wyglądał na mężczyznę, który da się łatwo oszukać.

– Ludzie zobaczą to, co chcą zobaczyć – wyszeptałam do siebie. Zdawało się, że Keton dał mi tę radę tak dawno. Tyle że wtedy przebierałam się za niego, a nie za córkę szansena. Chociaż, o ironio, kara za te przewinienia była taka sama.

Śmierć już nie przerażała mnie tak jak kiedyś.

Jun i Zaini zrobiły mi makijaż – zakryły piegi na nosie i policzkach i pomalowały usta, by stały się pełne i czerwone jak usta Lady Sarnai. Miałam włosy zaplecione tak ciasno, że nie mogłam myśleć, a dziesiątki szmaragdowych i rubinowych szpilek zwisały z mojej korony i brzęczały za każdym razem, gdy poruszałam głową.

Nie musiałam chować się za welonem. Moja suknia była tak oślepiająca, że nikt nie mógł patrzeć na mnie dłużej niż przez sekundę. Śmiech słońca widocznie karmił się moim stresem i podekscytowaniem, bo suknia jaśniała jak nigdy wcześniej. Światło biło z każdego włókna, przeszywając ciemne chmury na zewnątrz.

Moje przybycie do Sali Harmonii wywołało szmer zachwyty wśród dworzan. Wielu musiało osłonić oczy przed moim blaskiem – nawet cesarz Khanujin nie mógł patrzeć bezpośrednio na mnie. Kiedy razem przemierzaliśmy salę, żar sukni słońca sprawił, że po jego czole spłynął pot, który zepsuł makijaż maskujący jego zgasłą wspaniałość.

To go rozdrażniło, ale zignorowałam jego gniewne spojrzenia i uśmiechnęłam się do dworu. Lepiej, żebym to ja przykuwała

uwagę wszystkich. Lepiej, żeby się irytował i nie zauważył, iż jestem cesarską krawcową, a nie Lady Sarnai, Klejnotem Północy.

Gdy dotarliśmy na przód sali, cesarz usiadł w wygodnym satynowym fotelu, a ja stanęłam u jego boku. Blask sukni słabł, kiedy drżałam, balansując na obcasach.

Jeden po drugim szlachcice i ministrowie z dworu Khanujina wręczali swoje dary. Po nich nadeszli ambasadorzy z każdego zakątka świata – z Kiaty, Samaranu, Frevery, Wysp Tambu i Balaru. Przynosili kufry pełne najwspanialszych koronek, jadeitowych smoków z łuskami wyrytymi tak misternie, że wyglądały jak skradzione maleńkim rybkom, ręcznie malowanej ceramiki zdobionej złotymi byczymi głowami przez najwspanialszych samarańskich artystów i drewnianych rzeźb z krain, o których nigdy nawet nie słyszałam.

Wreszcie przybył szansen. Jako ojciec Lady Sarnai miał zaszczyt wręczać dar jako ostatni.

Jak na tak dużego mężczyznę poruszał się cicho. Blizny przecinały jego policzki, a siwa broda wywijająca się niczym czubek ceremonialnego sztyletu. Z bliska kąty jego twarzy były ostre i bezlitosne. Wyciosane przez wojnę.

– Tobie, cesarzu Khanujinie, wręczam berło wyrzeźbione przez ślepych mnichów ze Śpiewających Gór. Ma przynosić dobrobyt temu, kto rządzi A'landi.

Następnie zwrócił się do mnie. Jego przenikliwe spojrzenie padło na moją mocno upudrowaną twarz. Mój puls przyspieszył i suknia zalśniła mocniej.

Szansen odchrząknął i choć nie zasłonił oczu, odwrócił wzrok.

– A tobie, moja córko, najlepsza łuczniczko w A'landi, wręczam jesionowy łuk, który pragnęłaś dzierżyć w dzieciństwie. Ze wszystkich moich dzieci ty jedyna potrafiłaś z niego strzelać. – Wyczułam subtelną nutę dumy w jego głosie.

Łuk był tak duży, że dolna część zakrzywionego ramienia zawisała tuż nad moją stopą. Zaskoczyła mnie jego lekkość, jednak nadal

zaciskałam usta w grymasie, nawet gdy uniosłam podbródek, by podziękować za podarunek. Wiedziałam, że Lady Sarnai niespecjalnie szanowała swojego ojca.

– Dar szansena kończy procesję darów – oznajmił główny minister Yun.

Z trudem powstrzymałam westchnienie ulgi. Wszyscy goście padli na kolana i pokłonili się cesarzowi, życząc mu, by „żył dziesięć tysięcy lat” – chciałam już nigdy więcej nie słyszeć tej frazy ani nie musieć jej wypowiadać. A potem, wreszcie, sztywno podążyłam za cesarzem na korytarz.

Niedbale nadał tempo, które kazało mi się spieszyć, żeby za nim nadążyć. Trzymałam głowę nisko i wbijałam wzrok w długi pas złotych płytek prowadzących na zewnątrz, ignorując twarze kłaniających się gości. Ale gdy dreptałam za cesarzem, moją uwagę zwrócił krzyk jastrzębia. Poderwałam oczy do okien i spojrzałam w niebo.

Nad pałacem szybował jastrząb, lecz jego pióra były szare, nie czarne, a oczy nie świeciły znajomym żółtym blaskiem, który nawiedzał moje sny.

Oczywiście, że to nie Edan, ty głupia, zganiłam się. On nie ma już magii, żeby się przemieniać.

Kiedy wyszliśmy z pałacu, jastrząb wciąż latał po niebie, rozpostartymi skrzydłami muskając chmury. Sunął za nami, aż cesarz zatrzymał się przy najbliższym pawilonie.

Desperacko pragnęłam, by pozwolił mi udać się na spoczynek przed bankietem. Stopy bolały mnie od stania.

Niestety nie miałam szczęścia.

Klasnął na jednego ze swoich sług, żeby podał mi dar szansena.

– Na pewno chcesz wypróbować swój łuk – powiedział. – Widzisz tego jastrzębia na niebie? Każę kucharzom upiec go na dzisiejszy bankiet.

– Gdybym zapolowała, przyniosłabym nam pecha w dniu ślubu – odparłam ze ściśniętym gardłem.

– Teraz się tym przejmujesz? Jeszcze niedawno w pałacu roiło się od trupów, i to dzięki tobie. Jestem pewien, że bogowie przymrużą oko na śmierć jednego marnego ptaka.

Rzucił mi łuk. Mój puls przyspieszył, a suknia pojaśniała w odpowiedzi. Zacisnęłam pięści, żeby się uspokoić.

– Nie, dziękuję.

– Coś taka ponura, Sarnai? – kpił cesarz. – Mam twojego kochanka w lochu. Nie jesteś ciekawa, co u niego? Czy nadal żyje? – Zastąpił mi drogę, żebym nie mogła go ominąć. – Wczoraj w nocy dostał sto batów, dziś rano kolejne sto. To więcej, niż większość jest w stanie przetrwać, a jednak Xina nadal żyje. Ledwo. Zawsze był cichy. – Khanujin nachylił się, by szepnąć mi do ucha: – Powiedzieli mu, że jeśli będzie krzyczał, to przestaną. Ale on odmawia. Nie chciałybyś go zobaczyć, Sarnai? Jego krew plami ściany celi. Kiedy zemdlał, musieli wysłać dwie dziewczyny, żeby posprzątały. Gdy skończyły, moi strażnicy obudzili go na kolejne baty. Ciekawe, czy go poznasz. Teraz jest bardziej przedmiotem niż wojownikiem. Tyle masz z południowej dumy.

Uniosłam podbródek. Na języku ciążyła mi riposta, którą musiałam przełknąć.

Żałosne, Maiu, zadrwił głos w mojej głowie. Po co się powstrzymywać? Posmakuj swojej mocy. Cesarz jest słaby. Pokaż mu, gdzie jego miejsce.

Spięłam się i odepchnęłam głos na bok. Choć kusila mnie wizja ukarania Khanujina – za to, co zrobił Lordowi Xinie, Edanowi i mnie – w tej chwili nie byłam Maią. Byłam Lady Sarnai.

Ale córka szansena pokazałaby mu, gdzie jego miejsce. Przygniotłaby mu palce obcasem i zapowiedziała, że zabije go we śnie. Udusiłaby go złotymi łańcuchami wiszącymi mu na szyi. Poprzysięgłaby zemstę.

Za późno zdałam sobie sprawę, że popełniłam błąd.

Khanujin złapał mnie za nadgarstek i przyciągnął bliżej. Moc sukni sprawiła, że jego policzki poczerwieniały, a na skroniach

sperlił się pot.

– Nie jesteś Sarnai.

Moja maska spokoju zadrżała.

– Jest...

Wydałam zduszony okrzyk, kiedy zerwał mi koronę. Poczułam skurcz w szyi, gdy perły i zdobione klejnotami frędzle z brzękiem upadły na marmurową posadzkę pawilonu. Wbił we mnie wzrok. Rozpoznał mnie i zacisnął usta z niezadowolenia.

– Tamarin.

– Wasza Wysokość, mogę wyjaśnić...

– Ostrożnie dobieraj słowa, krawcowo – ostrzegł – bo to mogą być twoje ostatnie. Gdzie ona jest?

– W swojej rezydencji. Wasza Wysokość, suknia... Lady Sarnai nie mogła jej włożyć. Ta suknia... ją skrzywdziła.

Chwila ciszy. Zastanawiał się nad moją odpowiedzią. A potem...

– A w jakim stanie jest teraz?

Zawahałam się. W jakim stanie? Szczerze mówiąc, magia sukni odcisnęła na niej okrutne piętno. Nie wyobrażałam sobie bólu, jaki czuła. Tylko ktoś tak uparty i bezwzględny jak ona mógł trzymać się życia tak uporczywie. Mimo to nie wiedziałam, czy przeżyje tydzień.

Jednak gdybym powiedziała cesarzowi, że Lady Sarnai jest o krok od śmierci, naraziłabym wesele. Potrzebowałam czasu, żeby wymyślić rozwiązanie – dla pokoju A'landi.

– Lady Sarnai... dochodzi do zdrowia – rzekłam. – Jej służki się nią zajmują.

Spodziewałam się, że naskoczy na mnie za to, że go oszukałam, ale uniósł kąciki ust.

– Dobrze zrobiłaś, że zajęłaś jej miejsce. Nawet jej ojciec nie wie, że to ty. – Nachylił się, a jego suche usta musnęły mój policzek, co wszyscy inni musieli uznać za pocałunek. Tyle że on wyszeptał szorstko: – Może tak jest nawet lepiej, choć radzę ci nie przywiązywać się do ptaków na niebie.

Przełknęłam ślinę. A więc to mnie zdradziło. Nie wiedziałam, że Khanujin jest takim bacznyim obserwatorem. Ale tak naprawdę nie znałam naszego cesarza za dobrze.

– Edan nie będzie jastrzębiem, kiedy moi ludzie go znajdą – oznajmił. – Będzie mężczyzną, jak Xina. I zostanie odpowiednio ukarany. – Położył rękę na moim barku i ścisnął kość tak mocno, że się wzdrygnęłam. – Mogę być litościwy, Maiu Tamarin. Mogę być bardziej litościwy dla Edana niż dla Lorda Xiny. Ale wszystko zależy od ciebie.

– Nie wiem, gdzie on jest – powtórzyłam.

A nawet gdybym wiedziała, tobym ci nie powiedziała, pomyślałam.

Jego uśmiezek zniknął. Cesarz znów okrutnie ścisnął kość, aż wreszcie puścił.

– Więc módl się, żeby bankiet poszedł dobrze.



Przed Khanujinem i mną rozłożono sto dań – wystarczyło, żeby nasycić tysiąc ludzi. Artysta mógłby błogo umrzeć, gdyby namalował tak wspaniałą bufet: potrawy w każdym kolorze i o każdej fakturze, każdy talerz będący przemyślanym dziełem sztuki zarówno dla oczu, jak i dla podniebienia.

Dawna Maia nie zniosłaby siedzenia w sercu tego kulinarnego teatru. Przygryzałaby dolną wargę i wbijała wzrok w ziemię, bawiąc się rąbkami rękawów, próbując nie zważać na burczenie w brzuchu. Jednak pragnęłaby pikantnej galaretki z fasoli mung posypanej orzeszkami ziemnymi, uszaków brzozowych marynowanych w occie i czosnku, smażonych rybnych placuszków z sosem imbirowo-śliwkowym.

Nie dziś. Dziś w mojej lśniącej sukni słońca siedziałam sztywno na krześle, oziębłe ignorując każde spojrzenie rzucone w moją stronę. Każdy kęs jedzenia był wymuszony.

– Nie jesz, córko – zauważył szansen.

Wzięłam do ust kawałek pieczonego karpia. Ość utknęła mi w gardle – przełknęłam ją, niemal z nadzieją, że się zachłysnę i odprawia mnie do komnaty.

Khanujin zachichotał.

– Jest na mnie zła, bo wtrąciłem jej kochanka do lochu.

– Ma szczęście, że Lord Xina tylko trafił do więzienia – oznajmił złowrogo szansen. – Na twoim miejscu nadziałbym jego głowę na pal i postawił na środku sali bankietowej. I zmusiłbym Sarnai, żeby piła jego krew.

– To przyniosłoby pecha, Lordzie Makangis. – Khanujin położył mi rękę na ramieniu i mocno ścisnął. – Zaczekamy z egzekucją, aż będzie po weselu.

Czułam, że szansen mi się przygląda, jakby czekał, aż krew odpłynie mi z twarzy. Ale dopiero jego następne słowa sprawiły, że zbladłam.

– Widzę, że brakuje twojego najwspanialszego gościa. Gdzie jest czarodziej?

– Wyjechał pełnić swoją służbę wobec mnie.

Niemal się zakrztusiłam, słysząc to kłamstwo, ale szansen zmarszczył brwi.

– Okazuje mi brak szacunku swoją nieobecnością.

– Ty okazujesz mi brak szacunku legionem żołnierzy przed pałacem.

Szansen się uśmiechnął.

– To gwarancja, że wesele pójdzie zgodnie z planem.

– Mój czarodziej przygotowuje własną gwarancję.

Same kłamstwa. Patrzyłam przed siebie beznamiętnym wzrokiem, gdy słudzy przynosili nowe danie, jedno z ostatnich. Był to cały bażant, duszony w importowanym czerwonym winie, na łożu z rozżarzonych płomieni, które iskrzyły aż do sufitu. Goście klaskali z uznaniem dla finezji i talentu szefa kuchni.

Dym dotarł do mojego nosa, drażniąc i wzbudzając niepokój. Edan już nie chronił A'landi. Teraz ten obowiązek spadł na mnie – musiałam dopilnować, żeby wesele doszło do skutku.

Jeśli nie dojdzie, szansen zaatakuje. A A'landi spłonie.

Ledwie słyszałam, jak główny minister Yun powiedział:

– Wzniesmy toast za Lady Sarnai.

– Tak – zgodził się cesarz Khanujin. – Za jej zdrowie i urodę.

Dworzanie wznieśli kielichy w moją stronę, nie widząc błysku w oku cesarza. Wiedziałam, że Khanujin napawa się świadomością, iż córka szansena cierpi w swojej komnacie, okrutnie ranna.

Uniosłam kielich i wypiałam. Alkohol rozpalił moje policzki i połaskotał wargi, ale nie był na tyle silny, by odpędzić chłód przesiąkający do mojej krwi.

Gdy odstawiłam kielich, w mętym płynie pojawiła się znajoma twarz. Z głębi zadudnił niski, głęboki śmiech, a mnie zadrżały ręce.

Bandur.

Nagle goście szansena i cesarza zniknęli. Zastąpiły ich duchy z długimi białymi włosami i ostrymi, błyskającymi zębami. Z ich ust sączyły się cienie.

Sentur'na, wołały. Nie znałam tego słowa – tego imienia. Wyciągały do mnie ręce, a ja się wyrывałam.

Wracajcie na Lapzur! – chciałam krzyczeć. Przestańcie mnie dręczyć!

Sentur'na, czekamy na ciebie. Zaczyna się. Nie uciekniesz.

Same duchy, prócz jednego: na miejscu szansena siedział demon.

To nie był Bandur, który przyjmował formę wilka, lecz tygrys, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam. Wbijał rozżarzone czerwone oczy prosto we mnie.

Nie uciekniesz.

Ze strachu zjeżyły mi się włoski na karku.

– Kim jesteś?

Demon tylko się uśmiechnął i wzniosł kielich w moją stronę, a duchy jazgotały:

PODDAJ SIĘ, SENTUR'NA. NIE UCIEKNIESZ. PODDAJ...

Ogień na środku stołu sięgał coraz wyżej, gdy duchy intonowały. Wino wylewało się z ich kielichów, plamiąc świat czerwienią.

Dosyć! Moja suknia zapłonęła, a ja wylałam wino do ognia.

Duchy zniknęły. Demon-tygrys w miejscu szansena wyparował. Ogień ryknął, a mój brązowy kielich zabrzęczał i potoczył się po stole, aż złapał go jeden ze sług.

Zamrugalam.

Żadnych duchów – tylko ministrowie z rzadkimi brodami mokrymi od wina, którzy gapili się w moją stronę. Nawet słudzy zamarli i na mnie patrzyli.

Szansen również mnie obserwował, z głęboką zmarszczką między gęstymi brwiami.

– Dobrze się czujesz, Lady Sarnai? – zapytał lodowatym tonem cesarz.

Wino kapało mi z palców, więc sługa prędko osuszył moje dłonie serwetką. Inny dolał mi napoju.

– Tak... – zaczęłam, ale potem spojrzałam w kielich.

Bandur zniknął, lecz czerwone oczy zostały. Migwały jak dwie pestki granatu dryfujące w mętным białym winie.

Moje oczy.

Zdjął mnie strach. Poderwałam się i rzuciłam serwetkę na stół, by zasłonić oczy rękami.

Wymknęłam się sługom, którzy próbowali mnie zmusić, bym wróciła na miejsce, i uciekłam z bankietu.

Rozdział piąty

Nie pamiętam, żebym zemdląła na środku Jesiennego Pałacu, ale obudziłam się w nie swojej komnacie.

Moja głowa spoczywała na poduszce, a oczy miałam tak suche, że mruganie sprawiało mi ból. Kiedy odzyskałam wzrok, na widok cesarza Khanujina poderwałam się z łóżka.

Powitał mnie groźnym tonem.

– Przespałaś cały dzień, Tamarin. Pechowo, biorąc pod uwagę, że mógł być twoim ostatnim.

Serce mi przyspieszyło. Czy Khanujin widział moje czerwone oczy? A szansen?

Nie. Gdyby widział, byłabym w lochu, nie w jednym z pokoi Lady Sarnai.

– Taki wybuch jak wczoraj więcej się nie powtórzy.

– Tak, Wasza Wysokość. – Głos miałam ochrypły. Szorstki.

– Co się stało?

– Nie wiem – wyszeptalam. Mówiłam prawdę.

– Mówią, że oszalałaś, bo uwięziłem Lorda Xinę – rzekł. Przyjrzał mi się, wciąż wściekły. – Dziś wieczorem podejmiesz maskaradę. Będziesz jadła i świętowała w ciszy. Jeśli szansen nabierze podejrzeń, zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby go uspokoić. Na szali jest życie ludzi, Tamarin.

Mówił, jakby troszczył się o A'landi. Jakby naprawdę zależało mu na tym weselu. To mnie zdziwiło, ale za bardzo go nienawidziłam, żeby mu uwierzyć.

– Dlaczego go nie zabijesz? – zapytałam, ledwie rozpoznając własne słowa. – Dlaczego nie otrujesz szansena? Albo nie każesz go zamordować w środku nocy?

Khanujin prychnął.

– Nie podejrzewam ciebie, wieśniaczki, o to, że rozumiesz zawiłości dworu.

– Nie jestem wieśniaczką...

– Jesteś tym, kim powiem – przerwał mi. – Jestem cesarzem i próbuję zapobiec wojnie, a nie rozpętać kolejną. Jeśli chcesz, żeby kraj przetrwał, sugeruję, żebyś włożyła tę przeklętą suknię i doprowadziła wesele do końca. – Obrócił się w stronę drzwi. – Jeśli dziś mnie zawiedziesz, każę powiesić twojego ojca i brata na twoich oczach.

Ugryzłam się w język. Jak śmiesz grozić mojej rodzinie! – chciałam krzyknąć. Jednak tylko uklękłam, łypiąc buntowniczo na podłogę. Mimo pałaców, armii i gróźb cesarz był tylko człowiekiem. Zaczynałam jednak wierzyć, że szansen był kimś więcej.

Czekałam, aż szelest ubrań Khanujina ucichnie, a kroki strażników zleją się z odległą muzyką weselną, i dopiero wtedy się poruszyłam.

Potrzebowałam chwili, żeby wstać. Kolana mi się trzęsły, a w czaszce łomotały echa wczorajszych głosów.

Sentur'na, wołały mnie duchy.

Na samo wspomnienie przeszedł mnie dreszcz. Nie wiedziałam, co to oznacza ani ile czasu zostało do mojej przemiany. Gdy to nastąpi, już nigdy nie zobaczę swojej twarzy lustrze. Nigdy nie usłyszę swojego imienia.

Nigdy nie ujrzę rodziny. Ani Edana.

Z głębi komnaty dobiegł jęk, który przerwał lodowatą ciszę.

– Lady Sarnai? – zawołałam.

Podeszłam do niej. Miała zaciśnięte powieki, a jej twarz i pierś przecinały ciemne, metaliczne żyły. Na stoliku obok niej leżało kilka złożonych ręczniczków, więc zanurzyłam jeden w misce wody i przytknęłam jej do czoła.

Zalała mnie fala poczucia winy. To przez moją suknię tak wyglądała. Uklękłam przy niej i pomodliłam się do jakichkolwiek bogów, którzy mogli mnie wysłuchać.

– Proszę, pozwólcie Lady Sarnai wyzdrowieć – wyszeptałam. – Dla dobra A'landi.

Jun i Zaini już tam były i szykowały dla mnie suknię księżycy na wieczór. Po ich złęczonym milczeniu poznałam, że cesarz Khanujin zagroził im tak samo jak mnie. Od mojego sukcesu z szansenem zależało, czy służki przeżyją.

„Mój ojciec chciał wykorzystać ich moce w walce z cesarzem Khanujinem” – powiedziała mi kiedyś Lady Sarnai. „Ale... człowiek nie układa się z demonami, nie płacąc wysokiej ceny”.

Co to za cena? – zastanowiłam się. Czy miała coś wspólnego z demonem-tygrysem, którego ujrzałam w miejscu szansena wczorajszego wieczoru?

– Ubiorę się sama – oddaliłam Jun i Zaini.

Kiedy wyszły, podniosłam suknię księżycy. Była najspokojniejsza z trzech sukni, które uszyłam. Jej srebrny brokat rzucał delikatny blask na moją skórę niczym księżyc lśniący w cichym stawie. Spódnica sukni słońca rozszerzała się jak dzwon, a ta spływała po moich biodrach kaskadą łagodną niczym dźwięki fletu. Rąbek muskał moje pięty, miękki i lekki jak pióra łabędzia.

Wyjęłam moje magiczne nożyczki i zrobiłam głębokie rozcięcie w spodnicy. Gdy stworzyłam kieszeń w wewnętrznych fałdach, niewidzialne nici zszyły się z powrotem.

A potem, zanim zdążyłam zmienić zdanie, sięgnęłam po sztylet, który ukrywałam przy kręgosłupie, i uniosłam go do ust.

– Jinn – wyszeptałam. To tajne słowo uwalniało moc sztyletu. Jedno z pierwszych imion Edana.

Drżącymi palcami obnażyłam broń i kątem oka dostrzegłam swoje odbicie w żelaznym ostrzu. Ale tak naprawdę patrzyłam na drugą krawędź sztyletu.

Wyglądała niegroźnie. Jak szary, nieoszlifowany kamień – przynajmniej dla nieświadomego oka.

Lecz ja wiedziałam, że to nie kamień, tylko meteoryt. Pył gwiazd.

Na własne oczy widziałam, co robi duchom i demonom. Ledwie draśnięcie obróciło ciało Bandura w kłęb cienia i dymu.

Wstrzymałam oddech i rozwarłam palce nad meteorytem. Wisiały nad ostrzem tak długo, aż zebrałam się na odwagę, by go dotknąć.

Teraz, powiedziałam sobie i musnęłam ostrze. Zapowietrzyłam się, gdy lekko mnie ukłuło. Tylko ukłuło. Nie sparzyło.

Moje ciało należało do mnie. Nadal byłam człowiekiem. Na razie.

Gdy opuściłam sztylet, jego blask powoli zgasł. Schowałam broń do pochwy i wsunęłam do nowej kieszeni.

Nosiłam sztylet przy sobie, bo miał dla mnie wartość i nie chciałam, żeby ludzie cesarza znaleźli go w mojej komnacie. Ale teraz, jeśli szansen nie był tym, kim się wydawał, czułam, że broń może naprawdę mi się przydać.

Obym się myliła.

Rozdział szósty

Trzy wielkie kadzidła płonęły przed Wielką Świątynią. W tym ostatnim dniu królewskiego wesela cesarz i Lady Sarnai mieli złożyć ofiarę – by prosić bogów o pobłogosławienie ich małżeństwa. Mnisi modlili się w starym a'landyjskim.

– Pokłońcie się trzy razy w stronę południa – poinstruował nas kapłan – by Wieczni Wody i Wiatru pobłogosławili to królewskie małżeństwo i powitali Jej Wysokość Lady Sarnai jako cesarzową A'landi, Córe Niebios.

Cesarz i ja uklękaliśmy obok siebie na grubych jedwabnych poduszkach. Gdy skończyliśmy się kłaniać, gong oznajmił zmianę kierunku. Kapłan udzielał kolejnego błogosławieństwa, a ja wyciszyłam zmysły. Musiałam tylko przetrwać do końca dnia. Wtedy A'landi znów stanie się jednością, a ja będę wiedziała, że zrobiłam wszystko, co mogłam, dla mojego kraju.

Kiedy ceremonia dobiegła końca, cesarz i ja udaliśmy się na ostatni weselny bankiet. Po nim miał nastąpić rytuał, który potwierdzał, że małżeństwo zostało skonsumowane.

Nie planowałam zostawać w pałacu tak długo.

Khanujin szedł trzy kroki przede mną. Podążałam za nim z wysoko uniesioną głową w koronie ze sznurami pereł, które zasłaniały mi twarz. Suknia słońca jaśniała tak mocno, że nikt nie mógł nawet na mnie spojrzeć, lecz suknia księżycy lśniła delikatnie – emanowała srebrnym blaskiem jaśniejszym niż tysiące lampionów rozświetlających pałac. Nawet w popołudniowym słońcu była łuną świetności i znów wszyscy patrzyli na mnie zamiast na cesarza. Tym razem się nie denerwował. Tak zakładał jego plan.

W powietrzu unosił się zapach wina zaostrzony pikantnymi aromatami trzystu innych potraw: smażonych ryb i duszonej

wieprzowiny, tofu w ośmiu przyprawach i chrupiących krewetek w ananasach przywiezionych z Wysp Tambu. Najlepsi akrobaci, tancerze i muzycy zjechali się z całej A'landi i spędziliśmy popołudnie, podziwiając ich talent. Może podobałyby mi się ich występy, gdybym była gdziekolwiek indziej niż tu.

Gdy bankiet wreszcie się rozpoczął, generał usiadł na tym samym miejscu co wcześniej, naprzeciwko cesarza i mnie. Śmiał się i pił ze swoimi ludźmi, rzucając subtelne obelgi w stronę cesarza, ale czułam, że mnie obserwuje. Puste krzesło po jego prawej zajmowałby Lord Xina – zastanawiałam się, czy wszyscy naprawdę wierzyli, że mój wczorajszy wybuch był aktem rozpacz.

Coś mi mówiło, że szansen nie.

– Lady Sarnai – odezwał się jeden z jego wojowników, nieco podпиты. – Twoja suknia świeci jaśniej niż księżyc. Myśleliśmy, że nie ma sukni piękniejszej niż ta, którą nosiłaś wczoraj, ale Klejnot Północy daje przykład tym południowym dwórkom. – Zachichotał. – Moja żona chciałaby zlecić twojemu krawcowi uszycie sukni.

Otworzyłam usta, by odpowiedzieć, lecz Khanujin mnie wyprzedził.

– Przekażemy prośbę twojej żony, Lordzie Lawar, na znak pokoju między północą a południem.

– Słyszałem, że królewski krawiec jest kobietą – ciągnął lord. – Musi być utalentowana, skoro uszyła suknie Amany.

Szansen stęknął.

– Sprowadź ją tu. Chcę poznać tę dziewczynę.

Wstrzymałam oddech, próbując nie patrzeć na Khanujina.

– Mam lepszy pomysł – rzekł gładko cesarz. – Lady Sarnai, może zademonstrujesz niesamowitą moc swojej sukni?

Z całą siłą powstrzymałam się, by na niego nie łypnąć. Chyba żartował?

– Moc bogini nie należy do mnie – odparłam najbardziej beznamiętnie, jak potrafiłam.

– Moja córka wreszcie przemówiła – zagrzemiał generał. Wiedział, że coś jest ze mną nie tak. – Ta nieśmiałość jest do ciebie niepodobna. Chodź, pokaż nam, co potrafi ta suknia.

Nie zamierzałam wstawać. Wcisnęłam do ust kawałek pieczonego gołębia i buntowniczo żułam.

– Nadal jest na mnie zła – powiedział ze śmiechem Khanujin. Zawtórował mu chórek niezręcznych chichotów. – Wstań, Sarnai. Pokaż nam moc Amany.

Spokój cesarza mnie zaskoczył. Czyżbym go nie doceniła? Czar Edana nadał mu majestatyczny wygląd, ale zaczynałam się zastanawiać, czy elokwencja nie była wyłącznie jego własną cechą.

Nie dał mi wyboru, więc teatralnie wolno odłożyłam serwetkę i podniosłam się z krzesła, celowo przeciągając przedstawienie.

Suknia księżycy miała najwięcej materiału ze wszystkich trzech, ze względu na długie rękawy i przezroczysty żakiet na gorsecie, przewiązany szeroką haftowaną szarfą. Maleńkie perły zdobiły każdy centymetr, symbolizując łzy księżycy. Naszywanie ich na materiał było żmudne, ale się opłacało. Falowały niczym odbicie księżycy na wodzie – efekt zapierał dech w piersiach.

Odwinęłam rękawy, by zawisły luźno i musnęły posadzkę. Powoli się obróciłam, ignorując głośne okrzyki i wiwaty, a srebrzyste światła spłynęły kaskadami po tkaninie.

Tylko szansen nie był pod wrażeniem.

– Kilka błyskotek i świecący jedwab to marny pokaz mocy Amany. Jesteś pewna, że krawcowa cię nie oszukała, córko?

– Ta suknia jest wyhaftowana z łez księżycy – oznajmiłam, teraz już ostro. Tyle przeszłam, by uszyć te suknie. Jak ktokolwiek mógł w nie wątpić?

Chwyciłam boki spódnicy, zbierając tyle tkaniny, ile zdołałam, i ścisnęłam. Jak mogłam mu pokazać?

Przez ażurowe okno i prześwitujące zasłony zobaczyłam księżyc podrygujący na jesiennym wietrze. Był tak samo wygłodzony jak poprzedniej nocy, kruchy sierp – według legendy to oznaczało, że

bogini księżycy nie mogła zobaczyć swojego kochanka, boga słońca. Gdy nadchodziła pełnia, mogła go zobaczyć, więc była szczęśliwa.

Kiedy przypominałam sobie tę historię, pomyślałam o Edanie. Prawdopodobnie już nigdy go nie ujrzę, nie poczuję jego ramion wokół mnie, nie wetchnę ciepła jego skóry na mojej, nie usłyszę jego głosu pieszczotliwie wymawiającego moje imię.

Byliśmy jak słońce i księżyc dzielące te same gwiazdy i to samo niebo.

Jakimś cudem to sprawiło, że wydał mi się mniej odległy, a moje serce poczuło się odrobinę mniej samotne. Mniej zimne. Ciemność we mnie na chwilę osłabła, a moja suknia ożyła...

– Spójrzcie! – krzyknął jeden z ministrów. – Suknia... ona...

„Świeci” to nie było odpowiednie słowo. Rozumiałam, dlaczego nie mógł takiego znaleźć. Światło biło z mojej sukni, wypełniając całą salę, jakby z sufitu wystrzeliły gwiazdy. Potężny podmuch wiatru przemknął przez pomieszczenie, a potem nastąpił rozbłysk.

Świecie zgasły z sykiem, a brązowe kielichy i porcelanowe talerze zadźwięczały od niewidzialnego pocałunku. Niektórzy goście schowali się pod stół, inni podziwiali moją suknię.

Gdy było już po wszystkim, służący pospiesznie zapalili świece i w komnacie rozległy się oklaski. Nawet szansen wydał wargi z zainteresowaniem. Cesarz chłonał wszystkie pochwały – jakby to on uszył suknie Amany.

Maia Tamarin, cesarska krawcowa, została zapomniana. Lady Sarnai, Klejnot Północy, została zapomniana.

Ale ja, kimkolwiek w tej chwili byłam, nie zapomniałam.

Wróciłam na miejsce, a w głowie mi huczało. Suknia pięknie lśniła, jej materiał mienił się tajemniczym światłem księżycy – to wystarczyło, by zachwycić szansena.

Lecz to nie mogło być wszystko, co potrafią suknie Amany. Widziałam, jak ich moc niszczy Lady Sarnai, szpeci ją nie do poznania. Jakie inne sekrety skrywały?

Czy zwrócą się przeciwko mnie, gdy zostanę demonem? A może dołączą do mnie w upadku?

W milczeniu usiadłam obok cesarza, ukrywając niespokojne myśli.

– Imponujące – przyznał szansen – ale w przeciwieństwie do was, południowców, znam legendy. Mocą sukien Amany może dysponować tylko krawiec, który je stworzył. – Jego oczy, lśniące jak dwa szlifowane klejnoty, pociemniały, gdy spojrzał na mnie. – Więc albo nie jesteś moją córką, albo to nie jest suknia Amany.

Ścisnęło mnie w gardle.

– Jestem twoją córką. A to jest suknia Amany.

– Nie w to drugie wątpię – warknął generał. Wskazał jesionowy łuk, który wcześniej mi podarował. Wisiał na środku sali bankietowej, wyeksponowany na tle innych prezentów. Jeden z sług szansena przyniósł broń, a on wcisnął mi ją do ręki. – Tylko Klejnot Północy potrafi strzelać z tego łuku.

Sługa podstawił mi skrzynię ze szkarłatnymi strzałami. Kiedy wybrałam jedną i umieściłam ją na cięciwie, poprowadził mnie w bezpieczne miejsce, żebym mogła zademonstrować moje zdolności.

To cud, że nie drżały mi ręce. Nigdy wcześniej nie naciągałam łuku ani nie strzelałam. Nie miałam szans zdać testu szansena.

– W co mam celować? – zapytałam spokojnie.

Generał pogładził się po brodzie.

– W tygrysa na moim sztandarze na końcu korytarza. To nie powinno ci sprawić trudności, Sarnai.

Zmrużyłam oczy, patrząc na szmaragdowy sztandar z haftem królewskiego białego tygrysa wstającego ze stóp wzgórza.

– Czy to konieczne? – wtrącił się Khanujin. – To bankiet, Lordzie Makangis, nie sprawdzian.

– Jeśli Sarnai jest tą, za którą się podaje, to nie będzie sprawdzian, tylko ławizna. Jej ulubiona zabawa.

Przełknęłam ślinę i uniosłam łuk. Po jednej sekundzie panicznej próby wiedziałam, że nie naciągnę naprężonej cięciwy.

Pomóż mi, błagałam magię skrzącą w sukni. Jeśli tego nie zrobię, to będzie koniec A'landi.

Coś przytrzymało moc sukni. Coś dusiło jej magię. Dusiło mnie.

Potworny chłód podpłynął mi do gardła. Smakował gorzko i metalicznie, jak żelazo na śniegu. Jak stęchłe światło księżyca.

Amana nie może ci pomóc, szepnął chłód, niepokojąco podobny do mojego głosu. Ale ja mogę.

Cienie wplotły się w moje myśli, snując ciemność w moim umyśle. Nie!

Zanim zdążyłam je odtrącić, wypełniła mnie nadprzyrodzona siła i naciągnęłam cięciwę łuku do policzka. Moje ręce wycelowały bez mojej kontroli. Próbowałam się opierać, ale byłam rozdarta. Jeśli nie zdam testu, szansen dowie się, że nie jestem jego córką.

To twoja szansa, kusił głos. Zabij szansena. Ocal A'landi.

Jeśli zginie, nie będzie wojny.

Pot spłynął mi po skroniach, wszystko rozmyło mi się przed oczami, gdy walczyłam, by zignorować głos dudniący wewnątrz mnie. Nie mogłam oddychać, nie słyszałam nawet własnego serca. Zielony sztandar przede mną zdawał się kołysać. Nie, cały świat się kołysał, a na ścianach kłębiły się cienie, które widziałam tylko ja.

Zrób to, Maiu. Zabij go. ZABIJ GO.

Ciemność pochłonęła mnie w całości – tylko na sekundę. Ale sekunda wystarczy, by zmienić wszystko. Skierowałam łuk w lewo i wycelowałam w pierś szansena. A potem wypuściłam strzałę.

Szkarłatna strzała z piskiem przeszła korytarz – to był prosty, celny strzał. Zamarłam przerażona. Nie mogłam chybić. Żaden człowiek nie poruszyłby się na tyle szybko, by umknąć śmierci, którą właśnie zadałam.

A jednak strzała nieznacznie zboczyła z toru i w ostatniej chwili przebiła białego tygrysa wyhaftowanego na pelerynie szansena – zamiast jego serca.

Po raz kolejny rozległy się brawa. Cesarz Khanujin ledwie skrywał uśmieszek, szansen założył ręce na piersi.

– Tylko Klejnot Północy potrafi strzelać z tego łuku – powtórzył Khanujin. – To twoja córka.

Szansen tylko warknął i z trzaskiem wyszarpnął strzałę z peleryny, ale dostrzegłam jego mroczne spojrzenie. Zniknęło, zanim zdążyłam je odczytać, i szansen rzucił połamaną strzałę na ziemię.

– Świątujemy dalej! – oznajmił cesarz Khanujin.

Wszyscy wrócili do wina i jedzenia, a szansen odprowadził mnie z powrotem na miejsce. Serce dudniło mi w uszach, a oczy znów zapiekły – perły przy twarzy pstrzyły się karmazynem.

Narastała we mnie panika. Uciekaj, ostrzegłam samą siebie. Uciekaj, zanim ktokolwiek zobaczy.

Ale nie mogłam. Uciekłam wczoraj. Gdybym to powtórzyła, Khanujin zabiłby Babę i Ketona.

Poza tym nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Nikt oprócz szansena.

Modliłam się, żeby nie zauważył, i liczyłam kroki, tak jak kiedyś ściegi, by uspokoić wewnętrzny sztorm. Dziesięć kroków do krzesła. Dziewięć. Osiem. Siedem.

Sześć. Jeden ze sług przyniósł tacę ze świecami, by zastąpić te, które zgasły przez moją suknię. Blask płomieni sprawił, że moje żrenice zapłonęły i po policzkach spłynęły mi łzy.

Pięć. Nie mogłam dłużej tego znieść. Popełniłam błąd, odwracając wzrok od świateł.

Szansen ścisnął mnie za ramię.

– Coś jest nie tak z twoimi oczami, córko.

Próbowałam mu się wyrwać, ale był zbyt silny.

– Puść mnie.

Podczas szamotaniny spod jego szat błysnął czarny kamień. To amulet, podobny do tego, który nosił Bandur, tylko z głową tygrysa

wygrawerowaną na tarczy. Zanim zdążyłam zobaczyć coś więcej, amulet zniknął w fałdach peleryny, a szansen stracił mi koronę.

Wszystko ucichło.

– Nie jesteś moją córką – warknął.

Z siłą większą, niż powinien mieć zwykły mężczyzna, cisnął mną o ścianę i przewrócił stół. Talerze się roztrzaskały, a goście krzyknęli.

– Unieważniam to małżeństwo – zagrmiał. – Rozejm został zerwany.

Jego ludzie dobyli sztyletów i zatrutych igieł. Sekundę później ostrza wystawały z gardeł strażników najbliższej cesarza.

Leżałam na podłodze oszołomiona. Nie słyszałam krzyków i wrzasków ani łomotu ciał martwych strażników padających na ziemię. Nie widziałam ich krwi spływającej po jedwabnych czerwonych obrusach, plamiącej haftowane złotą nicią symbole cesarza i Lady Sarnai.

Całą moją uwagę skupiał szansen. Jego źrenice się zwężyły, a tygrysie futro z peleryny rozlało się po całym ciele. Paznokcie wydłużyły i wyostrzyły się w pazury.

Amulet, który dostrzegłam wcześniej, dyndał mu na piersi, a okrutna bestia wyciosana na powierzchni ciemniała niczym tusz na ożywającym obrazie.

Biały dym uleciał z amuletu i szansen wciągnął go nosem. Kiedy znów na niego spojrzałam, nie był już człowiekiem.

Był demonem – tygrysem o białym futrze i skrzących czarnych oczach – i rzucił się na cesarza Khanujina.

Rozdział siódmy

Poruszał się błyskawicznie, aż oko nie nadążało, zabójczy i precyzyjny. W walecznym tańcu siał burzę krwi i śmierci.

Pałeczki pobrzękiwały o porcelanowe miski, filiżanki roztrzaskiwały się na posadzce. Meble trzeszczały, a może kości? Nie potrafiłam stwierdzić. Mój wzrok na zmianę słabł i się wyostrzał, czerwone światła fruujących lampionów raziły mnie w oczy.

Powinnam była uciekać, ale nie potrafiłam. Mogłam tylko patrzeć w czarne jak węgle oczy szansena, z przerażającą świadomością, że pewnego dnia moje staną się tak samo puste. Tak samo bezduszne.

Półmisek z rybą na parze przeleciał mi nad głową, więc zanurkowałam pod jeden ze stołów.

Trzy służki już się tam schowały. Szczękały zębami, a ich szyje lśniły od potu. Trzymały się w objęciach, zasłaniając sobie nawzajem uszy, by zagłuszyć zgiełk wrzasków, i modląc się o przetrwanie.

Powietrze przesiąkało ostrym zapachem soli i żelaza. Poczułam mdłości – wzbierały, aż zachciało mi się wymiotować. Próbowalam skupić się na latającym jedzeniu zamiast na padających ciałach. Było ich zbyt wiele, by zliczyć.

Obok mnie padł minister. Jasnoniebieskie szaty miał rozdarte na piersi. Służki podskoczyły przerażone, ale ja wciągnęłam go pod stół.

Ciemna krew sączyła się z jedwabnych szat, plamiąc szkarłatem nawet plecione złote guziki i jadeitowe tabliczki u jego paska. Wielu ministrów takie nosiło – wierzyli, że jadeit chroni przed pechem i chorobami.

Chciałam przytknąć dłoń do jego rany, by powstrzymać krwawienie, ale złapał mnie za rękę. Jego wargi już szarzały,

ostatnie słowa zamierały na ustach. To wtedy zauważyłam, że moja skóra jest zimniejsza niż jego, zimniejsza niż śmierć.

– P-pomóż mi – wybełkotał. Przyciągnął mój rękaw do twarzy, jakby magia sukni mogła ocalić mu życie.

Delikatnie wyswobodziłam rękaw i położyłam mu jego dłoń na piersi. Jednak on już odszedł do innego świata.

Gdy zamknęłam mu oczy, zdławiły mnie wyrzuty sumienia. Zaczęłam nucić modlitwę, ale stół się zatrzęsł i służki krzyknęły, że zaraz się zawali.

Prędko się wyczołgałam i przywarłam plecami do ściany. Strażnicy cesarza nadal atakowali szansena. Jeden z nich zatoczył się w moją stronę z piersią pooraną pazurami. Gdy opadłam na bok, by zejść mu z drogi, coś twardego uderzyło mnie w udo.

Mój sztylet!

Wyciągnęłam go z kieszeni i zacisnęłam palce na orzechowej rękojeści.

– Jinn – wyszeptałam do broni, prędko wyciągając ją z pochwy. Krawędź z meteorytu zaśniła nikłym szarym blaskiem.

Trzymałam sztylet blisko. Użyłam jego mocy tylko raz – przeciw Bandurowi na Wyspach Lapzuru. Bogowie, oby dziś zadziałał.

Poderwałam się i krzyknęłam:

– Lordzie Makangis! Przeoczyłeś mnie!

Obrócił się i natarł. Pokonał całą szerokość sali trzema szybkimi susami. Zmiażdżyłby mnie swoim ciężarem, ale w ostatniej chwili jego tylne łapy się pośliznęły i wylądował za daleko.

Na jego zwierzęcym pysku odmalowało się zaskoczenie. Zdezorientowany obnażył zęby, a ja uniosłam sztylet, by pokazać moją siłę. Czując moc meteorytu, stanął jak wryty.

Nie jest demonem, zrozumiałam zszokowana. Oczy miał czarne, nie czerwone jak Bandur i ja. Nie krwawił dymem, lecz jaskrawą ludzką krwią. Więc czym był?

Czymkolwiek był, wymierzyłam cios. Nawet na czterech łapach był wyższy ode mnie, dlatego musiałam podskoczyć, by wycelować

w szyję. Meteoryt go drasnął i tygrys wydał z siebie potworny ryk.

Zamachnął się pazurami i po mojej ręce pociekła krew.

Nie czułam bólu, tylko wściekłość, więc wbiłam mu sztylet w żebra. Wykręcił się i wykrzywił twarz, aż znów stała się bardziej ludzka.

Wreszcie przede mną stanął szansen. Jednak zanim żołnierze cesarza zdążyli go pojmać, narzucił kaptur futrzanej peleryny i krzyknął:

– Gyiurak!

Zerwał się straszny wichur, a z kłębu wiatru i popiołu powstał ogromny tygrys i zawisł nad szansenem.

To jego demon.

Patrzył na mnie przez chwilę, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Oczy miał czerwone jak cynober używany do barwienia cenionej a'landyjskiej laki. Bezdenne i bezduszne.

A potem mrugnęłam i szansen zniknął.

W sali zapadła upiorna cisza. Kilka czerwonych lampionów wciąż zwisało z krokwi – ich okrągłe cienie migotały, gdy opadał kurz.

Z łomoczącym sercem opuściłam sztylet i się rozejrzałam. Dziesiątki służących, ministrów i gości nie żyły, jeszcze więcej było rannych. Sam cesarz kulił się za zniszczonym parawanem, otoczony przez ciała strażników.

Odsunął trupy na bok i wstał. Szaty miał zakrwawione i brudne od sadzy, ale nic mu się nie stało.

Musiałam uciec – opuścić ten cmentarz, zanim ktokolwiek zda sobie sprawę, co zrobiłam.

Zanurkowałam do cienia, schowałam sztylet i wymknęłam się w ciemną noc.

Nie byłam na tyle głupia, by wierzyć, że cesarz wynagrodzi mnie za ochronę przed szansenem. Teraz, gdy zobaczył, że potrafię władać magią, nigdy nie puści mnie wolno.

Zerwałam z siebie suknię księżycy i gwałtownie zadrżałam. Wszystko mnie bolało, a okrutny żar bił z palców, gdy pospiesznie zbierałam swoje rzeczy.

Spod łóżka wystawały poszarpane nitki mojego zaczarowanego dywanu. Wydawało się, że całe wieki temu utkałam go z zaledwie dwóch kłębków niebieskiej i czerwonej włóczki, tylko w połowie wierząc, że kiedykolwiek poleci. Teraz lepiej rozumiałam cenę magii. Podobnie jak ja, mój dywan nie miał już wiele czasu.

Zebrałam go razem z listami od Baby i szkicownikiem. Nie wiedziałam, dokąd pójdę, ale musiałam się spieszyć.

Pozwoliłam sobie jedynie wypić szklankę wody, by ukoić zaschnięte gardło. Nagły chłód chwycił mnie za serce, kiedy świece na stole zamigotały i większość zgasła na upiornym wietrze.

Ale skąd ten wiatr? Wszystkie okna były zamknięte.

Wtedy zobaczyłam wilka czającego się w drzwiach. Jego imię zawrzało mi w gardle.

– Bandur.

Demon wszedł do środka i oparł się o ścianę, drapiąc posadzkę pazurami.

– Tej mocy nie da się oprzeć, prawda?

Sięgnęłam po sztylet i zacisnęłam dłoń na rękojeści.

– Wynoś się stąd.

– Teraz czujesz, jak cię opuszcza. Coraz trudniej ci oddychać, powoli się dusisz. Twój wewnętrzny ogień umiera – mówił rzeczowym tonem. – Podsyć płomień, Maiu. Niech się pali.

Zarzuciłam mój tobołek na ramię i ruszyłam do drzwi.

Bandur zaszedł mi drogę.

– Teraz, gdy już jej spróbowałaś, pochłonie cię jeszcze szybciej. Zostało ci niewiele czasu, Maiu Tamarin. Zapomniane Wyspy cię

wołają. – Chwycił mnie za nadgarstek i wpił pazury w ciało. – Na pewno słyszałaś głosy.

Słyszałam.

Sentur'na, błagały mnie. *Sentur'na*, wracaj do nas. *Potrzebujemy cię*.

Zanurzył pazury głębiej. Usiłując nie krzywić się z bólu, wyrwałam rękę i wyciągnęłam sztylet.

– Jinn! – krzyknęłam.

Ostrze wystrzeliło z pochwy i powierzchnia z meteorytu zaśniła. Uniosłam je wysoko, zamachnęłam się i wymierzyłam w serce...

Ale on rozpląnął się w dym i sztylet przeciął powietrze.

Śmiech demona odbił się echem od ścian komnaty.

– Lubisz walczyć. Będzie z ciebie dobra strażniczka.

– Pokaż się – zażądałam. Głos mi się łamał, a sztylet w dłoni drżał.

Bandur pojawił się w lustrze.

– Prędko, Maiu. Jeszcze trochę i wyślę duchy, by zniszczyły wszystko, co kochasz. – Zastanowił się. – Zacznę od tego pałacu.

– Proszę bardzo – warknęłam. – Nie dbam o cesarza.

– A o swoich przyjaciół? Tyle niewinnych istnień. Już masz krew na rękach, droga Maiu, szczególnie po dzisiejszym wieczorze.

Zerknęłam na rozcięte ramię. Smużka dymu buchnęła z odbicia Bandura i musnęła moją skórę. Ku mojemu przerażeniu jej dotyk mnie uzdrowił.

– Czym jest szansen? – spytałam szeptem.

– Ułożył się z Gyiurak, demonem północnych lasów – odparł Bandur.

– Gyiurak – powtórzyłam. A więc tak nazywał się demon szansena.

– Jej moc żyje w nim, dopóki układ nie zostanie przypieczętowany.

– Żeby podbić A'landi. – Wciągnęłam powietrze. – A co potem?

– Potem ona odbierze swoją nagrodę. Swoją cenę krwi.

Wzdrygnęłam się.

– Czyli co?

– A co cię to obchodzi? – rzucił i pogłodził moje włosy. Szarpnęłam do tyłu, a on się zaśmiał. – Wkrótce będziesz przywiązana do Wysp Lapzuru, a ja wreszcie będę wolny.

– Nigdy nie wrócę na Lapzur – wycedziłam przez zęby.

– Wiesz, że to nieprawda. Co noc wody wyspy cię wabią, a duchy wołają twoje imię.

Zacisnęłam pięści. *Sentur'na.*

Jego cień zawisł nad suknią księżycy, tłumiąc jej srebrne światło.

– Przestań się okłamywać – powiedział pogardliwym tonem. – Amana cię nie uratuje. Wkrótce twoja moc pochłonie także suknie. Ależ będzie z ciebie strażniczka, uzbrojona w słońce, księżyc i gwiazdy.

Po tych słowach zniknął, tak samo szybko i cicho, jak się pojawił.

Ruszyłam do drzwi. Nie chciałam, żeby wizyta Bandura wytrąciła mnie z równowagi. Co, jeśli miał rację? Może nie miałam wyboru i musiałam posłuchać wezwania. Ale nie poddam się bez walki.

Zacisnęłam zęby i dotknęłam świeżo zagojonej skóry na ramieniu. Więc historie o szansenie były prawdziwe. Naprawdę ułożył się z demonem, by podbić A'landi.

Bez Edana cesarz Khanujin nie miał z nim szans.

Mogłabyś zostać, odezwał się głos z wnętrza. Mogłabyś pomóc. Drzemie w tobie moc demona.

To prawda... gdybym została, mogłabym pomóc. Mogłabym...

– Nie! – oparłam się. Zepchnęłam głos głęboko do środka, wiedząc, że za jego ckliwymi słowami stoi Maia-demon, która próbuje wpleść się w mój umysł. Im więcej mrocznej mocy będę używać, tym szybciej zmienię się w potwora.

Więc nie ma nadziei dla A'landi. Wszystko, co poświęciłaś, pójdzie na marne.

Zacisnęłam pięści. Edan nazwał mnie nadzieją A'landi. Wyjechał, wierząc, że uratuję kraj.

Powinnam była powiedzieć mu prawdę.

Spojrzałam w lustro. Twarz miałam bladą, policzki bez rumieńców, a ciepły brązowy błysk, który niegdyś bił z moich oczu, teraz zmatowiał i zgasł.

– Nie pomogę A’landi jako demon – rzekłam do odbicia.

Spełniłam swój obowiązek wobec cesarza. Nie mogłam dłużej tu zostać.

Postanowiłam znaleźć sposób, by pokonać Bandura i uwolnić się od klątwy. Nawet jeśli to oznaczało powrót na Wyspy Lapzuru.

Po pierwsze nie mogłam liczyć na to, że ucieknę z pałacu niezauważona, taszcząc suknię księżycy. Otworzyłam skrzynię, by poszukać dwóch orzechów i szklanej fiolki, w które schwytałam słońce, księżyc i gwiazdy podczas mojej podróży z Edanem.

Znalazłam je wśród skrawków satyny i jedwabiu i zgarnęłam ręką. Gdy ich dotknęłam, orzechy i fiolka zadrżały jak opętane i z brzękiem spadły na podłogę, a potem... złączyły się w jedność.

W ich miejscu leżał szklany amulet złożony z trzech elementów, z gładkim pęknięciem na środku. Wisiał na cienkim łańcuszku stopionym ze złota i srebra.

Amulet był mniejszy od mojej dłoni, mniej więcej taki sam jak amulet cesarza – i Bandura.

Amulet Bandura miał pęknięcie na środku.

Przeszył mnie dreszcz, gdy wsunęłam łańcuszek przez głowę i chwyciłam wisiorek. Rozbłysnął, a ja wstrzymałam oddech. Suknia księżycy zaczęła wirować, jej srebrzyste wstążki trzepotały, a ona malała i malała, aż wreszcie zniknęła w pęknięciu wisiorka.

Gdy cała suknia wróciła do środka, wisiorek stał się lżejszy na mojej piersi. Jednak brak pozostałych dwóch sukien przeszywał mnie pustym bólem. Słońce, księżyc i gwiazdy pragnęły być razem.

Pozostałe suknie są w komnacie Lady Sarnai, pomyślałam. Nie miałam czasu po nie iść. Musiałam uciekać w tej chwili. Zbyt wiele osób widziało moc moich sukien i mój sztylet atakujący szansena. Jeśli cesarz mnie znajdzie, zmusi mnie, bym została u jego boku i chroniła pałac. Nigdy nie złamię klątwy.

Jednak w głębi serca wiedziałam, że Badur miał rację. Teraz moc sukien Amany płynęła w mojej krwi.

Nie mogłam uciec bez nich wszystkich.

Rozdział ósmy

– Usłyszałyśmy dzwony bijące na alarm – powiedziała Jun, wpuszczając mnie do komnaty Lady Sarnai. Głos jej drżał. – Czy... czy cesarz jest w niebezpieczeństwie? Szansen zaatakował?

– Tak – odparłam poważnie – ale na razie się wycofał.

– Dlaczego zaatakował? – spytała. – Dowiedział się, że nie jesteś...

Nie dokończyła, a ja nie mogłam się zmusić, by potwierdzić jej obawy.

– Już po wszystkim. – Zawahałam się. Nienawidziłam się za kłamstwo, które zamierzałam jej wcisnąć. – Cesarz kazał mi wziąć suknie na przechowanie.

– Dzięki bogom – wtrąciła żarliwie Zaini. – Są przeklęte.

Wskazały mi kufry Lady Sarnai.

– Proszę, zabierz je.

Zgarnęłam suknie słońca i gwiazd – tę drugą nadal zniszczoną po tym, jak zerwałam ją z Lady Sarnai – i przelałam ich esencję do amuletu.

Wtedy zza zamkniętych drzwi sypialni dobiegł ochryply krzyk.

Na początku brzmiał bardziej na zwierzęcy niż na ludzki. Cichy i piskliwy, jak skomlenie rannego lisa. Jednak gdy usłyszałam go ponownie, rozpoznałam ten głos.

Lady Sarnai. Powietrze wokół niej było gęste od dymu kadzideł – Jun i Zaini zapaliły je, by odpędzić złe duchy, które ich zdaniem zaatakowały księżniczkę.

Na jej widok się wzdrygnęłam. Służki posmarowały ją maścią i zabandażowały niemal w całości, ale nie zasłoniły uszu, nosa i ust, wszystkich upstrzonych łataniną fioletowo-niebieskich oparzeń i złotych plam. Te barwy przypominały krew gwiazd.

– Na oddech demona – szepnęłam. – Jest gorzej niż wcześniej.

Jun i Zaini miały udręczony wzrok. Służki wyglądały, jakby od dwóch dni nie spały i nie jadły. Znajac Khanujina, pewnie zagroził, że je straci, jeśli opuszczą komnatę. Ich drżące głosy potwierdziły moje podejrzenia.

– Próbowaliśmy wszystkiego, mistrzyni Tamarin.

– Bez względu na to, czym ją karmimy, nie może się obudzić. A jej skóra... tam, gdzie dotknęła jej suknia, ciągle się zmienia: czasem jest niebieska, czasem szara. Nigdy nie widziałyśmy czegoś takiego.

Objęły się przerażone.

– Nie zostało jej wiele czasu.

Spokój w moim głosie zaskoczył mnie samą.

– Jego Wysokość nie posłał po lekarza?

Pokręciły głowami.

Nic dziwnego – pewnie obawiał się, że nadworni lekarze ujawnią, iż Lady Sarnai jest bliska śmierci. Nie żeby to miało znaczenie po tym, co wydarzyło się na bankiecie.

Przełknęłam gulę w gardle. Nie mogłam zostawić Lady Sarnai w takim stanie.

Ciemność we mnie się rozbudziła.

Zostaw ją. Nigdy nie była dla ciebie dobra. Pozwól jej umrzeć.

Obróciłam się do drzwi, lecz Lady Sarnai zakaszłała. Ten dźwięk wzbudzał litość, tak niepodobny do silnej księżniczki, która kiedyś mnie przerażała.

Pomyśl, jak poderżnęła gardła tym strażnikom. Ona zostawiłaby cię bez wahania.

Nie wątpiłam, że to prawda.

Więc ją zostaw.

Tak łatwo byłoby posłuchać mrocznego rozsądku w mojej głowie, pozwolić demonowi odrzec mnie z człowieczeństwa myśl po myśli. Ale dawna Maia jeszcze nie zniknęła. *Jesteś silniejsza niż mrok, zapewniła. Oprzyj mu się.*

Zostaw ją, nalegał demon. Ona by cię zostawiła.

Tak, ale ja nie byłam Lady Sarnai.

Byłam Maią Tamarin.

Upuściłam tobołek. Pacnął o podłogę, a ja uklękłam przy Lady Sarnai, ignorując nieugięte szepty w moim sercu.

Jak ją ocalić?

Nawet gdyby lekarze dostali pozwolenie, by odwiedzić Lady Sarnai, nie mogliby jej pomóc. Jedyna osoba, która to potrafiła, była daleko stąd.

– Gdzie jest komnata Lorda Czarodzieja? – spytałam.

Jun zamrugła. W jej szeroko rozstawionych oczach pojawiło się zdezorientowanie.

– W Letnim Pałacu była przy Wielkiej Świątyni – powiedziałam niecierpliwie, zgarniając z krzesła zapasowe prześcieradło. – A tutaj?

– Ale Lord...

– Wiem, wyjechał. To pilne.

Wyrzuciły z siebie odpowiedź, a ja pobiegłam.



Rozpoczął się pałacowy pościg. Na każdym kroku słyszałam, jak strażnicy wołają:

– Mistrzynie Tamarin, pokaż się! Mistrzynie Tamarin!

Pod ponurą osłoną chmur prędko stworzyłam nakrycie z prześcieradła Lady Sarnai. Naciągnęłam je na głowę i pomknęłam na południowy kraniec pałacu.

Cały dziedziniec był pusty. Cienie nawiedzały ścieżkę do rezydencji Edana, wolną od ozdobnych lampionów, kwiatów czy innych śladów wcześniejszego świętowania. Wśliznęłam się do komnaty i zamknęłam drzwi.

Pokoje zostały splądrowane. Księgi i zwoje leżały na podłodze, niedbale zrzucone z regałów. Na biurku kłębiły się pędzle i kałamarze, na łóżku pióra i prześcieradła. Kurz wzbił się

tumanami, gdy minęłam zniszczoną bambusową klatkę i ruszyłam w głąb komnaty.

Nie byłam pewna, gdzie szukać czegoś, co może uzdrowić Lady Sarnai, ale stanowisko pracy Edana wydawało się dobrym miejscem na początek.

Na biurku wały się mapy. Niektóre karty pożółkły ze starości i pachniały przyprawami, których nie potrafiłam nazwać. Znalazłam dzienniki zapisane jego starannym pismem, z ilustracjami krajów, o których nigdy nie słyszałam. Przekartkowałam pierwszy z brzegu i zatrzymałam się na rysunku znajomego pajaka niwa. Edan musiał czytać te notatki, zanim udaliśmy się na pustynię Halakmarat. Pisał w języku, którego nie potrafiłam odczytać.

Pewnie w narat.

– Nie napisałeś nic po a’landyjsku, Edanie? – mruknęłam, przechodząc do szafek. Po głębokich wgnieceniach na drewnie poznałam, że ludzie cesarza próbowali siłą otworzyć zamki, lecz im się nie powiodło. Zrezygnowali, może zbyt przestraszeni tym, jaka magia wciąż czai się w komnacie Lorda Czarodzieja.

Jeszcze niedawno aż tak się od nich nie różniłam. No, nigdy nie bałam się Edana, ale pamiętałam aurę tajemniczości, którą roztaczał wokół siebie podczas naszych pierwszych spotkań. Dopiero po kilku miesiącach dostrzegłam szczerego chłopaka pod płaszczem magii i arogancji.

Dotknęłam lakierowanych drzwiczek szafki i powiodłam palcami po dziwnych słowach wyrytych na powierzchni, aż do brązowego zamka na środku. Nie było w nim dziurki, ale miał kształt jastrzębia z zatraskami w postaci rozpostartych skrzydeł po obu stronach drzwiczek.

Ciekawskimi dłońmi złożyłam skrzydła do siebie, bez większych nadziei, że coś się wydarzy. Tymczasem metal rozgrzał się pod moim dotykiem i brąz stopniał w czarną lakę. Drzwiczki otworzyły się ze skrzypnięciem, jakby mnie rozpoznały.

W środku znalazłam szuflady ze szklanymi fiolkami wypełnionymi po brzegi płynami w każdym możliwym kolorze, rośliny, kwiaty i zioła, których nie rozpoznawałam, w większości ususzone i wciąż w całości, niektóre skruszone bądź zmielone i pochowane w konopnych woreczkach. Odkryłam nasiona, które rozkwiwały w kwiaty, gdy ich dotknęłam, pióra, łuski i węzowe skóry. Na dole szafki spoczywała taca, a na niej różne przedmioty: szkatułki na amulety inkrustowane opalizującą muszlą, tekowy grzebień z wyłamanymi zębami, klepsydra, cynowy kubek, pusty kałamarz. Skórzana sakwa bez dna, która pozwoliła Edanowi zabrać w naszą podróż tak dużo książek. Prędko wymieniłam mój tobołek na sakwę, a potem podniosłam znajomo wyglądające lustro.

Odbicie prawdy, tak je nazwał. Kiedy udawałam mojego brata, jego tafla ujawniła moje prawdziwe ja. Maię, nie Ketona.

Starłam kurz z lusterka i spojrzałam. Bez pudru na policzkach i szminki na ustach widziałam znajomą konstelację piegów, zmęczone oczy, starsze, niż pamiętałam, oraz spierzchnięte usta.

– Wciąż jestem Maią – wymamrotałam z ulgą. Na razie.

Spod łóżka wystawał mały flet, który Edan wziął w naszą podróż. Uniosłam go do ust, ale nie mogłam wydobyć z niego dźwięku. Był samotny bez swojego pana. Zalała mnie tęsknota za Edanem i za tym beztroskim czasem, gdy siadałam przy ognisku i słuchałam, jak gra.

Nie jesteś tu po to, żeby wspominać Edana, zganiłam się ostro.

Odłożyłam flet i przejrzałam książki leżące na podłodze. Większość w nieznanych mi językach.

Moją uwagę zwróciła luźna kartka wystająca z jednego z dzienników. To ten, który Edan miał przy sobie podczas naszej podróży. Ze środka nadal wysypywał się piasek pustyni.

Drżącymi palcami podniosłam kartkę.

Maia. Zaskoczyło mnie moje imię zapisane jego eleganckim pismem. Wreszcie coś po a'landyjsku.

Nagle ugięły się pode mną kolana, więc opadłam na krzesło przy biurku.

Xitara – moja najwspanialsza. Wybacz, że Cię zostawiłem. Nie chciałem tego, ale zapłaciłbym każdą cenę za Twoją wolność. Za Twoje szczęście. Mówisz, że beze mnie nie będziesz szczęśliwa, ale ja wiem, że to nieprawda. Żyj swoim życiem, xitara.

Tu wiadomość się urywała. To był list pożegnalny, który zamierzał mi wręczyć, kiedy uda się na Lapzur.

Przycisnęłam go do serca. Papier zaszeleścił pod naciskiem palców. Tak bardzo tęskniłam za Edanem.

– Gdzie jesteś? – wyszeptałam, sięgając do amuletu. Skorupa orzecha była ciepła. W środku pulsowało światło moich sukien.

Obróciłam się z powrotem do sterty książek, kiedy nagle przeszedł mnie dreszcz.

– Maia? – zawołał głos, ledwie słyszalny, a jednak bliski. Głos, o którym śniłam, tak czuły i drogi mojemu sercu. – Maia?

Zadrżałam. Dźwięk dochodził z lustra prawdy. Czy to znów mój wzrok demona?

Podniosłam lusterko i zajrzałam do środka. Edan siedział obok sterty książek, czarne włosy opadały mu na oczy. Za nim szeleściły drzewa, a niebo było jasne i niebieskie. Panował dzień, a u mnie noc.

– Edan? – spytałam nagłaco.

Podniósł wzrok i się poderwał.

– Maia? Maia, słyszysz mnie?

– Tak. – Wyciągnęłam rękę, by go dotknąć, lecz moje palce napotkały tylko chłodne szkło lustra.

– Jesteś bezpieczna? – Miał ciemne cienie pod oczami. Nie spał dobrze. A jednak bez brzemienia przysięgi wydawał się bardziej beztroski niż kiedyś. Co za tortura, widzieć go tak wyraźnie, a jednak nie móc go dotknąć.

Skinęłam głową.

– Miałem nadzieję, że znajdziesz lustro.

Jego uśmiech był zaraźliwy nawet z odległości tysiąca kilometrów. Musiałam go odwzajemnić, ale potem przypomniałam sobie, dlaczego tu jestem.

– Potrzebuję twojej pomocy – zaczęłam. – Suknia gwiazd zaatakowała Lady Sarnai. Księżniczka jest ranna i nie może się obudzić. Czy mogę jej jakoś pomóc?

Zmarszczył brwi w zamyśleniu.

– Sprawdź trzecią szufladę w szafce z jastrzębiem. Zamek otworzy się pod twoim dotykiem...

– Już się otworzył. – Jakimś cudem zabrzmiałam jednocześnie nieśmiało i obcesowo.

– Znajdziesz tam szklaną buteleczkę podpisaną: „Ekstrakt na najpoważniejsze urazy”. Użyłem go, żeby uratować cesarza podczas Wojny Pięciu Zim. Kilka kropli ukoi jej ból, ale nie obiecuję, że się obudzi.

Popatrzyłam na kolekcję buteleczek.

– Nie potrafię odczytać podpisów.

– Użyj lustra.

Uniosłam lustro nad buteleczki, aż znalazłam tę, o której mówił Edan.

– To lustro zawsze tłumaczy starożytne teksty?

– Tylko dla ciebie.

Uniosłam brew.

– Czułem, że nie dasz rady długo trzymać się z dala od mojej komnaty – oznajmił z figlarnym uśmiechem, a potem łagodniej dodał: – Kiedy Khanujin zabronił mi się z tobą widywać, wykorzystałem ten czas, przygotowując wszystko na mój wyjazd. To, co mam, teraz jest twoje, Maiu. Moje rzeczy będą do ciebie przemawiać, tak jak twoje nożyczki.

Poczułam ciepło w piersi. Delektowałam się nim, marząc, by chłód nigdy nie wrócił.

– Dziękuję.

Chciał coś powiedzieć, ale mu przerwałam. Zamierzał zapytać o wesele i o moje samopoczucie, ale wołałam uniknąć tych pytań.

– Dotarłeś do Agorii? Khanujin cię szuka.

Pokręcił głową.

– Mistrz, którego szukałem, nigdy nie wyjechał. Jest w Świątyni Nanduna.

Więc Edan nie był w Agorii, tylko w A'landi, gdzieś wysoko w górach, ukryty w świątyni boga żebraków.

Odetchnęłam z ulgą i nachyliłam się do lustra.

– Pomaga ci?

Edan zmarszczył czoło i pobladł.

– Maiu – wyszeptał ochryple. – Maiu, mówiłaś, że jesteś wolna od Bandura.

– Co? – Wycofałam się. Skąd wiedział, że nie jestem? Moje oczy nie płonęły, a on nie mógł słyszeć, co wydarzyło się na dworze.

– Nosisz amulet demona.

Zerknęłam w dół i dostrzegłam, że wisiołek wysunął się spod tuniki.

– Nie, to tylko orzechy, które mi dałeś. – Wyciągnęłam rękę, żeby mu pokazać. – To nie...

Zacisnął szczękę, a w jego głosie pobrzmiął strach.

– Nie wracaj na Lapzur.

– Muszę. Muszę z nim zawalczyć, zanim... – Zanim stracę zbyt wiele siebie.

– Nie wygrasz, jeśli pójdziesz sama. Zaczekaj na mnie. Udamy się razem.

Jego zapach mnie wzruszył, ale nie zamierzałam zmienić zdania.

– Z każdym dniem jest coraz gorzej, Edanie. Wkrótce nie będę mogła dłużej się opierać.

Grymas wykrzywił jego opanowaną twarz.

– Więc przyjedź tu – poprosił. – Mój nauczyciel, mistrz Tstring, może ci pomóc. Teraz jest śmiertelnikiem, ale wie o magii więcej niż

ktokolwiek oprócz samych bogów. Miał już do czynienia z Bandurem.

– Nie mam zbyt wiele czasu – wyszeptałam. – Nawet nie wiem, gdzie jesteś...

– W Górach Tura. To niedaleko od Lapzuru. Zawołaj mnie, gdy je ujrzysz, a ja cię znajdę.

– Przez lustro? – upewniłam się.

– Tak, ale bądź ostrożna – ostrzegł. – Demon w tobie rośnie w siłę z każdym dniem, a kiedy używasz magii, otwierasz się na jego wpływy. Nie używaj jego mocy. Zniszczy cię i prędzej się zmienisz.

Nie odpowiedziałam.

– Maiu! – podniósł głos, a ja się wzdrygnęłam. Oczy miał niebieskie, nie żółte jak kiedyś, gdy się zdenerwował. – Przysięgnij na moje życie, że nie będziesz używać mocy demona. Przysięgnij, że nie udasz się na Lapzur beze mnie.

Nagle buchnął we mnie gniew. Płonął biały i gorący, tak oślepiająco silny, że nie mogłam go powstrzymać.

Jak on śmie! On nie ma nad tobą władzy, Sentur'na.

Szepty stawały się coraz głośniejsze, ogłuszające. Meble Edana zniknęły. Z dywanów wyrosły drzewa o suchych, poskręcanych gałęziach. Zapomniane Wyspy Lapzuru. Zamknęłam oczy, odtrącając halucynację.

– Nie!

Lustro wysliznęło mi się z rąk. Rzuciłam się za nim, ale moja więź z Edanem została zerwana.

– Edanie? – szepnęłam, ściskając lusterko. Widziałam tylko własne odbicie. – Edanie, przepraszam.

Ale Edan zniknął.

Zrozpaczona opadłam na podłogę. Wisiorek kołysał mi się na szyi. Chwyciłam go i uspokoiłam.

Edan się mylił. To nie był amulet demona. Suknie w środku należały do bogini matki, Amany. Nie było w nich nic złowrogiego.

A jednak czułam ukłucie zwątpienia. W takim razie dlaczego ma pęknięcie na środku, jak amulet Bandura?

Na to nie potrafiłam odpowiedzieć.

Schowałam amulet z powrotem pod tunikę. Suknie cicho brzęczały, pulsując miarowo przy moim sercu. W przeciwieństwie do nożyczek, amulet nie ucichł, gdy go puściłam.

Wzięłam głęboki, urywany wdech. Przynajmniej Edan był bezpieczny. Na razie to musiało wystarczyć.

Rozdział dziewiąty

Nie słyszałam otwieranego okna.

Był poranek, a ja nadal tkwiłam w komnacie Edana i przeglądałam książki u moich stóp, kiedy ktoś potrząsnął mną od tyłu.

– Idą po ciebie! – Ammi wyrwała mi książkę z dłoni. – Mistrzynie Tamarin, słyszysz mnie? Musisz stąd uciekać!

– Co? – wychrypiałam. Język miałam tak suchy, że z mlaśnięciem odkleił się od podniebienia. – Kto?

– Cesarz! – Poderwała mnie na nogi. – Jun i Zaini nie dadzą rady tak długo trzymać języka za zębami. Musisz się pospieszyć!

Zgarnełam swoje rzeczy razem z lekarstwem Edana.

– A co z Lady Sarnai?

– Żyje, ale ledwo. Rano zabrali ją do lochu. Ciebie też zabiorą, jeśli nie...

Do lochu!

– Muszę jej pomóc.

– Słyszysz, co mówię? – Ammi ścisnęła mnie za ramię. – Połowa straży cię szuka, a druga pilnuje Lady Sarnai. Nie możesz...

Wykręciłam jej się i chwyciłam sakwę Edana. Wsunęłam do środka fiolkę, flet i lusterko.

– Nie musisz iść, jeśli nie chcesz.

Skrzywiła się.

– Nie puszczę cię samej. Pewnie nawet nie wiesz, gdzie jest loch.

Rzeczywiście nie wiedziałam.

Widocznie dało się to wyczytać z mojej twarzy, bo Ammi westchnęła.

– Pożaluję tego, prawda?

Zarzuciłam sakwę na plecy.

– Czemu mi pomagasz? Myślałam, że jesteś na mnie zła.

– Bo jestem, ale to nie znaczy, że chcę, by cię zabili. Jesteś zbyt dobrą krawcową, mistrzyni Tamarin.

Może nawet bym się zaśmiała, gdyby tego ranka sprawy przybrały inny obrót. Mimo to łód wkradający się do mojego serca stopniał na tyle, że posłałam przyjaciółce uśmiech.

– Mów mi Maia.

Odpowiedziała spiętym uśmiechem.

– Pospiesz się, Maiu. Nie chcę, żeby mnie z tobą przyłapali. – Wspięła się na okno. – Tędy, przetniemy ogrody. Na bogów, mam nadzieję, że strażnicy jedzą obiad.



Nie jedli. Co więcej, niestety Ammi miała rację – w lochu roilo się od straży. Nie miałabym szans dotrzeć do Lady Sarnai, nie bez pomocy.

Bambusowy płot otaczał więzienie – kwadratową budowlę z dużych kamieni różnej wielkości. Żadnych okien i drzwi oprócz wejścia. Przypominała raczej kryptę niż loch.

Zresztą większość więźniów nie miała długo siedzieć w środku.

Kiedy schowałam się za krzakiem, namierzyłam strażnika z kluczami na biodrze i sięgnęłam do amuletu. Przejechałam kciukiem po orzechu, który mieścił suknię słońca.

No, to już.

– Zawiąż oczy szarfą – szepnęłam do Ammi. – I zaciśnij powieki najmocniej, jak potrafisz. Nie otwieraj, bez względu na to, co usłyszysz. Nie, dopóki nie zniknie światło. Potem biegnij do kuchni. – Zanim zdążyła zadać pytania, wystrzeliłam z kryjówki i policzyłam do trzech. – Teraz!

Otworzyłam amulet i wypuściłam moc sukni słońca, celując w strażników. Światło ich oślepiło. Zachwiali się i jeden po drugim opuścili broń, próbując osłonić oczy, a potem padli pod płotem.

Nie miałam czasu do stracenia. Minęłam ich i ukucnęłam obok strażnika z kluczami. Obciąłam mu pasek nożyczkami.

Dopiero kiedy znalazłam się w lochu, złapałam śmiech słońca z powrotem do amuletu, jednak nie wypuszczałam wisiorka z dłoni, na wypadek gdybym spotkała więcej strażników.

Zeszłam po schodach, lustrując więzienie w poszukiwaniu Lady Sarnai. Większość cel była pusta. W kilku siedzieli służący złapani za kradzież albo żołnierze, którzy za dużo wypili. Nawet na nich nie spojrzałam. Według Ammi najważniejsi więźniowie przebywali na niższym poziomie.

Gdy dotarłam piętro niżej, poznałam ciężki oddech Lady Sarnai. Pomknęłam w jej kierunku, ściskając żelazne klucze w spoconej dłoni, i otworzyłam drzwi.

Z szoku niemal krzyknęłam.

W nocy stan Lady Sarnai się pogorszył. Jej jasna skóra zbladła i przybrała nienaturalny odcień błękitnej szarości. Jeszcze bardziej martwiły czarno-fioletowe plamy kwitnące pod jej szatami. Płonęły na jej piersi, niebezpiecznie blisko serca.

Jun i Zaini miały rację – nie zostało jej wiele czasu, nie, jeśli krew gwiazd wciąż będzie ją pochłaniać.

Ktoś jęknął w celi naprzeciwko. Lord Xina. Miał za mało miejsca, więc skulił się w kącie, a ze skroni na ziemię spływała mu strużka krwi.

– Odsuń się od niej! – wychrypiał. Łańcuchy zabrzęczały, gdy z trudem próbował wstać. – Odsuń się!

Musiałam się pospieszyć, zanim strażnicy go usłyszą. Opanowałam się i podeszłam do Lady Sarnai, a potem sięgnęłam do sakwy po lekarstwo Edana.

Zębami odkorkowałam buteleczkę i wlałam połowę płynu do gardła księżniczki. Zasłoniłam jej usta, żeby nic się wylało. Gdy jej dotknęłam, stęknęła. Wzdrygnęłam się – nawet sobie nie wyobrażałam, jak bardzo cierpi.

Wreszcie przełknęła i powoli jej oddech się wyrównał. Czekałam niecierpliwie, modląc się, by krew gwiazd przestała rozprzestrzeniać się po jej ciele. By księżniczka wreszcie się poruszyła i obudziła.

Ale lekarstwo Edana nie zadziało.

Spanikowałam. Co teraz?

Zrozpaczona spróbowałam postawić ją na nogi, ale nie mogłam ruszyć. Miałam dwie możliwości: poddać się i uciekać albo ryzykować, że złapią mnie strażnicy.

Myśl, Maiu, myśl.

Z przyzwyczajenia sięgnęłam po nożyczki, zanim moje palce zadrżały z objawieniem. Amulet wciąż pulsował mi na piersi, a gdy go dotknęłam, poczułam w opuszkach delikatne mrowienie kojącego ciepła.

Srebrna nić, tak wątła, że na początku byłam pewna, iż ją sobie wyobraziłam, rozwinęła się z wisiora przez moje palce i załśniła na twarzy Lady Sarnai. Jak łyzy.

Czy łyzy księżycy mogą jej pomóc?

W legendzie bogini księżycy była uzdrowicielką, odpowiedniczką swojego płomiennego męża, słońca. Stwierdziłam, że warto spróbować.

Wysnułam suknię księżycy z amuletu. Nawet w rzadkim powietrzu w lochu uniosła się jak latawiec na wietrze, zanim delikatnie opadła na ciało Lady Sarnai.

Uklęłam przy niej i patrzyłam, jak srebrna satyna marszczy się wokół jej rąk i nóg. Powoli, powolutku, delikatna biała poświata spowiła jej ciało, kojąc wściekłe plamy krwi gwiazd, aż ślady, ciemne i błyszczące, odpłynęły od serca. Wtedy powieki Lady Sarnai zatrzepotały, a jej popielato-niebieska cera nabrała koloru i rozkwitła nikłą obietnicą życia.

Gdy światło księżycy ją budziło, zerknęłam na kajdany, które przykuwały ją do ściany, i z wahaniem wyciągnęłam nożyczki. Czy przetrną metal?

Ich srebrne ostrza błysnęły na tle łańcuchów. Przytknęłam je do żelaznych ogniów, a one zaszumiały. Zachęcały, żebym spróbowała.

Wsunęłam palce w uchwyty i puściłam nożyczki w ruch. Cięcie metalu wymagało więcej siły niż cięcie tkaniny – tak dużo, że musiałam używać obu rąk, by zaciskać ostrza na ogniwach.

Wreszcie jarzmo z nadgarstka z cichym brzękiem spadło na ziemię.

– Dzięki bogom – szepnęłam. Przyspieszyłam i przeszłam do drugiego nadgarstka księżniczki, a potem do kostek, aż w końcu ją uwolniłam.

Usłyszałam dudnienie kroków nad głową. Strażnicy też się budzili.

Potrząsnęłam Lady Sarnai, aż się poruszyła. Poderwała się w gorączkowej panice, odrzucając na bok suknię księżycy i skacząc do buteleczki przy moim boku. Myślała, że chcę ją otruć.

– Ćśś – próbowałam ją uspokoić. – Przyszłam, żeby...

Capnęła moje nożyczki i przycisnęła mi ostrza do szyi. Metal gwałtownie zaśpiewał mi w uszach.

Chciała poderżnąć mi gardło, ale ręka jej zadrżała, a na twarzy odmalowało się oszołomienie, gdy zobaczyła, co się z nią stało. Zniknęły płomienne niebieskie plamy – ślady sukni gwiazd. Jednak w ich miejsce pojawiły się srebrnobiałe blizny, jak pociągnięcia pędzlem na twarzy i ciele. Łzy księżycy.

Nożyczki drgały w jej dłoni, więc delikatnie je zabrałam.

– Dlaczego? – wyszeptała.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że pyta, dlaczego ryzykowałam życie, by jej pomóc. Ja też siebie o to pytałam. Nie lubiłam jej. Ona bez wątpienia nie lubiła mnie.

Założyłam nożyczki na pas. Zaszło mi w ustach, język miałam jak z ołowiu. Nie wiedziałam, co jej powiedzieć.

Zanim Edan wyjechał, nazwał mnie nadzieją A'landi. Ale się mylił. Nie mogłam być nadzieją A'landi, nie kiedy zmieniałam się w demona. Lecz Lady Sarnai, córka szansena i narzeczona cesarza,

mogła zjednoczyć północ i południe. Była księżniczką i wojowniczką. Na to drugie miano zapracowała sobie sama.

– Bo jesteś nadzieją A’landi – odparłam łagodnie.

Oblizwała usta, wciąż suche i popękane.

– Khanujin cię za to ukarze.

– Nie boję się.

Uniosła brew, jakby mi nie wierzyła. Jednak nic więcej nie powiedziała.

– Musimy uciekać – ponagliłam ją. – Strażnicy się budzą.

– Ilu ich jest?

Córka szansena – zawsze praktyczna.

– Co najmniej trzech w lochu. Czterech przy wejściu. Więcej na zewnątrz.

Nawet się nie przejęła. Jej siła wracała.

Bez słowa podziękowania wstała i wymknęła się z celi. Po chwili usłyszałam krzyk strażnika:

– Ty...

Kości trzasnęły, a miecze szczęknięły o żelazne drzwi i kamienne ściany. Ciała upadły.

Wzdrygnęłam się, żałując, że nie poprosiłam, by zostawiła ich przy życiu.

Kiedy zagrożenie w postaci strażników zostało wyeliminowane, Lady Sarnai wróciła. Byłam krok przed nią – już otworzyłam drzwi do celi Lorda Xiny.

Przewiesiła sobie jego rękę przez ramię i pomogła mu wstać. Ciało Lorda Xiny było krwawą koronką rozcięć i siniaków, ropa ciekła mu z ran, ale kiedy ujrzał Lady Sarnai, w jego czarnych jak węgiel oczach rozbłysło życie. Odkasznął.

Jej twarz złagodniała – tylko tak dała po sobie poznać, że odczuła ulgę.

– Możesz iść, Xino?

Był wynędzniały, jego szeroka twarz wychudła. Mimo to zacisnął zęby, podniósł się i skinął głową.

Jego spuchnięte usta krwawiły, brakowało mu wielu zębów. Nie mógł mówić, ale widziałam, że moja obecność go drażni, natomiast nie wydawał się ani odrobinę przejęty zmienionym wyglądem Lady Sarnai. W tej ulotnej chwili zdobył mój szacunek.

– Więc się pospieszmy – rzuciła zwięźle Sarnai. – Musimy dotrzeć do rzeki przed zmrokiem.

– Do rzeki? – powtórzyłam. Rzeka Leyang biegła na południe od Jesiennego Pałacu. – Nie powinnaś zmierzać na północ, w stronę swojego ojca?

– Mojego ojca? – Obróciła się twarzą do mnie.

– Nie zamierzasz z nim walczyć? Z nim i jego demonem?

Zmrużyła ciemne oczy, a ja poczułam się głupia i naiwna.

– A co im zrobię? Ach tak, myślisz, że jestem nadzieją A'landi. – Zaśmiała się oschle. – Wciąż wykrwawiam się za ten kraj. Nie obchodzi mnie ratowanie go. Już nie.

– Ale...

– Mój ojciec nie spocznie, dopóki nie zdobędzie tronu – zdenerwowała się. – On i jego demon rozerwą ten kraj na strzępy, jeśli będzie trzeba. Odchodzę, zanim to nastąpi. – Uniosła miecz, który odebrała jednemu ze strażników. – A jeśli masz odrobinę rozumu, zrobisz to samo.

Po raz pierwszy zauważyłam, że w przeciwieństwie do większości kobiet nosiła krótko obcięte paznokcie, kłykcie miała szorstkie, a na jej palcach widniały zgrubienia gorsze nawet niż moje. Dłonie łuczniczeki.

Wojowniczeki.

– Nie ma nadziei dla A'landi – dodała. – Uznaj tę radę za spłatę długu. I obyśmy nigdy więcej się nie spotkały.

Po tych słowach odeszli, zostawiając mnie z ciężkim sercem.

Jeśli Lady Sarnai nie ocali A'landi, wojna między cesarzem a szansenem będzie nieunikniona. Zginą tysiące ludzi – odważni młodzi żołnierze jak moi bracia Finlei i Sendo, a także niezliczeni

cywile. Choć tyle poświęciłam jego naprawie, mój kraj na zawsze pozostanie rozdarty.

– Tchórz! – krzyknęłam za nią, choć wiedziałam, że nie usłyszy.

Zacisnęłam pięści, nienawidząc się za to, że w nią uwierzyłam i że liczyłam, iż zrobi coś, czego ja nie zdołam – przyniesie pokój A'landi.

Myliłam się.



Na swojej drodze spotkałam jedynie martwych strażników – szlak ciał, który zostawili za sobą Lord Xina i Lady Sarnai.

Gdy wyszłam na zewnątrz, przetrząsnęłam bezdenną sakwę w poszukiwaniu dywanu. Wyciągnęłam go i zaczęłam rozwijać, kiedy...

– Stać!

Obróciłam się, rozpościerając dywan, i w tym samym momencie oberwałam włócznią w potylicę.

Kolana się pode mną ugięły.

Kolejne uderzenie. Tym razem mocniejsze.

Dywan wysliznął mi się z rąk. Padłam na ziemię, a świat zalała ciemność.

Rozdział dziesiąty

Trzy dni po fatalnym bankiecie weselnym szansen wrócił z tysiącem żołnierzy. Wzgórza drżały pod ich stopami, a niebo szarzało od dymu z ich dział. Świadome, że wojna znów wykrwawi ziemię, niebiosy zapłakały.

Deszcz lał się z nieba, najpierw igłami, później płachtami. Burza grzmiała tak, że pochłaniała odgłosy walki.

Przycisnęłam ucho do zabitego deskami okna.

Nic.

Cały dzień czekałam na strażników. Każdego ranka, odkąd zostałam złapana, dwóch najsilniejszych strażników Jego Wysokości ciągnęło mnie do Sali Posłusznego Cerowania. Zmuszali mnie, bym jadła śniadanie na oczach trzydziestu szwaczek, którym burczało w brzuchach, a ich suchym gardłom odmawiano wody i herbaty. Nie pozwalano im jeść ani pić, dopóki nie skończą pracy.

Potem było gorzej. Po moim śniadaniu szwaczki bito.

Dziewczyny kuliły się za swoimi stołami. Niektóre łkały:

– Proszę, mistrzyni Tamarin, pomóż mi.

Ich błagania rozdzierały mi serce, jednak pilnowałam, by zachować kamienną twarz. Pierwszego dnia próbowałam powstrzymać strażników, ale w odpowiedzi połamali palce jednej ze szwaczek. Teraz wiedziałam, że jedno moje słowo tylko pogorszy sytuację. Nie mogłam im pomóc.

Khanujin karał je, żeby mnie zranić. Każda dziewczyna przypominała mi mnie – utalentowana szwaczka, która przyjechała tu, aby zapewnić dobrobyt bliskim: rodzicom, dzieciom, mieszkańcom wioski. Gdybym pozostała nadworną krawcową, te kobiety pracowałyby pod moim nadzorem. Poznałabym je jako siostry, matki, babcie.

Ale to przypadek.

Co pięć batów jeden ze strażników warczał:

– Dokąd poszli Lord Xina i Lady Sarnai?

Mogłam tylko odpowiadać prawdę:

– Nie wiem.

Więc kontynuowali. Dziesięć batów dziennie dla każdej szwaczki. Zmuszałam się, by stawiać czoła kłującej urazie w ich oczach, niesprawiedliwości, że karano je za moje nieposłuszeństwo.

Gdyby nie klątwa Bandura, pękłoby mi serce. Przerazało mnie, jak zimna się stałam.

Ani razu nikt nie podniósł na mnie ręki. Ani razu, dopóki nie zjawił się sam Khanujin.

Gdyby nie monarsze szaty i złota korona, nie rozpoznałabym go jako mojego cesarza. Skurczył się tak, że ubrania go pochłaniały. Jego płaszcz się marszczył, fałdami zasłaniając smoki haftowane na tkaninie, a tren żakietu ciągnął się za nim jak kałuża. Rękawy muskały posadzkę, były o tyle za długie, że musiał unosić ręce, aby nikt nie zauważył.

Ale ja zauważyłam.

Z postury zeszczipiał do rozmiarów dziecka, z twarzy postarzał się dwukrotnie. Jego włosy, niegdyś bujne i błyszczące, stały się cienkie jak papier, a usta opadły, wykrzywione okrucieństwem.

– Powinienem być cię zabić za to, co zrobiłaś. – Jego słowa były ciche, ale nasączone jadem.

Nie pokłoniłam mu się. W tamtej chwili postanowiłam tego nie robić. Co z tego, że uwolniłam Lady Sarnai i jej kochanka? Gdyby nie ja, cesarz by nie żył.

Spojrzałam w jego lodowate oczy.

– To zabij. Skończ z tym.

Poczerwieniał z wściekłości i mnie spoliczkował.

Głowa mi odskoczyła, bardziej z szoku niż od siły uderzenia. Szybko zebrałam się w sobie i znów na niego spojrzałam.

To go zdenerwowało. Widziałam, że chce uderzyć ponownie.

– Boisz się – prowokowałam. – Twoi ministrowie zauważyli, że się zmieniłeś, a twoi wrogowie na dworze, którzy kiedyś się ciebie bali, teraz spiskują przeciwko tobie. Wiesz, że możesz stracić tron. Nawet gdyby szansen nie był zagrożeniem, ktoś stąd może cię obalić. Zdradzić.

– Jeszcze jedno słowo, a obetnę ci język.

– Nie obetniesz – kpiłam. – Potrzebujesz mnie. Nie możesz rządzić A'landi, kiedy wyglądasz...

– Tak? – warknął Khanujin, wskazując swoją twarz i robiąc groteskową minę. – Szansen prowadzi armię do moich bram. Toczmy wojnę i będę rządził bez względu na to, jak wyglądam.

Z jego głosu wyzierała desperacja. Mimo brawury wiedział, że A'landi za nim nie podąży. Nie kiedy wyglądał bardziej jak bezwzględne dziecko niż łaskawy władca, którego czcili w wyniku podstępu. Prawie było mi go żal. Może jakaś część Khanujina troszczyła się o nasz kraj.

– Nie wygrasz z nim. Nie bez mojej pomocy. Mogę przywrócić czar Edana. Mogę uczynić cię tym, kim kiedyś byłeś. – Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, zamilkłam. Skąd się wzięły? Nie wiedziałam, jak przywrócić czar. Ale nie mogłam przestać. Mówiłam jak opętana.

Wiesz, Sentur'na. Pomożemy ci.

Zacisnęłam szczękę, odpychając głos. Ten wysiłek kosztował mnie utratę spokoju. Moje oczy zapłonęły, ich szkarłatny blask przyćmił mi widzenie. Khanujin wziął płytki wdech – mój wygląd wytrącił go z równowagi.

– Czym jesteś?

– Suknie dają mi moc. Tylko mnie.

Nie zamierzałam powiedzieć nic więcej.

– Nie jesteś czarodziejką. – Gapił się na mnie. – Jesteś... jesteś...

Demonem? Uniosłam amulet, lekko ściskając orzech tak, by zabłyśł mocą słońca, księżyca i gwiazd.

Czy to był amulet demona? Nie mogłam się zmusić, by w to uwierzyć. Jego moc zdawała się ciążyć mi coraz bardziej z każdym dniem. Nie walczyłam z ciemnością w sobie, ale też jej nie przyjął. Jeszcze.

– Władam mocą Amany – rzekłam, choć słowa przylgnęły mi do gardła, tylko w połowie prawdziwe. – Jest potężniejsza od Edana. Jak inaczej twoim zdaniem pokonałam szansena?

– To z twojej winy wesele legło w gruzach – warknął, ale więcej mi nie groził. Po tym, jak patrzył na mój amulet, wiedziałam, że go skusiłam.

Wierzył mi.

– Zaprzestań poszukiwań Lorda Czarodzieja – przerwałam ciszę. – Jego przysięga została złamana, a on nie ma mocy. W zamian za to ja ci pomogę.

Łypnął na mnie tak ostro, że każdy z jego ministrów padłby na kolana, trzęsąc się ze strachu.

W końcu oznajmił:

– Jeśli ci się powiedzie, może okażę łaskę twojej rodzinie. Ale nie Lordowi Czarodziejowi.

– Potrzebuję sakwy, którą zabrali mi twoi ludzie – parłam dalej. – Jej zawartość pomoże mi rzucić zaklęcie. I tyle tkaniny, żeby starczyło na nowe szaty.

– Zaczarujesz mi pelerynę – zdecydował. – Ma być gotowa o świcie. Inaczej każę zabić jedną szwaczkę za każdą godzinę opóźnienia.

Wyszedł i zatrzasnął drzwi. Kilka minut później do komnaty wparował strażnik i rzucił mi sakwę.

Gdy zajrzałam do środka, znalazłam nożyczki i szkicownik. Ogarnęła mnie panika, ale kiedy wywróciłam miękką skórę na drugą stronę, na posadzkę wypadły sztylet, dywan, lustro i flet.

Przycisnęłam sakwę do piersi i westchnęłam z ulgą.

Ledwie zdążyłam schować wszystko z powrotem, kiedy przybyła jedna ze starszych szwaczek. Garbiła się, jakby niedawno dostała baty, i na mnie nie patrzyła.

Niosła nici i materiał, z których miałam uszyć strój dla cesarza.

Chciałam ją przeprosić, lecz słowa nie przechodziły mi przez usta.

Pracowałam całe popołudnie, pozłacając kaptur peleryny, a potem haftując smoka na plecach.

Ale jak przywrócić cesarzowi dawną świetność? Nie miałam żadnej więcej magii z podróży – łez księżycy ani śmiechu słońca – które mogłabym wszyć w pelerynę.

Nawet moje nożyczki nie czarowały dla Khanujina.

– Amano, pomóż mi – modliłam się w kółko.

Nie zważała na moje prośby. Moje zadanie uszycia cesarzowi zaczarowanej peleryny nie było godne uwagi bogini matki. Amulet spoczywał spokojnie na mojej szyi, suknie milczały.

Nawet nożyczki nie szumiały. Co miałam robić?

Wiesz dobrze, jaka magia da ci moc, której potrzebujesz, by uświetnić Khanujina.

Poderwałam głowę. Sięgnęłam po sztylet z meteorytu i wymierzyłam w cienie skradające się po podłodze. Spodziewałam się zobaczyć Bandura, usłyszeć jego śmiech odbijający się echem od ścian.

Ale nie było tam nikogo. Nikogo oprócz demona we mnie.

Zacisnęłam palce na rękojeści.

– Jinn – szepnęłam. Żyłki meteorytu na ostrzu zaśniły. Tak jak poprzednio, dotyk kamiennej krawędzi mnie zakłuł. Lecz tym razem ostrze było ciepłe, a nie chłodne. Tym razem moje opuszki zadrżały z bólu, jakby ukąsiły je małe kolce.

Przyglądałam się obosiecznej broni, gładząc żelazną część, a potem dotknęłam meteorytu i rozprostowałam palce.

Edan ostrzegał, bym nie używała amuletu. „Zniszczy cię i prędeż się zmienisz”.

Jednak jeśli go nie użyję, szansen zwycięży. A’landi upadnie.

Gdyby Lady Sarnai została, byłoby inaczej. Ale zostałam tylko ja. Musiałam zawalczyć z szansenem sama.

– Muszę chronić A’landi – powiedziałam do siebie.

Wisioerek zatańczył na mojej piersi. Jego światło zakłębiło się i zawrzało, jakby dzieci Amany w środku – słońce, księżyc i gwiazdy – wyczuły, że chcę przywołać demona.

Zdjęłam amulet i położyłam go na ziemi. Moim ciałem targnął gwałtowny dreszcz, puls mi przyspieszył, jakby moc Amany mnie opuściła. Zacisnęłam dłoń na ostrej krawędzi i szepnęłam:

– Edanie, wybacz mi.

Gorąca fala bólu odebrała mi oddech. Powoli rozwarłam rękę, patrząc na cienką kreskę biegnącą po dłoni. Krew była jasna na mojej skórze, lecz kiedy wyciekła z rany i osiadła, przybrała kolor atramentu.

Krew demona.

Wstrząśnięta przypadkiem znów złapałam ostrze. Tym razem zabołało mocniej – musiałam przygryźć wargę, aby nie krzyknąć.

Z wściekłości cisnęłam sztylet na podłogę. Z mojej rany sączyła się czarna, mroczna krew.

Właśnie tak, kusił mnie mój demon. Nie walcz z tym. Wykorzystaj ją.

Uniosłam pięść nad pelerynę cesarza i ścisnęłam. Kilka kropli wystarczyło, by jedwab spowiła czerń nocy. Moja demoniczna krew wlała się w tkaninę, nasycając jej włókna zakaznym zaklęciem, które miało uratować A'landi.

Cofnęłam rękę i owinęłam ranę strzępkiem materiału.

Miałam nadzieję, że nie posunęłam się za daleko.

– Nadal jestem sobą. Nadal jestem Maią – mamrotałam w kółko.

Jeszcze nie skończyłaś, nęcił mnie demon. Zapieczętuj ciemność w pelerynie.

Drżącymi palcami przytknęłam amulet do peleryny. Światło z orzecha, wciąż buzujące, odbiło się rykoszetem od kamiennych ścian, a ja skupiałam je na plamie krwi już wsiąkającej w materiał.

Mroczne cienie otuliły orzechy i fiolkę, malując cały amulet na czarno. Ciemność zawisała na sekundę, a potem zniknęła i wisioerek wrócił do poprzedniego stanu.

*Sentur'na, Sentur'na, nasza strażniczka, wyszeptaly zwycięsko
głosy Lapzuru w moim sercu.*

Wracasz do domu.

Nareszcie.

Rozdział jedenasty

O zmroku ziemia już nie drżała. Niebiosa przestały płakać i bóg nieba pomalował swoje płótno niebieskawym fioletem kwitnącego irysa. Jednak pod pociągnięciami zmierzchu gęstniał ostry zapach ognia dział, a powietrze przecinał szczęk mieczy.

Po zachodzie słońca armia szansena przedarła się przez mury miasta i rozpoczęła marsz na wzgórze. Do rana wojna miała sięgnąć bram pałacu.

To w tej upiornej przerwie, tuż przed świtem, cesarz wezwał mnie na radę wojenną. Chciał peleryny.

Miałam przeczucie, że mogę nie wrócić do swojej komnaty, więc zabrałam ze sobą sakwę. Ledwie weszłam do sali audiencyjnej, a jeden z ministrów już wyrwał mi pelerynę i wręczył cesarzowi.

Khanujin podniósł materiał. Rąbek spłynął na stopnie przed tronem. Pomarańczowo-żółty jedwab zalśnił w młodym słońcu, a śmiały haft smoka podkreślił czarny brokat, który przyszyłam do tkaniny – zabarwiony moją demoniczną magią.

– Jest skończona? – zapytał. W jego głosie pobrzmiała nuta ostrożności.

– Tak.

Stęknął z zadowoleniem, wstał i zarzucił pelerynę. Niemal natychmiast odzyskał wigor, urósł w barkach i się wyprostował, aż stanął wysoki i majestatyczny, z czarnymi włosami lśniącymi pod kapturem.

Cudowna przemiana. Ministrowie sapnęli i padli na kolana. Na usta Khanujina wstąpił uśmiech. Ten sam uśmiech, który niegdyś mnie oczarował – który kazał mi czcić go jako najwspanialszego władcę wszystkich królestw – teraz sprawiał, że go nienawidzę.

– Jesteśmy gotowi do walki – oznajmił cesarz, unosząc miecz. – Pokonajmy szansena.

Ministrowie nadskakiwali mu, chwaląc Amanę. Nawet minister wojny, który przed chwilą był zmęczony i zdenerwowany, praktycznie ogłosił zwycięstwo.

– Mistrzyni Tamarin, pójdiesz z nami.

Poderwałam się tak gwałtownie, że aż zadzwoniło mi w uszach. Na zewnątrz mignęła błyskawica i deszcz znów lunął, bębniąc o dach.

– Nasza armia jest na pozycji. Ruszamy teraz.

Nie protestowałam, kiedy narzucili mi zbroję przeznaczoną dla kogoś dwa razy większego ode mnie i posadzili mnie na konia.

Khanujin również nosił zbroję pod moją peleryną. Żołnierze i służący wiwatowali, gdy ich mijał, mimo że bramy grzmiały pod naporem ludzi szansena.

– Synu Niebios, przynieś nam zwycięstwo! – krzyczeli. Deszcz smagał ich po głowach i spływał im po policzkach. – Kaganie Królów, zniszcz zdrajcę!

Czerwone sztandary trzepotały na wietrze, haftowane smoki fruwały między żołnierzami. Mój koń galopował za resztą tak szybko, że ledwie zauważyłam, iż zmierzamy w stronę bitwy.

Kiedy usłyszałam pierwsze wystrzały z dział, błędnie uznałam je za burzę. Jednak burza nie ciska kamieni i dachówek w powietrze niczym fajerwerków ani nie sprawia, że drzewa wybuchają w lśniących pióropuszech czarno-złotego dymu. Każdy kolejny wybuch przyprawiał mnie o szybsze bicie serca.

Mój demoniczny wzrok wrócił. Oczy mnie zapiekły i poszybowały nad Jesienny Pałac, a potem do doliny u stóp wzgórza. Drewniana płyta – szyld dawnej apteki – stukotała o zdewastowaną witrynę. Całe miasto zostało zniszczone. Popiół leciał z nieba, a ciała – głównie cywili o czołach wciąż zmarszczonych ze strachu – wyścielały drogi.

Głowa mnie rozboleła. A więc to była wojna. Dlatego Keton budził się w środku nocy z krzykiem i płaczem, kiedy wrócił do domu. Ból

w moim sercu, który ucichł, odkąd Bandur się o mnie upomniął, na moment rozbłysł, a wraz z nim dawna Maia.

Iskra nienawiści zapłonęła w moim sercu.

Przed murami pałacu powiewał sztandar szansena. Futro śnieżnobiałego tygrysa lśniło na tle nefrytowo zielonego jedwabiu. Z drżeniem pomyślałam, jak gubernator zmienił się w wieczór bankietu. Jak jego amulet ćmił, a dym kłębił się w kształt tygrysa, zanim go pochłonał.

Nie, nie tygrysa. Tygrysicy.

Gyiu'rak.

Strzały wystrzeliły z murów obronnych i śmignęły nade mną zgrabnym łukiem, tak wysoko, że zamieniły się w kropki, a stado ptaków zerwało się wraz z nadejściem armii szansena.

Gubernator i jego ludzie unieśli tarcze i ruszyli do ataku pod gradem strzał. Żołnierze padali po obu stronach, leciały kolejne strzały. Wtedy bramy otworzyły się z hukiem i cesarz wraz z armią wypadli na zewnątrz.

Legion cesarza rzucił się na wroga, konie w galopie zgrzytały zębami, zostawiając mnie w tyle. Zapomniana trzymałam się cienia bram. Patrzyłam, jak szansen i jego synowie ścinają każdego, kto ośmielił się stanąć im na drodze, jak Khanujin emanuje blaskiem zaklęcia z peleryny, nawołując ludzi, by walczyli i za niego ginęli.

Ale to nie cesarz czy szansen przykuli moją uwagę, lecz kobieta w szeregach szansena – kobieta, której nigdy nie widziałam, dosiadająca białego rumaka.

Na jej ustach błdził uśmiech, gdy spokojnie zmierzała w stronę bitwy. Nawet na koniu wydawała się nienaturalnie wysoka, muskularne kończyny miała obnażone, za jej plecami powiewała peleryna. Długie białe włosy z czarnymi pasmami przy skroniach falowały jak perłowa zbroja, którą nosiła na piersi i nadgarstkach. Podobnie jak cesarz Khanujin była piękna i dziwna, tak hipnotyzująca, że niektórzy żołnierze zatrzymywali się, by chłonąć ją wzrokiem. Żółć podeszła mi do gardła, kiedy dostrzegłam lśniące

pazury na lejcach, ostre zęby wyszczerzone w uśmiechu – w miarę zbliżania się bardziej dzikim niż spokojnym – i jej oczy.

Z obwódką płynnego złota bursztynu i miodu, a w środku czerwone jak krew.

Oczy demona.

– Gyiurak – wyszeptałam. To była jej ludzka postać.

Z nadprzyrodzoną prędkością zabiła trzech żołnierzy cesarza. Ciała padły na ziemię, ona zaś pomknęła wśród włóczy i mieczy, zbyt szybka, by dosięgnął jej jakikolwiek człowiek, z pazurami tak ostrymi, że mogła ciąć ciało i kość.

Widziałam, co Gyiurak zrobiła z żołnierzami Khanujina ostatnim razem. Czy jako tygrysica, czy jako kobieta – żeby zabić, wystarczył jeden dotyk.

Khanujin nie miał szans wygrać bitwy.

Spięłam konia. Na moją komendę pogalopował w stronę cesarza.

– Nie wygrasz! – krzyknęłam. – Musimy się wycofać!

Odepchnął mnie machnięciem ręki, a dwóch strażników otoczyło mnie, żebym nie mogła pojechać za nim.

Wystrzały z dział tłumiły moje krzyki, ale usłyszałam przeszywający ryk Gyiurak i szast jej pazurów na wietrze, gdy pognęła w kierunku cesarza.

Siła zabuzowała we mnie z gwałtownym potencjałem. *Możesz go uratować.*

Miałam tylko sekundę, żeby zdecydować. Już złamałam obietnicę daną Edanowi, więc czemu by nie posłuchać głosu? Czemu by się nie poddać?

Jeśli nic nie zrobisz, cesarz zginie.

Zanurkowałam między strażnikami i pociągnęłam za tarczę władcy, zrzucając go z konia.

Zamiast w Khanujina, demon uderzył we mnie, tak mocno, że spadłam z siodła i poleciałam na plecy.

Mój koń padł martwy. Gyiurak wyszarpała pazury z jego boku i podskoczyła na równe nogi, gotowa ponownie rzucić się na

cesarza.

– Uciekaj! – wrzasnęłam do Khanujina.

Zanim zdążyła dać susa, złapałam za rąbek jej peleryny i szarpnęłam do tyłu. Obróciła się, atakując mnie tygrysimi pazurami.

Szkoliłam się na krawcową, nie na wojowniczkę. Choć tańczyłam, unikając jej ciosów, poczułam, jak pazury wpijają mi się w ciało.

Gdybym była człowiekiem, jej dotyk by mnie zabił. Jednak na nodze nie została rana. Nie został nawet ślad.

Jej szkarłatne źrenice się zwężyły.

– Niemożliwe.

Zapomniała o cesarzu i skupiła się na mnie, ignorując bitwę szalejącą wokół nas. Poruszała się powoli i leniwie, chcąc, bym poczuła się jak ofiara.

Obie wiedziałyśmy, że nie ucieknę. Była szybsza ode mnie i o wiele silniejsza.

Sięgnęłam po sztylet ukryty z tyłu pasa.

Gyiu'rak złapała mnie za rękę.

– Ty – wychrypiała, rozpoznając broń, której użyłam przeciw szansenowi w Jesiennym Pałacu. Spojrzała na mnie i spochmurniała, gdy zrozumiała prawdę. – Nie pasujesz tu – syknęła. – Siostro.

Przebiegł mnie dreszcz.

– Jinn – krzyknęłam i wyciągnęłam ostrze, a potem wbiłam świecący meteoryt w pierś demona. Gyiu'rak wrzasnęła, jej białe włosy rozwiały się wokół mnie, a ciało pokryło się pęcherzami i zapłonęło. Wepchnęłam sztylet głębiej, patrząc, jak czerwone oczy demona czernieją, aż w końcu rozplynęła się w chmurę dymu.

Chmura przybrała postać tygrysicy i poszybowała przez pole walki, szukając swojego domu – amulet szansena.

Nie przyglądałam się długo. Serce dudniło mi w piersi jak wojskowy bęben, ostrze sztyletu nadal śpiewało w mojej dłoni.

Wokół mnie królował bóg śmierci. Prawie wszyscy żołnierze cesarza zginęli. Jeśli czegoś nie zrobię, wszystko będzie stracone.

Przedarłam się przez pole bitwy aż do murów obronnych, gdzie łucznicy Khanujina gorączkowo strzelali do szansena i jego ludzi.

Jednak bez względu na to, ile strzał przeszło plecy szansena, on tylko rósł w siłę. Wkrótce miał dotrzeć do bram pałacu.

Pozwól nam pomóc, Sentur'na. Duchy Lapzuru wygrają dla ciebie tę walkę.

Kuszące. Tak bardzo kuszące. Wystarczyło słowo. Myśl.

Nie.

Przywołanie mojej demonicznej magii przyniosłoby straszne konsekwencje.

Chwyciłam swój amulet. Biło z niego nieprzyjemne ciepło, które uświadomiło mi, jak zimną mam skórę.

Wcześniej, kiedy pracowałam nad peleryną cesarza, amulet milczał. Amana nie przyszła mi na pomoc. Ale teraz drżał i delikatnie lśnił światłem słońca.

Wiedziałam, że śmiech słońca obezwładni armię szansena i zmusi go do odwrotu. Mogłam wygrać walkę dla Khanujina.

Ale czy śmiałam wezwać Amanę?

Moc sukni była ze mną, szczelnie zamknięta w moim wisiorku. Wcześniej się nie zawahałam. Teraz jednak pamiętałam, co się stało, gdy czarowałam pelerynę cesarza – jak ciemność rozlała się po amulecie, na moment malując go czernią demona.

Suknie były jedyną tarczą przeciwko mojemu demonowi. Jeśli wezwę magię Amany, jeśli poświęcę suknię słońca, by ocalić cesarza, zaryzykuję, że osłabię własną obronę.

Alternatywa jest o wiele gorsza, uświadomiłam sobie ponuro. Ufałam Amanie bardziej niż jakimkolwiek demonowi, nawet własnemu.

Złapałam wisiorek i uwolniłam suknię słońca. Wysypała się jak błyszczący piasek, jej szeroka spódnica zawirowała wokół moich nóg, gorset otulił moją talię. Mój krawiecki strój zniknął pod

wspaniałą mocą sukni, a siła słońca wypełniła mnie i zagłuszyła szepty z Lapzuru.

Strzały śmignęły w moją stronę, ale suknia słońca połknęła je wszystkie. Płomienie buchnęły ze ściągów i ziały za każdym razem, gdy ktoś odważył się podejść zbyt blisko.

Żar mnie parzył, a jednocześnie nasycił niesamowitą siłą. Ta moc była nieodparta. Ale czy pochodziła z sukni słońca, czy z demonicznej krwi płynącej w moich żyłach? A może, co gorsza, z obu?

Wkrótce miałam poznać odpowiedź.

Cienie zebrały się u rąbka spódnicy, powoli przenikając w fałdy sukni. Śmiech słońca walczył z nimi, płonąc jaśniej niż wcześniej, ale mój demon był silny. Wiedział, jak żerować na moim strachu.

Suknia słońca nie wystarczy, wyszeptał ochryple. Co zrobi, oślepi armię szansena? Potrzebujesz więcej, żeby ocalić cesarza przed Gyiurak, a Amana nie wysłucha twoich próśb. Jestem tu. Duchy z Lapzuru są na twoje rozkazy. Na moc słońca, księżyca i gwiazd, będą nam posłuszne. Zdzięsiątkują armię szansena. Pokonają jego demona.

Miał rację, potrzebowałam go. Ale za jaką cenę wygra dla mnie tę walkę?

W głębi serca wiedziałam. Przed oczami stanęła mi zmartwiona twarz Edana. Baby i Ketona.

Tą ceną byłam ja – Maia.

Opuściłam ręce. Nie. Nie splamię mocy Amany.

Spróbowałam zedrzeć z siebie suknię, ale nie chciała zejść. Sięgnęłam po nożyczki.

Cięłam i cięłam, ignorując ból wzbierający we mnie, gdy kaleczyłam to cudowne dzieło, które tworzyłam tyle miesięcy.

Ale stworzyłam żywą siłę i kiedy wyszłam z sukni, jej zniszczone szwy zaczęły splatać się z powrotem.

Nie potrzebowałam pomocy Amany. Miałam śmiech słońca, łzy księżyca i krew gwiazd, trzy elementy magii tak stare jak sam świat.

Nie wiedziałam tylko, jak ich użyć – aż do teraz.

Po raz kolejny obudziłam sztylet. Zagryzłam wargę z bólu i jednym precyzyjnym ruchem wbiłam ostrze w ognisty gorset, po czym zjechałam aż do rąbka, aż przecięłam suknię na pół. Następnie wyrzuciłam suknię – pierwszą z dziedzictwa Amany – w niebo.

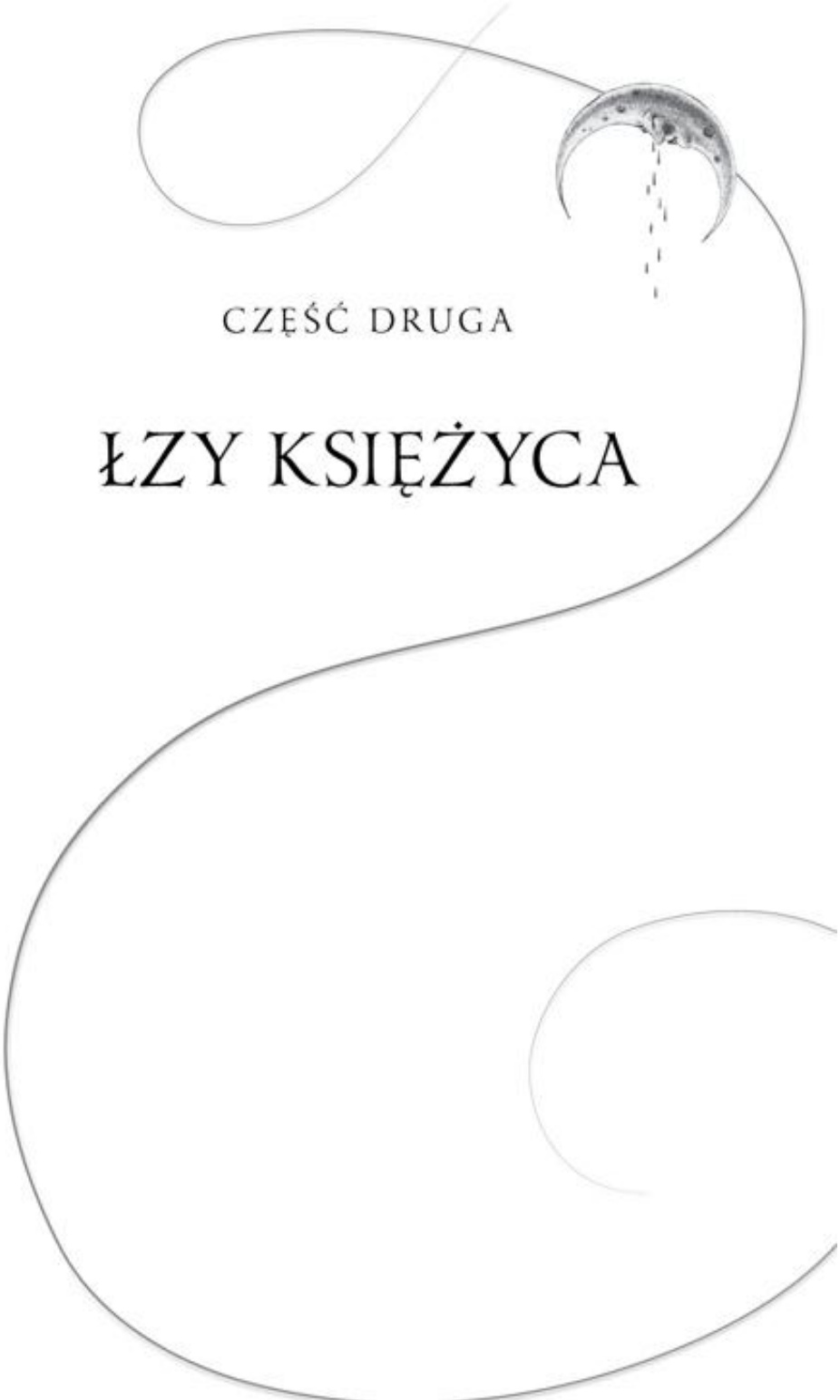
Niech śmiech słońca pomoże moim ludziom, modliłam się, patrząc, jak płonie coraz jaśniej. Niech moc Amany ocali ich i przyniesie nadzieję na kolejny dzień.

W jednej chwili suknia wybuchła w chmurach i przestała istnieć.

Ciemność ogarnęła Jesienny Pałac, uciszając strzały, miecze i włócznie. Broń spłonęła na popiół, a szansen ogłosił odwrót.

Wisioerek uderzył o moją pierś i przez moje ciało przetoczyła się fala bólu. Gdzieś z tyłu głowy albo w pustych komnatach duszy ujrzałam własne krwistoczerwone oczy błyskające na mnie wśród wściekłego dymu.

Krzyknęłam.



CZĘŚĆ DRUGA

ŁZY KSIĘŻYCA

Rozdział dwunasty

Mróż skleił mi rzęsy, drobinki lodu odprysnęły, kiedy spróbowałam otworzyć oczy.

Nie umarłam.

Serce zakołatało mi w piersi.

I nie jestem demonem.

Moje myśli należały do mnie. Nadal byłam Maią.

Usiadłam, z ulgą widząc własne ręce i potargane czarne włosy łaskoczące policzki.

A jednak czułam się inaczej. Rozsadzał mnie tępy ból – ślad agonii, która niemal zabiła mnie, gdy zniszczyłam suknię słońca. A moja głowa...

Sentur'na, wołały głosy.

Serce zakołatało mocniej, usiłując zwalczyć zew. Nie, nie jestem Sentur'na. Nie jestem demonem.

Sentur'na.

Stawały się coraz głośniejsze, łapczywie chapały pustkę wewnątrz mnie.

Moją talię otulał gruby pas bandaży – pachniał świeżo, lekko imbirowo. Gdy go odwijałam, musnęłam brzuch i się wzdrygnęłam.

Moją skórę pokrywały białe-złote siniaki, tak lśniące i perłowe, że wyglądałyby niemal pięknie, gdyby nie plamy zaschniętej ropy. Suknia słońca mnie zraniła, ale nie mogła mnie zabić, tak jak prawie zabiła Lady Sarnai. Moje rany już się goiły.

Dotknęłam wisiora. Orzech, który kiedyś mieścił światło słońca, już nie iskrzył złotem pod moim dotykiem, lecz amulet ciążył mi na piersi bardziej niż wcześniej – mimo że w środku kryły się już tylko dwie suknie.

Łzy księżycy. I krew gwiazd.

Postawiłam stopy na ziemi, zdziwiona, gdy zamiast na drewno, natrafiłam na kamień. Na zewnątrz ćwierkały ptaki, których nigdy nie słyszałam. Gdzie ja jestem?

Panujący chłód zmieniał mój oddech w obłok pary. Wciągnęłam powietrze. Pachniało inaczej. Zalała mnie fala tęsknoty za domem, gdy usłyszałam niepowtarzalny rytm fal bijących o brzeg. Byłam blisko morza.

Wyrzałam przez szpary pospiesznie zabitego deskami okna. Jedyne, co zdołałam dostrzec, to księżyc w pełni na niebie. Ostatnim razem, gdy go widziałam, był smukłym sierpem.

To oznaczało, że spałam dwa tygodnie. Dwa tygodnie! Sapnęłam. Każdy dzień wolny od szponów Bandura uznawałam za zwycięstwo.

– Maiu?

Obróciłam się, zaskoczona. Nie słyszałam, jak Ammi wchodzi do środka, niosąc tacę z wodą imbirową i bandażami.

– Obudziłaś się! – zawołała. Woda na tacy zadrżała.

– Co się stało? – spytałam. – Gdzie jesteśmy?

– W Zimowym Pałacu.

Zimowy Pałac. Powinnam była się domyślić. Zbudowany na klifie nad oceanem Cuiyan, był z natury najbardziej osłoniętym wśród pałaców cesarza. Bardziej niż rezydencję przypominał fortecę.

– Dlaczego nie wybrał Wiosennego Pałacu? Armia w stolicy jest o wiele silniejsza.

Moja przyjaciółka ściszyła głos – zrozumiałam, że na zewnątrz stoją strażnicy.

– Jego Wysokość jest ranny. Obawiali się, że nie przeżyje podróży do stolicy.

– Och. – Wzięłam głęboki wdech. – Ilu zginęło?

Ammi spochmurniała. Jej pełne policzki się zapadły, a w oczach zagościły nowe duchy. Przywodziła mi na myśl Ketona i to, co widok wojny uczynił mojemu niegdyś beztroskiemu bratu.

– Ponad połowa armii Jesiennego Pałacu.

– Połowa armii? – powtórzyłam zszokowana. To o wiele więcej, niż się spodziewałam. – A szansen?

– Zniknął. Jego armia się wycofała.

A więc odnieśliśmy zwycięstwo – ale bezwartościowe, biorąc pod uwagę liczbę ofiar.

Wciąż wstrząśnięta, nagle zdałam sobie sprawę, że nie mam swoich nożyczek.

– Gdzie moje rzeczy? Miałam przy sobie sakwę...

– Chodzi o to? – Sięgnęła za spódnicę i wyciągnęła sakwę. Zobaczyłam zwiotczałe fałdy i zniszczoną skórę.

– Dzięki bogom – wymamrotałam, a potem sprawdziłam jej zawartość. Dywan, ciasno zawinięty, lusterko Edana, mój sztylet, moje nożyczki. Wszystko na miejscu. – Dziękuję, Ammi. Mam nadzieję, że nie ściągnęła na ciebie niebezpieczeństwa...

– Nie – odparła. – Od bitwy panuje straszny zamęt. Kucharze są strażnikami, służące pielęgniarkami. – Wskazała siebie. – Zamieniłam się z koleżanką, żeby móc cię zobaczyć, ale nie mogę zostać długo. – Znowu ściszyła głos. – Kiedy cesarz się dowie, że odzyskałeś przytomność, podwoi strażę. Żołnierze ze stolicy przyjeżdżają jutro, aby przywrócić porządek.

Jutro.

To znaczy, że obudziłam się w ostatniej chwili. Wyłowiłam nożyczki z sakwy i wsunęłam je za pas. Nie mogłam tu zostać. Ale dokąd powinnam iść – wrócić na Lapzur czy szukać Edana?

Ammi wlepiła we mnie wzrok.

– Kiedy ja zajrzałam do środka, nic nie znalazłam. Naprawdę jesteś czarodziejką.

– Nie.

– Wszyscy widzieli, jak walczyłeś z szansenem. Uratowałeś nas.

Zawahałam się. Byłam jej winna wyjaśnienie.

– Mam trochę magii – wyznałam – ale nie takiej jak czarodzieje. Moja moc jest niebezpieczna. Dlatego Khanujin mnie uwięził. Dlatego muszę odejść.

Wzdrygnęła się, gdy tak swobodnie rzuciłam jego imię. Nie zamierzałam już nigdy nazywać go władcą.

– Pozwól mi iść z tobą.

Pokręciłam głową.

– Nie byłabyś bezpieczna. A poza tym nawet nie wiem, dokąd idę.

– Idziesz odnaleźć Lorda Czarodzieja.

Poderwałam głowę.

– Kto ci powiedział?

– Nikt. Po prostu... to ma sens, że on by ci pomógł.

„Zaczekaj na mnie” – powiedział. „Nie wracaj na Lapzur”.

Ukłuło mnie poczucie winy. Już złamałam jedną daną mu obietnicę, teraz rozważałam złamanie kolejnej.

Powinnam go odnaleźć? Kiedy zamknęłam powieki, widziałam go oczyma duszy. Słyszałam, jak woła moje imię. Ale ostre linie jego podbródka, krzywy grzbiet nosa i melodyjny głos, kiedy nazywał mnie *xitara*... te wspomnienia zaczynały się zacierać.

Wkrótce znikną.

Ammi obserwowała mnie, marszcząc ciemne brwi.

– Coś cię dręczy, Maiu, i to nie rany od twojej magii. Nie powinnaś wyruszać na poszukiwania sama. Idę z tobą.

Chciałam odmówić, ale się zawahałam. Część mnie wiedziała, że Ammi ma rację – kto wie, w jakim stanie będę za kilka dni? Czy w ogóle będę mogła sobie zaufać? Dobrze byłoby mieć przy sobie przyjaciółkę. Poza tym Ammi zostałaby okrutnie ukarana, gdyby Khanujin dowiedział się, że odegrała ważną rolę w mojej ucieczce i uwolnieniu Lady Sarnai.

Mimo to zastanawiałam się, z kim będzie bezpieczniejsza – z cesarzem czy ze mną.

– Nie – oznajmiłam. – Powinnaś zostać tutaj. To niebezpieczne.

Założyła ręce na piersi.

– To nie była prośba. Okłamywałaś mnie miesiącami, więc nie masz prawa odmówić. Jeszcze ci nie wybaczyłam, wiesz? Jeśli nie

chcesz mojej pomocy, przynajmniej zabierz mnie ze sobą. Spędziłam zbyt wiele lat w pałacu. Chcę wrócić do domu.

Czy nie wszyscy chcemy? Ale jej słowa poruszyły czułą strunę w moim sercu. Choć poczułam ukłucie na wieść, że mi nie wybaczyła, w końcu skinęłam głową.

– Muszę uciec dziś – ostrzegłam ją.

– Jak? W pałacu roi się od żołnierzy.

Wyciągnęłam dywan z sakwy i rozwinęłam.

– Użyję tego.

Ammi otworzyła usta, zdumiona, że zmieściłam go do tak małej torby. Jednak kiedy zlustrowała dywan, zrobiła sceptyczną minę. Był sfatygowany, bardziej przypominał szmatę.

– Zaufaj mi – poprosiłam.

– Będziemy potrzebowały jedzenia – powiedziała powoli. – I ciepłych ubrań. Robi się zimno.

– Zdobądź jedzenie, ja zajmę się ubraniami – zarządziłam, sięgając po nożyczki.

Kiedy poszła do kuchni, wsunęłam palce w uchwyty i rozwarłam ostrza. W jednej chwili magia nożyczek ożyła. Potrafiły sprawić, że najzwyklejsza bawełna przelewa się przez palce jak jedwab, a najbardziej matowy materiał lśni, ale tego wieczoru potrzebowałam czegoś innego. Z bandaża uszyłam rękawiczki, a z prześcieradła zwykły chłopski strój. Wystarczyło, że przytknęłam ubrania do kamiennej podłogi, i tkanina przybrała odcień nijakiej szarości. W kilka minut miałam gotowy kamuflaż.

Godzinę później opuściliśmy pałac.



Wiatr nam nie sprzyjał. Potężna wichura targała dywanem, którego moc osłabła w ciągu ostatnich kilku tygodni. Włókł się po niebie, podskakując i opadając bez ostrzeżenia, gdy tylko zawiał silniejszy

podmuch. Jednak lot dywanem i tak był o wiele bezpieczniejszy niż jazda przez Korzenny Szlak. Czułam, że gdybym chciała, pobudziłabym dywan do życia magią demona, lecz się nie ośmieliłam.

Na szczęście Ammi była zbyt oczarowana światem w dole, żeby zauważyć moje zatroskane milczenie.

– Ale szybko lecimy – zachwycała się bez końca. Pisnęła, gdy dywan niespodziewanie zanurkował. – Czy zabierze nas na kraniec świata?

Uśmiechnęłam się. Pamiętałam własne podekscytowanie, kiedy pierwszy raz doświadczyłam magii Edana.

– Aż tam nie – odparłam. – Powiedziano mi, że dywan jest dziesięć razy szybszy od najszybszego ogiera cesarza. Teraz może trzy razy, przez niesprzyjający wiatr.

Lustrowałam łątaninę krajobrazów pod nami. Edan zaszył się w Świątyni Nanduna, głęboko w Górach Tura. Z tego, co pamiętałam, góry znajdowały się na południe od Zimowego Pałacu. W tym samym kierunku, co Zapomniane Wyspy Lapzuru.

– Ale zabierze nas wystarczająco daleko – mruknęłam. – W miejsce, gdzie cesarz i szansen nas nie znajdą.

Zacisnęłam usta. Nie mogłam jej powiedzieć, że byłam związana z demonem-strażnikiem Lapzuru, że jego zew przyciągał mnie gwałtowniej niż zew Edana w Górach Tura.

Zmierzaliśmy na południe, rozbijając obozy z dala od Szlaku, zazwyczaj w lesie. Przez wzgląd na Ammi żałowałam, że nie znalazłam w komnacie Edana jego obrusa – tego, którego użył na pustyni Halakmarat, żeby wyczarować z powietrza dwudziestodaniowy posiłek.

Żywiłyśmy się tym, co wzięła z pałacowej kuchni, a za namiot służył nam dywan postawiony na chwiejnej bambusowej tyczce. Kiedy temperatury spadną, będziemy musiały szukać schronienia w jakiejś wiosce i modlić się, by żołnierze cesarza nas nie rozpoznali.

Odkąd odzyskałam przytomność, coś się zmieniło. Nawet gdy smagał wiatr, nigdy nie było mi zimno. Ani gorąco, kiedy doglądałam naszego ognia. Ammi musiała przypominać mi o jedzeniu, inaczej zapominałam. Oparzenia po sukni zostały tylko wspomnienie bólu, nie sam ból. Czułam się odrętwiała.

Nawet jeśli Ammi coś zauważyła, ani razu nie zapytała, co się ze mną dzieje, czemu moje oczy nagle lśnią czerwienią, czemu mimo zimna nigdy nie potrzebuję okrycia ani czemu czasami, gdy mówi do mnie „Maiu” lub „mistrzyni Tamarin”, potrzebuję chwili, żeby odpowiedzieć.

Nocami głosy przybierały na sile. Czasami kiedy Ammi spała, szeptałam do siebie, żeby je zagłuszyć. Opowiadałam sobie historie, którymi raczył mnie Sendo, albo udawałam, że piszę list do Baby i Ketona. Innymi razy, gdy księżyc świecił jasno, próbowałam rysować w szkicowniku, ale nie zabrałam pędzla ani tuszu, a patyki ubrudzone ziemią dawały ograniczone możliwości.

– Drogi Babo i Ketonie – mruczałam do siebie pewnej nocy. – Musicie opuścić A'landi. Znów nadchodzi wojna, a ja boję się o wasze bezpieczeństwo. Proszę, nie szukajcie mnie. Wyjeżdżam daleko i nie wiem, czy wrócę. Wasza Maia – zakończyłam, zawieszając się na brzmieniu mojego imienia.

Ammi poruszyła się obok mnie. Oparła się na łokciu i przetarła oczy.

– Z kim rozmawiasz o tej porze? – spytała.

– Z ojcem i bratem – odparłam zmieszana. – Przepraszam, jeśli cię obudziłam.

– Z ojcem i bratem?

– Są daleko na południu. Czasami, kiedy za nimi tęsknię, udaję, że piszę listy. Chcę ich ostrzec, że wojna znów nadchodzi, ale nawet gdybym miała pędzel i tusz, wysłanie wiadomości byłoby zbyt ryzykowne.

Ammi nie odpowiedziała. Trwała tak nieruchomo, że myślałam, iż znów zasnęła, aż wreszcie odezwała się cicho:

– Słyszałam, że twój ojciec był krawcem, a twój brat został ranny na wojnie. Dlatego kłamałaś, prawda? Mnie i wszystkim innym. Chroniłaś ich.

– Tak. – Przygryzłam wargę. – Przepraszam, Ammi. Naprawdę mi przykro.

– Wiem. Pewnie zrobiłabym to samo dla mojej rodziny.

Jej rodzina. Ammi mówiła, że chce wracać do domu, ale nigdy nie powiedziała, gdzie to jest.

– Gdzie oni są?

– Nikt mnie nie szuka – oznajmiła, ignorując moje pytanie. – Mogłabym to dla ciebie zrobić. To znaczy wysłać list. Nie potrafię pisać. Ani czytać.

Większość kobiet nie potrafiła. Miałam szczęście, że Baba kazał mi się uczyć.

– Nauczę cię – zaproponowałam. Chętna rozpalić dawną iskrę naszej przyjaźni, narysowałam na ziemi kilka kresek. – To znaczy: „niebo”.

Próbowała powtórzyć, ale ominęła jedną kreskę.

– Może spróbujemy rano. – Skrzywiła się. – Jest za ciemno.

Zauważyłam, że podskakiwała ze strachu za każdym razem, gdy obok naszego namiotu przemykał cień. Po latach w pałacu nie była przyzwyczajona do takich ciemności. Kiedyś czułam to samo, ale już niewiele mnie przerażało. Kiedy z Edanem obozowaliśmy w lesie, przyzwyczaiałam się do symfonii dźwięków, tańca cieni pod księżycem i nieznanego czającego się w mroku.

– Wracaj do spania. Niedługo będzie rano.

– A ty? – zapytała. – Prawie nie odpoczęłaś. Musisz odpocząć. Odkąd wróciłaś ze swojej podróży, jesteś jakaś inna. Wyglądasz... inaczej.

Ściągnęłam usta, nie mogąc zaprzeczyć.

– To znaczy jak?

– Jesteś szczuplejsza – zaczęła – i bardziej melancholijna, przynajmniej tak myślałam na początku. Potem zauważyłam błysk

w twoim oku, kiedy ktoś wspomina Lorda Czarodzieja. – Przykryła się peleryną. – Przykro ci, że musiał wyjechać?

Ścisnęło mnie w gardle. Jak mogłam jej powiedzieć, że musiał wyjechać przeze mnie? Że go okłamałam – okłamałam wszystkich – w sprawie tego, co się ze mną dzieje?

– Wolałabym o nim nie rozmawiać.

– Och – zasmuciła się. – Przepraszam, mistrzyni Tamarin...

– Mów mi Maia. I to nie twoja wina.

Niech wierzy, że to była kłótnia kochanków. Nie dbałam o to, co pomyśli. O ile nie znała prawdy, to nie miało znaczenia.

– Ty połóż się pierwsza – rzekłam. – Ja ostatnio... potrzebuję więcej czasu.

Ammi zrobiła na odwrót i otworzyła klapę namiotu. Do środka wlało się światło księżyca.

– Widzisz gwiazdy? – Przesunęła się i wskazała niebo. – Siedem światełek, daleko na północy? To Shiori i jej bracia.

– Shiori? – powtórzyłam. – To jakaś bogini?

– Nie, to kiatańska księżniczka, która żyła setki lat temu. To tylko legenda, ale w moim mieście stoi jej posąg, dar od Kiaty. Zawsze uwielbiałam tę historię. Jeśli przyjrzyysz się uważnie, gwiazdy Shiori i jej braci tworzą kształt żurawia.

Nie widziałam żurawia.

– W Port Kamalan nazywamy go smokiem wodnym – odezwałam się. – Brat opowiadał mi o nim, kiedy byłam mała.

– Wygląda bardziej jak żuraw niż jak smok wodny! Pokażę ci. – Wyciągnęła rękę. – Mogę pożyczyć twoje nożyczki?

– Nożyczki?

Po chwili wahania podałam je Ammi. Patrzyłam, jak wycina kwadracik z wewnętrznej warstwy tuniki, nieświadoma ich mocy.

– Są trochę zardzewiałe – rzuciła, składając kawałek tkaniny. – Powinnaś kupić sobie nową parę z...

– Sprawują się dobrze – przerwałam jej. Zabrzmiałam ostrzej, niż zamierzałam. – Są w mojej rodzinie od dawna – wyjaśniłam

łagodnie.

– Pamiątka rodzinna?

– Coś w tym stylu – przytaknęłam i zabrałam nożyczki.

– Może to moja wina. Zazwyczaj żurawia robi się z papieru.

– Zostało mi kilka kartek w szkicowniku.

– Zachowaj je na listy. Papier jest drogi. – Uniosła materiałowego ptaka do światła księżyca. Dwa skrzydła opadały po bokach jej dłoni, miękki dziób był skierowany ku górze. – Każdy wierzchołek żurawia ma swoją gwiazdę na niebie.

Nie widziałam tego, ale i tak skinęłam głową.

– Zła czarodziejka zmieniła braci Shiori w dzikie żurawie, a Shiori złożyła tysiące ptaków, żeby ich odzyskać. Istnieje wiele wersji tej historii, może twój brat znał inną.

– Może – zastanowiłam się, próbując przypomnieć sobie liczne opowieści Senda. – Zaczął snuć jedną taką, o smoku wodnym, który uratował księżniczkę i, teraz jak o tym myślę, jej braci też. Ale nigdy jej nie dokończył. Niewielu Kiatan odwiedzało Port Kamalan, a Senda większość historii czerpał od żeglarzy, którzy opowiadali o swoich podróżach. – Urwałam z nadzieją, że Ammi nie słyszała bólu w moim głosie.

– Jest krawcem jak ty?

– Nie, zginął kilka lat temu. – Zmusiłam się do uśmiechu, zanim zareagowała. – Ale kochał morze tak, jak ja kocham szycie. Szkoda, że go nie poznałaś. Polubiłabyś go.

– Na pewno – powiedziała łagodnie. – Byłam na statku tylko raz, jako mała dziewczynka. Bałam się bezkresnej wody. Nie umiem pływać.

Edan też nie, przypomniałam sobie. Uczepiłam się tego wspomnienia z myślą, żeby gdzieś je zapisać. Nigdy nie robiłam notatek, ale niedawno zaczęłam znowu szkicować.

Rysowałam na piasku – Edana i mnie wspinających się na Szczyt Zaklinacza Deszczu, jadących na wielbłądach na pustyni Halakmarat i mknących nad jeziorem Paduan w stronę Wieży

Złodzieja. Rysowałam uśmiech Baby z naszego ostatniego spotkania, Ketona stojącego z laską, farbującego suknie na zielono zamiast na fioletowo. Ale kiedy próbowałam narysować Mamę, Senda czy Finleia, ręka mi drętwiała i nie potrafiłam.

Postanowiłam, że tej nocy narysuję Ammi. Była najszczęśliwsza z filiżanką gorącej herbaty w ręku i talerzem ciastek u boku. Kilka okruszków przyłgnęło jej do kącika ust, a ona wytarła je grzbietem dłoni.

– Mówiłaś, że chcesz wrócić do domu. Gdzie jest twoja rodzina? – ponowiłam pytanie. Za pierwszym razem nie odpowiedziała.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

Przyciągnęła kolana do piersi.

– Rodzice sprzedali mnie do pałacu, kiedy miałam pięć lat. Byłam najmłodszą córką i nie mieli pieniędzy, żeby mnie nakarmić. Byli tak biedni, że kąpaliśmy się w wodzie do mycia ryżu. – Przełknęła gulę w gardle. – Któregoś dnia załadowali mnie na statek z szóstką innych dziewczyn i popłynęłam do Dżapporu. Nawet nie wiem, gdzie mieszkają.

– Och, Ammi... – Chciałam pomóc jej ich znaleźć, ale nie zamierzałam składać obietnic, których nie mogłam dotrzymać. Ta cecha prawdziwej Mai została się nienaruszona.

– Opuszczałam pałac tylko wtedy, gdy przenosiliśmy się do następnego wraz ze zmianą pór roku – ciągnęła. – Nie byłam nawet w mieście za murami Letniego Pałacu.

Milczałam. Kilka miesięcy temu byłam taka jak Ammi. Zanim wyjechałam do Letniego Pałacu, by wziąć udział w konkursie cesarza, również czułam się uwięziona.

– To wszystko, co zostało mi po rodzinie. – Podniosła ptaka, ale głowa opadła mu na wietrze, który wpadł do środka przez szpary w namiocie. – Moje siostry składały je dla mnie, kiedy byłam mała. W domu uważano je za amulety na szczęście.

Podczas Wojny Pięciu Zim ja także robiłam papierowe amulety na szczęście. Nie wyglądały jak żuraw Ammi, ale to małe wspomnienie z przeszłości rozgrzało mi serce.

Objęłam się za kolana. Kłapa namiotu za moimi plecami trzepotała na wietrze.

– Opowiedz mi, co pamiętasz o swojej rodzinie.

– Rodzice uprawiali ryż. Pracowali na polu z grupą innych ludzi i hodowali ryby w stawach. Siostry i ja próbowałyśmy łapać ryby rękami, ale zawsze byłyśmy zbyt wolne. Byłam tak mała, że woda sięgała mi do pasa, a palce plątały się w sieci. – Przechyliła głowę z zadumą. – Moja rodzina była bardzo biedna. Przez lata złościłam się na nich, że mnie sprzedali, ale teraz, gdybym mogła ich zobaczyć, wybaczyłabym im wszystko w mgnieniu oka. – Podała mi żurawia, jakby w geście pojednania. – Dlatego ci wybaczam, Maiu Tamarin. Mogę potrzebować jeszcze trochę czasu, zanim ci zaufam, ale jesteś moją przyjaciółką i ci wybaczam.

– Dziękuję – szepnęłam, ważąc ptaka w dłoni. Nie powiedziałam jej, że lepiej, by mi nie ufała, ale z jakiegoś powodu czułam, że to wie.

Posłała mi uśmiech.

– Powinnaś odpocząć, Maiu. Może historia ci pomoże. Historia o kiatańskiej księżniczce?

Odchyliłam się do tyłu, czując trawę i ziemię pod łokciami.

– Tak.

– Shiori była najmłodszym dzieckiem cesarza – zaczęła – i jego jedyną córką. Miała sześciu braci i kochała ich najmocniej na świecie.

Słuchałam historii Ammi, a jej słowa chwytaly mnie za serce. Edan mnie kochał. Edan szukał sposobu, by zerwać moją kłutwę.

Wszystko to, co jeszcze ze mnie zostało, pragnęło udać się w Góry Tura i odnaleźć Edana. A jednak wszystko to, co jeszcze ze mnie zostało, kazało mi tego nie robić. Każdego ranka budziłam się coraz chłodniejsza, coraz bardziej oddalona od Mai. Oczy płonęły

czerwienią dłużej, a Ammi była zbyt miła, by zwrócić na to uwagę – albo zbyt przerażona. Przyłapałam ją, jak patrzy, ale prędko odwróciła wzrok.

Nie, nie mogłam iść do Edana. Musiałam znaleźć bezpieczne miejsce dla Ammi i wrócić na Lapzur. Zanim stracę siebie.

Zanim stracę wszystko.

Rozdział trzynasty

Śniłam o Lapzurze i jego duchach czekających na mnie na nawiedzonych wyspach. Ich głosy haratały moją skórę, z każdym słowem wcinając się coraz głębiej.

Sentur'na, wołały.

Znowu to imię. Nawet w snach nie wiedziałam, co oznacza.

Sentur'na, słabniesz. Wróć do nas. Sprawimy, że znów będziesz silna.

Każdej nocy, odkąd opuściłam Zimowy Pałac, obiecywały to samo, w kółko i w kółko, coraz głośniejsze, aż nie mogłam dłużej tego znieść. Dopiero wtedy płomienie pochłonęły niebo z moich snów, a ptak z czerwonymi oczami demona podpalił duchy.

Ich krzyki wciąż rozbrzmiewały mi w uszach, gdy wyrwałam się ze snu. Serce mi waliło, po skroniach spływał pot.

Ammi wciąż spała, stopy wystawały jej z namiotu. Delikatnie przykryłam je swoją peleryną. Nie potrzebowałam jej. Od wiatru dostałam gęsiej skórki na rękach i zjeżyły mi się włoski na plecach, ale nie było mi zimno.

Udałam się do najbliższego strumienia. Mroźna poranna rosa zdobiła listowie, a cichy chrzęst liści pod stopami przypominał mi, że rozpoczyna się nowa pora roku. Jesień przechodziła w zimę.

W Port Kamalan nie doświadczyłam zbyt wiele z pór roku prócz zmiany koloru jesiennych liści. W jakie piękne oranże przybierały się cyprysy! To lubiłam malować najbardziej. Odwzorowywanie płomiennych liści wystarczyło, by zająć mnie na wiele godzin.

– Dlaczego drzewa zmieniają kolor? – zapytałam kiedyś moich braci.

Sendo się zastanowił, bez wątpienia szukając dla mnie poetyckiej odpowiedzi. Jednak uprzedził go zawsze dosadny Finlei:

– Bo umierają.

– Finlei ma na myśli, że kiedy zieleń blednie, liście umierają i spadają z drzew – wyjaśnił Sendo, widząc moją przerażoną minę.

Przez chwilę milczałam. Przystudiowałam jaskrawe smugi farby na moich palcach, a potem spojrzałam na drzewa nad morzem.

– Jeśli umieranie jest takie piękne, też chcę być drzewem. Z radością umrę i odrodzę się wiosną.

Ależ się ze mnie śmiali. Teraz też się śmiałam, z goryczą. Byłam taka niewinna, wierzyłam w przeszłe i przyszłe życia. Większość A'landczyków wierzyła, łącznie z Mamą, Babą i Sendem, więc nigdy tego nie kwestionowałam – aż do teraz.

Jeśli zostanę demonem, część mnie umrze. Ale to nie będzie piękna śmierć, nie będzie wiosny ani odrodzenia.

Co się stanie z Maią, która umrze? Dokąd pójdzie? Czy miała jakieś życie przed tym?

Objęłam się. Wiedziałam, że na to pytanie nie ma odpowiedzi.

Liście chrzęściły mi pod stopami, rześki chłód sącył się do płuc. Uciekłyśmy zaledwie kilka dni temu, zmierzając na południe w stronę Gór Tura i jeziora Paduan, ale zima podążyła za nami. Brzegi strumienia już zamarzały, a młoda warstwa lodu przykrywała wilgotny grunt.

W tym tempie wkrótce będziemy musiały porzucić obozowanie. Zimno mnie nie zabije, ale Ammi... potrzebuje dachu nad głową i porządnego ogniska.

Przykucnęłam nad strumieniem, rozbiłam lód gałęzią i przemyłam twarz, usiłując siłą tchnąć trochę życia w zmęczone oczy. Kiedy napełniłam manierki, zmarzniętymi palcami sięgnęłam do sakwy po lustro prawdy. Moje odbicie spojrzało na mnie ze znużeniem, a ja oparłam lusterko o wilgotną ziemię na brzegu.

– Edanie? – zawołałam. Szkło zadrżało od mojego głosu. – Edanie?
Nic.

Serce mi zamarło. Wołałam go każdego ranka. Zawsze bez odpowiedzi.

– Jeśli mnie słyszysz, nie wybieram się do Świątyni Nanduna – szepnęłam. – Zmierzam na Lapzur. – Bolało mnie gardło, ale zmusiłam się, by zabrzmieć stanowczo. – Nie idź za mną. Zostań tam, gdzie jesteś.

– Zostań tam, gdzie jesteś – powtórzyło moje echo.

Świeży lód zamigotał na szklanej tafli lustra. Zrezygnowana wytarłam je kłykciami, a potem wsunęłam do sakwy. Edan nie odzywał się do mnie od wielu dni. Miałam tylko nadzieję, że już na mnie nie czeka i że będę miała szansę mu powiedzieć – choćby tylko przez lustro – że wracam na Lapzur sama.

W obozowisku drżąca Ammi nachylała się nad dogasającym ogniskiem. Przez ostatnie kilka dni bardzo schudła.

– Znowu po wodę?

Poczułam ukłucie winy, gdy podałam jej manierkę – codzienną wymówkę moich porannych zniknięć.

Kiedy zobaczyłam, jak szczeka zębami, podjęłam decyzję.

– Dzisiaj zanocujemy w gospodzie.

– Szansen cię szuka. Ludzie cesarza też.

– Jeśli tu zostaniemy, zamarzniesz.

Chciałam powiedzieć: „zamarzniemy”, ale wyszło nie tak. Zbyt szczerze. Na szczęście Ammi tego nie wyłapała.

– Ale co, jeśli...

– Będziemy uważać – dodałam pospiesznie. Nie mogłam powiedzieć, co naprawdę martwiło mnie w wioskach: nie to, że ktoś może rozpoznać mnie jako Maię Tamarin, lecz to, że moje oczy demona wrócą i zdradzą, kim się staję.

Potworem.



Przebrane za podróżujących braci znalazłyśmy nadającą się gospodę na zapomnianej odnodze Szlaku. Wieki temu miasteczko mogło być

tętniącą życiem oazą dla zmęczonych podróżnych, ale jeśli tak, to od tego czasu skurczyło się do małej wioski. W gospodzie kilku mężczyzn siorbało makaron z gorącym olejem, inni pili i grali w pai gow. Interes kręcił się tak dobrze, że właściciel ledwie na nas spojrzał, gdy płaciłyśmy za nocleg.

W małym pokoiku znalazłyśmy dwa nadgryzione przez mole łóżka pod oknem, pajęczyny w kątach, samotną świeczkę na chybottliwym stoliku i dzbanek z kadzidełkami do modlitwy. Sufit skrzypiał za każdym razem, gdy zaklekotała luźna dachówka, ale żaden wiatr nie wdierał się do środka przez szczeliny w oknach, a do tego miałyśmy kociołek z gorącą wodą.

W porównaniu z namiotem to był luksus.

– Na ulicy handlarz sprzedaje owoce i bułeczki na parze – oznajmiła Ammi, wyglądając przez okno. – Taniej będzie kupić u niego, niż jeść w gospodzie. Chcesz coś?

Wyjrzałam na zewnątrz. Za handlarzem ktoś pchał drugi wózek – sprzedawał ciasteczka z plastrem miodu i ciastka orzechowe. Ze znajomej tęsknoty za słodyczami zaburczało mi w brzuchu.

– Może ciasteczko z plastrem miodu, jeśli starczy ci pieniędzy – powiedziałam.

Na jej usta wstąpił lekki uśmiech.

– Lubisz ciasteczka z plastrem miodu? Ja też. – Nagle uśmiech zniknął i Ammi zmarszczyła brwi.

– Co się stało? – zapytałam.

– Jedzenie z pałacu się skończyło. Zostało nam pieniędzy na pokój i dzisiejszą kolację, ale... – Zawahała się. – Gdybyś coś uszyła, mogłabym to sprzedać. Nic wymyślnego. Wystarczyłaby zwykła chusteczka.

Od uszycia peleryny cesarza praktycznie nie tknęłam igły. Bałam się, że moje palce zapomniaty, jak szyć. Zazwyczaj prawie cały czas świerbiło je do pracy. Przygryzłam wargę.

– Nie wzięłam żadnych...

– Weź je. – Wcisnęła mi do ręki kilka jedwabnych czerwonych szmatek. Kolor wypłowił od burzy, ale rozpoznałam serwetki z weselnego bankietu. Ammi spąsowiała, jakbym ją oskarżyła. – Czasem służki kradną. Jest cały czarny rynek na przedmioty z pałacu. Nigdy wcześniej nic nie wzięłam. Nigdy. Tylko te serwetki i jedzenie na podróż. Poza tym Jego Wysokość jest nam winny dziesięć tysięcy jenów za pomoc w znalezieniu Lady Sarnai...

Urwała, a ja wiedziałam, że obie myślimy to samo: prawdopodobnie nigdy nie ujrzymy tych pieniędzy, biorąc pod uwagę, że później pomogłyśmy Lady Sarnai uciec z Jesiennego Pałacu.

– Nie chciałam cię strofować – powiedziałam. – Jestem... pod wrażeniem.

– Och. – Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła trzy cienkie szpulki nici oraz igłę. – Poprosiłam właściciela gospody o nitkę i igłę.

Nitka była matowo czerwona i gruba, wyraźnie przeznaczona do cerowania. Musiała wystarczyć.

Kiedy Ammi wyszła, rozwinęłam nici, ignorując nożyczki pulsujące u biodra. Pragnęły znów pracować.

– Nie teraz – mruknęłam do nich. Od tak dawna nie uszyłam nic bez magii. Ja potrzebowałam tego zadania bardziej niż nożyczki.

Podniosłam igłę i potoczyłam ją między kciukiem a palcem wskazującym. Dwa tygodnie, które przespałam po pokonaniu szansena, sprawiły, że moje palce stały się niezdarne i sztywne. Pierwsze ścięgi na serwetce były krzywe, niektóre płatki haftowanych kwiatów większe od innych. Sfrustrowana rozprułam wszystko i zaczęłam od nowa.

Rozluźniłam chwyt na serwetce i zwolniłam tempo, pozwalając, by każdy ruch igły odpowiadał spokojnemu rytmowi mojego oddechu. Podczas pracy nuciłam melodię, którą Edan grywał na flecie. Poczułam ukłucie żalu w piersi. Jeśli udam się prosto na Lapzur, nie będę miała szansy oddać mu instrumentu.

Ammi wróciła, gdy kończyłam ostatnią chusteczkę. W koszyku miała gruszki piaskowe, pudełko bułeczek na parze i jedno duże ciasteczko z plastrem miodu, prosto z blachy.

Wzięłam ciasteczko do ręki – ciepło sączyło się przez owinięty wokół cienki liść bananowca – i wciągnęłam powietrze. Żadne z setek dań, których próbowałam podczas królewskiego wesela, nie mogło równać się ze słodyczą tego przysmaku.

– Całe dla ciebie – oznajmiła Ammi, szczerząc się na widok mojej błogiej miny. – Zjadłam swoje po drodze.

Nie traciłam czasu i wzięłam kęs ciasteczka, zatapiając zęby w chrupiącym złotym brzegu, a potem delektując się słodkim, gęstym miodem, który rozpływał się na języku. Po kilku dniach jedzenia solonych mięs i resztek z bankietu cudownie było zjeść coś ciepłego, świeżego i prostego.

Oblizalam palce do czysta i westchnęłam z zadowoleniem.

– Szczerze mówiąc, moje ciasteczka są lepsze – rzuciła figlarnie Ammi. – Kiedyś ci upiekę.

– Nie wiedziałam, że pieczesz.

– Czasami piekarze cesarza mają za dużo pracy. Pomagałam im w wolnych chwilach. Człowiek nie dorabia się takich dorodnych policzków, cały dzień serwując herbatę. – Poklepała się po twarzy. – Kiedyś marzyłam, że otworzę własną piekarnię, jeśli wypłaczę się z bycia służącą. Może zyskałaby taką sławę, że moja rodzina by o niej usłyszała.

Ściągnęła usta.

– Dlatego chciałaś wygrać dziesięć tysięcy jenów? – spytałam łagodnie.

Wzruszyła ramionami, nie chcąc dłużej rozmawiać o rodzinie.

– Pieczenie mnie uszczęśliwia. – Podniosła jedną z uszytych przeze mnie chusteczek. Miałam nadzieję, że nie zauważy opuszczonych oczek i krzywych płatków na pierwszych sztukach. – Zauważyłam, że ciebie uszczęśliwiają dwie rzeczy. Słodycze i szycie.

Zaśmiałam się.

– Jesteś spostrzegawcza.

– Powinnaś więcej szyc – ciągnęła Ammi. – Od tygodni nie widziałam cię tak szczęśliwej. Lord Czarodziej się ucieszy.

Na wzmiankę o Edanie opadły mi ramiona.

– Nie ucieszy. Powinnam ci powiedzieć, że postanowiłam nie...

Ammi uniosła palec do ust i odskoczyła na bok od okna, szarpnięciem zasuwając zasłony.

Usłyszałam krzyki i rzenie koni na zewnątrz. Nic niezwykłego, biorąc pod uwagę, że gospoda stała przy głównej ulicy wioski.

– Co się stało? – szepnęłam.

– Żołnierze.

Zesztywniała mi szczeka.

– Tutaj?

Ponuro skinęła głową.

– To nie wszystko. Handlarz wspomniał, że w sąsiedniej prowincji widziano najemników.

Ludzie szansena.

Spojrzała na mnie, błagalnym wzrokiem szukając odpowiedzi.

– Ludzie cesarza szukają kobiety o czerwonych oczach. Czarodziejki. Ale ludzie mówią, że jest demonem.

Co mogłam powiedzieć? Widziała moje czerwone oczy. Nie mogłam zaprzeczyć, że to mnie szukali.

– Nie jestem demonem, Ammi. – Przełknęłam ślinę, gotowa dodać: „Jeszcze nie”, ale tak jej ulżyło, że nie mogłam zmusić się, by odwołać kłamstwo.

– Najwyraźniej demon szansena rzucił na ciebie klątwę. Szukasz Lorda Czarodzieja, żeby ci pomógł.

Zaschło mi w ustach, a słodki posmak ciasteczka z plastrem miodu skwaśniał.

Nie odpowiedziałam. Właściwie nie była daleka od prawdy. Może lepiej, żeby uwierzyła w tę wersję.

Wzdrygnęła się, gdy usłyszałyśmy krzyki na dole.

– Co zrobimy?

– Zostaniemy na noc i wyruszymy z samego rana. Tutejsi mają nas za braci, a ludzie cesarza na pewno nas nie rozpoznają.

Poza tym, pomyślałam, wolę zmierzyć się z żołnierzami Khanujina niż z najemnikami szansena.

Ammi zebrała haftowane chusteczki.

– Zobaczę, czy uda mi się czegoś dowiedzieć.

– Jesteś prawdziwą przyjaciółką, Ammi – wydusiłam z siebie tylko. Modlę się, żebyś tego nie pożałowała.



Gdy Ammi wyszła, zapaliłam świecę, by odpędzić nadchodzący zmierzch, lecz cienie tańczące po zniszczonych ścianach pobudziły moje koszmary. Wilki z ostrymi kłami. Ptaki o połamanych skrzydłach.

Przy słabnącym płomieniu studiowałam moje stare rysunki Edana, zapamiętywałam ostre linie jego twarzy oraz krzywy grzbiet nosa i żałowałam, że nie poświęciłam czasu, by namalować czerń jego włosów i niebieskość oczu.

Powinnam spróbować znów go przywołać, pomyślałam, przewracając kartki szkicownika. Jednak gdy przekartkowałam portrety Baby i Ketona, zatrzymałam się na pustej stronie.

Edan mógł zaczekać. Najpierw musiałam narysować Ammi, zanim ją też zapomnę.

Ledwie zdążyłam naszkicować kontury twarzy, drzwi otworzyły się z łoskotem.

– Zobacz, pięćdziesiąt jenów – oznajmiła dumnie Ammi, pokazując mi monety w dłoni. – To niewiele, ale starczy na jeszcze jedną noc w gospodzie, a jutro kupię nam więcej jedzenia. – Zauważyła szkicownik i się nachyliła. – To ja? Chcę zobaczyć.

– Nie skończyłam – powiedziałam, prędko zamykając szkicownik, ale złapała mnie za dłoń i wpiła paznokcie w skórę.

Wyrwałam się.

– Ammi?

Na jej ustach pojawił się pogardliwy uśmieszek, który wykrzywił jej twarz tak, że ledwie ją poznawałam.

– Co, nie lubisz mnie takiej? – zapytał Bandur ustami Ammi.

– Wyjdź z niej – rozkazałam, łapiąc przyjaciółkę za szyję. Nie zdawałam sobie sprawy z własnej siły, dopóki nie podniosłam jej wysoko, tak że machała nogami w powietrzu.

Bandur się zaśmiał. Ten dźwięk ranił mnie jak nóż.

Odstawiłam Ammi, a ona opadła na krzesło.

– Dosyć, Bandurze – rzekłam lodowato. – Puść ją.

Ammi podniosła wzrok. Z białek jej oczu ciekła czerwień tak jaskrawa, że aż się wzdrygnęłam. Twarz jej zbladła, skóra pobieliała tak, że zlewała się z alabastrową ścianą za jej plecami.

– To ty jesteś dla niej zagrożeniem, nie ja – oświadczył Bandur. Przechylił głowę Ammi, żebym zobaczyła ślady moich palców na jej szyi. – Zobacz. Zobacz, co zrobiłaś.

Zalała mnie fala wstydu.

– Nie – szepnęłam. – To ty...

– Im dłużej zostaniesz wśród tych śmiertelników, tym większą zrobisz im krzywdę. Powinnaś powiedzieć to swojemu czarodziejowi.

– Demon zmusił usta Ammi do fałszywie skromnego uśmiechu. – On szuka cię każdego dnia.

Zabrakło mi tchu. Edan mnie szukał?

– Ale nawet on wie, że cię nie uratuje, Sentur'na – ciągnął Bandur.

– Zabijesz go, zanim w ogóle spróbuje. – Demon urwał, napawając się moją zboliałą miną. – A teraz wróć na Lapzur.

– Wrócę. – Moje ręce wystrzeliły do góry, do amuletu schowanego pod tuniką. – Ale kiedy wrócę, będę z tobą walczyć.

Bandur prychnął.

– Przegrasz. Twojej powinności nie da się zerwać i nawet twoje ukochane suknie cię nie uratują. Przyjmij swój los, Maiu Tamarin. Nie możesz zrobić nic, aby go zmienić.

Nagle pojawiła się czerwona nić łącząca mnie z Bandurem. Na jej widok wydałam niemy okrzyk.

– Nic – szepnął, a potem ze zwiotczonego ciała Ammi uniosła się chmura dymu i demon zniknął.

Kiedy nią potrząsnęłam, Ammi się nie obudziła, ale wciąż oddychała. Dzięki bogom.

Walnęłam pięściami o stół tak mocno, że ściany zadrżały. Złość wezbrała w mojej piersi, wściekłość mnie dusiła.

– Nigdy, ale to nigdy nie powinnam była zabierać jej ze sobą.

Zerwałam wisiołek, ignorując zawroty głowy, które mnie ogarnęły, i położyłam go na blacie obok lustra prawdy.

Skupiłam się na Edanie, szukałam go, by powiedzieć mu, że wybieram się na Lapzur i że nie może mnie szukać. Że idę tam sama.

Wciąż trzęsąc się z wściekłości, podniosłam lusterko. Wtedy ściany gospody wokół mnie zniknęły, a szkło się zamgliło.

Edan.

Medytował, ale otworzył oczy, zanim zawołałam jego imię. Gdy mnie ujrzał, na jego ustach pojawił się nikły uśmiech.

– Maia – powiedział łagodnie, delektując się muzyką mojego imienia.

– Nie idę do ciebie – wyrzuciłam z siebie gwałtownie. – Muszę udać się na Lapzur, zanim... – Urwałam. Nie musiałam kończyć.

Łagodność w jego głosie zniknęła.

– Opuść! – Ta ostrość mnie zaskoczyła. – Nie używaj amuletu. Im bardziej będziesz polegać na jego magii, tym trudniej będzie ci się oprzeć przemianie w demona.

– To nie amulet demona – zaoponowałam. – To wisiołek pełen mocy Amany. Suknie pomogą mi pokonać Bandura.

– Moc Amany dźwięczy w sukniach, które uszyłaś. Ale teraz ta moc została wystawiona na twoją powinność wobec Bandura. Nie możesz używać tej magii, nie możesz jej splugawić. Bądź silna, *xitara*. Jesteś silniejsza niż pokusa.

Oczy zaczęły mnie palić, więc się odwróciłam.

To była prawda, z którą nie chciałam się zmierzyć – o której nawet nie chciałam myśleć. Czasami kiedy padał na mnie cień, spoglądałam w dół i widziałam mój wisiołek skąpany w ciemności, tak jak wtedy, gdy stworzyłam pelerynę dla cesarza Khanujina. Obawiałam się, że pewnego dnia poczernieje na zawsze, jak amulety Bandura i Gyiurak.

– Już się zmieniasz, prawda? – zapytał.

Słowa zaboląły, jednak nie mogłam im zaprzeczyć.

– Wezwałam cię, żeby się pożegnać – oznajmiłam. – Nie spotkam się z tobą w świątyni.

– Nie obchodzi mnie, czym się stajesz, chcę cię zobaczyć. – Nawet przez zamglone lustro jego zimne niebieskie oczy przeszyły moje. – Spotkajmy się w lesie topoli. Znajdę cię.

W A'landi znajdowały się setki lasów topoli, ale wiedziałam, który miał na myśli. Byliśmy tam szczęśliwi, zanim udaliśmy się na jezioro Paduan.

– Jeśli nie chcesz przyjść do mistrza Tstringa, przynajmniej przyjdź do mnie.

Ostatni raz, pomyślałam i skinęłam głową, zanim lustro zaszło mgłą i Edan zniknął. Wisiołek zastukał o taflę, pęknięcie na środku lśniło.

Sentur'na, Sentur'na, kpił Bandur. Jego głos sącył się do mojego umysłu. Cień wilka grasował po moich ścianach.

– ODEJDŹ! – krzyknęłam.

Twój czarodziej ci nie pomoże. Jego mistrz też nie. To moje ostatnie ostrzeżenie: przybądź na Lapzur. Teraz.

– Albo co? – odparowałam. – Wyślesz po mnie swoje duchy?

Gorzej, Sentur'na, gorzej. Zabiorę wszystko, co ci drogie. Może zacznę od twojej przyjaciółki. Cień Bandura zasłonił śpiącą Ammi, pazurem głaskał ją po policzku. Jest taka słodka i troskliwa... Prawdziwa przyjaciółka.

– Zostaw ją! – Rzuciłam się po wisiołek, który zapłonął od mocy.

Śmiech Bandura stawał się coraz głośniejszy, kipiał ze ścian, aż myślałam, że pękne z wściekłości. Iskry światła trzaskały z moich opuszków, ale byłam zbyt nabuzowana, by zastanowić się, co się dzieje. Ze złości cisnęłam stołkiem o ścianę, a jego cień zniknął.

Ammi złapała mnie z tyłu i poczułam ogromną ulgę. Była sobą. Jednak jej twarz wykrzywiało przerażenie, a w jej oczach szalało światło. Krzyknęła coś, czego nie usłyszałam.

Wtedy mój wzrok się wyostrzył i odzyskałam słuch.

– Pożar! – krzyczała. – Pożar!

Nasz pokój stanął w płomieniach.

Rozdział czternasty

Ogień bezlitośnie wił się po suficie i mknął w dół po ścianach. Zanurkowałam po sakwę, tłumiąc iskry, które przylgnęły do jej frędzli.

Ammi rzuciła się do drzwi. Popędziłam tuż za nią, ale przypomniałam sobie o lustrze Edana wciąż leżącym na stole. Potrzebowałam go, więc obróciłam się do tyłu, gdzie przywitał mnie błysk gryzącego żaru.

Wysoka ściana płomieni wystrzeliła w górę i zatańczyła po obwodzie stołu. Nieprzypadkowo z ognia wyłonił się kształt wilka o błyszczących oczach, mlecznobiałych zębach i paszczy rozciągniętej w bezgłośnym śmiechu. *Wejdź do ognia, Sentur'na.*

Dym wnikał mi do oczu i palił moje policzki, ale to nie żar kazał mi się zawahać. Ani nie Bandur...

– Zostaw to! – krzyknęła Ammi, ciągnąc mnie do drzwi. Nie widziała Bandura, nie słyszała jego drwin.

Wyszarpałam jej się i zawróciłam po lustro.

Bandur zniknął, zostawiając za sobą tylko ścianę płomieni. Ryczały na mnie, głodne i wysokie, czerniły rąbki moich rękawów i spodni niemal na popiół.

Koniec wahania. Zacisnęłam palce wokół uchwytu lusterka i tafla zamigotała, szkląc się od ciepła. Dotknięcie go powinno spalić mi skórę, tak jak przemknięcie przez ogień powinno mnie zabić, a jednak nie czułam bólu. Jeśli już, to ogień był miękki i delikatny, jego ciepło topiło mój wewnętrzny chłód. Tego się bałam. Dlatego Bandur chciał, żebym weszła do ognia...

Czy mi się zdawało, czy moja skóra lśniła, jakby zapłonęła tysiącem iskier? Zahipnotyzowana patrzyłam, jak moje paznokcie stają się blade niczym błękitne serce płomienia...

– Prędko, Maiu!

Za mną ogień się rozprzestrzeniał. Ściany miały zaraz się zawalić. Chwyciłam lusterko, zrobiłam krok do tyłu, w stronę głosu Ammi, i się potknęłam.

Lusterko wypadło mi z ręki i się stłukło.

NIE! Zduszony okrzyk wyrwał mi się z gardła i padłam na podłogę, żeby pozbierać odłamki. Iskry błyskały mi przed twarzą, popiół wpadał do oczu. Kaszlnęłam w rękaw. Dym coraz bardziej gęstniał, ogień przybierał na sile.

Ammi poderwała mnie na nogi.

– Musimy uciekać!

Zatoczyłam się na nią gniewnie, ale ona wzięła mnie pod ramię i wyciągnęła mnie z walącego się pokoju.

Moja złość zgasła. Omal nas nie zabiła.

Zasłoniłam usta rękawem, ale dym był już tak gęsty, że okrywał moje wargi i rzęsy. Ammi było trudniej. Dławiła się nim. Jeśli nie uciekniemy, udusi się. Umrze.

Potykałyśmy się, zbiegając po schodach, jeden krok przed spadającymi płonącymi belkami. Ołtarz przy drzwiach się rozpadł, malowane twarze bogów stopniały, a pomarańcze ofiarowane w modlitwie były zwęglone jak ciemna strona księżyca.

Kiedy wreszcie wypadłyśmy na zewnątrz, Ammi desperacko zaczerpnęła powietrza. Zrobiłam to samo. Chłód zaszczypał mnie w gardle, zanim osadził się w płucach.

Pozostali goście stali, bezradnie patrząc, jak ogień pochłania gospodę, a płomienie ryczą na tle bezchmurnej czarnej nocy. Nikt nie wiedział, jak to się zaczęło, ale niektórzy już spekulowali.

– To ogień z lasów północy. Widzicie czerwone wierzchołki?

– Ogień demonów.

Obróciłam się i zlustrowałam ogień uważnie. Płomienie lśniły nienaturalnie czerwonym blaskiem. Palce wciąż mnie parzyły. Iskry już nie tańczyły na opuszkach, ale paznokcie były czarne i przypalone. I nagle zrozumiałam.

To ja wywołałam pożar. Nie Bandur, tylko ja.

Miał rację. To – to wszystko – było ostrzeżeniem, że się zmieniam. Że jeśli nie przybędę na Lapzur, skrzywdzę tych, na których mi zależy.

– Musimy iść – wychrypiałam do Ammi. Musiałam stąd uciec, jak najdalej od tego, co zrobiłam. Zanim skrzywdzę kogoś jeszcze.

– Musimy im pomóc. Gospoda, ci wszyscy ludzie...

– Nic im nie pomoże – odparłam krótko. – Musimy iść, zanim cesarz nas znajdzie. Albo szansen.

Gdy tylko to powiedziałam, chciałam cofnąć swoje słowa.

Ammi spojrzała na mnie, jakby mnie nie poznawała.

Odciągnęłam ją od płonącej gospody, kiedy nagle mój demoniczny wzrok rozbłysnął, ukazując mi dziewczynkę krzyczącą w środku. Jej matka pochyliła się nad nią, osłaniając ją własnym ciałem.

Dach gospody popękał, a mnie ścisnęło w sercu.

Moje oczy zapłonęły tym samym okropnym żarem, po czym zaszły czerwienią. Nie dbając, kto zobaczy, wparowałam do gospody i przedarłam się przez ogień, jakby był podmuchem wiatru, nie strumieniem płomieni. Moje płuca krzyczały o powietrze, ale parlałam naprzód.

Dziewczynka i jej matka były ledwie przytomne, skulone w kącie, boleśnie blisko okna – drogi ucieczki. Kiedy do nich dobiegłam, prawie mnie nie zauważyły. Dziewczynka jęknęła.

Maia-człowiek nie mogła zanieść ich w bezpieczne miejsce. Nie mogła nawet pociągnąć ich kilka metrów do okna.

Ale Maia-demon mogła.

W mojej głowie rozbrzmiał śmiech – a może trzask ognia wokół? Nie potrafiłam stwierdzić. Popędziłam je do okna. Było już otwarte, ale ogień rozprzestrzenił się na dach, łapczywie skubiąc szare dachówki. Musiałyśmy jakoś dostać się na dół, zanim gospoda runie, a dziewczynka i jej matka zginą.

Liczyła się każda sekunda. Wyszarpnęłam z sakwy zaczarowany dywan i posadziłam na nim ich dwójkę. Ja się nie mieściłam.

– Leć! – krzyknęłam, gdy z drzeniem zbudził się do życia. – Zabierz je na dół!

Kiedy zniknął z pola widzenia, skoczyłam na dach. Ogień pomknął za mną, gryząc moje kostki, a ja tańczyłam po klekoczących dachówkach, żeby nie spłonęły mi buty. Nie czułam bólu. Nie doznawałam oparzeń.

Gdy zobaczyłam, że dywan dostarczył matkę i córkę w bezpieczne miejsce, pobiegłam na tył gospody, gdzie nikt mnie nie widział, i zeskoczyłam na ziemię, rozpościerając ręce jak skrzydła.

Wylądowałam cicho, z niesamowitym wdziękiem.

Dobra robota, Maiu, pochwalił Bandur. Ale to dopiero początek. Narazisz na niebezpieczeństwo więcej niewinnych istnień? Czy dostałaś nauczkę? Czy w końcu zmierzysz się ze swoim przeznaczeniem?

– Przybędę na Lapzur – szepnęłam. Paliło mnie w gardle. Wszystko smakowało popiołem. Zgubą. – Przybędę na Lapzur, ale na własnych warunkach. – Mój głos zabrzmiał jak stal: – Zjawię się przed następną pełnią. Nie przyjdę, zanim nie spotkam się z Edanem.

Szpon ognia wpił się w dach gospody, a ja zdusiłam okrzyk, kiedy dachówki spadły i rozbiły się o ziemię.

Masz tupet, żeby targować się z demonem.

– Chcesz wolności czy nie? Więc pozwól mi nacieszyć się resztką mojej.

Nie pojmujesz, że to ty jesteś zagrożeniem. Im później zjawisz się na wyspach, tym więcej krzywd wyrządzisz tym, których kochasz. Zaśmiał się. Dam ci dwa tygodnie. Weź ze sobą czarodzieja, jeśli chcesz, ale nie obiecuję, że będzie bezpieczny na Lapzurze. Jeśli nie zjawisz się przed zachodem słońca, nikt z twoich bliskich nie będzie bezpieczny nigdzie na świecie.

– Zjawię się.

Gdy tylko wypowiedziałam obietnicę, z nieba lunął deszcz. Ze ścian karczmy uniosła się para, a nagły wiatr przegonił dym. Ogień

zgasł tak szybko, jak zapłonął.

Mieszkańcy wioski padli na kolana, dziękując bogom. Z daleka obserwowałam, jak przygarniają zdanych na siebie podróżnych i dają im schronienie.

Nikt nie zginął w pożarze, a jednak w mojej piersi wiło się poczucie winy.

Wszelkie konsekwencje, jakie poniosę za zgodę, by udać się na Lapzur, były tego warte. Nigdy nie odczułam takiej ulgi na widok deszczu. Mimo woli czułam, że zmywa krew z moich rąk.

Ammi znalazła mnie ukrytą w cieniu.

– Co z nimi? – spytałam. – Z matką i córką.

– Przeżyją. Dzięki tobie. – Uklękła obok mnie. – Powiedziałaś mi, że jeśli zostaniesz w Zimowym Pałacu, nie będziesz dla A'landi pomocą, tylko zagrożeniem. To miałaś na myśli?

– Tak – szepnęłam. Serce podchodziło mi do gardła. – Tu powinniśmy się rozstać. Będzie ze mną tylko gorzej. Myślę, że to ja wywołałam pożar, bo byłam zła... – Urwałam. Jak jej to wytłumaczyć? Nie wiedziałam, gdzie zacząć.

– Zauważyłam twoje oczy. Czasami płoną czerwienią. Na początku się bałam, ale znam cię, mistrzyni Tamarin. Maiu. To nie jesteś ty.

To nie jestem ja. Powtarzałam sobie te słowa przez cały czas. Ale wkrótce to będę ja. Wkrótce nie będę mogła już dłużej ukrywać się przed sobą.

– Ammi... – Chciałam jej powiedzieć, co się ze mną dzieje. Już wtedy prawie zgadła, ale mimo to zataiłam prawdę.

Zdawała się rozumieć.

– Nie zostawię cię. Cokolwiek się z tobą dzieje, dzieje się wbrew twojej woli.

Poczułam w ustach gorzki smak.

– Myślę, że nawet Edan mi nie pomoże.

– Pomoże – upierała się. – Musisz wierzyć. A jeśli nie dasz rady, ja będę wierzyć za ciebie.

Milczałam. Nawet nie mogłam jej podziękować.

– Powinnyśmy iść. – Ściszyła głos i z drżeniem dodała: – Ludzie widzieli twój dywan i dwóch mężczyzn, tych z południowym akcentem, zaczęło o ciebie wypytywać.

Zamarłam, gdy przypomniałam sobie dwójkę, która rozmawiała o ogniu. A więc to byli ludzie szansena.

– Byłabyś bezpieczniejsza beze mnie – powiedziałam Ammi.

– Nie mogę wrócić do pałacu. – Bała się, słyszałam to w jej niepewnych słowach. Mimo to dumnie uniosła podbródek. – Może byłabym bezpieczniejsza, ale ty nie. Nie wygrasz tej bitwy sama, Maiu. Zajmę się tobą, dopóki nie spotkasz się z Lordem Czarodziejem.

– Więc ruszajmy.

Dywan do mnie wrócił. Rozwinęłam go, a on zadrżał i się uniósł, a potem zawisł tuż nad deszczem zbierającym się wokół moich kostek.

Jednak kiedy Ammi wskoczyła na dywan, nie mogłam pozbyć się uczucia, że byłaby bezpieczniejsza tutaj, że powinnam nalegać, by została.

Potrzebujesz jej, zapewniłam się ponownie. Potrzebujesz przyjaciółki.

Ale możesz ją skrzywdzić.

Zmroziło mnie, bo nie wiedziałam, do kogo należał ten głos – do mnie czy do demona.

Rozdział piętnasty

Burza podążyła za nami. Wstęgi błyskawic rozciągały się po ciemnym niebie, a grzmoty huczały jak bębny. Nie mogłam nie myśleć o śmiechu Bandura, gdy z Ammi snułyśmy się między chmurami, ale miałam inne zmartwienia. Zostało nam mało pieniędzy i zero jedzenia. Co gorsza, szukali mnie zarówno żołnierze Khanujina, jak i szansena.

Ammi spała, zwinięta w kłębek po swojej stronie dywanu.

Pozwoliłam jej spać, wdzięczna, że odpoczywa, choć część mnie zazdrościła jej spokoju. Nawet gdybym mogła zasnąć, umysł nie pozwoliłby mi odpocząć. Wciąż odtwarzałam w głowie ostatnią rozmowę z Edanem.

„Spotkajmy się w lesie topoli. Znajdę cię”.

Nie musiałabym za bardzo zbaczać z trasy, żeby udać się do lasu w drodze na Lapzur. Z łatwością mogłam się tam zatrzymać i nadal mieć kilka dni w zapasie – o ile magia dywanu się nie wyczerpie.

Więc dlaczego się wahałam? Chciałam go zobaczyć. Bogowie wiedzą, że chciałam.

A jednak... Bandur zbyt łatwo zgodził się, żebym wzięła ze sobą Edana. O wiele zbyt łatwo.

Zaciągnęłam rękawy, wykręcając ich przypalone rąbki.

Kim w ogóle będę za te dwa tygodnie? Kimś, kto nie czuje miłości? Kimś, kto nie może być kochany?

Czułam, że coraz więcej Mai umyka. Bez względu na to, jak bardzo starałam się zachować wspomnienia, były jak woda, wylewały się przez szwy moich palców. Kiedy myślałam o Edanie, pamiętałam, jak moje imię na jego ustach przepełniało mnie ciepłem i radością, ale nie mogłam przypomnieć sobie, jak to jest dotykać go. Nie pamiętałam nawet brzmienia jego głosu.

Miałam tak nie tylko z Edanem. Z Babą i z Ketonem również. Wkrótce ich rysunki w szkicowniku nie wystarczą, żeby przypomnieć mi, jak bardzo ich kochałam.

Brzask dotknął nitek dywanu, mglistymi promieniami rozświetlając świat w dole. Deszcz wreszcie ustępował, więc zdjęłam kaptur i zerknęłam na Ammi. Marszczyła brwi w niespokojnym śnie, policzki miała czerwone mimo zimna.

Przyłożyłam jej dłoń do czoła.

– Na oddech demona – szepnęłam. Była rozpalona. – Ammi?

Przewróciła głowę na bok, drżąc pod wilgotną peleryną.

– Daj mi spać – wybełkotała.

Musiałam zabrać ją w ciepłe i suche miejsce. Ale dokąd?

Leciałyśmy nad skupiskiem kolumn z piaskowca, spowity mgłą krajobraz rozciągał się na kilometry wąwozów i jarów, a kaskady rwących wodospadów spływały tak daleko w dole, że wyglądały jak obraz. Zmrużyłam oczy i dostrzegłam duże miasto niedaleko przed nami. Po nietypowej panoramie poznałam, że to Nissei, jedno z najbogatszych miast w A'landi.

Nissei leżało na południowym brzegu rzeki Changi, otoczone słynnym Lasem Piaskowych Igieł. Choć nie znajdowało się przy Korzennym Szlaku, wielu kupców przybywało tam dla słynnej porcelany. Mówiono, że sekrety porcelany kostnej są porównywalne z sekretami jedwabiu i z pewnością – ponieważ ceramika jest tak drogocenna – każde dziecko w Nicei uczy się malować porcelanę, zanim uczy się pisać.

Nie chciałam zatrzymywać się w tak ruchliwym mieście, ale nie miałam czasu na szukanie lepszej możliwości. Burza ustąpiła, lecz kolejne ciemne chmury zbierały się na horyzoncie. A Nissei należało do prowincji Bansai.

– Dom mistrza Longhaia – mruknęłam do siebie. Zawsze był dla mnie życzliwy, choć rywalizowaliśmy o stanowisko cesarskiego krawca. Wiedziałam, że nas przyjmie.

Jeśli go znajdę.

Było na tyle wcześnie, że rybacy wciąż pływali po rzece, więc wylądowałam w pustej części portu.

– Ammi – powiedziałam, zarzucając sobie jej ręce na szyję. – Ammi, zabiorę cię do mistrza Longhaia.

Pociągnęłam ją na jedną z bocznych uliczek i zawołałam pierwszy wóz, jaki zobaczyłam, ciągnięty przez dwa muły i prowadzony przez chłopaka w słomkowym kapeluszu i o brudnych paznokciach.

– Co się stało twojemu przyjacielowi? – zapytał.

Nie wziąłby jej, gdyby wiedział, że jest chora. Duże miasta bały się plagi, a w obliczu zbliżającej się zimy ludzie byli bardziej czujni.

– Za dużo wypił – skłamałam, zmuszając się do rubasznego śmiechu. – Muszę dostarczyć go do domu. Mistrz Longhai będzie się martwił. Możesz zajechać do jego warsztatu?

Chłopak zmarszczył czoło.

– Nie jadę do miasta... – zaczął, ale uniósł brwi na myśl o nagrodzie od bogatego krawca. – Ale mogę trochę zboczyć z drogi.

Już ładowałam Ammi do wozu.

Udawałam, że śpię, by chłopak nie zadawał więcej pytań, ale kiedy nie patrzył, zerkalam na miasto. Brukowane ulice, wypłukane deszczem, z poskręcany zielonym mchem między kamieniami, ceglane domy z drewnianymi balkonami ozdobionymi sznurami lampionów, kręty kanał, którego smród drażnił moje nozdrza.

Na każdej ulicy wisały cesarskie zwoje, ale poruszaliśmy się zbyt szybko, bym mogła odczytać ich treść. Spięłam się, mając nadzieję, że to nie listy gończe za mną. Albo za Edanem.

Wreszcie dotarliśmy do warsztatu Longhaia. Tabliczka na drzwiach oznajmiała, że w tym tygodniu ma zamknięte.

Proszę, błagałam w myślach, waląc do drzwi. Proszę, Longhai, bądź w środku.

Ktoś otworzył – kobieta o podłużnej twarzy, z ciasnym kokiem na głowie i miarą wokół szyi. Rzuciła mi ostre spojrzenie. Na pewno wyglądałam okropnie, zmokła od deszczu, niewyspana i w podartych ubraniach.

– Nie otwieramy żebrakom.

– Nie jestem... proszę zaczekać! – Złapałam krawędź drzwi, zanim zatrzasnęła mi je przed nosem.

Łypnęła na mnie. Nie mogłam ryzykować i powiedzieć, że byłam jednym z krawców z konkursu.

– To pilne. – Wskazałam na Ammi, nadal w wozie. – Mój przyjaciel potrzebuje opieki lekarskiej.

Zaczęła zamykać.

– Szpital leży przy Szlaku Malarza.

– Proszę! – wybuchłam rozpaczliwie. – To...

– Madam Su, co to za hałas? – odezwał się znajomy głos. – Próbuję pracować.

– Mistrzu Longhai! – zawołałam. – To ja!

Tęga sylwetka Longhaia pojawiła się na korytarzu.

– Mistrzynie Tamarin – rzekł zszokowany, wciągając mnie do środka. – Co ty tu robisz?

– Jestem z przyjaciółką. Jest... jest chora, a ja nie wiedziałam, dokąd iść.

– Nie mów nic więcej. – Poprowadził mnie na korytarz, grubą ręką machając na szwaczkę. – Madam Su, zapłać chłopakowi i sprowadź dziewczynę do środka.

Na zewnątrz znów zaczynało padać.

– Sądziłem, że minie dużo czasu, zanim ponownie się zobaczymy, Tamarin. Jesteś tu mile widziana. Dopilnuję, żeby twoja przyjaciółka otrzymała odpowiednią opiekę.

Skinęłam w podzięcie.

– A teraz załatwmy ci jakieś czyste ubrania. I obiad! Pamiętam, że zawsze zapominałaś jeść. Musimy cię utuczyć, kiedy tu jesteś.

Madam Su i jej pomocnice wróciły do warsztatu z Ammi i pokazały, żebym poszła za nimi.

– Ma gorączkę – wyjaśniłam Madam Su. – Proszę się nią dobrze zaopiekować.

Sroga twarz kobiety wreszcie złagodniała.

– Miałam cztery córki, które przechodziły gorsze rzeczy. Jeśli ją wysuszymy i ogrzejemy, wyzdrowieje.

Kiedy się umyłam i przebrałam, mistrz Longhai oprowadził mnie po swoim warsztacie. Miał pomieszczenia do cięcia, haftowania i szycia, a także schowek na tkaniny i nici oraz ubrania, które jego pracownicy przygotowywali dla klientów: spódnice z brokatu, szarfy z haftami złotych karpi, niezliczone szaty z intensywnie farbowanego jedwabiu, tuniki ze złotym zdobieniami tak delikatnymi, że aż się mieniły.

Longhai był mistrzem malowania jedwabiu, więc miał osobną pracownię z olśniewającą kolekcją farb i kamieni pisarskich. Na sosnowym stole naprzeciwko jego stanowiska pracy spoczywały ręcznie malowane wachlarze. Na ścianie wisiał zwój z pieczęcią poprzedniego cesarza, ojca Khanujina, chwalaący Longhaia za mistrzostwo w fachu.

Gdy zobaczyłam to wszystko, zrobiło mi się ciężko na sercu. Zaledwie kilka miesięcy temu marzyłam tylko o tym, by zostać cesarską krawcową, by pewnego dnia mieć własny warsztat i własną rodzinę.

Teraz nie byłam pewna, czy to kiedykolwiek się wydarzy.

Longhai nie zadawał mi żadnych pytań. Co tak naprawdę tu robiłam, dlaczego nie pracowałam dla Khanujina, dlaczego w drzwiach nie przedstawiłam się Madam Su prawdziwym imieniem.

Poczucie winy podeszło mi do gardła i wyznanie wylało się, zanim zdążyłam je powstrzymać.

– Jeśli chodzi o konkurs – zaczęłam – przepraszam, że cię oszukałam... że jestem mężczyzną.

– Nie dbam o to, czy jesteś klaczą, czy ogierem, młoda Tamarin. Jesteś zbyt utalentowana. Nawet gdybym był ślepy, zatrudniłbym cię w mgnieniu oka. Nigdy nie poznałem twojego ojca, ale wyobrażam sobie, że jest z ciebie bardzo dumny.

Chciałam ucieszyć się z tej pochwały, ale ledwie zdołałam wymusić uśmiech.

– Już nie jestem taka pewna.

Na jego twarzy odmalowała się walka. Zamknął za nami drzwi.

– Otrzymałam to kilka dni temu – oznajmił, rozwijając zwój wyciągnięty z szuflady sekretarzyka.

To był mój portret, i to dosyć dokładny. Artysta uchwycił moje piegi i typowe uczesanie, nawet przygryzałam wargę jak wtedy, gdy się denerwowałam.

Maia Tamarin, lat 18. Może podróżować jako jej brat Keton Tamarin. Jeśli ją znajdziesz, natychmiast sprowadź ją do władz żywą. Nagroda 10 tysięcy złotych.jenów.

– Mistrzu Longhai, mogę wyjaśnić... – Język mi się plątał, gdy szukałam odpowiednich słów.

Longhai przedarł portret na pół.

– Jestem pewien, że to nieporozumienie. Jeśli chcesz, porozmawiam z namiestnikiem w twoim imieniu. Mam pewne wpływy w mieście, posłucha mnie.

– To nie takie proste, ale dziękuję.

– W takim razie możesz ukrywać się tu tak długo, jak chcesz. Moim pracownikom można ufać, ale uważaj. Nawet najbardziej szczerzy człowiek zmieni się w żmiję dla dziesięciu tysięcy jenów.

Dziesięć tysięcy jenów. Jeszcze niedawno nawet nie śniłam o takiej sumie. Teraz tyle wynosiła nagroda za schwytanie mnie.

Przełknęłam ślinę.

– Widziałam zwoje na budynkach w Nissei. To listy gończe za mną?

– Nie, to pobór do wojska. – Longhai spoważniał. – Nie słyszałaś? Jego Wysokość ponownie zbiera armię. – Oparł się o sekretarzyk. – Zabrał moich synów i wielu pracowników.

Podłoga zadrżała mi pod stopami i straciłam ostrość widzenia. Cały warsztat mógłby się zawalić, a ja stałabym tam sparaliżowana

z szoku. Myślałam tylko o Ketonie. Bogowie, gdyby cesarz znów po niego przyszedł, wszystko, co zrobiłam, poszłoby na marne.

– Wiedziałam, że wojna wróciła. – Gardło ścisnęło mnie tak, że mówienie sprawiało ból. – Ale jeśli dotarła już tak daleko na południe... Myślałam, że mamy więcej czasu.

– Niestety nie. Doszło do bitwy w prowincji Dżingszan, niedaleko Zimowego Pałacu. Jego Wysokość stracił tysiąc ludzi. Potrzebuje więcej.

Zacisnęłam pięści, próbując ignorować złość wzbierającą pod moją skórą. Nie było nadziei na pokój, nie z zaginioną Lady Sarnai. Nie z bezsilnym Edanem.

Szansen ma po swojej stronie Gyiurak. Jest zbyt silny. Rozerwie mój kraj nitka po nitce.

Alandi upadnie.

Deszcz i grzmoty wypełniały ciszę między nami. Wzięłam głęboki wdech. Powoli moje ramiona opadły.

– Nie możemy nic zrobić. – Milczałam, więc Longhai sam odpowiedział na moje pytanie. – Nie masz się czym martwić, kiedy jesteś pod moją opieką...

– Żołnierze cesarza są tutaj? – zapytałam. Zmroziło mnie.

– Opuścili miasto kilka dni temu, kiedy ogłoszono, że znów zaczęła się wojna. Idą na północ, żeby bronić Zimowego Pałacu. Podobno armia szansena już tam jest.

Zalała mnie mieszanka ulgi i strachu.

– Byłam tam.

– Nie wrócą cię szukać – zapewnił mnie.

Zdołałam jedynie wymusić słaby uśmiech. Spodziewałam się setki mężczyzn i kobiet w jego warsztacie, ale tylko garstka szwaczek nerwowo chichotała przy stołach. Teraz wiedziałam dlaczego.

– Wiesz, dokąd zmierzają urzędnicy poborowi?

Proszę, nie mów, że na północ, błagałam milcząco. Nie do Port Kamalan.

– Nie wiem – odparł. – Mistrzynie Tamarin, wyglądasz na zatroskaną.

– Martwię się o brata. Jedyne go, który mi został.

Stary krawiec mi się przyjrzał.

– Prawdziwego Ketona?

– Na wojnie został ciężko ranny – wyjaśniłam ponuro. – Zająłam jego miejsce, żeby wziąć udział w konkursie. Wojna już odebrała mi dwóch braci. Boję się, że jeśli nadejdzie kolejna... – Nie mogłam dokończyć tej myśli. Ręce mi opadły.

– Wojna odebrała mi ukochanego – przyznał cicho. – Był mi droższy niż ktokolwiek na świecie.

Spojrzałam na niego. Nie wiedziałam.

– Och, mistrzu Longhai...

– Czas leczy wszystkie rany, nawet te w sercu – przerwał mi. – Teraz modłę się tylko o to, by moich synów spotkał łaskawszy los. I twojego brata.

Nie śmiałam się modlić. Nie wiadomo, kto by mnie wysłuchał – bogowie czy demony? Mimo to skinęłam głową.

– Powinnaś napisać do Ketona i do ojca. Nawet kilka słów uspokoi ich obawy. Mówię jako ojciec i jako przyjaciel. Wyślę listy dyskretnie.

– Dziękuję, mistrzu Longhai – powiedziałam cicho. – Nie wiem, jak kiedykolwiek ci się odwdzięczę. Za to, że pozwalasz nam tu zostać... i za to, że byłeś dla mnie życzliwy podczas konkursu. Uznaj za dar losu, że nie wygrałeś.

– Słyszałem, że kazała ci uszyć suknie Amany – zaczął powoli. – Naprawdę ci się udało?

Teraz to ja się zawahałam.

– Tak.

– Dałbym wszystko, żeby je zobaczyć.

Nie powiedziałam mu, że pozostałe dwie suknie są w amulecie. Tego sekretu nie zdradziłam nawet Ammi.

– Miały przynieść pokój – odezwałam się w końcu. – Ale wierzę, że byłoby lepiej, gdybym nigdy ich nie uszyła. A nawet gdybym została

w Port Kamalan i nigdy nie przyjechała do pałacu.

– Z twoim talentem? – Zaśmiał się, a potem spoważniał na widok mojej nieszczęśliwej miny. – Nie wybieramy krawiectwa, tkanina wybiera nas. To uczucie w naszych palcach i uczucie w naszych sercach. Bogowie uznali cię za właściwą osobę, by sprowadzić suknie Amany z powrotem na ziemię. Musisz wierzyć, że był ku temu jakiś powód, młoda Tamarin. Dobry powód.

Odpowiedziałam beznamiętnym skinieniem. Kiedyś bym mu uwierzyła.

Ale było dla mnie o wiele za późno.

Rozdział szesnasty

Ammi dochodziła do siebie pod opieką Madam Su. Chciałam cały dzień siedzieć przy jej łóżku, ale obiecałam Longhaiowi, że pomogę w warsztacie. Dlatego gdy Ammi odpoczywała, dołączyłam do jego pracowników.

Nożyczki szumiały mi przy biodrze, ale ignorowałam ich wołanie. Żadnej magii na dziś – szycie mnie uspokajało i potrzebowałam zajęcia. Moje palce nie były tak zwinne jak miesiąc temu, ale Longhai powierzył mi łatwe zadania. Zacerowałam koszulę dla uczzonego i wyhaftowałam motyle na pantoflach dla córki kupca.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi, wszyscy mieli dużo pracy, a szwaczki rozmawiały między sobą.

– Słyszałam, że uczony Boudi w zeszłym tygodniu wziął trzecią konkubinę.

– Kolejną? Nie wiem, jak może sobie na to pozwolić.

– Tak, tak. Pomyślcie, co będzie, kiedy nadejdzie wojna. Ceny jedwabiu pójdą w górę!

Słuchając ich plotek, myślałam o szwaczkach, które zostawiłam w Sali Posłusznego Cerowania. Miałam nadzieję, że przetrwały atak szansena.

W południe szwaczki wyszły na obiad. Zostałam w pracowni. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio byłam głodna.

– Nie zamierzasz jeść, przyjaciółko? – zapytał Longhai, widząc mnie wciąż przy pracy. – Dziś mamy duszoną wołowinę z makaronem ryżowym, ulubione danie wszystkich.

Nie podniosłam wzroku.

– Prawie skończyłam.

Usiadł na stołku obok mnie i obejrzał moje dzieła.

– Twój talent nie przestaje mnie zachwycać, mistrzyni Tamarin.

Podniosłam haftowane pantofle.

– Nie ma w nich nic zachwycającego.

Wskazał moje ciasne, równe szwy i dziewięć kolorów, które przez ostatnie dwie godziny wszyłam do projektu.

– Nawet kiedy wkładasz tylko połowę serca w swoją pracę, jesteś lepsza niż większość mistrzów. Powinienem dziękować twojemu ojcu, że trzymał cię w Port Kamalan. Gdybyś dorastała w prowincji Bansai, wyeliminowałabyś mnie z branży.

Zaśmiałam się.

– Twój ojciec też był krawcem?

– Na mędrców, nie. Był malarzem porcelany, przed nim jego ojciec, i tak dalej. Pięć pokoleń porcelany kostnej w mojej rodzinie. Nasz sklep był pierwszym przystankiem kupców w Nissei. Ojciec prawie się mnie wyrzekł, kiedy wyraziłem zainteresowanie krawiectwem, ale dziadek dostrzegł we mnie talent i pozwolił matce w tajemnicy uczyć mnie haftowania. – Gestem wskazał portret swojej matki, który wisiał w widocznym miejscu i górował nad pracownią. – Mój młodszy brat ma sklep z porcelaną. Przez wojnę nasze interesy prawie upadły, gdybyśmy nie mieli siebie nawzajem, nigdy byśmy nie przetrwali. Mimo to w porównaniu z innymi los mnie oszczędził. Mam reputację, zdrowie i warsztat. – Zamilkł, a ja wiedziałam, że myśli o ukochanym straconym na poprzedniej wojnie i synach wezwanych do walki w najnowszej.

Błyskawica przecięła szare niebo i Longhai wyrżał przez okno.

– Smoki się bawią – mruknął.

– Smoki? – powtórzyłam. – To tutejsze powiedzenie?

– Nie słyszałaś go wcześniej? Pewnie w Port Kamalan nie macie wielu tajfunów latem. W Bansai mamy i tajfuny latem, i ulewy zimą. – Otworzył jedwabny wachlarz. – Kiatanie mówią, że smoki na niebie sieją niezgodę na ziemi, sprowadzając deszcze i trzęsienia. Ich handlarze porcelany zawsze to powtarzali, kiedy zjawiali się latem, a miejscowi podchwycili powiedzonko. Lubię je.

– Jest bardzo poetyckie.

– Na twoje szczęście to mały smok. Utrudnia podróżowanie, ale szybko mija. – Sięgnął do kieszeni po monety. – To nic w porównaniu do twojej zapłaty w pałacu, ale...

– Nie mogę przyjąć twoich pieniędzy. – Pokręciłam głową. – Proszę. Szczególnie po tym, jak zachowałeś się tak życzliwie wobec Ammi.

Longhai odłożył monety na stół, pozostawiając mi decyzję, czy je wezmę.

– Ammi? – Brzuch zadrżał mu ze śmiechu, kiedy krawiec sobie przypominał. – Ach, służąca z kuchni, która podawała ci śniadanie.

– Zaprzyjaźniłyśmy się – wyjaśniłam. O moich następnych słowach myślałam, odkąd zjawiłam się w jego warsztacie. – Zastanawiałam się, czy mogłaby zostać u ciebie.

Złożył wachlarz. Rozbawienie zniknęło z jego oczu i na powrót spoważniał.

– Wybierasz się dokądś?

Przygryzłam wargę. Co miałam powiedzieć – że zmierzam na Zapomniane Wyspy Lapzuru, żeby zostać strażniczką? Że o ile nie pokonam Bandura, wkrótce stanę się demonem?

A może powinnam powiedzieć, że szukam Edana?

Odkąd Ammi zachorowała, unikałam myślenia o Edanie. Czy już czekał na mnie w lesie? A co, jeśli – kiedy go znajdę – będę bardziej potworem niż Maią?

– Rozgniewałam cesarza Khanujina swoją służbą – rzekłam wymijająco – dlatego staramy się uciec jak najdalej od Zimowego Pałacu. Ammi nie zrobiła nic złego.

– Rozumiem – przytaknął cicho. – Wyspy Tambu mogą zapewnić ci schronienie. Kiedy minie burza, zaaranżuję podróż...

– Nie planuję się chować – oznajmiłam stanowczo. Nie dodałam nic więcej.

– A co z Lordem Czarodziejem?

Moje palce zamarły i pociągnęłam nitkę za mocno, przez co materiał się zmarszczył. Z zaciętą miną zaczęłam pruć za ciasne szwy. Mimo wszelkich starań nie mogłam ich wyprostować.

Longhai położył dłoń na mojej pracy, żebym podniosła wzrok. Złagodniał.

– Mam wielu przyjaciół, którzy przychodzą do pałacu i z niego odchodzą. Tuż przed twoim przybyciem przyszła wiadomość, że zaginął. Słyszałem, że pomagał ci przy tworzeniu sukien Amany.

– Pomagał – potwierdziłam. Nie chciałam rozmawiać o Edanie.

– Mistrzynie Tamarin...

Na dźwięk mojego nazwiska poderwałam się ze stołka. Nie byłam głodna, ale złapałam się za brzuch, udając, że nagle zgłodniałam.

– Co mówiłeś o wołowinie z makaronem, mistrzu Longhai? Zatrzymaj monety, ale jednak zjem obiad.

Zanim zdążył odpowiedzieć – albo zadać więcej pytań – wymknęłam się z pracowni.



Wiatr wył, jego niski, gardłowy ryk wprawiał w drżenie nawet solidne ściany warsztatu Longhaia. Szpilki w miseczce na moim stole stukotały, a ja nachyliłam się, by ponownie zapalić świecę.

Szwaczki wyszły już kilka godzin temu. Siedziałam sama przy krośnie i patrzyłam na kaskadę deszczu na zewnątrz.

Zdjęłam dywan z krosna. Zacerowałam dziury i doprowadziłam do porządku część poszarpanych frędzli, ale jego magia się wyświechtała. Jeśli będę miała szczęście, może poniesie mnie jeszcze przez kilka dni, a dalej pojedę konno.

Ale jak znajdę las, w którym mam spotkać się z Edanem?

Nie miałam map ani lustra prawdy, a mój wzrok demona nie wracał, odkąd złożyłam obietnicę Bandurowi.

Część mnie chciała złamać obietnicę i udać się na Lapzur bez Edana. Zawsze miałam taki plan – iść sama – ale jeśli mogłam nadal być ze sobą szczerą, to nie dlatego, że pragnęłam być odważna, szlachetna czy lojalna.

Ale dlatego, że się bałam. Bałam się samej siebie.

Obecność Edana na Lapzurze tylko narazi go na niebezpieczeństwo – ze strony Bandura i mojej.

A jednak... złożyłam obietnicę i resztką Mai we mnie chciała, musiała ją spełnić... żeby trzymać się pozostałego we mnie człowieczeństwa. Kiedy i jeśli poddam się strachowi przed moim wewnętrznym demonem, Bandur wygra.

Muszę znaleźć Edana, pomyślałam. Ale jak?

Rozmyślałam o historii kiatańskiej księżniczki i o papierowych żurawiach, które składała i czarowała, by pomogły jej odnaleźć braci.

Mogłam złożyć ptaka, by odnalazł Edana.

Odciełam skrawek z dywanu. Magia Edana nasycająca jego włókna osłabła, ale moje nożyczki miały jej dosyć, by wysłać go na misję.

Ostrożnie złożyłam skrawek w ptaka. Supełki za oczy, aby widział, i dwa skrzydła, aby poleciał przez burzę, silny i potężny.

Przytknęłam amulet do ptaka, malując skrzydła srebrnym światłem z łez księżycy, i delikatnie pocałowałam jego głowę.

– Znajdź Edana – wyszeptałam. – Przeszukaj lasy i góry. A potem wróć i pokaż mi drogę. Prędko.

Jeśli nie dotrę na Lapzur do przyszłego tygodnia – przed pełnią – Bandur i jego duchy odbiorą mi wszystkich, których kocham.

Oddam mu się z własnej woli, zanim do tego dojdzie. Ale jeszcze nie. Nie, jeśli mogę ostatni raz zobaczyć Edana. Nie, jeśli razem mamy szansę pokonać Bandura.

Uchyliłam okno i wypuściłam ptaka. Patrzyłam, jak snuje się między igłami spadającego deszczu.

A potem czekałam.

Rozdział siedemnasty

– Jeśli odejdziesz, nie będziesz tu więcej mile widziany.

Edan się nie zawahał. Zdjął świątynną szatę, złożył i podał staremu mężczyźnie – mistrzowi Świątyni Nanduna.

– Zostałeś przeznaczony magii – dodał mistrz, ostrzegając go po raz ostatni. – Nie przekreślaj wszystkich postępów, jakie tu dokonałeś, żeby iść z tą dziewczyną. Pochłania ją ciemność. Nie pozwól, żeby pochłonęła też ciebie. Zostań i dokończ szkolenie.

– Kiedyś zostałem przeznaczony magii – zgodził się Edan – ale z powodu Mai nie jestem już czarodziejem. Teraz jestem przeznaczony jej. Jej ponad wszystkim.

Nie czekając na odpowiedź mistrza, udał się do stajni po ogiera, którego ukradł z Jesiennego Pałacu, i ruszył do lasu.

Góry Tura znikwały w oddali, gdy Edan mknął przed siebie. Przemierzał las pełen topoli o pniach prostych jak pręty bambusa, niczym królestwo igieł.

– Maiu, czekaj na mnie – mamrotał pod nosem. – Jadę do ciebie.

Na dźwięk swojego imienia wizja – czymkolwiek była, snem czy moim wzrokiem demona – rozwiązała się i zastąpił ją widok mojego materiałowego ptaka. Frunął na wietrze, szukając Edana. Zaczął dziko trzepotać skrzydłami, kiedy w głębi lasu dostrzegł skupisko topoli i swojego czarodzieja snującego się między nimi.

Mój ptak go znalazł! Światło gwiazd zamigotało na jego skrzydłach, gdy wystrzelił w niebo i ruszył z powrotem do mnie, śpiącej w warsztacie mistrza Longhaia.

Jednak wtedy gwiazdy zaczęły się rozpadać. Ziemia zadrżała i pochłonęła drzewa, góry i księżyc. Z ciemnej otchłani wyleciały cienie o czarnych oczach i mglisto białych włosach.

Sentur'na.

Mój ptak przeciął kłębowisko, machając skrzydłami, by odpędzić duchy. Jednak było ich zbyt wiele. Otoczyły moje łóżko, wyciągając szkieletowe ręce. Ich palce zaciskały się wokół mojej szyi, wyrzywały mi ostatni oddech, a mój amulet poczerniał...

– Obudź się! – krzyknął nagle ptak. – Obudź się!



– Maiu, obudź się!

Poderwałam się na łóżku, ciężko sapiąc.

Ciepła ręka spoczywała na moim ramieniu.

– Oddychaj – powiedziała Ammi z krawędzi łóżka. – Oddychaj.

Serce waliło mi w piersi.

– Co... co...

– Krzyczałaś przez sen. – Z oczu mojej przyjaciółki biła troska.

– To tylko zły sen – zbagatelizowałam drżącym głosem.

– Ostatnio często miewasz złe sny.

– Co krzyczałam?

Puściła moje ramię. Wyglądała na zmęczoną, jej koc leżał na ziemi. Widocznie przerwałam jej odpoczynek.

– Mówiłaś w języku, którego nie znam. To brzmiało, jakby ktoś próbował cię zabić. Na końcu ciągle powtarzałaś jedno słowo.

– Jedno słowo? – spytałam szeptem, choć już wiedziałam.

Cienie wylały się z płomienia świecy, a twarz Ammi straciła ostrość.

Sentur'na.

Nadal słyszałam w głowie ich głosy. *Wróc do nas*, wołały zawzięcie.

Drewniane krawędzie amuletu drapały mnie po skórze, szorstkie i ciepłe, gryzące się z chłodem, który ścisnął mnie w środku. Wpiłam paznokiec w amulet, próbując otworzyć pęknięcie, by wypuścić moc Amany i uciszyć głosy.

Nie. Zmusiłam się, by cofnąć rękę. Tego chce Bandur. Chce, bym polegała na sukniach. Chce splugawić ich moc, tak jak chce splugawić mnie...

– Co to? – zapytała Ammi, wyrywając mnie z myśli. – Mogę zobaczyć?

Chciałam odmówić, ale przemogłam się, by podać jej amulet.

Podniosła go do światła i pęknięcie na szkle zalśniło.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam! – zawołała. – Skąd go masz?

Nie słuchałam. Gardło zacisnęło mi się, jakby ktoś mnie dusił. Rozgrzane do czerwoności kolce ognia kłuły mnie w oczy, które płonęły jaskrawiej niż kiedykolwiek.

– Maiu! – Ktoś złapał mnie za barki. – Maiu, nic ci nie jest?

Wyrwałam się.

– Nie dotykaj mnie – warknęłam.

– Przepraszam. – Dziewczyna puściła. Spojrzałam na jej okrągłą twarz, jej życzliwe, ale teraz przerażone oczy. – Maia?

Maia? Wycofałam się, zdezorientowana. To imię brzmiało znajomo. Jej twarz wyglądała znajomo. Dlaczego nie pamiętałam?

Demony pochłoną cię kawałek po kawałku. Wspomnienie po wspomnieniu. Aż nie zostanie nic.

Gdy ponownie spojrzałam na dziewczynę, jej białe zęby zalśniły w świetle świecy, wyrosły jej kły i porosło ją szare futro.

Bandur.

Złapałam go i uderzyłam nim o okno. Żelazna transenna zadrżała za jego plecami, a on krzyknął z bólu. Wpiłam mu paznokcie w ramiona.

– Maia! – pisnął. – Maia, proszę, przestań! Robisz mi krzywdę!

Nie stawiał się, ale wiedziałam, że nie można mu ufać. Za jękami i szkarłatnymi oczami pełnymi bólu szczyrzył się do mnie perfidnie – i miał mój amulet!

– Oddawaj to – wychrypiałam.

Wybałuszył oczy ze strachu.

– Proszę.

Narzuciłam amulet na szyję i sapiąc, wycofałam się w róg pokoju. Bolało, jakby ktoś wyrwał mi serce z piersi. Ale dlaczego? Nic takiego wcześniej nie miało miejsca.

Bo to twój amulet demona, wyjaśnił radośnie demon. A wewnątrz skrywa moc księżyca i gwiazd. Kiedy spełnisz obietnicę daną Bandurowi, ciemność pochłonie także suknie.

Postać, którą błędnie uznałam za Bandura, z jękiem osunęła się na ziemię. Z jej ramienia ciekła krew. Cień wilka tańczył na ścianie za nią, obnażając krzywe kły i śmiejąc się nisko.

Kolana się pode mną ugięły. Odzyskałam ostrość widzenia.

Ammi. Właśnie zaatakowałam Ammi.

– Bogowie – szepnęłam i popęztałam do przyjaciółki.

Skuliła się przede mną. Nie chciała spojrzeć mi w oczy.

Teraz już wiedziała, czemu płonęły czerwienią.

Delikatnie podniosłam Ammi i położyłam ją na łóżku. Uklękałam przy niej.

– Przepraszam. Proszę, wybaczyć mi.

– To... to był wypadek. Nic mi nie jest.

Wypadek. Poczułam gulę w gardle, bo to nie był wypadek i obie o tym wiedziałyśmy. Mój stan się pogarszał. Bandur ze mną pogrywał, a ja nie wiedziałam, co jest prawdziwe, a co nie.

Chwiejnie wstałam. Nie ufałam sobie, żeby jej pomóc. Nie ufałam sobie, żeby spać z nią w pokoju.

– Poproszę służące mistrza Longhaia, żeby ci pomogły.

Zanim zdążyła zaprotestować, wypadłam z pokoju i zamknęłam drzwi. Przyłgnęłam plecami do ściany, usiłując złapać oddech.

Wściekłość wiła się we mnie, skręcała się tak mocno, że ścisnęła płuca.

Kiedy wreszcie zdobyłam się na odwagę, by wrócić do pokoju, zobaczyłam, że Ammi zapaliła świecę, jakby bała się ciemności.

– Przepraszam – powiedziałam cicho. – To nigdy wcześniej się nie zdarzyło. I nigdy więcej się nie powtórzy. Obiecuję.

Obietnica zabrzmiała pusto, nawet dla mnie. Na szczęście Ammi jej nie słyszała, bo zasnęła.

Opadłam na ziemię i sięgnęłam do sakwy po sztylet. Odkąd poświęciłam suknię słońca, byłam odrętwiała. Nie czułam zimna ani ciepła, bólu ani głodu. Prawie nie spałam.

– Jinn – wyszeptałam.

Krawędź z meteorytu obudziła się do życia, żyłki płynnego srebra załśniły i zamigotały. Nie pamiętałam, żeby ze sztyletu bił taki żar. Serce mi przyspieszyło, kiedy przebiegłam palcami po ostrzu...

– Aaa! – krzyknęłam. Ostry ból przeszył moją dłoń, a opuszki oderwały się od meteorytu jak od rozżarzonych węgli.

Przytrzymując poparzone palce, schowałam sztylet z powrotem do sakwy. Uchyliłam okno i wetchnęłam chłodne powietrze. Białe światło księżyca wlało się do środka i zatańczyło na moich nagich kolanach. Kołysałam się, ściskając dłoń, by uśmierzyć ból.

Minęło sporo czasu, zanim ustąpił i odzyskałam czucie w palcach. Jedno było pewne: kończył mi się czas.

Rozdział osiemnasty

Słońce malowało cętki na bambusowej ramie okna, a między chmurami prześwitywały skrawki modrego nieba. Burza w końcu ustąpiła.

Ammi wstała z łóżka po raz pierwszy, odkąd ją zaatakowałam. Deski skrzypiały pod jej stopami, gdy szła na palcach w stronę drzwi. Poruszyłam się na łóżku, żeby usiąść i ją zawołać, ale znieruchomiała na dźwięk szmeru.

Ja również znieruchomiałam. Zdawało się, że odczekała dłuższą chwilę, po czym odetchnęła cicho i zamknęła za sobą drzwi. Słyszałam, jak zbiega po schodach.

W życiu nie czułam się tak okropnie. Czy ona mnie unikała?

Ubrałam się, by dołączyć do niej na śniadaniu. W głowie przećwiczyłam trzy rzeczy, które musiałam jej powiedzieć. Że już jej nie skrzywdzę, że odchodzę odnaleźć Edana. Że jest mi przykro.

Jednak kiedy zobaczyłam, jak pomaga Longhaiowi gotować ciasto na bułeczki na parze, uciekłam, zanim mnie zauważyła.

– Nie jesz śniadania? – zapytała Madam Su, mijając mnie w korytarzu.

– Już jadłam – skłamałam. Zerknęłam na bandaż, które niosła na tacy. – Ktoś jest ranny?

– Ammi, nie wiedziałaś? – Na jej twarzy odmalował się niepokój. – Wczoraj paskudnie upadła. Na szczęście ma tylko kilka zadrapań.

Coś wezbrało w mojej piersi i zdusiło słowa w gardle.

– Mówiła, jak to się stało?

– Tak, ale musiałam wyciągnąć to z niej siłą. – Zaśmiała się. – Powiedziała, że potknęła się o kociółek. Ale, co zabawne, nie zostawiłam kociółka w waszym pokoju.

W moim brzuchu zakipiało poczucie winy. Może Ammi nigdy nie powie, co się wydarzyło, może będzie udawać, że nic się nie stało. Ale tak jak dawna ja, Ammi również nie potrafiła kłamać.

Nic dziwnego, że wczoraj nie mogła na mnie spojrzeć, a dziś nie chciała ze mną rozmawiać.

Bała się mnie. To bolało, ale nie mogłam jej winić.

Ja się siebie bałam.



– Wszystko w porządku? – zagaił Longhai później tego dnia. – Madam Su wspomniała, że wyglądałaś na zmartwioną, choć szczerze mówiąc, nie jesteś sobą, odkąd tu przybyłaś.

Skupiłam się na pracy. Dziś miałam za zadanie wyhaftować górski krajobraz na szalu szlachcica.

– Spójrz na mnie, przyjaciółko.

Uparcie nie podnosiłam wzroku.

– Przepraszam, po prostu późno dziś zaczęłam. Jeśli będę się ociągać, nie skończę szala na czas...

– Och, mniejsza z szalem, może poczekać. Co się dzieje, Maiu?

W końcu na niego spojrzałam. Pierwszy raz użył mojego prawdziwego imienia. Czy brzmiało obco dlatego, że nigdy nie słyszałam go z jego ust, czy dlatego, że przestawało być moje?

Westchnął.

– Chodź ze mną.

Odłożyłam szal i poszłam za Longhaiem do jego pracowni. Tym razem zamiast chłonać obrazy i narzędzia, przyjrzałam się palisandrowym stołom i krzesłom wyściełanym drogim brokatem, bezcennym haftowanym zwojom na ścianach i ręcznie malowanymi wazonami na lakowanych szkarłatnych półkach. Mimo wszystkich tych kosztowności moją uwagę przykuł żakiet za sekretarzykiem Longhaia.

Był to uroczysty mundur wojskowy. Zdobiły go brązowe frędzle oraz zawile wzory z brokatu wysadzanego koralowiną i jadeitowymi guzikami. Na lewym rękawie widniał haft – tygrys.

– Należał do szansena? – spytałam.

– Tak – potwierdził Longhai. – Do dwudziestego trzeciego szansena.

Obecny szansen, Lord Makangis, był dwudziesty siódmy. To oznaczało, że mundur pochodził z dynastii Qingmin. Niewiele dzieł przetrwało wojnę, podczas której obalono ostatniego cesarza Qingmin.

– Musi być...

– Bezcenny? Tak, wydałem na niego głupią fortunę. Ale służy mi za przypomnienie tego, co odbiera nam wojna. Sztukę i nasze dzieci.

– Ściszył głos. – Żyjemy w niebezpiecznych czasach, mistrzyni Tamarin. Mamy dobry powód wierzyć, że dynastia cesarza Khanujina się kończy i szansen przejmie tron, ale tylko bogowie wiedzą, co się wydarzy. – Popatrzył mi w oczy. – Jesteś w niebezpiecznej sytuacji, chcą cię obie strony. Niewielu potrafi ci pomóc, a ty nie poprosiłabyś o pomoc, nawet gdybyś jej potrzebowała.

Edan zauważył to podczas konkursu.

Potrzebowałam pomocy. Desperacko.

– Burza minęła. – Tylko tyle zdołałam wykrztusić. – Chciałam odejść dziś rano, ale...

– Ach, słyszałem, że twoja przyjaciółka upadła.

– Tak – wychrypiałam.

– Nie powiedziałaś jej, że odchodzisz – domyślił się, wycytując poczucie winy z mojej twarzy. – Musisz iść, ale nie możesz zabrać jej ze sobą.

Po tym, co się wydarzyło z Ammi, za nic nie zmieniałabym zdania. Nie mogła udać się ze mną na Lapzur ani nawet w Góry Tura, by szukać Edana. Nie mogłam ryzykować.

– Nie, nie mogę. Muszę iść sama. Żołnierze... Jej nikt nie szuka.

Ponuro skinął głową.

– Będzie tu bezpieczna. Ale ty... Maiu, nie spodziewaj się, że dotrzesz daleko na piechotę.

Ściągnęłam usta.

– Mogłabym pożyczyć konia. Tylko... nie obiecuję, że go zwrócę. I może jakieś mapy.

– Do wieczora przygotuję ci najszybszego wierzchowca. Zostaniesz na kolację, prawda?

– Muszę wyjechać, jak tylko skończę pracę. Przed zmierzchem. Obawiam się, że już zostałam za długo.

Słyszając moje słowa, spochmurniał, ale – chwała mu – nie zadawał więcej pytań.

– Niech mędrcy mają cię w swojej opiece, młoda Tamarin. I niech bogowie mają w swojej opiece nas wszystkich.

Powtórzyłam jego słowa, ale nie miałam serca, by w nie uwierzyć.



Kiedy burza minęła, ulice przed warsztatem Longhaia zatętniły życiem. Powozy toczyły się po drogach, a Madam Su witała klientów przed sklepem. Nie chciałam zostać zauważona, więc wymknęłam się z pracowni, by znaleźć Ammi. Próbowałam zebrać się na odwagę, żeby porozmawiać z nią przed wyjazdem.

Znalazłam ją w kuchni, gdzie mieszała coś w garnku.

– Chcesz zupy, Maiu? Zjedz trochę, zanim inne szwaczki się do niej dobiorą. Kucharka Longhaia ma wolne, więc jestem w kuchni sama.

Szczebotała bardziej niż zwykle i choć brzmiała spokojnie, wiedziałam, że stresuje się w mojej obecności.

– Ammi, prze...

– Nie musisz kłamać – palnęła. – Wiem, że to nie byłeś ty, tylko cień w tobie.

Cień we mnie. Można to tak ująć.

Ammi przygryzła wargę, by nie drżała.

– Co się z tobą dzieje, Maiu? Nie poznawałaś mnie.

Nie poznawałam samej siebie, pomyślałam, lecz nie powiedziałam tego na głos.

Nadszedł czas wyznać prawdę.

– Co wiesz o demonach? – zapytałam.

Zawahała się i odłożyła łyżkę do garnka.

– Dorastałam z historiami o demonach. Nasz szaman mówił, że wałęsały się po świecie, siejąc chaos i nieszczęście, zanim zainterweniowali bogowie. Mówił, że wtedy magia była dziksza.

– Natknęłam się na potężnego demona podczas mojej podróży z Lordem Czarodziejem. – Wzięłam wdech. – Kiedy szukałam krwi gwiazd, demon strzegący Lapzuru naznaczył mnie i zażądał mojej duszy. Edan targował się z nim, żeby zająć moje miejsce, ale ponieważ uszyłam suknie, demon już nie chce Edana. Teraz to ja muszę zostać strażniczką wysp.

Ammi się wycofała.

– Zamieniasz się w demona?

Nie zamierzałam dłużej jej okłamywać.

– Tak. Edan czeka, żeby razem ze mną udać się na Lapzur.

Po tych słowach zamilkłam, czekając na jej reakcję.

– Więc musimy ruszać jak najprędzej. Jutro o świcie. – Dotknęła mojego ramienia, nadal niepewna, lecz kiedy spojrzała prosto na mnie, strach w jej oczach zniknął. – Dziękuję, że mi powiedziałaś, Maiu.

Nie miałam tyle czasu. Planowałam ruszyć tego wieczoru, jak tylko zacznie zmierzchać.

– Pomogę ci – zapewniła mnie. – Lord czarodziej też. Jeśli magia wpakowała cię w te kłopoty, to magia cię uratuje.

Naprawdę w to wierzyła.

Edan cię nie uratuje, zaprzeczył cień we mnie. Nikt cię nie uratuje.

Zignorowałam głosy i skinęłam głową.

– Mam nadzieję.

Nie chciałam okłamywać Ammi, lecz to nie znaczyło, że nie byłam skłonna okłamywać samej siebie.



Pakowałam się w pokoju, kiedy coś zapukało w okno. Zignorowałam hałas.

I znowu.

– Dziwne – mruknęłam. Podeszłam do okna i je otworzyłam.

Tam! Mój materiałowy ptak utknął w transennie. Delikatnie go uwolniłam i wpadł do środka, okrążył mnie, a potem wylądował na mojej dłoni, wciąż dziko trzepocząc skrzydłami.

– Znalazłeś go? – zapytałam.

Zeskoczył z mojej dłoni i podfrunął do okna.

– Już idę. Jestem gotowa.

Mój dobytek był niewielki. Flet Edana, szkicownik, nożyczki. Sztylet.

Nie miałam czasu pożegnać się z Ammi, a nawet gdybym zostawiła jej list, nie potrafiłaby go przeczytać. Wyrwałam więc kartkę ze szkicownika i złożyłam ją w papierowego ptaka, takiego jak ten, którego uszyłam, by znalazł Edana. W ostatniej chwili wyszarpnęłam włókno z dywanu i wszyłam je w skrzydła ptaka, po czym zostawiłam go na moim stole.

Już ruszałam do wyjścia, kiedy mój słuch wyłapał głosy pod oknem.

– To ulica krawca?

Wyrzałam na zewnątrz. Zza rogu wyszła grupa mężczyzn. Na pozór nie różnili się od innych mieszkańców Nissei, ale moje krawieckie oko rozebrało ich stroje na części.

Styl nie pochodził z tej prowincji, a ubrania nie wyglądały na kupieckie. Kupcy nie zasłaniali pasków płaszczami, by ukryć broń,

ani nie nosili brudnych butów, które wystawały spod szat. Nissei to czyste miasto o ulicach wybrukowanych kamieniami, nie uklepaną ziemią. Ci mężczyźni przybyli z lasu.

Szpiedzy szansena.

Wezbrał we mnie lęk. Mężczyźni wyraźnie szukali sklepu Longhaia.

Prędko wrzuciłam dywan do sakwy i zbiegłam na dół.

Jak obiecał Longhai, koń czekał na mnie na tyłach warsztatu, osiodłany i z torbą pełną jedzenia.

Klacz stanęła dęba, przestraszona na mój widok. Gdy się zbliżyłam, parsknęła i kopnęła powietrze.

– Ćśś – powiedziałam, gładząc jej grzywę. – Proszę, to Maia. Tylko Maia.

Zanuciłam i podrapałam ją za uchem, by wiedziała, że nie jestem groźna.

Że nie jestem demonem.

Wciąż nucąc, przycisnęłam czoło do jej szyi i zaczekałam, aż jej puls zwolni. Kiedy się uspokoiła, pocałowałam ją i wskoczyłam na jej grzbiet.

– Dziękuję – szepnęłam.

Gdy wyjechałyśmy na ulicę, skrywając się wśród długich cieni muru wokół sklepu, usłyszałam ludzi szansena przy frontowych drzwiach.

– Nie ma tu nikogo takiego – oznajmiła Madam Su. Lekko uniosła głowę i zauważyła, jak skradam się w ich stronę.

– Wiemy, że nadworna krawcowa tu jest – burknął jeden z żołnierzy, próbując wepchnąć się do środka. – Ostrzegam: odsuń się, kobieto. Zabijałem z bardziej błahych powodów.

Madam Su nie odpuszczała, choć żołnierz wyciągnął sztylet i jej zagroził. Ale ja zatrzymałam konia.

– Szukacie mnie? – krzyknęłam, a potem kopnęłam klacz w bok i pomknęłam ulicą.

– To krawcowa! – zawołali, ruszając za mną. – Stój!

Zanim dobiegli do koni, Ammi wypadła z warsztatu z wielką żeliwną patelnią i zdzieliła jednego z nich w potylicę, a Madam Su powaliła drugiego na kolana.

Oczy moje i Ammi na moment się spotkały. Przyjaciółka zrozumiała i skinęła głową.

Więcej się nie oglądałam.

Po tym nie podążyli za mną kolejni ludzie szansena. Materiałowy ptak przycupnął mi na ramieniu, a ja pędziłam przed siebie – w stronę Gór Tura na odległym horyzoncie.

Rozdział dziewiętnasty

Mój ptak leciał szybko, podskakując wraz z wichurą. Wiatr mnie popychał, więc ledwie zauważyłam, jak Nissei za mną zniknęło, a Las Piaskowych Igieł i rzeka Changi się rozplynęły, aż krajobraz przybrał wygląd rozmytych akwareli.

Wbiłam wzrok w skupisko drzew wyłaniające się przede mną – las, w którym Edan i ja spędziliśmy ostatnie dni podróży, zanim trafiliśmy na te przekłete Zapomniane Wyspy Lapzuru. Jakże inaczej wyglądał w przeddzień zimy. Jeszcze kilka miesięcy temu na drzewach rosły liście jaskrawe jak najzieleńszy nefryt. Teraz las lśnił żółcią, tak jasną, że aż kłuła w oczy.

Nie mogłam się zatrzymać, żeby odpocząć, i choć nogi bolały mnie od jazdy, a gardło wyschło z braku wody, myślałam tylko o tym, że Edan jest gdzieś blisko, bliżej niż przez ostatnich kilka tygodni.

Zagłębiając się dalej w las, podążyłam za ptakiem do doliny drzew o kruchych złotych liściach i popielatych pniach. Na zachodzie słońce powoli opadało, chłonąc kolor ze świata wokół mnie.

Robiło się coraz chłodniej. Byłam bliżej Lapzuru. Mój ptak kierował nas na południe, ale coś ciągnęło mnie na wschód – w stronę Zapomnianych Wysp.

Nie coś. Ja.

Demon we mnie zastąpił krzyki duchów w głowie. W przeciwieństwie do nich jego głos sączył się do moich myśli, miękki i kuszący.

Po co widzieć się z czarodziejem? – pytała Maia-demon. Wasze spotkanie tylko sprawi ci ból, gdy będziesz musiała odejść. Lepiej od razu udać się na Lapzur. Jesteś tak blisko. Kiedy zostaniesz strażniczką, zawołasz czarodzieja i wtedy znów będziecie razem.

Kiedy ją zignorowałam, zmieniła podejście.

Bandur jest słaby, zaczęła uwodzicielsko. Słowa otuliły mój umysł niczym jedwab zbyt miękki, by go nie dotknąć. Masz suknie Amany. Będziesz silniejsza od niego.

Zastanów się, Maiu.

Gdy wypowiedziała moje prawdziwe imię, wzięłam urywany oddech i spróbowałam zapomnieć to, co mi podsuwała. Jednak jej trucizna muskała moje uszy, delikatna jak pocałunek. Możliwość, którą obiecywała, prześladowała mnie jeszcze długo po tym, jak Maia-demon zamilkła, co czyniło ją o wiele bardziej niebezpieczną od duchów czy Bandura. Coraz trudniej było odróżnić jej myśli od moich, wyczuwać różnicę między tym, czego pragnę ja, a czego ona.

Moje myśli odpłynęły, ptak zniknął za koroną drzew, klacz stęknęła ze zmęczenia. Zeskoczyłam na ziemię, by dać jej odpocząć, i zagwizdałam na ptaka.

Dziwne, dokąd poleciał?

Zagwizdałam ponownie i nagle mój rękaw przeszły strzała, a koń spanikował i uciekł.

Strach ścisnął mi serce.

Żołnierze.

Na ich hełmach podskakiwały ciemnozielone pióropusze – ostre plamy koloru na szarym tle zbroi, koni i kamiennych twarzy.

Ludzie szansena.

– Na oddech demona – mruknęłam.

Wezwanie do kolejnego ataku dobiegło zza moich pleców – to wystarczyło za ostrzeżenie, żeby uciekać.

Następna seria strzał pofrunęła wysoko nad drzewami i pomknęła w moim kierunku. Tym razem ich promienie płonęły.

Podmuch gorąca przeleciał obok mnie, a wilgotna ziemia zaskwierczała kilka centymetrów od moich stóp. Popędziłam przez las i skręciłam w gąszcz drzew. Nie byłam w stanie umknąć ich koniom i strzałom.

Ale mój dywan był.

– Leć! – krzyknęłam, wyciągając go z sakwy. – Leć!

Dywan pozostawał bezwładny. Z desperacji chwyciłam krawędź i pociągnęłam za jeden z frędzli. Amulet rozgorzał na mojej piersi.

– Leć – rozkazałam znowu. Tym razem mój głos zabrzmiał nisko i gardłowo. Ledwie go rozpoznałam.

Wskoczyłam na dywan, a on wystrzelił naprzód.

Nie wzbiłam się zbyt wysoko, zanim spadła na mnie siatka. Grube, solidne sznury wgryzły się w moją skórę i dywan runął. Gdy tylko uderzyłam o ziemię, poderwałam się i rzuciłam do ucieczki.

Jednak but przygniótł mnie z powrotem.

– Mam cię! – krzyknął jeden z mężczyzn. Jego miecz spoczął ciężko na moich plecach. – Nie ruszaj się.

Dwaj żołnierze mnie przytrzymali, a inni unieśli siatkę.

Leżałam na brzuchu. Serce mi waliło, kolana ocierały się o dywan. W ustach czułam błoto, które przylgnęło do warg. Wezbrała we mnie wściekłość. Żyły na szyi zapulsowały, policzki zapłonęły, a przypływ gorąca zagotował krew aż do wrzenia.

Jak oni śmia! – krzyknął głos w mojej głowie.

Zgadzałam się z nim. Wystarczyło machnięcie nadgarstka albo mrugnięcie oczu, by powalić ludzi szansena. Unicestwić ich.

Zrób to, mruczał potwór. Niech się zbliżę. Niech mnie dotknę. Spalę ich wszystkich.

Pokaż im swoją siłę, Sentur'na.

Podniosłam się na kolana, tak szybko, że ledwie poczułam ostrze przecinające moją skórę. Krew spłynęła mi po ramieniu, plamiąc krawędzie porwanego materiału. Oczy rozżarzyły się z wściekłości.

– D-demon! – wydyszeli żołnierze.

Rzucili się na mnie z jeszcze większą siłą i desperacją niż wcześniej. Jeszcze nie jestem demonem, przypomniałam sobie. Wciąż mam ludzkie ciało. Uskoczyłam przed ich mieczami, zaskoczona własną prędkością.

Chłód rozplynał się po mojej skórze, oblekając ją niczym gruby pancerz. Twardniał z każdym zadany mi ciosem.

Podniosłam leżący opodal miecz i dźgnęłam mężczyznę, który mnie złapał. Obróciłam się i zamachnęłam na kolejnego nadchodzącego z tyłu, jednak on zeszytniał i runął na ziemię ze strzałą wystającą z szyi. Tak samo dwaj pozostali – leżeli nabici strzałami jak igielniki.

Byłam tak pochłonięta szukaniem tego, kto mi pomógł, że nie zauważyłam dwóch żołnierzy zbliżających się po bokach. Jeden zarzucił mi rękę na szyję i zaczął dusić, żeby pozbawić mnie przytomności, drugi wykręcał mi ręce, aż upuściłam miecz.

Amulet wysunął się spod fałd szaty, ciepły na mojej skórze.

Skupiłam się, próbując zaczerpnąć mocy mrowiącej w moim wnętrzu. Jednak suknie nie odpowiadały, nie kiedy w piersi wzbierała wściekłość demona. Poczułam ścisk w płucach, mój oddech stał się płytki. Podrapałam ramię napastnika. Ogień zapłonął mi we krwi, gotowy zawrzeć, jeśli mu pozwolę.

Pozwoliłam.

Z przyływem siły, który zszokował nawet mnie, odrzuciłam żołnierzy, a oni polecili kilkanaście metrów w tył.

Podniosłam dywan. Cały w strzępach, był marną płataniną węzłów, których plecenie pamiętałam jak przez mgłę. Wcisnęłam go pod pachę i pobiegłam.

Tędy, Sentur'na. Przez te drzewa.

Ocean na wschodzie migotał, jakby wabił mnie do siebie. Ale droga na wschód prowadziła na Lapzur. Zignorowałam głos i pomknęłam w przeciwną stronę. Nie potrafiłam odróżnić południa od wschodu czy zachodu.

Ludzie szansena podążyli za mną. Zjechałam w dół zbocza, ślizgając się po liściach, i przycupnęłam za skałą.

Przebiegli nade mną.

Odczekałam, aż fala mundurów i broni zniknie w lesie, a potem odetchnęłam z ulgą i oparłam się o drzewo. Nareszcie bezpieczna.

Na moje ramię opadł liść. Gdy go strąciłam, na dłoń opadł kolejny. Przyjrzałam mu się. Kształt serca był dziwnie znajomy.

– Liść topoli – szepnęłam.

Podeksycytowana obróciłam się, by spojrzeć na bezkresny gaj topoli, kiedy nagle...

Ktoś mnie złapał. Mężczyzna w płowej pelerynie, z prawie pustym kołczanem na ramieniu i ze smukłym orzechowym kosturem w lewej dłoni. Człowiek, który powstrzymał żołnierzy szansena.

Trzymał mnie tak blisko, że czułam jego oddech we włosach. Zacisnęłam palce na uchwytych nożyczek przy pasie.

– Odeszli – powiedział cicho. – Droga wolna.

Wyrwałam mu się, biorąc zamach. Wybałuszył oczy i się wycofał, unosząc ręce, by pokazać, że nie chce mnie skrzywdzić.

Uderzył piętami o pień topoli i kremowe pąki opadły na jego czarne włosy jak śnieg. Poza strojem i kosturem, który upuścił, nie różnił się od tamtych żołnierzy. Mógł być człowiekiem Khanujina wysłanym, by sprowadzić mnie do Zimowego Pałacu. A jednak...

– Maiu? Maiu, to ja.

Nie opuściłam nożyczek. Straciłam ostrość widzenia wcześniej, kiedy żołnierz mnie dusił. W moich rękach wciąż pulsowała moc.

– To ja – powtórzył, tym razem łagodniej. Jego intensywny wzrok lekko mnie podrażniał, ale nie w nieprzyjemny sposób. Mężczyzna sięgnął po moje dłonie, a jego dotyk okazał się boleśnie znajomy.

Edan?

Tak długo marzyłam, by znów go zobaczyć, i oto się zjawił. Ale czy to był mój Edan? A może iluzja wysłana przez Bandura, aby mnie dręczyć?

Nie wiedziałam.

Ręce mi drżały. Wypuściłam z ust obłok zimnej pary i podniosłam wzrok. Miał spiętą twarz, ściągnięte usta i zmarszczone brwi.

– Nie poznajesz mnie? – szepnął. W jego jasnych błękitnych oczach mignął ból. – Maia.

Maia.

Nawet moje własne imię brzmiało obco, bardziej obco niż kiedykolwiek.

Chwyciłam amulet, teraz chłodny i lśniący srebrnym światłem leż księżycu. To mnie uspokoiło.

Opanowałam drżenie i wyciągnęłam dłoń, by dotknąć jego policzka. Powoli wodziłam palcami po jego twarzy, przeciągałam kciukiem od gęstych brwi po kąciaki oczu.

To ich kolor, niebieski jak morze obok domu, mnie przekonał. Żaden duch nie mógł mu tego odebrać.

Przyspieszyłam, muskając palcami jego wargi, zaciśnięte z niecierpliwości, a potem krzywy grzbiet nosa w miejscu, gdzie został złamany.

– Nigdy nie powiedziałaś, co się stało z twoim nosem.

Znajomy uśmiech rozjaśnił jego twarz, a oczy zalśniły z wahaniem i z nadzieją.

– Żołnierz złamał mi go, kiedy miałem siedem albo osiem lat. Celował w zęby, ale był pijany i nie trafił. Powiedział, że uśmiecham się zbyt zuchwale jak na maślaka.

Lód wokół mojego serca stopniał.

– Edan – westchnęłam, obejmując go. – Znalazłeś mnie.

W jego oczach rozbłysła ulga, a spięte ramiona się rozluźniły.

– Znalazłbym cię wszędzie, *xitara*.

Xitara.

W starym a'landyjskim to słowo oznaczało: „owieczka”. Ale znaczyło również coś innego w języku, którego nigdy się nie uczyłam.

– Najwspanialsza – szepnęłam. „Najwspanialsza” w narat, języku z młodości Edana.

Pochylił się, by mnie pocałować, lecz położyłam mu dłoń na piersi, by zaczekał. Chciałam najpierw się mu przyjrzeć. Jego brodę porastała krótka czarna szczecina, jakiej nigdy nie widziałam podczas miesięcy naszej wspólnej podróży. On również mnie zlustrował. Strzepał ziemię z moich policzków, przeciągnął palcami w dół aż po ramiona i łańcuszek z amuletem.

Na jego twarzy odmalował się konflikt, jakby nie wiedział, czy cieszyć się, że mnie widzi, czy martwić się, w jakim stanie mnie zastał. Radość wygrała i mnie pocałował.

Przytknęłam jego dłoń do swojego policzka. Była ciepła mimo chłodu wokół nas.

– Nie przeproszę za to, że cię okłamałam – oznajmiłam. – Inaczej nie opuściłbyś pałacu. Cesarz by cię zabił...

– Wiem, dlaczego to zrobiłaś – przerwał mi. – Miałem czas się nad tym zastanowić i rozumiem. – Złapał mnie za rękę. – Po prostu więcej tego nie rób.

– Nie zrobię.

– Dobrze. – Uniósł mój podbródek, by nasze oczy się zrównały. Jeśli zimny dotyk mojej skóry go przestraszył, nie dał tego po sobie poznać.

Pocałował mnie, tak czule, że cała miłość, jaką go darzyłam, wlała się we mnie z powrotem. Oddałam pocałunek, głodna, niemal zdesperowana, rozchylałam jego wargi swoimi i wpijałam palce w jego plecy. Przyciągałam go do siebie.

Edan odsunął się pierwszy.

– Będzie na to czas później – rzucił figlarnie.

Spoważniał, gdy zobaczył, że nie odwzajemniam uśmiechu.

Między nami wciąż wisiało wiele niedopowiedzeń.

– Szukałem cię od wielu dni – rzekł. – Opuściłem Góry Tura, a potem jastrząb powiedział mi, że cię widział.

Przechyliłam głowę.

– Nadal potrafisz rozmawiać z jastrzębiami?

– Po kilku wiekach bycia jastrzębiem rozumiem skrzek czy dwa.

Nie umiałam stwierdzić, czy mówi poważnie, czy żartuje. Może i to, i to.

Wskazałam kostur, który wcześniej upuścił. Kiedyś Edan powiedział mi, że orzech ma magiczne właściwości, więc zdawałam sobie sprawę, że musi być wyjątkowy.

– Po co ci kostur? Nigdy cię z nim nie widziałam.

– Pomaga mi skupiać moją magię – odparł, podnosząc łaskę. – Ułatwia czarowanie.

Wieńczył ją niedbale ciosany drewniany jastrząb. Pasował do niego.

– Chodź – poprosił. – Jesteśmy niedaleko świątyni. Powinniśmy iść, zanim kolejni żołnierze zaczną cię szukać. I mnie. – Chyba zobaczył, że się spięłam, bo przybrał lekki ton i dodał: – Jeśli się pospieszymy, może zdążymy na kolację. Jak na zapomnianą świątynię, mają znakomite jedzenie.

To jemu zaburczało w brzuchu, nie mnie. Zaśmiałam się cicho, lecz wciąż miałam wątpliwości.

– Dlaczego wszyscy próbują przekupić mnie jedzeniem? Ty, mistrz Longhai, Ammi...

– Maia, którą znam, nigdy nie odmówiłaby dobrego jedzenia.

W jego głos wkradła się obawa, mimo że usiłował ją ukryć.

– Nadal jestem Maią, którą znasz – zapewniłam go. To nie było kłamstwo, przynajmniej taką miałam nadzieję. Już sama nie wiedziałam. – Ale nie mogę iść z tobą do świątyni. Za tydzień muszę być na Lapzurze.

– Lapzur leży po drugiej stronie Gór Tura – powiedział łagodnie. – Świątynia jest po drodze. Pozwól, żeby mistrz Tstring ci pomógł. A jeśli nie zdoła, pójdę z tobą na Lapzur.

W jego oczach zobaczyłam, że moje własne zalśniły czerwienią. Na ten widok zasłoniłam twarz. Nie czułam wściekłości – po raz pierwszy od tygodni byłam szczęśliwa. Więc dlaczego moje oczy się zmieniły?

– Nie... nie mogę...

Ujął moją dłoń i odsunął ją od twarzy.

– Teraz, kiedy znów cię odnalazłem, nigdy więcej cię nie zostawię, Maiu. Zostanę u twojego boku, aż ogień słońca oziębnie, a światło księżyca zgaśnie. Aż czas pochłonie gwiazdy.

– Od naszego ostatniego spotkania stałeś się poetą – zauważyłam żartobliwie.

Pozostał poważny.

– Wiem, że zrobiłabyś to samo dla mnie.

Widząc go ponownie, czując na sobie jego ramiona i ciepły oddech, odkryłam, że mój opór słabnie.

– Jak mistrz Tstring może mi pomóc?

– Bandur kiedyś był czarodziejem, a mistrz Tstring wie o przysiędze więcej niż ktokolwiek na świecie. Może znajdzie sposób, by zerwać twoją więź z Bandurem.

Zmarszczyłam brwi.

– Dlaczego przebywa w świątyni boga żebraków?

– Nandun nie jest ukochanym bóstwem A'landczyków, to prawda, ale jest jednym z najważniejszych. Współczuł ludziom, których miał ukarać, więc zrzekł się boskości i został żebrakiem jak najbiedniejszy wśród nich. Oddał ludziom pasma swojej złotej skóry, aż sam stał się ciałem jak oni i prawie śmiertelnikiem. Gdy nadeszły susza i głód, rozpułnął się w rzece Dzingan, jego krew stała się wodą dla ziemi uprawnej, a kości rybami dla głodnych A'landczyków.

– Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś opowiadał o Nandunie w ten sposób. – Zamyśliłam się. – Często przedstawia się go jako głupca.

– Może inne bóstwa miały go za głupca, ale nam mówiono inaczej: podobno uczniowie Nanduna jako pierwsi zostali dotknięci magią. By kontrolować chciwość i głód władzy, które z czasem poczuli niektórzy z nich, stworzył przysięgę. Miała ograniczać dostęp do magii tym, którzy chcieli zakłócić naturalną równowagę świata i pokonać bogów.

– Nandun stworzył przysięgę? – nie dowierzałam.

– Początki magii są nieznane – odparł. – Historia zmienia się w zależności od tego, kogo zapytasz. Lecz mistrz Tstring jest uczniem nauk Nanduna i stróżem wielu tajemnic magii. – Zamilkł na moment. – Był także nauczycielem Bandura.

Poczułam isierkę nadziei.

– Naprawdę?

Skinął głową i wyciągnął rękę.

– Chodź, spotkasz się z nim.

Już nikt mi nie pomoże, pomyślałam, spoglądając na wodę migoczącą na wschodzie. Lapzur był w tamtą stronę, za mgłą. Czekał na mnie. Zyskałam na czasie tyle, ile zdołałam.

Ale jeśli mistrz Tstring naprawdę był nauczycielem Bandura, może istniała szansa. Możliwa nadzieja.

Może.

Nad nami zapadał zmierzch. Amana nawijała na szpulę nici dnia, rozciągając cień i światło księżyca po przemijającym niebie. Mój materiałowy ptak wrócił – fruwał od drzewa do drzewa, grając na szeleszczących liściach jak na bębenkach, zanim wylądował na mojej dłoni. Poklepałam jego miękką główkę i westchnęłam. Możliwy powrót był znakiem, że nadejdzie lepsze.

Wbrew rozsądkowi przyjęłam dłoń Edana.

– Dobrze, pójdę – zgodziłam się. – Ale tylko na jeden dzień.

Rozdział dwudziesty

Para czarnych brwi uniosła się na mój widok, żłobiąc zmarszczki na szerokim czole mnicha.

– Twoja rasa nie jest tu mile widziana – rzekł, odganiając mnie z bram świątyni. – Odejdź, zanim mój mistrz przyjdzie i wypędzi cię do ognistych czeluści Di...

Ostatnie, czego potrzebowałam, to przypominanie mi, kim się staję.

– Wezwij swojego mistrza – weszłam mu w słowo. – Muszę z nim porozmawiać.

Mnich otworzył usta, by zaprotestować, ale zauważył Edana obok mnie.

– Ty! – zawołał. – Ty też nie możesz tu wrócić. Mistrz Tsring wyraźnie...

Podobnie jak ja, Edan nie był w nastroju na gierki strażnika. Przepchnął się obok młodego mnicha, a ja podążyłam za nim.

Mnich pospieszył za nami, łypiąc ostrzegawczo na Edana.

– Kiedy usłyszysz, że wróciłeś, Gen, będziesz miał kłopoty.

Zignorowaliśmy go i szliśmy dalej korytarzem. Świątynia Nanduna była bardzo stara, wyrzeźbiona w podbrzuszu góry tak umiejętnie, że nie dało rady stwierdzić, gdzie kończy się świątynia, a gdzie zaczyna się góra. Minęliśmy kilka komnat, w których nieliczni uczniowie siedzieli w skupieniu z półprzymkniętymi oczami.

– Ćwiczą magię? – spytałam Edana.

– Większość z nich.

Przechyliłam głowę, widząc samotną śliwę na jednym z dziedzińców.

– Jak to możliwe, że kwitnie o tej porze roku i tak wysoko w górach?

Poprowadził mnie pod gałęzie drzewa.

– Nandun schronił się pod kwitnącą śliwą – wyjaśnił. – Magia podtrzymuje ją przy życiu. Uczniowie zajmują się nią na zmianę, a ona zawsze kwitnie, nawet w środku zimy.

– Kwiaty śliwy to pierwsze kwiaty, które kwitną po zimie – przypomniałam sobie. – Są symbolem nadziei i niewinności.

Edan zerwał jeden i założył mi go za ucho, tak jak kiedyś niebieski kwiat polny, który później ususzyłam w szkicowniku.

– A także nowych początków – powiedział cicho.

Znaleźliśmy mistrza Tstringa podczas medytacji w ogrodzie. Miał zamknięte oczy, a jeśli usłyszał, że się zbliżamy, to w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać.

Naśladując Edana, usiadłam ze skrzyżowanymi nogami i czekałam.

Mistrz Tstring wyglądał tak staro i krucho, że praktycznie tonął w swoich szatach. Spodnie wisiały na nim luźno, odbarwione na rąbkach ze starości. Garbił wątłe ramiona, jednak gdy przemówił, głos miał silny.

– Okazałeś mi nieposłuszeństwo, Gen – odezwał się. Gwałtownie otworzył oczy i jego źrenice zalśniły jak płonące węgle. – Zakazałem ci opuszczać świątynię.

Edan ze skrucą przytknął czoło do ziemi.

– Wybacz mi, mistrzu. Masz całkowite prawo mnie oddalić.

– A jakże! – prychnął mistrz Tstring. – Bezczelność młodych czarodziejów...

– ...jest niewybaczalna – dokończył za niego Edan. – Jednak proszę, żebyś nie karał mojej towarzyszki. Jest...

– Wiem, kim jest – rzucił rozdrażniony starzec. – Nawet gdybyś nie mówił o niej przez te wszystkie tygodnie, rozpoznałbym na niej pocałunek demona. Sprowadzając ją tutaj, wyrządzasz świątyni wielką krzywdę.

– Jeszcze nie uległa. Nadal jest dla niej nadzieja. Proszę, pomóż jej.

Mistrz Tstring spojrzał mi w oczy.

– Ci, którzy złożyli przysięgę, zawsze sprawiają kłopoty – mruknął.

– Ta dziewczyna złamała moją przysięgę – oznajmił łagodnie Edan.

– Nie nazwałbym jej dziewczyną – odparł mistrz Tstring, wskazując moje czerwone oczy.

Wyprostowałam plecy. W pałacu dosyć się nakorzyłam – nie zamierzałam dłużej tego robić.

– Przyszłam tu po pomoc, nie po reprimendy.

Odchrząknął, podkreślając końcówki długiej, białej brody.

– Minęło wiele lat, odkąd czarodziej złamał przysięgę i zasięgnął mojej porady. Kiedy Edan do mnie przyszedł, powinienem był zdać sobie sprawę, że jego wolność miała swoją cenę. Choć nie spodziewałbym się, że ta cena przyjmie kształt kogoś takiego jak ty.

Jego ton mnie sprowokował.

– Dziewczyny? – spytałam wyzywająco. – Czy demona?

– Obu – odrzekł szorstko mistrz. Ponownie odchrząknął i wstał, po czym niespiesznie mnie okrążył, z każdym krokiem stukając laską o kamienny grunt. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że ta pomarszczona, skurczona postać kiedyś była nauczycielem Bandura, wielkim czarodziejem.

Edan czekał, a ja zaczęłam się wiercić.

– Ciekawe – burknął starzec, kiedy obejrzał mnie z każdej strony.

– Gen ma rację, jeszcze nie uległaś. To zadziwiające, biorąc pod uwagę, jak dawno Bandur cię naznaczył.

– Ma jeszcze szansę? – chciał wiedzieć Edan.

– Tego na razie nie mogę stwierdzić. – Tstring przerzucił sobie brodę przez ramię, a potem dźgnął mnie laską w żebra. – Mówią, że brzuch ma lepszą pamięć niż serce, i muszę się z tym zgodzić. Zjedzmy coś. – Laska znów zastukała o ziemię. – Nie da się zdjąć klątwy demona na pusty żołądek.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że obiad był próbą.

Choć nie jadłam od wielu dni, nie byłam głodna. Mnisi podali mi gorącą zupę marchewkową z mlekiem sojowym, tofu i kiszoną kapustą. Powinnam pochłonąć ją łapczywie, a wmuszałam w siebie każdą łyżkę, jakbym jadła papier. Nawet herbata – znany gorzki napar zwany Łzami Nanduna, który nabiera słodczy w miarę picia – nie miała dla mnie smaku.

Podczas obiadu Mistrz Tstring się nie odzywał, Edan też nie. Ich milczenie mnie niepokoiło, więc powędrowałam myślami do stołu obok nas, przy którym na dwóch ławach zebrali się uczniowie mistrza.

Tylko garstka pochodziła z A'landi. Nosili spłowiałe niebieskie szaty i każdemu towarzyszyło zwierzę: żółw, kot, a nawet młody niedźwiedź. Ich spojrzenia mi ciążyły, choć prędko odwracali wzrok.

Patrzyli na moje czerwone oczy, wiedziałam to. Ta czerwień wytrącała z równowagi nawet Edana.

Zobaczyłam, jak jedna z uczennic z pomocą czarów zamienia zupę w pastę z czarnego sezamu – ulubiony deser Finleia. Wypiła ją szybko, zanim ktokolwiek zauważył, jednak mistrz Tstring odchrząknął i uderzył pięścią w stół.

– Zakłęk używa się podczas nauki, nie podczas posiłków.

Dziewczyna zarumieniła się ze wstydu.

– Tak, mistrzu.

Tstring nie powiedział nic więcej. Pogрузzył się w myślach, przeżuując bułeczkę na parze z szalotką. Ja swojej nie tknęłam.

Gdy uczniowie sprzątnęli swój stół i odeszli, mistrz poskrobał łyżką o pustą orzechową miszkę.

– Podjąłem decyzję w sprawie twojej towarzyszki, Gen.

Cała się spięłam.

– Nie ma dla niej nadziei – oznajmił ponuro mistrz. – Natychmiast zabierz ją do Bandura, zanim sprowadzi na nas nieszczęście.

– Ale przyznałeś mi rację, że jeszcze nie uległa.

– To nie ma znaczenia. – Pomarszczone palce Tstringa wskazały mój amulet. – Już dostała imię.

– Imię? – powtórzyłam.

Zniżył głos.

– Sentur'na.

Gdy usłyszałam je na głos, zmroziło mi krew. To słowo nawiedzało mnie od tygodni. *Sentur'na*.

– Niszczycielka – przetłumaczył powoli Edan.

Mistrz stęknął.

– Albo dosłownie: przecinaczka losu.

Przebiegł mnie dreszcz.

– Nie. To nie jest moje imię.

– Wkrótce będzie. To imię, któremu podporządkują się duchy. Nie będziesz znała żadnego innego. Czarodziej może mieć tysiąc imion, ale demon ma tylko jedno.

– Z Maią będzie inaczej – nalegał Edan, przychodząc mi z pomocą.

– Bandur zabił swojego mistrza i przez ten haniebny czyn został przeklęty, by stać się strażnikiem Lapzuru. Maia wybrała tę ścieżkę... z miłości.

Mistrz Tstring się zastanowił.

– Rzeczywiście rzadko się zdarza, by ktoś został demonem z własnej woli. Może dlatego przemiana postępuje wolno. Ale wynik będzie taki sam, bez względu na opóźnienie.

– Jeśli wrócę na Lapzur, Bandur odzyska wolność – zaczęłam. – Co wtedy się z nim stanie?

– Jego moc jest potężna tylko na Lapzurze – odparł Tstring – ale będzie układał się z głupcami, siejąc smutek i nieszczęście. Moi uczniowie i ja jesteśmy przygotowani, żeby się z nim zmierzyć.

– A co będzie ze mną? – spytałam cicho.

– Będziesz nadal się zmieniać. Twoje oczy to dopiero początek. Reszta nadejdzie, ale trudno powiedzieć, jaki przyjmiesz kształt.

– Kształt? – powtórzyłam, zanim zrozumiałam, co ma na myśli. Ścisnęło mnie w gardle. Bandur przyjął postać wilka, Gyiurak

tygrysa. Wkrótce przyjdzie moja kolej. Czym się stanę?

– Demony, które kiedyś były czarodziejami, są wyjątkowo potężne – ciągnął mistrz Tstring. – Ale ty nie złożyłaś przysięgi ani nie odbyłaś magicznego szkolenia. – Oparł ręce na stole. Rękawy miał brudne od zupy. – Twoja magia jest dzika. Czuję ją. Pachnie jak tłące się drewno, a dym jest tak gęsty, że utrudnia oddychanie. – Spojrzał na mnie stanowczo. – Magia demonów żywi się zniszczeniem. Nienasyconą wściekłością. Pragnieniem zemsty. To oznaki przemiany.

Z drżeniem przypominałam sobie swoją wściekłość na żołnierzy szansena, na cesarza Khanujina, nawet na Ammi... Jak bardzo chciałam im skrzywdzić. Jak łatwo mi było się poddać.

Milczałam, więc mistrz podjął:

– Moc demona spoczywa w jego amulecie, który może zostać zniszczony jedynie przez samego demona lub przez źródło potężnej magii, takie jak krew gwiazd. Jako strażnik Zapomnianych Wysp Bandur strzeże jej żarliwie, bo może przynieść mu zgubę.

Bawiłam się amuletem, nawet nie zdając sobie sprawy. Wisiorek pociemniał, krawędzie łupiny orzecha przybrały kolor grafitu, a szklane pęknięcie na środku nie było już przejrzyste, tylko mętne. Ta zmiana mnie przestraszyła.

– A co z mocą dzieci Amany?

Mistrz spojrzał na mnie z nieprzeniknioną miną.

– Ciekawe pytanie, które zadałoby niewielu. Gen powiedział mi, że uszyłaś suknie Amany.

– Tak.

Zastanowił się, przeżuając żdźbło trzciny cukrowej.

– Demon w tobie z każdym dniem rośnie w siłę. Ponieważ stworzyłaś suknie, ulegną ciemności razem z tobą. Jednak suknie są zarówno twoim zbawieniem, jak i twoją zgubą. Są źródłem twojej mocy w amulecie. Jeśli je zniszczysz, będziesz wolna od Bandura. – Zrobił pauzę. – Ale także zginiesz.

Zdusiłam krzyk.

– Nie ma takiej możliwości – wychrypiał Edan. Następne słowa wyrzucił z siebie szybko, jakby chciał zapomnieć, co powiedział Tstring. – A co, gdybyśmy zniszczyli Zapomniane Wyspy?

Mistrz pokręcił głową.

– Nawet gdyby to było możliwe, nie ma sposobu, by ją uwolnić. Jej obietnica została przypieczętowana podwójnie, przez demona i przez boginię.

Te słowa mnie uderzyły.

– Już zniszczyłam jedną suknię – powiedziałam ze ściśniętym gardłem. – Suknię słońca.

Twarz starca sposepniała.

– Czyniąc to, przyspieszyłaś swój koniec. Te trzy suknie to twoje ciało, twój umysł i twoje serce.

Słyszając to, zeszywniałam. Odkąd poświęciłam suknię słońca, moje ciało stało się nieczułe na wszystko prócz skrajnego gorąca i zimna. Odkąd wyleczyłam rany z Zimowego Pałacu, nie czułam także bólu.

– Gen ma rację – dodał Tstring. – Już wytrwałaś dłużej niż większość. Twoje oddanie rodzinie, twoja miłość do Gena i jego miłość do ciebie... to twoja siła, twoja bariera, która chroni cię przed Bandurem. Ale sama wiesz najlepiej, że twój mur się wali. Następne będą twoje wspomnienia. Bez wspomnień jesteśmy tylko pustymi łupinami. Kończy ci się czas.

– Więc mówisz, że powinnam się poddać i pozwolić Bandurowi wygrać. – Moje nozdrza zadrżały wraz z przyływem gniewu.

Mistrz zajął w moje iskrzące oczy. To, co w nich zobaczył, musiało mu się nie spodobać, bo jego twarz wykrzywił grymas.

– Zostań na noc, ale jutro udaj się na Lapzur. Jeszcze trochę, a staniesz się zagrożeniem dla moich uczniów i dla spokoju tej świątyni. Będę zmuszony cię poskromić.

A dlaczego uważasz, że możesz ze mną wygrać? – niemal wycodziłam, ale ugryzłam się w język. Słowa zadudniły we mnie jak

bębny, pragnęłam pokazać Tstringowi, że się go nie boję. Jego, marnego czarodzieja.

Mocno ścisnęłam dłonie, a mistrz Tstring wstał i wyszedł z jadalni, zostawiając mnie samą z Edanem.

Edan położył rękę na mojej. Od kilku minut milczał.

– Nie mówiłaś, że poświęciłaś suknię słońca.

Przełknęłam ślinę i część gniewu odpłynęła.

– Jesienny Pałac został zaatakowany. Ważyły się losy setek ludzi.

– Powinienem być tam z tobą.

Ramiona mi opadły. Cofnęłam dłoń.

– Lepiej, że cię nie było. Nie mógłbyś nic zrobić. – Od razu pożałowałam swoich słów. Zabolały go. Zabolały też mnie. – Przepraszam. Nie chciałam...

– Mistrz Tstring się myli – przerwał mi. – Obwinia się o tę sytuację z Bandurem do tego stopnia, że nie widzi, iż z tobą jest inaczej. Porozmawiaj z nim ponownie. – Wstał. – Będę w bibliotece.

Gdy zostałam sama, uderzyłam pięścią w stół. Gdyby nie Lady Sarnai, nie musiałabym szyc tych przeklętych sukien, przez które wszystko poszło nie tak. Gdyby nie cesarz Khanujin, szansen i ich głupia wojna, dorastałabym z braćmi i nigdy nie musiałabym jechać do pałacu.

Lady Sarnai, Khanujin, szansen. Nienawidziłam ich wszystkich. Nienawidziłam nawet mistrza Tstringa, bo wcześniej dał Edanowi fałszywą nadzieję, że da się mnie ocalić.

Ale przede wszystkim nienawidziłam Bandura.

Wzięłam wdech.

– Pamiętaj, co powiedział mistrz Tstring – szepnęłam, próbując się uspokoić. – Zemsta to droga do upadku.

Ale i tak upadniesz, powiedział głos demona we mnie. Możesz przy okazji zniszczyć tych, którzy cię zranili.

Zmroziło mi krew. Chcąc odzyskać kontrolę, chwyciłam krawędź stołka i wpiłam paznokcie w twarde drewno.

– Odejdź.

Jak mogę odejść, Sentur'na? Jestem tobą. JESTEM TOBĄ.

Podерwałaм się z bijącym sercem, przewracając stołek. Kiedy wpadłam na korytarz, przywitała mnie cisza. Demon nie podążył za mną.

Odetchnęłam z ulgą. Oparłam się o ścianę, żeby zaczekać, aż przestanie dzwonić mi w uszach.

– Edan? – zawołałam po chwili.

Korytarz był pusty. Ani śladu Edana czy mistrza Tstringa.

Kiedy ruszyłam na dziedziniec, kątem oka zauważyłam swoje odbicie w oknie. Wbrew rozsądkowi przystanęłam, żeby spojrzeć. Twarz miałam wychudzoną, policzki zapadnięte tak, że widziałam skośne linie kości biegnące w stronę podbródka.

To nie wszystko. Moje źrenice migotały jak dwa płomienie, a skóra była tak blada, że prześwitywały przez nią niebieskie żyły.

Opuściło mnie całe powietrze. Moje ciało napięło się i przechyliło.

– To nie ja – oznajmiłam, stukając w szybę. – Pokaż mi mnie. Prawdziwą mnie.

Czekałam, lecz odbicie się nie zmieniło. To nie było zaczarowane lustro prawdy, tylko zwykła szklana tafla.

Nawet gdyby lustro było zaczarowane, pokazałoby ci to samo. Tym teraz jesteś.

Spojrzałam na sufit, szukając cienia lub demona, który właśnie przemówił. Ale to był mój demon, ten we mnie.

I miał rację.

Poczułam przypływ gniewu. Nie mogłam powstrzymać gorącej wściekłości kipiącej w moim gardle.

Uderzyłam w szybę. Popękała, ale nie roztrzaskała się na kawałki. Spojrzało na mnie tysiąc moich odbić, każde o czerwonych oczach i zapadniętych policzkach.

Rozdziawiłam usta, a potem odwróciłam się i pomknęłam korytarzem. Moje knykcie krwawiły, różowe i poszarpane. Ale nic nie bolało. Nic a nic.

– Nazywam się Maia – powtarzałam w kółko. – Nazywam się Maia Tamarin.

Pociągnęłam się za włosy, próbując złapać za coś, cokolwiek, co pozwoliłoby mi zatrzymać dziewczynę, którą kiedyś byłam. Moje palce odnalazły kwiat śliwy, który Edan założył mi za ucho. Położyłam go na dłoni.

Zaczęłam zaciskać palce na płatkach, ale podmuch wiatru wyrwał mi kwiat z ręki. Rzuciłam się za nim, lecz było już za późno. Pofrunął nad górą.

Stracony na zawsze.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Tamtej nocy dręczyły mnie duchy Lapzuru. Przysiadły na krzywych drzewach za oknem Edana, ich białe włosy spływały im z głów, zlewając się z blaskiem księżyca, ich głosy brzmiały nisko i ostro. Zmierzch zapadł już dawno i całą świątynię spowijał mrok. Obok mnie Edan spał spokojnie.

Wracaj, błagały duchy. Wciąż powtarzały te same prośby, ich puste czarne oczy śledziły moje ruchy, gdy wierciłam się na łóżku.

Nie walcz z nami, Sentur'na. Przegrasz. Zginiesz.

Zacisnęłam powieki, wspominając ostrzeżenie mistrza Tstringa. Suknie są zarówno moim zbawieniem, jak i moją zgubą – jeśli je zniszczę, będę wolna od Bandura. Ale także zginę.

Podmuch wiatru otworzył okno. Poderwałam się, żeby je zamknąć, a potem położyłam się z powrotem obok Edana.

– Nie możesz spać?

Przewróciłam się na bok i zobaczyłam, że na mnie patrzy. Wołania duchów zeszyły na dalszy plan.

Nadal był tym samym chłopakiem, którego pokochałam podczas naszej podróży, ale zmienił się, odkąd uwolniłam go od przysięgi. W tym krótkim czasie, który spędziliśmy razem, więcej się uśmiechał i z większą łatwością się śmiał. Gdyby nie wisząca nade mną klątwa, pomyślałam z gorzkim ukłuciem w sercu, może uśmiechałby się przez cały czas.

– Masz koszmary? – zapytał.

Nie odpowiedziałam, tylko przysunęłam się bliżej niego i wetchnęłam ciepło jego skóry.

– Dlaczego tu nazywają cię Gen?

Podciągnął rękę pod głowę.

– Tak brzmiało moje imię, zanim zostałem czarodziejem. Nie nazwą mnie żadnym innym, dopóki nie odzyskam wystarczająco magii i nie zasłużę.

– Więc już nie masz tysiąca imion?

– Na razie – rzucił z błyskiem w oku. – Nie martw się, odzyskam je.

Zaśmialiśmy się, ale dźwięk wydał mi się pusty. Nie chciałam spędzić naszych ostatnich dni, udając, że wszystko jest tak jak kiedyś.

– Martwisz się słowami mistrza Tstringa? – podjął, kiedy się nie odezwałam.

– Nie. – Zawahałam się. Po obiedzie szukaliśmy mistrza, ale nie zdołaliśmy go znaleźć. – Po prostu słuchałam.

– Słuchałaś? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Mnie?

– Chrapałeś – droczyłam się.

– Ach, jak role się odwróciły. – W jego głosie zabrzmiała słodko-gorzka nuta. – Pamiętam, że na Szlaku to ja słuchałam ciebie. Trochę chrapiasz, zanim zapadniesz w głęboki sen. Przyzwyczailem się do tego dźwięku.

Żartobliwie szturchnęłam go w żebra.

– Nie chrapię.

– Nie. Tylko kiedy jesteś wykończona. – Ujął moją dłoń i rozmasował posiniaczone kłykcie. Uniósł brew i spoważniał. – Co to?

Cofnęłam rękę.

– Nic.

– Maiu... powiedz mi.

Nie chciałam na niego patrzeć. Spojrzałam na sufit, a potem na bruzdy w granitowych ścianach.

– Zdenerwowałam się na siebie po obiedzie – przyznałam wreszcie.

– Dlaczego? – naciskał.

– Czasami widzę obrazy... słyszę głosy...

– Z Lapzuru – wyszeptał Edan, ściskając moją dłoń. – Kiedy to się zdarzyło po raz pierwszy?

Zawahałam się, chłonąc szelest liści na zewnątrz świątyni, stukot spadających kamyków tłukących się o kamienne ściany. Duchy zniknęły, a ja uspokoiłam oddech i rozluźniłam ramiona. Tylko trochę – wiedziałam, że nie opuściły mnie całkowicie. Cień Lapzuru wisiał nade mną jak całun.

– Co zobaczyłaś teraz... za oknem? – chciał wiedzieć.

– Duchy Lapzuru – odparłam cicho. – Nie są zadowolone, że tu przyszłam.

Jego ciemne oczy zalśniły.

– Nadal tu są?

– Odeszły. – Tym razem to ja wyszczerzyłam zęby, choć wymagało to ode mnie wysiłku. – Może przypomniały sobie, że powinny się ciebie bać.

– Jak często cię nawiedzają? – spytał cicho.

– Każdej nocy. Czasami za dnia też. Nie chciałam cię martwić...

Łatwiej z nimi walczyć, kiedy jestem z tobą, chciałam powiedzieć. Łatwiej być dawną Maią i udawać, że mam więcej czasu. Łatwiej patrzeć w lustro i pamiętać, kim jestem.

Ale nie mogłam tego wyznać.

– Dlatego nie mogłaś spać.

– Nie muszę.

Jeśli moje słowa go zaniepokoiły, nie pokazał tego po sobie. Objął mnie i przyciągnął do siebie.

– Odpocznij. Co robili twoi bracia, kiedy byłaś mała i nie mogłaś zasnąć?

Zastanowiłam się.

– Podczas burzy Sendo opowiadał mi historie. Bardziej bałam się grzmotów niż błyskawic. Keton mi dokuczał i mówił, że grzmot to zły duch łąkający serca małych dziewczynek. Lubił mnie straszyć.

– Mam nadzieję, że mu się za to dostawało.

Jego drwiący ton wywołał uśmiech na mojej twarzy.

– Finlei dawał mu dodatkowe obowiązki.

Zaśmialiśmy się i oparłam głowę na zgięciu jego ramienia, teraz już spokojniejsza.

– Tęsknisz za swoimi braćmi? – zapytałam.

– Czasami – przyznał. – Żałuję, że nie znałem ich tak dobrze, jak ty znałaś swoich. Lubię myśleć, że przeżywają swoje kolejne życia z pełnymi brzuchami i pełnymi sercami. Że jest im lepiej niż nam.

– Kolejne życia?

– W Nelronacie wierzyliśmy, że pierwsze życie to dopiero początek. Że nasze dusze wciąż się odradzają, a ci, których kochamy, są z nami związani tak, byśmy zawsze mogli się odnaleźć.

– Mamy coś podobnego w A'landi. – Oparłam się na łokciu i sięgnęłam do sakwy po matową czerwoną nić, którą Ammi podarowała mi w gospodzie. – Moja mama wierzyła w przeznaczenie. – Rozwinęłam nić i owinęłam ją wokół jego nadgarstka. – Powiedziała, że istnieje niewidzialna nić, która mnie z kimś wiąże. – Spojrzałam mu w oczy. – Z kimś, kogo przeznaczone jest mi poznać i z kim będę związana przez całe życie.

Złączyłam nasze ręce i obejrzałam jego dłonie – niegdyś splamione krwią gwiazd. Te dłonie nie należały do szlachcica, szorstkie z odciskami jak moje, choć palce miał długie i zgrabne.

Powoli zawiązałam nić wokół jego nadgarstka.

– Powiedziałeś, że teraz ja jestem twoją przysięgą – wyszeptałam. – Więc wiążę cię ze sobą. Bez względu na to, co się stanie, wróc dziewiątego dnia dziewiątego miesiąca. Każdego roku będę na ciebie czekać nad morzem, gdzie dorastałam, w domu, w Port Kamalan.

Przyciągnął mnie bliżej i objął tak mocno, że jego serce dudniło mi w uszach. Pocałował mnie, a ja stopniałam w ciepłe jego oddechu.

– Nie pozwolę, żeby mi cię odebrał.

– To nie zależy od ciebie, tylko ode mnie. – Wyciągnęłam rękę, by Edan zawiązał nić na moim nadgarstku.

Gdy wiązał supeł, odezwał się tak cicho, że niemal go nie usłyszałam:

– Myślałem o tym, co powiedział mistrz Tstring. Co gdybyśmy zniszczyli Lapzur.

– Ja też – przyznałam. – Bandur przestałby istnieć... jednak moja powinność wciąż by trwała.

– Tak, ale nie byłabyś przywiązana do wysp.

Widziałam, jak plan rozwija się w głowie Edana, jak z rozpaczyny rodzi się nadzieja. Czy ja też śmiałam mieć nadzieję?

– To nie może być łatwe – przemówiłam mu do rozsądku. – Gdyby było, ktoś inny zniszczyłby wyspy już dawno.

– Bandur jest groźnym strażnikiem i ma potężną armię duchów – przyznał. – Ale jestem gotów podjąć ryzyko.

Popatrzyłam na niego, a potem na czerwone nici wokół naszych nadgarstków. Protest zamarł mi na ustach.

– Mistrz Tstring powiedział, że nigdy nie odzyskam całej magii, którą władałem pod przysięgą, ale część do mnie wróci – dodał i uniósł rękę. Nici rozgrzały się i rozciągnęły. – Magia, którą miałem jako chłopak. – Miał czoło mokre od potu, cienka strużka spływała mu po skroniach. – Obawiam się, że nie wystarczy, by ocalić cię przed Bandurem, a A'landi przed chciwością szansena i dumą Khanujina.

– Zrobiłeś dosyć, by przez wieki chronić A'landi – zaprotestowałam. – To ja muszę zawalczyć z Bandurem, nie ty. – Ujęłam jego policzek, by nasze oczy się zrównały. – Kiedyś powiedziałeś mi, że suknie Amany nie należą do tego świata. Teraz ich moc jest we mnie. Jeśli to nie wystarczy, bo pokonać Bandura i ocalić A'landi, to nie wiem co.

– Mówisz, jakbyś w ogóle mnie nie potrzebowała – droczył się lekko.

– Mylisz się – szepnęłam. Potrzebowałam go bardziej niż kiedykolwiek. To nie suknie zmuszały mnie, bym trzymała się dawnej siebie, tylko Edan. On i moja rodzina. – Bez ciebie byłabym zagubiona. – Znów oparłam głowę na jego ramieniu. – Zaśpiewaj mi. Chcę usłyszeć tę melodię, którą zawsze grałeś na flecie w podróży.

– Tę? – Zaczął nucić, a jego gardło wibrowało w rytm tej prostej piosenki, którą tak pokochałam.

– Jak się nazywa?

– Nie ma nazwy. Mama śpiewała mi ją, gdy byłem mały. Później sam ją śpiewałem, żeby nie zapomnieć domu, kiedy mieszkałem w klasztorze, a potem żeby uspokoić konie, kiedy zabrali mnie na wojnę. Jest ze mną od bardzo dawna.

Razem nuciliśmy melodię, tak prostą i smutną, że pomyślałam o Port Kamalan, o moich braciach i o Mamie. Gdy zbliżała się ku końcowi, moje gardło ścisnęła tęsknota za domem i ledwie zdołałam wydobyć z siebie ostatnią nutę. Ta tęsknota towarzyszyła mi jeszcze przez długi czas, nawet gdy mój oddech wreszcie się uspokoił i dopasował do oddechu Edana.

Jednak wciąż nie mogłam zasnąć.

Odczekałam godzinę, zanim odważyłam się poruszyć. Edan znowu zasnął, więc – ostrożnie, by go nie obudzić – wstałam i usiadłam przy sekretarzyku, żeby napisać list do domu.

Droddy Babo i Ketonie,

przepraszam, że wyjechałam tak niespodziewanie.

Cesarz mnie wezwał...

Mam nadzieję, że jesteście bezpieczni z dala od pola bitwy i nie potrzebujecie pociechy tego listu. Nie wiem, kiedy znów będę miała okazję, ale piszę teraz, by powiedzieć Wam, że czuję się dobrze i mam opiekę. Proszę, nie martwcie się o mnie.

Ketonie, proszę, uważaj. Babo, Ty też.

Jeśli więcej Was nie zobaczę, wiedzcie, że moje serce jest z Wami.

Opuściłam pędzel i złapałam się za głowę. Jak mogłam im powiedzieć, że weszłam w posiadanie niewypowiedzianej mocy i zarówno cesarz Khanujin, jak i szansen przeczesują kraj, by mnie znaleźć? Jak mogłam napisać, że grozi im niebezpieczeństwo –

z mojego powodu – i że nie mogę ich ochronić... bo jestem ostatnią osobą, której ufam?

Ponieważ zamieniam się w demona.

To, co napisałam, musiało wystarczyć. Wszystko inne sprawiłoby im ból.

Podniosłam pędzel i sięgnęłam po nową kartkę. Moje palce drżały, jakbym nie pamiętała, jak zanurzyć pędzel w atramencie, jakby moje ręce zapomniały, jak pisać znaki na papierze. Ścisnęłam trzonek i kapiący atrament rozmazał mi się na dłoni.

Tym razem napisałam do Edana.

Dawno temu głupia dziewczyna dostała trzy niemożliwe zadania: by upleść śmiech słońca, wyhaftować łzy księżycy i namalować krew gwiazd. Nie wierzyła, że podoła. Jednak ta głupia dziewczyna miała szczęście, bo te trzy niemożliwe zadania uwolniły chłopaka, którego kochała.

Mam szczęście, Edanie. Wiem, że za każdy świt mrok musi wysnuć zmierzch. Wiem, że muszę zapłacić cenę za to, co zrobiłam, a jednak nie zmieniałabym swoich wyborów.

Mimo to nie mogę kłamać. Lgną do mnie cienie i otula mnie ciemność. W niektóre dni nie pamiętam nawet, jak przyłożyć igłę do tkaniny. Wolałabym odejść teraz, póki jeszcze pamiętam twoją twarz, twój głos, twoje imię.

Przełknęłam gulę w gardle, rozluźniając uchwyt na pędzlu.

Gdybyś kiedykolwiek poczuł się samotny, gdy odejdę, udaj się do mojego ojca i brata. Będę wiedzieli, kim jesteś, i Cię pokochają. Opiekuj się nimi i chroń ich tak, jak chroniłbyś mnie.

Błagam, Edanie, pozwól mi być silną. Pozwól mi odejść.

Dmuchałam na list, by wysuszyć atrament, a potem wsunęłam go do jednej z kieszeni jego peleryny i ukryłam wewnątrz fletu, żeby

nie znalazł go od razu. Jeśli uda nam się pokonać Bandura i zdjąć ze mnie jego okrutną klątwę, zabiorę list i spalę. Jeśli nie, zostawię Edana, a kiedy to zrobię, będzie miał przy sobie kawałek mnie – prawdziwej mnie, bez względu na to, co się wydarzy.

Zostało mi jeszcze jedno zadanie.

Sięgnęłam po przybory krawieckie i dotknęłam amuletu, by przywołać suknię gwiazd. Była najbardziej kapryśna z nich trzech, a przy tym najbardziej ze mną związana. Zbyt długo zwlekałam z jej naprawą – nie chciałam przypominać sobie, co poświęciłam, by ją stworzyć.

Strumienie jedwabiu wylały się z amuletu i suknia gwiazd pojawiła się w moich ramionach. Choć gorset i spódnicę miała porwane, jej widok nadal napawał mnie zachwytem. Gdy położyłam ją na kolanach, tkanina obudziła się do życia pod moim dotykiem i uwolniła całą gamę kolorów, przede wszystkim olśniewający fiolet migoczący blaskiem gwiazd z całego wszechświata, oraz – miałam nadzieję – wystarczającą moc, by pokonać demona.

Zabrałam się do pracy.

Rozdział dwudziesty drugi

Promień słońca musnął moją twarz, a ja rozchyliłam powieki. Zamrugałam – nie pamiętałam, żebym zasypiała. Ale byłam z powrotem w łóżku, przykryta cienkim muślinowym kocem, a Edan zniknął.

Na poduszce znalazłam nowy kwiat śliwy i karteczkę zapisaną drobnym, eleganckim pismem Edana.

Idę poszukać mistrza Tstringa. Na śniadanie dają smażone bułeczki i ciasteczka orzechowe. Ciasteczka Ci zasmakują. Schowam kilka, zanim wszystkie znikną.

Wsunęłam liścik do kieszeni i się uśmiechnęłam. To w stylu Edana, pamiętać o mojej słabości do słodczy. Pociągnęłam nosem, wdychając aromat świeżych orzeszków na blasze. Dawna ja pomknęłaby na dół, żeby spałaszować ciasteczka, ale teraz wcale mnie nie kusiły.

Ubrałam się i poszłam szukać Edana, jednak na schodach zatrzymał mnie sam mistrz Tstring.

– Chodź – rzucił, zanim zdążyłam się przywitać.

Wskazał, żebym podążyła za nim, w dół krętych drewnianych schodów, a potem w głąb otchłannego korytarza zbudowanego wewnątrz góry. Korytarz stawał się coraz węższy, aż wyszliśmy na zewnętrzną wnękę za wodospadem. Mimo szumu kaskady powietrze w tym miejscu było spokojne. Wzdłuż krawędzi skały stały skroplone wodą posagi Nanduna wyrzeźbione z kamienia i z jadeitu.

– Nazywamy to miejsce Sanktuarium Spływającego Spokoju – oznajmił mistrz, siadając na mokrej ziemi. Poszłam jego śladem. Woda dudniła za mną, chłodna mgiełka rosła mi kark. – Mówię

moim uczniom, by tu przyszli, kiedy trapi ich odpowiedzialność związana z magią. – Dał mi chwilę, bym przyswoiła te słowa. – Niewielu czarodziejów stąpa po tej ziemi, Maiu. Rzadki jest dar magii, a jeszcze rzadsza umiejętność władania nią. Gen był jednym z naszych najpotężniejszych, ale nawet on nie rozumiał, że tysiąc lat służby u boku kobiet i mężczyzn przeznaczonych do wielkości to zarówno dar, jak i ciężar.

– Wie o tym – powiedziałam cicho. – Wie o tym od dawna.

– Nauczył się żyć z żalem – przyznał Tstring. – Jednak gdyby cię nie poznał, prawdopodobnie dopełniłby przysięgi.

– Nie...

– Lepiej, że złamał ją teraz niż później – wszedł mi w słowo. – Moi uczniowie w tej świątyni nigdy nie złożą przysięgi. Nigdy nie zasmakują mocy, jaką władał Gen, i nigdy nie poczują cierpienia, jakie cię spotkało.

– Co próbujesz mi powiedzieć?

– W A'landi nastaną trudne czasy – zaczął ostrożnie. – Gen może zrobić jeszcze wiele dobrego, mimo że nigdy nie będzie tak potężny jak kiedyś. Proszę, abyś udała się na Lapzur samotnie, by mógł zostać tutaj i ukończyć szkolenie.

– Chcesz, żebym go zostawiła? – wydukałam.

– Tak będzie najlepiej. Myślałem, że zdołam ci pomóc, Maiu, naprawdę. – Urwał i spojrzał na kaskadę spływającą po kamieniach. – Ale teraz widzę, że powinnaś była pozwolić, aby Gen został strażnikiem. Uzbrojona w dziedzictwo Amany staniesz się o wiele groźniejszym demonem, niż on kiedykolwiek mógłby się stać.

Ścisnęło mnie w piersi. Poczułam falę irytacji i przygryzłam wargę, by uspokoić wzbierającą wściekłość. Nie będę się denerwować. Nie będę.

Mistrz skłonił głowę, świadomy mojej wewnętrznej walki.

– Moi uczniowie narzekają, że jestem zbyt surowy – odezwał się łagodniej. – Nie przebieram w słowach, bo widziałem, co się dzieje,

gdy człowiek ukrywa prawdę. Może gdybym potraktował Bandura bardziej surowo, nie złamałby przysięgi. Może w ogóle by jej nie złożył. – Zaciśnął wargi i przy kącikach ust pojawiły się zmarszczki. – Jeśli nie zdołasz pokonać go na Lapzurze, będę gotowy, gdy stanie się wolny.

– Mylisz się co do mnie – rzekłam, wstając. – Nie zmienię się.

– To i tak nie ma znaczenia.

Obróciłam się gwałtownie, by spojrzeć mu w oczy. Mówił pewnie, spojrzenie miał jasne. Wczoraj na obiedzie twierdził co innego.

– Miałem dar przewidywania – wyjaśnił. – Jego moc zanikła, gdy dopełniłem przysięgi, lecz co jakiś czas wzrok do mnie powraca. Bez względu na to, ile razy spojrzę w płomienie, ile razy rzucę kamykami albo odczytam liście, wynik zawsze pozostaje ten sam. Co cię czeka, Maiu Tamarin? Tylko popioły. – Podniósł się i stanął przy mnie. – Ty też zdajesz sobie z tego sprawę.

Mgiełka z wodospadu mnie zamroczyła, więc opuściłam rzęsy, by osuszyć oczy.

– Dlatego chciałeś ze mną rozmawiać? Żeby powiedzieć mi, że zginę, nawet jeśli pokonam Bandura?

– Bez względu na to, czy pokonasz go na Lapzurze, nadal jesteś swoim najgorszym wrogiem. Nie przeżyjesz walki z samą sobą. – Wziął wdech i uniósł ręce. – Mimo to nie jest tak źle, jak mogłoby się wydawać. W niebiosach istnieje rozdarcie stworzone przez magię. Tkacz, twój przodek, jako pierwszy je naprawił, ale był zbyt nieostrożny i zostawił ślad swojej magii wśród swoich śmiertelnych potomków. – Zerknął na nożyczki u mojego pasa. – Przez głupotę czarodziejów i demonów rozdarcie wróciło. Teraz ty musisz je naprawić. Twoje moce ścierają się w tobie, Maiu. Jestem pewien, że to czujesz. Suknie pragną, byś uzdrowiła niebiosą, a demon, byś je rozerwała. To, którego głosu usłuchasz, określi dziedzictwo, jakie po sobie pozostawisz.

Przełknęłam ślinę.

– A co z Edanem? Widzisz jego los?

– Los Gena jest bardziej płynny. To, czy przeżyje, zależy w znacznej mierze od ciebie.

– Dlatego uważasz, że powinien zostać – szepnęłam.

– Uszanuję jego decyzję – odparł mistrz, a potem się zawahał. – Poprosiłem go, żeby został, zanim poszedł cię szukać. Powiedziałem mu, że został przeznaczony magii. Wiesz, co odpowiedział?

Przypomniałam sobie odpowiedź, jakby nadeszła ze snu.

– „Kiedyś zostałem przeznaczony magii, ale z powodu Mai nie jestem już czarodziejem. Teraz jestem przeznaczony jej. Jej ponad wszystkim”.

Na ustach starca pojawił się nieznaczny uśmiech.

– Proszę, to chciałem ci powiedzieć. A teraz idź. Wybieraj mądrze.

Już chciałam odejść, ale przystanęłam.

– Dziękuję – powiedziałam cicho i pospieszyłam z powrotem do świątyni.

Pomknęłam korytarzem, ignorując spojrzenia uczniów, i wparowałam do jadalni z oczami płonącymi czerwienią. Nie dbałam o to, że ludzie się na mnie gapią albo że zachowuję się niestosownie. Wpadłam w ramiona Edana, niemal go przewracając, przytuliłam go i schowałam twarz w jego szatach.

– Maiu – sapnął.

Gdy podniosłam wzrok, dostrzegłam bruzdy zmartwienia na jego czole, błysk niepokoju w jego oczach. Wiedziałam, że nie muszę zadawać pytania, które cisnęło mi się na usta.

– Zostały jeszcze ciasteczka orzechowe? – zapytałam zamiast tego.

Jego twarz się rozluźniła i zachichotał.

– Schowałem dla ciebie kilka. – Urwał. Tak dobrze mnie znał. – Co się stało?

– Wpadłam na mistrza Tstringa – wyznałam jednym tchem. – Uważa, że będziesz w niebezpieczeństwie, jeśli ze mną pójdziesz. Zobaczył...

– Że mogę umrzeć? – dokończył za mnie.

Przygryzłam wargę i wbiłam wzrok w podłogę. Przez chwilę byłam dawną sobą.

Ujął mój podbródek z figlarną iskrą w oku.

– Jeśli mnie zostawisz, nie oddam ci twojego dywanu.

– Już nie lata...

– Owszem, lata. Rano poprosiłem kilkoro uczniów, żeby go naprawili. – Splótł nasze palce. – Idę z tobą, Maiu. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

Nawet będąc niemal demonem, poczułam, że się rozpływam.

– Wszyscy patrzą.

– Mam to gdzieś. – Wyszczrzył się i pocałował mnie w policzek. – Chodź, zjedz coś, zanim skończy się śniadanie.

Ledwie spojrzałam na suto zastawiony stół. Spotkanie z mistrzem Tstringiem pozbawiło mnie jakiegokolwiek apetytu.

– Chodźmy od razu. Nie chcę zostawać tu ani sekundy dłużej.



Podróż nad jezioro Paduan powinna była zająć nam tydzień, jednak dotarliśmy na miejsce trzeciego dnia przed zmrokiem. Jakby Bandur – i sam Lapzur – wiedział, że się zbliżam, i wysłał wiatry, by sprowadziły mnie z powrotem.

Gdy zeskoczyłam z dywanu na brzeg, lodowate szpony jeziora złapały mnie za nogi. Każdy oddech smakował gorzko i parzył w gardle. Z każdym krokiem zapadałam się coraz głębiej w piasek, wiedząc, że wyspy czekają na mój powrót. Nie zamierzały już nigdy pozwolić mi odejść.

Dotknęłam pęknięcia na amulecie, wzywając pod nosem suknię gwiazd.

Z czarnej łupiny wylał się ciemny płyn. Jedwab tańczył we wstęgach dymu i mgły, przepływał mi między palcami i spowijał moje ramiona. Rękawy oblekły mi ręce, lekkie jak pocałunek

wiatru, a spódnica ścisnęła mnie w talii i opadła, pełna jak dzwon, z rąbkiem migoczącym niczym światło świecy.

Tu, gdzie krew gwiazd raz do roku spływała z nieba, suknia była w domu.

– Powinieneś to zabrać – powiedziałam, podając Edanowi jego sztylet. Wcześniej owinęłam broń szalem. Choć nie wypowiedziałam imienia Jinn, by obudzić magię ostrza, czułam nieprzyjemny żar bijący przez włókna tkaniny.

Edan bez słowa wziął sztylet. Przed przybyciem ostatni raz powtórzyliśmy plan, ale nie do końca przewidziałam, jak ogromny wpływ wywrze na mnie to miejsce. Już teraz mnie przytłaczało.

– Jeśli spotka mnie najgorsze, zajmij się moim ojcem i bratem – poprosiłam.

Zesztywniał. Z trudem opanował ton.

– Nie spot...

– I uważaj na siebie – przerwałam mu. Złapałam za fałdy sukni i ciemna tkanina zamigotała pod moim dotykiem. – Jestem gotowa.

Duchy mnie nie kusiły, inaczej niż ostatnim razem. Nie chowały się w cieniu, nie udawały mojej matki i moich braci. Nie słyszałam głosu Mamy, Senda czy Finleia.

Powitały mnie jako jedną ze swoich. To było o wiele gorsze.

Sentur'na, wróciłaś do nas. Wreszcie.

Gdy zmierzałam do Wieży Złodzieja, miasto powstawało z ruin wokół mnie, zniszczone cegły układały się w dumne budynki o dwuspadowych dachach, martwe drzewa wypuszczały liście soczyste jak sama wiosna, a niebo nad nami rumieniło się kolorami zmierzchu. Księżyc pełny jak wtedy, gdy zebrałam jego łzy, wisiał otoczony koronką gwiazd. Gwiazd, których krew zdobiła moją suknię.

Zerknęłam na Edana, zastanawiając się, czy widzi miasto tak samo jak ja. Jego ponura mina mówiła mi, że nie.

To nie jest prawdziwe, przypomniam sobie. Ale takie się wydaje. Jakbym tu pasowała.

Po raz pierwszy od tygodni czułam, że żyję. Krew tak dawno nie buzowała mi w całym ciele, pobudzając serce. Demon zniknął – przestał czaić się w moich myślach i zacieśniać uścisk.

Więc tak wyspy chciały mnie skusić. Nie moją rodziną, ale mocą. Życiem.

Duchy kłaniały mi się, wyciągając długie, krzywe ręce. Inne napierały na Edana, sięgając śmiało mimo dzierzzonego przez niego sztyletu. Meteoryt świecił jaśniej niż kiedykolwiek, srebrnym, niemal niebieskim blaskiem.

– Zostawcie go – syczałam na te z nich, które podchodziły zbyt blisko. Wycofywały się, usłużnie pełznąc z dala od nas i skrobiąc paznokciami o kamienną ścieżkę.

Bandur czekał na nas w Wieży Złodzieja, paskudna krzyżówka wilka i człowieka otoczona watahą widmowych wilków. Gdy mnie zobaczył, z rozkoszą obnażył kły.

– Nareszcie przyszłaś – przywitał mnie ze szczytu schodów. Zerknął na Edana. – I to z łamaczem przysięgi.

Zobaczyłam, jak wilki Bandura otaczają Edana i nas rozdzielają. Wściekła obróciłam się, by spojrzeć w twarz demona.

– Zachęta, że się tak wyrażę. – Wskazał Edana. – By dopilnować, że dopełnisz ceremonii. Ostrzegałem cię, że nie jest zaproszony, Sentur'na.

Nienawidziłam sposobu, w jaki wymawiał to imię. Moje imię.

– Słyszysz swoich nowych przyjaciół? Upominają się o ciebie.

Słyszałam. Tysiące głosów, każdy jak lodowata igła kłująca mnie ze wszystkich stron. *Przybyła nasza nowa strażniczka.*

Amulet ciążył mi na piersi, całe ciało było jak z kamienia. Suknia pociemniała, czarny materiał odznaczał się na tle wiecznej nocy nad nami. Uniosłam spódnicę i zmusiłam ołowiane nogi, by zrobiły pierwszy krok, potem następny i jeszcze następny, w górę Wieży Złodzieja.

Strach ścisnął moje serce.

Czy to naprawdę moje przeznaczenie – zostać strażniczką Lapzuru? A co, jeśli nie dam rady walczyć z Bandurem?

Dotarłam do komnaty, gdzie na mnie czekał. Smugi dymu sączyły się z pęknięcia na jego amulecie, formując czarną chmurę wokół mnie.

Bez ceremonii zerwał mi amulet z szyi i zacisnął na nim swoje pazury. Dym przenikał do amuletu między jego palcami i choć zaciskałam usta, powiew zimna przeszył moje płuca, wyrrywając mi okrzyk z piersi.

Gdy rozwarł dłoń, mój amulet był czarny i matowy – jak jego. Jak demona.

Amulet Bandura – okrągły obsydian o matowej, porysowanej powierzchni – nagle zapłonął życiem. Grawerowany wilk się wyostrzył, kły mu zalśniły, a rubinowe oczy zamigotały.

– Przekazanie straży się rozpoczęło – oznajmił, zakładając mój amulet na szyję.

Nie szamotałam się, gdy odbierało mi oddech. Zamiast tego ze spokojem spojrzałam w oczy Bandura. Modliłam się, by nie zauważył moich drżących dłoni sięgających za spódnicę po nożyczki.

Jednym szybkim ruchem chwyciłam nożyczki i wbiłam mu w szyję. Bandur zawył, a ja zanurzyłam ostrza głębiej, aż popłynęła czarna, aksamitna krew. Wtedy wyszarpałam nożyczki i przecięłam łańcuszki amuletów, po czym złapałam je w locie.

Nagle dym opadł. Powietrze wlało się z powrotem do moich płuc, gdy amulet wrócił na miejsce i odzyskałam siłę. Dym zebrał się u moich stóp, smugi opłotły moje kostki jak węże. Płomienie łaskotały mnie w palce, kiedy chowałam amulet Bandura w fałdach spódnicy.

Strzała śmignęła obok mnie i ugodziła Bandura w ramię. Wyrwał ją, warcząc na Edana, który zdołał uciec wilkom.

– Biegnij! – zawołał Edan, dobywając sztyletu i pędząc po schodach w stronę Bandura. – Teraz!

Już biegłam. Starannie to zaplanowaliśmy. On miał odeprzeć atak Bandura, gdy ja pomknę na szczyt wieży.

Duchy rzuciły się za mną. Ich zwiewne ręce szarpały tren mojej sukni, niektóre nawet muskały moją skórę. Ale ja byłam już naznaczona przez demona – duchy nie mogły mnie skrzywdzić.

Moje stopy dudniły o kamienne stopnie, gdy gnałam w górę krętych schodów.

– Maiu, stój! – krzyknęła moja matka, tarasując mi drogę.

Warsztat Baby w Gangsunie pojawił się przed moimi oczami taki, jakim go zapamiętałam. Stołek, który dostałam od Mamy, stał przy oknie, obok niego kosz z przyborami. Obok znajdował się ołtarz z posągami Amany, ledwie wyschnięty po malowaniu.

Słyszałam Finleia i Ketona kłócących się na zewnątrz, Sendo próbował ich pogodzić.

– Są jak ogień i wiatr, ci dwaj – powiedziała Mama, kręcąc głową. – A ty i Sendo jak ziemia i woda. Jak rzeka żłobiąca kamień.

Nie zamierzałam pozwolić, by moc wysp mnie zniszczyła. Wiedziałam, że to nieprawda. A jednak – wspomnienia mojej rodziny wróciły, żywe i wyraziste. Ta dawno nie słyszałam głosu Mamy, tak dawno jej nie widziałam. Tak jak poprzednio, prawie nie mogłam się oprzeć.

– Zostań z nami, Maiu. Czy nie tego zawsze chciałaś? Znów być z rodziną.

Siwe włosy łaskotały jej skronie. Wyglądała tak prawdziwie. Wiatr rozwiewał jej spódnicę tak samo jak moją. Popatrzyłam na nią, podziwiając rumieniec na jej policzkach, piegi na skórze, zmarszczki przy kącikach ust. Była dokładnie taka, jak pamiętałam – a jednak spojrzenie miała zbyt rozmyte i zamglone, by mogło uchodzić za ludzkie.

– Zostań z nami – powtórzyła i podeszła bliżej. – Jesteś silna. Dzięki tobie szwy naszej rodziny się nie rozejdą. Możesz o nie dbać tutaj.

Gdy usłyszałam słowa mojej zmarłej matki z ust tej oszustki, wezbrała we mnie wściekłość.

– Zadbam o nie – wycodziłam. – Ale ty nie jesteś moją matką. Przepuść mnie.

Zjawa zacisnęła usta i twarz Mamy się rozplynęła. Czarne włosy wyblakły i spłynęły dziką, białą kaskadą na jej wygłodniałe czarne oczy.

Kościstą dłonią złapała mnie za nadgarstek.

Dotyk ducha skazywał człowieka, by ten również stał się duchem. Ale ja nie byłam już człowiekiem. Podniosłam rękę i wyrwałam się z uścisku. Moja suknia rozbłysła z wściekłości i wypłuła promienie światła.

Zjawa zaczęła się wić. Jej krzyki przecięły powietrze, a kości zaskwierczały i rozplynęły się w dym.

Pobiegłam na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Suknia oświetlała kręte schody prowadzące na dach, do studni, która zbierała krew gwiazd.

I oto była. Wyglądała tak nieszczęśliwie – jak kamienna misa wystająca z ziemi. Ostatnim razem nie panowała tu taka cisza. Z drugiej strony dziś nie przypadał dziewiąty dzień dziewiątego miesiąca. Gwiazdy nie krwawiły na niebie, srebrny pył nie spływał do studni.

Gdy oparłam się o krawędź studni, zadrapałam łokciem o jej skalistą powierzchnię. Wewnątrz rozciągała się bezdenne ciemność.

To – to było serce Lapzuru. Nie Wieża Złodzieja, nie Bandur.

Nie ja.

Wyciągnęłam amulet Bandura. Obsydian poraził mnie lodowatym zimnem. Jakby wiedział, że chcę go zniszczyć.

Nachyliłam się nad studnią.

– Stój – wychrypiał Bandur, stając po drugiej stronie. – Życie czarodzieja za mój amulet.

Mój demoniczny wzrok pokazał mi Edana. Nadal był na dole, otoczony duchami, które wyciągały ręce do jego gardła. Jego sztylet

błyskał, srebrno-niebieskie smugi fruwały wściekle wokół niego, gdy odpędzał zjawy. Jeden dotyk i stałby się jak one.

– Żerują na słabości – przypomniał mi Bandur. – Jego słabością jesteś ty, Maiu. Żaden śmiertelnik nie jest w stanie się oprzeć. A on teraz jest śmiertelnikiem.

Wzdrygnęłam się.

– Oddaj mi amulet, inaczej Edan zginie.

– Nie – szepnęłam. Oczy mi płonęły, krew buzowała z wściekłości. Powędrowałam demonicznym wzrokiem w dół, gdzie Edan walczył z duchami. – Teraz ja jestem strażniczką Lapzuru! – krzyknęłam. – Puśćcie go!

Zamarły zdeorientowane. *Sentur'na...*

– Jestem Sentur'na. – Tym razem mógł głos dudnił jak głos Bandura. Moje oczy jarzyły się jak dwie krwistoczerwone gwiazdy. – Puśćcie go.

Sentur'na. Skłoniły się i usłuchały, zostawiając Edana w spokoju.

– Zabijcie go! – wrzasnął Bandur. – Ona jeszcze nie jest strażniczką!

Zebrały się na rozkaz demona, ale Edan już biegł na szczyt. Popędziły za nim.

Serce mi się ścisnęło. Oboje wiedzieliśmy, że przybycie na Lapzur to ryzyko.

– Jeśli pójdziemy – powiedziałam mu wcześniej – musimy iść z zamiarem zniszczenia Bandura. Na dobre. Nawet jeśli jedno z nas nie przeżyje. Albo oboje.

Puściłam amulet i wzrok demona zniknął.

Tylko błysk kłów i pazurów ostrzegł mnie, zanim Bandur na mnie wpadł. Wrzasnęłam i niemal wpadłam do studni, ale demon złapał mnie za nadgarstek i przyciągnął.

– Teraz dopełnimy ceremonii, Sentur'na. – Przeciął mi ramię pazurem ostrym jak miecz i krew pociekła z rany. – Gdy złożymy ofiarę krwi Lapzurowi, staniesz się nową strażniczką. – Przytrzymał moją rękę nad studnią. Moje rękawy biły o Bandura, iskry strzelały

z tkaniny i przypalały jego szare futro. W dzikim szale pociągnął mnie za suknię, sięgając po swój amulet, ale trzymałam go poza jego zasięgiem nad studnią. – Oddaj mi amulet.

Jego słowa raniły moje uszy, okrutne jak nóż ostrzony o kość. Rozbrzmiały echem w studni, odbijając się od bezkresnych kamiennych ścian.

– Ostatnim razem oddałam ci amulet za fiolkę – rzekłam. – Już nie będę taka głupia.

– Jeśli go upuścisz, zginiesz razem ze mną.

Spojrzałam w dół. Czekala tam ciemność, czarniejsza niż dno morza i bezkresna jak noc. Fałdy mojej sukni migotały, ale nawet ich lśniące światło gwiazd nie mogło przeniknąć otchłani.

Amulet Bandura kołysał się w rytm mojego serca. Zbyt późno zauważyłam, jak ciemna strużka cieknie po moim ramieniu i zbiera się w jedną grubą kroplę na zgięciu łokcia. Szarpnęłam w bok, a ona spadła na kamienie. Lecz nie mogłam w żaden sposób powstrzymać krwi przed spływaniem w dół i w dół – a kiedy dotknie dna, zostanę strażniczką Lapzuru.

Świadoma, że on również to zobaczył, spojrzałam mu w twarz z najbardziej niezłomnym uśmiechem.

– Więc niech tak będzie – powiedziałam i upuściłam amulet do studni.

Rozdział dwudziesty trzeci

Wwirze cienia i dymu Bandur skoczył za swoim amuletem.

Przeszyła mnie panika. Nie mogłam pozwolić, by go odzyskał.

Rzuciłam się za nim, wyciągając ręce do plam szarego futra. Walka w czarnej nicości była gorączkowa. Bandur był silniejszy, ale ja bardziej zdeterminowana.

Nagle ciało Bandura rozbłysło, więc wpiłam paznokcie w jego futro, wiedząc, że go złapałam. Wywlekłam go ze studni i przytrzymałam, aż amulet z pluskiem uderzył o powierzchnię wody i zatonął w mętnych głębinach studni.

A potem kolejny plusk. Moja krew.

Bandur wykręcił się z mojego uścisku, złapał mnie za szyję i zawiesił nad studnią.

Trzymał mnie blisko, tak blisko, że czułam jego popielisty oddech, świszczący dym ulatujący ze spalonego futra. Fałdy sukni ożyły własnym życiem, burza światła i gwiazd smagała demona. Jego czerwone oczy jarzyły się wściekłością, a on zaciskał pazury na mojej szyi.

Dlaczego nie zginął? Zniszczyłam jego amulet.

– Gratulacje, Sentur'na – wychrypiał. – Jesteś strażniczką Lapzuru.

Nie mogłam być strażniczką Lapzuru. Studnia pochłonięła jego amulet, zanim przyjęła moją krew. To powinno go zabić!

Mój lęk przeszedł w przerażenie. Zerwałam nożyczki z pasa i próbowałam ugodzić go w serce, w gardło. Bez skutku.

– Jak...

Pytanie przerodziło się w krzyk, gdy Bandur chwycił mój amulet i przeorał go potwornymi pazurami. Wierzgnęłam, a potem zwiotczałam.

Ze śmiechem odebrał mi nożyczki.

– Amulet to twoje serce, Sentur'na. Mogłaś mnie kontrolować, kiedy trzymałaś mój, ale nie wiedziałaś, prawda?

Trzymał mnie wysoko w powietrzu. Znów krzyknęłam, lecz z moich ust nie dobył się dźwięk. Dusłam się, nie mogłam oddychać.

– Teraz zginiesz.

W dole ciemne wody studni kłębiły się w straszliwą nawałnicę. Ściany pękały, kamienie spadały do wody. Z jakiegoś powodu, widząc gniew studni, wiedziałam, że nie jestem strażniczką. Gdybym była, byłabym silniejsza od Bandura. Kontrolowałabym duchy Lapzuru, kazałabym im zostawić Edana i przyjść mi na pomoc.

Bandur blefował. Ale dlaczego?

Sekundy rozciągnęły się w wieczność. Suknia w szale atakowała Bandura, próbowała wyrwać mu amulet, zanim wrzuci go do studni.

Zamachnął się na nią nożyczkami, metal świsnął mocą. Lecz nożyczki nie chciały ciąć – to nie jemu służyły.

Warknął i cisnął mnie – razem z amuletem – w głąb studni.

Gdy sunęłam w dół, wreszcie zrozumiałam. Niszcząc amulet Bandura, nie zniszczyłam demona, lecz uczyniłam go śmiertelnym. Dlatego tak rozpaczliwie chciał się mnie pozbyć i uciec z wyspy.

Bo wie, że możesz go zabić, Sentur'na, szepnął mroczny, nęcący głos we mnie. Masz suknie Amany. Jesteś silniejsza niż on. Poddaj się, zabij go.

Ten jeden raz usłuchałam.

Zanurkowałam po amulet i chwyciłam go w dłoń. Moja suknia zamigotała, rozświetlając ciemność wokół mnie. Przewyciężając strach, który ścisnął mi serce, odpuściłam i zaufałam, że krew gwiazd uniesie mnie z powrotem.

Wystrzeliłam w górę jak kometa, wypadłam ze studni i wskoczyłam na plecy Bandura.

Zaskoczony obrócił się i próbował mnie strącić, ale moje rękawy odparły atak, smagając go i owijając się wokół jego szyi. Wyrwałam mu nożyczki i dźgnęłam go w serce.

Wrzasnął. Wił się, usiłując wyszarpnąć nożyczki. Ostatkiem sił rzucił mnie na dach. Nożyczki wysliznęły mi się z rąk i upadłam na zimną, kamienną posadzkę.

Łuszczył się, z jego ust buchał dym. Jego ciało zaczęło się rozwiewać. Walczył, lecz ręce i futro rozplynęły się w cień, a czerwone oczy spłynęły strugą krwi. Pochłonęła go burza ognia.

Aż w końcu przestał istnieć.

Kamienie wyleciały ze studni prosto na mnie. Obróciłam się na brzuch, zakrywając głowę. Dach walił się wokół mnie, odsłaniając schody i Edana, który biegł w moją stronę z twarzą lśniąca od potu. Choć Bandur przestał istnieć, duchy wciąż goniły Edana.

Poderwałam się zaniepokojona, ale ziemia pode mną zadrżała i znów zwała mnie z nóg. Kątem oka zauważyłam, jak moje nożyczki podskakują na krawędzi studni, a potem wpadają do środka.

Z mojej piersi wyrwał się zduszony krzyk.

– Moje nożyczki!

– Zostaw je. – Edan złapał mnie za nadgarstek. – Musimy uciekać.

Nagle w studni wybuchło światło i rozbłysk pochłonął całą wyspę. Trwało to nie dłużej niż mrugnięcie, ale duchy zniknęły.

Z Bandura została kupka popiołu. Wiatr zwał ją z kamiennej posadzki i rozsypał nad szalejącą wodą w dole.

Wybuch światła zniszczył studnię z krwią gwiazd. W jej miejscu pojawiła się góra pokruszonych skał i kamieni. Odłamki fruwały po dachu, kamyki kłuły mnie w skórę. Edan osłonił nas peleryną.

– Musimy zejść z wieży! – krzyknął, gdy wiatr się nasilił. Coś ryknęło niedaleko nas, jak burczenie w brzuchu potwornej bestii. Dopiero po chwili zrozumiałam, że to wyspa się zapada.

Kolejne trzęsienie. Świat pochylił się tak gwałtownie, że nie mogłam utrzymać równowagi.

Zachwiałam się, a Edan złapał mnie za ramię.

W dole szalało wzburzone jezioro. Edan usiłował rozwinąć dywan. Gdy ogarnęłam go wzrokiem, zobaczyłam rozdarcia, dziury i zniszczone frędzle, ślady zębów i pazurów...

– Dywan nie poleci – powiedziałam, dotykając ręki Edana. Bez nożyczek nie mogłam go naprawić. Moja magia demona miała zniszczenie, a magii Amany nie potrafiłam kontrolować. Rozumiałam moje nożyczki, władałam nimi i dzięki nim wlewałam magię w ubrania, ale przepadły. – Jedyne wyjście to skok do jeziora.

– Więc skoczmy razem – zgodził się, ciągnąc mnie w stronę gzymsu.

Wiatr wył i targał moje włosy. Spojrzałam w dół, wdzięczna, że mgła spowija wodę i zasłania odległość dzielącą nas od jeziora. Mimo to dostrzegłam dziką pianę na ciemnych, wzburzonych falach.

– Nie umiesz pływać – przypomniałam sobie.

– Nie ma innego wyjścia.

Wichura za nami rosła w siłę. Wieża zadudniła.

– Gotowa? – zapytał.

Skinęłam głową i splotłam nasze palce.

– Na trzy. Raz, dwa...

Skoczyliśmy.

Nie widziałam wody w dole, co czyniło skok jeszcze bardziej przerażającym. Jezioro ryknęło, żywe i tętniące gniewem wszystkich tych, którzy zginęli w jego głębinach. Odebrało mi dech, gdy grawitacja ciągnęła nas w dół.

Przygotowałam się na lądowanie. Ścisnęło mnie w brzuchu, a serce podeszło mi do gardła.

W najstraszniejszym momencie wiatr wyrwał moją rękę z ręki Edana i nas rozdzielił.

– Maia! – krzyknął Edan.

– Nie... – zaczęłam, ale wiatr stłumił dźwięk. Słone powietrze wleciało mi do nosa, a sekundę później uderzyłam w powierzchnię.

Zderzenie z jeziorem bolało tak bardzo, że moje ciało przeżyło szok. Zapomniałam, jak to jest czuć ból. Woda dudniła mi w uszach, a chłód mnie paraliżował.

Ale to palenie w gardle przypomniało mi, żeby kopać, walczyć, żyć. Odruchowo popłynęłam w stronę powierzchni.

Zaczerpnęłam powietrza. Fale były gwałtowne, łapczywie spychały mnie w swoje głębiny. Woda zalewała mi twarz, gdy się miotałam.

– Edan? – zawołałam. Nic nie widziałam w tej ciemności. – Edan!

Moja suknia pojaśniała blaskiem gwiazd. W jednej chwili podświetliła wodę i zobaczyłam go, jak tonie w czeluściach jeziora.

Zanurkowałam za nim, złapałam go pod ręce i pociągnęłam na górę. Na powierzchni narzuciłam sobie jego ramię na szyję.

– Edan? – pisnęłam zmartwiona. – Edan, wszystko w porządku?

Kiedy zakaszał, wypuścił wodę ustami i nosem. Niezdarnie machał rękami, dopóki go nie uspokoiłam. Ogarnęła mnie fala ulgi.

– Żyłem kilka wieków, a nigdy nie byłem bliższy utonięcia – powiedział.

– Przestraszyłeś mnie!

Za nami wyspa zatonąła w jeziorze, tworząc wielki wir. Jego potężne wiatry sięgały aż tutaj. Patrzyłam, jak Lapzur pogrąża się w ciemności. Wieża Złodzieja zniknęła jako ostatnia – mieliśmy już nigdy jej nie zobaczyć.

– To by było na tyle w kwestii najbliższego brzegu – rzucił, bardziej sarkastycznie niż ponuro. Złożyłam na jego ustach słony pocałunek. Tylko on potrafił żartować w takim momencie.

Jednak miał rację. Dywan poleciał daleko, by dostarczyć nas na Lapzur. Bez niego utknęliśmy w wodzie – z naszego miejsca nie widziałam żadnego lądu.

Mimo to nie panikowałam. W głowie już przedłam plan: gdy Bandur mnie naznaczył, mógł podróżować przez szkło, koszmary i dym. Demon niebędący strażnikiem Lapzuru pewnie mógł o wiele, wiele więcej. Przypomniałam sobie, jak Bandur wrzucił mnie do studni, a ja wystrzeliłam z głębi. Ciepło zatańczyło mi na

opuszkach. Iskra, którą z trudem powstrzymywałam, rozpałała moje wewnętrzne płomienie.

– Złap mnie w talii – szepnęłam do Edana. – I trzymaj mocno.

Wzbiliśmy się nad wodę. Moja suknia jaśniała jak lampion, ciągnąc nas do brzegu.

Gdy wylądowaliśmy, ogień we mnie zgasł. Odpuściłam wszystko i zemdlałam.



Znajome serce biło przy moim uchu, miarowo i spokojnie, w rytmie, który dobrze znałam. Gdy się poruszyłam, ciepły oddech połaskotał mój policzek. Byłam przykryta grubą peleryną i otoczona pocieszającym ramieniem.

Na pewno nie spałam długo, bo wciąż panowała noc.

Obróciłam się, by spojrzeć na Edana. Miał mokry kołnierz, a jego odsłonięte ręce pokrywała gęsia skórka.

– Drżysz – zauważyłam.

– Ubrania wyschną – powiedział przez zęby. – Nie martw się o mnie, *xitara*.

– Nie jest mi zimno – oznajmiłam, ale zdałam sobie sprawę, że to nieprawda. Powietrze było mroźne i po raz pierwszy od tygodni posmakowałam chłodu na ustach, gdy je wdychałam. Nie dygotałam tylko dzięki krwi gwiazd.

– Co...

Ściągnęłam suknię przez głowę, siłą rozpinając guziki. Bez nożyczek nie miałam jak elegancko się z nimi rozprawić.

Ignorując protesty Edana, otuliłam suknią nas oboje i przywołałam ciepło do mieniającej się tkaniny.

Kolory powoli mu wracały, ale przyspieszyłam proces, całując go. Dopiero teraz docierało do nas, że zwyciężyliśmy.

Bandur zginął. Jego wieża na Lapzurze runęła.

Szepty ustały.

Wzięłam wdech, rozkoszując się ciszą w głowie. Wreszcie słyszałam swój oddech, swoje bicie serca, tak szybkie i nierówne, że każde uderzenie rozbrzmiewało echem w moich uszach. Pulsowanie skroni ustało, a oczy przestały piec. A wcześniej poczułam ból, gdy wpadłam do wody.

Czy to oznaczało, że jestem wolna?

Przechyliłam głowę, muskając usta Edana. Z łomoczącym sercem niepewnie podniosłam wzrok, by spojrzeć mu w oczy. Byłam pewna, że zobaczę w nich odbicie czerwonych źrenic, druzgocących jak krwistoczerwone pieczęcie na listach informujących o śmierci moich braci na wojnie.

Lecz... nie dostrzegłam nic takiego.

Moje oczy nawet nie lśniły w blasku księżyca. Miały kolor ziemistego brązu, jak kasztany, które kupowałam braciom w Port Kamalan. Piekliśmy je na węglu, a mięso posypywaliśmy cennym kminem – Keton go uwielbiał. Baba złościł się na Finleia, że marnuje swoje zarobki na łyżkę kminu, by dogodzić Ketonowi. Ale Finlei i Keton byli tandemem, jak Sendo i ja.

Gdy te wspomnienia do mnie wróciły, oczy zaszły mi łzami wzruszenia. Prawie zapomniałam.

Edan ujął moje palce.

– Masz ciepłe ręce.

– Tak. – Ścisnęłam jego dłoń, szczęśliwa, że znów mogę ją trzymać. Zerknęłam w dół na suknię gwiazd. Blask materiału osłabł i suknia przybrała barwę fioletowego nieba. Amulet już nie ciążył mi na piersi.

– Myślę, że jestem wolna – wyszeptałam. – Myślę... myślę, że nam się udało.

– Więc już mnie nie zapomnisz? – zapytał.

– Nigdy. – Zanuciłam naszą piosenkę. Piosenkę, którą, jak się dowiedziałam, śpiewała mu jego mama. – Nawet jeśli ta melodia miałaby mi utknąć w głowie na zawsze.

Melodia ucichła, gdy zbliżył moją dłoń do swoich ust. Jego oddech połaskotał moje opuszki. Edan pocałował moje palce i powędrował wargami po całej dłoni, do nadgarstka. Każdy pocałunek budził dreszcze rozkoszy, które wybuchały we mnie jak gwiazdy na niebie.

Przetoczyłam się na Edana i razem zatonęliśmy w piasku, chłonąc siebie nawzajem. Zanim zasnęliśmy, przez kilka błogich chwil myślałam, że najgorsze już za nami.

Rozdział dwudziesty czwarty

O budziłam się bez tchu.

Niewidzialne palce ścisnęły moje gardło, ostry wiatr wgryzał się do płuc i dusił mnie od środka. Mój ludzki puls bił, ale zwalniał z każdym uderzeniem, aż...

Nie!

Gdy otworzyłam oczy, cienie odpłynęły i ucisk na gardle zniknął. Zobaczyłam brzeg, pierwsze promienie świtu przecinające jezioro i Edana obok mnie. To był sen.

Rozpaczliwie zaczerpnęłam powietrza. Moje gardło zapłonęło, a kiedy dotknęłam szyi, doznałam szoku. Skórę miałam lodowatą jak śmierć. Co gorsza, pustka w piersi wróciła.

Ostrożnie – by go nie obudzić – wyplątałam się z ramion Edana i usiadłam. Moje palce były jak z lodu. Przerażona zauważyłam, że paznokcie stwardniały, płytka przy skórkach zbrązowiała jak zaschnięta krew, a końcówki stały się ostre i szpiczaste. Zanurzyłam ręce w piasku.

Serce mi waliło, zagłuszając spokojny plus jeziora.

Nadal zmieniałam się w demona. Nie powstrzymałam mojej przemiany, gdy pokonałam Bandura i zniszczyłam wyspy, tylko ją opóźniłam.

Nie wiedziałam, jak długo tam siedzę, walcząc o każdy oddech, dopóki Edan się nie poruszył.

– Dzień dobry – powiedział sennie. Na jego ustach błędził leniwy uśmiech, tak uroczy, że zakłuło mnie w sercu. – Od dawna nie śpisz?

Spięłam się i obróciłam twarz do jeziora, zanim zdążył mnie zobaczyć. Amulet schowany w fałdach tuniki pulsował mi na

żebrach. Nie musiałam patrzeć w dół – miałam okropne przeczucie, że wciąż jest czarny jak noc.

– Od niedawna – wydusiłam.

– Słuchasz wody?

Jego pytanie, tak proste i niewinne, sprawiło, że poczułam ból w piersi. Brzmiał, jakby był szczęśliwy.

– Trochę.

– Coś nie tak, Maiu? – Położył mi ręce na ramionach. Jego cień zlał się z moim na piasku. – Wydajesz się przygnębiona.

Zatopiłam palce głębiej. Nie chciałam mu powiedzieć. Nie wiedziałam jak.

– Co będzie z przyszłymi czarodziejami teraz, kiedy Lapzur przestał istnieć?

Oderwał wzrok od migoczącej wody przed nami. Miałam wrażenie, że długo zastanawia się nad odpowiedzią.

– Słońce i księżyc nadal będą spotykać się raz do roku, a gdy się spotkają, z nieba spłynie krew gwiazd. Jednak teraz, kiedy nie ma już studni, czarodzieje nie będą mogli z niej wypić i złożyć przysięgi na tysiąc lat. Narodzi się nowe pokolenie czarodziejów.

– Ale mówiłeś, że dzięki przysiędze nie stają się zbyt chciwi. Że magia psuje.

– To zawsze pozostanie prawdą. W Kiacie zabraniano magii i każdy, kto się z nią urodził, był skazany na wygnanie. Inne kraje nigdy nie zachęcały do składania przysięgi. Myślę, że tak jest lepiej.

– Milczałam, więc zażartował: – Za tysiąc lat będą śpiewać pieśni o tym, jak zniszczyłaś Zapomniane Wyspy Lapzuru uzbrojona jedynie w parę nożyczek.

Wymusiłam uśmiech, ale posmutniałam, gdy przypomniałam sobie historię mistrza Tstringa o moim przodku, Tkaczu.

– Szkoda, że je straciłam.

– Dlatego jesteś smutna? – spytał.

– Były w mojej rodzinie od dawna – odparłam wymijająco. – Zabawne: kiedyś nie cierpiałam ich magii za to, że pomagała mi

w szyciu, ale teraz za nią tęsknię. Była częścią mojej przeszłości. Bez nich...

Boję się, że będę zgubiona.

Delikatnie starł piasek z mojego policzka. Wiedziałam, że wyczuł, iż coś jeszcze jest nie tak, ale radość z poprzedniej nocy stłumiła jego troskę. Nadal wierzył, że śmierć Bandura i zniszczenie Lapzuru odwróciło moją przemianę w demona.

Żałowałam, że go rozczaruję.

Bo teraz, gdy słuchałam swojego serca, słyszałam swój oddech między każdym uderzeniem, tak nieubłagane powolnym, że zastanawiałam się, czy kiedykolwiek jeszcze zabije mocniej, czy kiedykolwiek znowu coś poczuję.

Będzie zwalniać i zwalniać, aż któregoś dnia stanie. Wtedy nie będę już człowiekiem.

Nie będę Maią.

Nadzieja zgasła w mojej piersi, ale zmusiłam się do uśmiechu. Niech Edan myśli, że mam się lepiej, chociaż przez kilka godzin. Bądźmy szczęśliwi jeszcze przez chwilę.

Jednak moje oczy płonęły znajomym druzgocącym żarem, a kiedy sięgnął po moją dłoń, wciąż zatopioną w piasku, odskoczyłam.

Przełknęłam kulę w gardle.

– Jeszcze nie jestem ocalona.

Wyrwałam dłoń z piasku i podniosłam. Moje palce były nie do rozpoznania – bardziej przypominały pazury.

Edan nie okazał zaskoczenia.

– Wiedziałaś, że tak będzie?

Spochmurniał. Zamiast odpowiadać, ujął moje potworne ręce i ścisnął, kiedy próbowałam się wycofać. Pocałował opuszki i zakrzywione pazury.

– Bandur odszedł – powiedział, jakby to miało mnie pocieszyć. – Nie jesteś już związana z wyspami.

Obróciłam głowę, zanim zdążył znów mnie pocałować. Moje wargi pozostałyby zimne, bez względu na to, jak bardzo starałby się

rozgrzać je swoimi. Nawet gdy dotknął moich pleców i ujął podbródek, bym na niego spojrzała, nie mogłam znieść szkarłatnego błysku moich oczu w jego oczach.

– Powinieneś odejść. Zanim stanę się...

– Nie, Maiu. – Uniósł nadgarstek, pokazując mi czerwoną nić. – Jesteśmy związani, ty i ja, w tym życiu i w następnym. Dokądkolwiek zechcesz pójść, pójdę za tobą.

Zastanowiłam się. Dokąd chciałam iść? Pragnęłam zobaczyć Babę i Ketona, ale wizja powiedzenia im prawdy – przyznania, co się ze mną dzieje – była ponad moje siły. Ta wiedza by ich zraniła. Wolałam oszczędzić im bólu.

Choć nim gardziłam, cesarz Khanujin mnie potrzebował. Tylko demon mógł zmierzyć się z Gyiurak, a póki jeszcze miałam w sobie Maię, czułam, że muszę pomóc. Muszę ocalić A'landi. Mam tylko nadzieję, że nie jest za późno.

Lekko odepchnęłam Edana i ustawiłam go tak, by siedział twarzą do mnie. Miałam odpowiedź, ale wiedziałam, że mu się nie spodoba.

– Myślisz, że w następnym życiu nadal będziesz sobą? – zapytałam zamiast tego. – Ty synem zaganiacza bydła, a ja córką krawca? A może kimś zupełnie innym? Czy będę musiała znów cię odnaleźć? – Przechyliłam głowę. – Może nawet nie będziesz lubił czytać?

– Nie sędzę – rzucił cierpko. – Niektóre rzeczy się nie zmieniają. Choć młody Gen uważał, że książki lepiej nadają się na podpałkę do pieczenia marchwi. Moja rodzina była biedna, a w naszym kraju nie mieliśmy egzaminów urzędniczych, by poprawić swój status jak w A'landi.

– Poradziłbyś sobie świetnie – stwierdziłam. – Zostałbyś wysokim urzędnikiem. Albo ministrem, jak Lorsa.

Zmarszczył nos.

– Byłbym co najmniej gubernatorem.

To mnie rozśmieszyło. Próbowałam wyobrazić sobie Edana jako młodego chłopaka.

– Więc mnisi nauczyli cię czytać po tym, jak twój ojciec zostawił cię w klasztorze?

– Tak, ale nie byłem tam długo. Żołnierze szybko po mnie przyszli, po każdego sprawnego chłopaka w promieniu stu kilometrów. – Ucichł. – Czasami myślę, że przeżyłem te wojny tylko dlatego, że byłem zbyt młody, by w ogóle nosić miecz. Kazali mi grać na bębnach, ale miałem za słabe ręce, więc nauczyłem się grać na flecie.

– Już prawie nie grasz – zauważyłam z nutą zadumy.

– Bo jestem zbyt zajęty uczeniem cię śpiewu – zażartował, ale sięgnął do kieszeni, by sprawić mi przyjemność. Kiedy wyciągnął flet, z drewnianej rurki wypadła kartka. – Co to?

Podерwała się, rozpoznając swój list. Zapomniałam o nim.

– Nic – skłamałam prędko, sięgając po kartkę, ale Edan już zaczął czytać.

– Maiu... – zaczął głosem ciężkim od emocji. – Maiu...

Ociągałam się z odpowiedzią.

– Napisałam to, zanim udaliśmy się do Lapzuru. Ostatniego ranka w świątyni mistrz Tstring powiedział mi, że jedyny sposób, by się uwolnić, to zniszczyć suknie... Powiedział... – Urwałam, patrząc na list pożegnalny. Napisałam go, zanim mistrz Tstring zdradził mi mój los, a jednak... chyba w jakimś sensie już wiedziałam. Może dlatego zapomniałam zabrać list z powrotem. – Powiedział, że nie przeżyję.

Mięsień drgnął Edanowi na twarzy. Sprawiałam mu ból.

– I nie pomyślałaś, żeby się tym ze mną podzielić?

– Ja... – Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Podniósł list tak wysoko, że nie mogłam go dosięgnąć.

– Zamierzałaś mi powiedzieć, że odchodzisz?

Głos miał ostry. Zbyt ostry. Zapłonęła we mnie iskra wściekłości.

– To mój wybór, tak jak złożenie przysięgi było twoim wyborem. Znałeś konsekwencje. Ja znam swoje.

– Z tobą będzie inaczej niż z Bandurem, Maiu. Masz dobre serce. Znajdziemy sposób, żebyś...

– To pokonała? – Pokręciłam głową. – Nie ma sposobu. Zapytałeś, dokąd chcę iść. Chcę iść do Zimowego Pałacu.

Tak jak się spodziewałam, moja odpowiedź nie ucieszyła Edana. Zacisnął usta.

– Maiu, potrzebujesz czasu na odpoczynek. To, że nie jesteś już związana z Lapzurem, nie oznacza, że wciąż nie grozi ci niebezpieczeństwo. Ostatnie, co powinnaś zrobić, to pędzić do pałacu, żeby walczyć z demonem szansena.

– Wolałbyś, żebym się schowała? – krzyknęłam. – Żebym pozwoliła żołnierzom zginąć, żeby ta wojna ciągnęła się kolejne pięć lat?

– Tak. Wolałbym, żeby kobieta, którą kocham, nie przyspieszała swojej przemiany. A zwłaszcza nie po to, żeby walczyć za Khanujina.

– Nie walczę za Khanujina, tylko za mój kraj. Beze mnie A'landi nie ma szans z Gyiurak. Przed chwilą obiecywałeś, że pójdziesz, dokądkolwiek zechcę. A teraz?

– Mówiłem szczerze – upierał się Edan. Ścisnął pięści.

– Ale?

– Możesz wyrządzić więcej szkody niż pożytku.

Proszę bardzo. Powiedział to.

Żar we mnie się zagotował. Moje policzki poczerwieniały, a oczy zapłonęły dziką furją.

– Sugerujesz, że mam pozwolić tej wojnie toczyć się własnym torem? Ty, który spędziłeś wieki, przerzucając się z jednej wojny na drugą?

– Tak, i dlatego znam jej okropności. Wiem, że moc może bardziej zaszkodzić niż pomóc.

– A ja wiem, że jeśli nie pomogę A'landi, Maia we mnie będzie stracona na zawsze.

– A może właśnie w ten sposób zostanie stracona – szepnął. – Przemyśl to, *xitara*.

Nawet to, że nazwał mnie *xitara* – czułym słówkiem, które kiedyś było mi tak drogie – nie mogło poskromić mojego gniewu.

– Wolałabym zginąć jako ta Maia, niż żyć wieczność jako demon i patrzeć, jak mój kraj upada – warknęłam. W moich słowach zabrzmiało okrucieństwo. Nie mogłam nic na to poradzić. – Nie zrozumiesz mnie. Nie masz już Nelronatu, nie masz rodziny, nie masz domu. Za co miałbyś walczyć?

– Za ciebie – wychrypiał. – Ty jesteś moją rodziną i moim domem.

W głębi duszy chciałam przestać. Nie chciałam krzywdzić Edana. Ale demon miał inne plany.

– Nie jestem twoją rodziną – oznajmiłam. – Nie jestem niczyją rodziną.

– Maiu... – Próbował mnie objąć, ale go odtrąciłam i opadł ciężko na piasek.

Podniósł się i błagalnie rozłożył ręce.

– Proszę.

– Nie dotykaj mnie – ostrzegłam go. Traciłam kontrolę. Odwróciłam się. Nie mogłam...

– Maiu...

Gdy usłyszałam, jak po raz kolejny wypowiada to imię, oczy zapiekły mnie tak mocno, że ocean zlał się z niebem, a w moich żyłach popłynął ogień. Zaatakowałam go, ale moje ciało nie należało do mnie. Wszystko wydarzyło się tak szybko. W jednej chwili czułam wiatr smagający mnie po twarzy, w drugiej zobaczyłam swoje ostre pazury wycelowane w serce Edana.

Po jego policzku spływała krew.

Odsunęłam się zszokowana. Nie chciałam – pragnęłam powiedzieć, ale Edan już unosił na mnie sztylet.

Na widok sztyletu się wycofałam. Niemal czułam na sobie ukłucie żaru, który emanował z meteorytowego ostrza. Czekałam ze ściśniętym gardłem, aż Edan wypowie swoje imię – Jinn – i uwolni moc sztyletu.

Ale nie zrobił tego. Nie musiał. Wiadomość była wyraźna. Smutek w jego oczach był wyraźny.

Powoli obniżył sztylet. Z każdym centymetrem moje serce się zapadało.

– Kocham cię, Maiu. Wróć.

Wściekłość zniknęła i zostawiła mnie pustą. Rozbitą.

To chłopak, który za mnie oddał się demonowi. Chłopak, za którego oddałam słońce, księżyc i gwiazdy.

Chłopak, którego kochałam.

Chciałam zakopać się w ziemi i zapuścić korzenie tam, gdzie nie skrzywdzę nikogo i nikt nie skrzywdzi mnie.

Edan upuścił sztylet. Ostrze wylądowało głucho na ziemi, meteorytowa krawędź wciąż lśniła. Świat nagle się wyostrzył, a jednak wszystko się kręciło. Nie mogłam nadążyć.

– Przepraszam – zaczął, mówiąc to, co ja powinnam powiedzieć. – Nie powinienem...

Nie mogłam tego słuchać. Nie mogłam znieść współczucia, nie mogłam znieść emocji walczących na jego twarzy. Odwróciłam się i uciekłam. Nawet gdy wołanie: „Maia!” zostało daleko w tyle, nie przestałam biec.

To imię nic dla mnie nie znaczyło.

Rozdział dwudziesty piąty

Drzewa rozmywały się w plamy kolorów, gdy mknęłam przez las, na wpół biegnąc, na wpół lecąc. Smugi dymu wiły się za mną, a moje stopy ledwie dotykały ziemi.

Poruszałam się jak demon.

Jak Edan mógł myśleć, że jest dla nas jakakolwiek szansa, kiedy o mało go nie zabiłam? Jak mogłam być tak głupia i mieć nadzieję, że jeśli uwolnię się od demona, wszystko wróci do normy?

Może powinnam odejść gdzieś daleko – gdzie nie będę stanowić zagrożenia dla nikogo oprócz siebie.

Zwolniłam, wracając na ziemię. Lisy i wiewiórki rozpierzchnęły się w stronę drzew, ale ptaki nie odleciały. Przynajmniej one się mnie nie bały.

Moje szpony haczyły o rękawy, więc rozerwałam nadmiarowy materiał. Z pazurów posypały się iskry, jak fajerwerki w Jesiennym Pałacu.

Dokąd mogłam pójść, gdy tak wyglądałam? Nie do Port Kamalan.

A jednak tylko tam chciałam iść. Ostatnim razem nie byłam dość odważna, by pożegnać się z Babą i Ketonem, a teraz żałowałam tego bardziej niż czegokolwiek.

Nie, miałam inne rzeczy, których żałowałam. Świeższe.

„Ty jesteś moją rodziną” – powiedział Edan.

A ty moją – powinnam była odpowiedzieć. Powiedziałam to teraz i objęłam się, by ukoić ból. Był jak węzeł trzymający mnie w ryzach, którego nie miałam odwagi rozplątać.

Czy Edan nie rozumiał? To dla niego musiałam zostać, musiałam walczyć za cesarza. Nie będzie domu dla Baby, Ketona ani Edana – dla nikogo z nas – jeśli szansen i Gyiurak podbiją A'landi.

Amulet musnął moje knykie – krawędzie orzecha były ostrzejsze, niż pamiętałam. Ścisnęłam go w dłoni, czując, jak moc Amany uskakuje przed demonem, którym się stawiałam. Moje suknie były silniejsze we trójkę, wtedy ja też byłam silniejsza. Ale mimo całej swojej niesamowitej mocy nie mogły uwolnić mnie od klątwy Bandura. Ich los został przesądzony, tak jak mój.

A ponieważ zostały mi tylko dwie, nie miałam zbyt wiele czasu.

Edan pozostawał daleko w tyle. Zaczekam na niego, przeproszę i razem udamy się do Zimowego Pałacu. A potem, jeśli bogowie będą nam sprzyjać i pokonamy szansena, ostatni raz odwiedzę Babę i Ketona.

Masz pewność, że twój ojciec i brat nadal są bezpieczni w Port Kamalan? – szepnął mroczny głos we mnie.

Zamartłam. Po raz pierwszy nie kazałam nowej mnie odejść.

Co wiesz?

Może powinnaś walczyć za szansena, jeśli chcesz, by twoja rodzina była bezpieczna.

Oczy zapiekły mnie tak mocno, że krzyknęłam z bólu. Zwinęłam się i skuliłam pod dębem, z mojej skóry ulatywały strużki jaskrawego, ognistego dymu.

Mój demoniczny wzrok zabrał mnie daleko od lasu, do wielotysięcznej armii. Żołnierze siedzieli wyprostowani w siodłach, z uniesioną bronią, za nimi powiewały szmaragdowe sztandary tygrysa. Dalej naprzód stał Zimowy Pałac, lecz armia zatrzymała się tuż przed rzeką Dżingan. Miało wydarzyć się coś doniosłego.

Na czele armii stał szansen z Gyiurak u boku.

Jej rubinowe oczy płonęły wściekle, a gdy moje spojrzenie ją odnalazło, uniosła głowę i nastroszyła tygrysie wąsy, jakby wyczuła moją obecność.

Ułożyła usta w zabójczy uśmiech.

– Siostro... jesteś. W samą porę.

Zamartłam zszokowana. Dlaczego wzrok mnie tam powiodł? Gdzie byli Baba i Keton?

Ogłuszające trąbienie rogu przeszło powietrze, a ja dostrzegłam pocerniałe niebo, spalone budowle i tłące się szczątki za rzeką. Zniszczenia ciągnęły się w nieskończoność niczym bezkresny całun zwęglonych świątyń, domów i drzew. Dławiła mnie wściekłość, ale nie mogłam odwrócić wzroku. Demona we mnie zniszczenie przyciągało tak mocno, jak mnie odrzucało.

– Demony z bliska i daleka – zagrzmiął szansen w harmonii z Gyiurak – wzywam was z mrocznych zakątków tego świata.

Wzywam was.

Moc jego słów mnie uderzyła i pociągnęła z falą ciemności. Złapałam się za głowę, niepewna, co się dzieje.

– Zapłaciłem cenę krwi i związałem ze sobą Gyiurak – ciągnął szansen. – Wystuchajcie mnie i pomóżcie mi. Podbiję A'landi i przywrócę wam waszą chwałę.

Wzywam was. Usłyszcie mnie i przybądźcie mi na pomoc.

Ziemia zadrżała, mój wzrok zniknął i wracał, gdy szansen i Gyiurak powtarzali wołanie. Próbowałam walczyć z zewem, ale moja krew wrzała w odpowiedzi, moje kończyny rozwiewały się w dym. Amulet lśnił, a moc sukni trzymała mnie w miejscu, ale obawiałam się, że to nie wystarczy.

Kolejne wołanie wydarło mi krzyk z ust. Wzywam was.

Jak niewidzialny sztylet słowa dźgnęły mnie w pierś i zgięłam się wpół. Zanurzyłam paznokcie w ziemi, żeby moje ciało nie rozpuściło się w cień i dym.

Chodź, Maiu, wzywała Gyiurak. Jej krwistoczerwone oczy migotały w kłębach dymu wokół mnie. Mamę twojego ojca i brata. Czekają na ciebie.

Zesztywniałam. Mojego ojca i brata?

Mój wzrok zapłonął i zobaczyłam Babę i Ketona, skutych ze sobą, z sosnową deską na barkach. Keton z trudem nadażał za marszem, Baba ledwie dźwigał ciężar kajdan. Mury, które zbudowałam wokół swojego serca, runęły, gdy ujrzałam, jak wleką się do przodu, a żołnierze rozkazują im iść szybciej.

– Nie widzicie, że to starzec? – krzyknął Keton. – Puśćcie go!

Żołnierz uderzył mojego brata grubym batem.

– Jeszcze jedno słowo, chłopcze, a smagnę te połamane nogi.

Keton upadł, ale gdy Baba pomagał mu wstać, w oczach mojego brata zalśnił opór.

– Nie rób tego – ostrzegł go Baba.

– Czy szansen ma tak mało ludzi, że musi porywać poddanych cesarza? – zapytał Keton z krwawiącą wargą.

Żołnierz obnażył zęby.

– Głupcze, nie chcę was dwóch na żołnierzy.

Mój brat zmarszczył brwi.

– Więc po co?

– Zobaczysz, jak dotrzemy do Zimowego Pałacu. – Strzelił batem w powietrzu. – A teraz idź!

Zamrugalam, by odpędzić wizję. Oczy piekły, jakbym natarła je solą. Gdy odzyskałam ostrość widzenia, serce mi zamarło. Wiedziałam, że to, co przed chwilą zobaczyłam, to nie był tylko sen.

Szansen miał moją rodzinę. Baba i Keton... nawet nie wiedzieli, czemu zostali pojmani.

Odpowiedz na wołanie, Maiu, grzmiała Gyiurak. Inaczej twoja rodzina zapłaci.

Co mogłam zrobić?

Gdybym poszła, uczyniłabym szansena silniejszym. Stałabym się częścią jego demonicznej armii.

Ale gdyby A'landi upadła, Baba i Keton i tak by zginęli.

Moje myśli szalały. Ostatnim razem, gdy mierzyłam się z Gyiurak, poświęciłam suknię słońca, by ją pokonać.

Chwyciłam za amulet.

– Te trzy suknie to twoje ciało, twój umysł i twoje serce – powiedział mi mistrz Tstring. Co by się ze mną stało, gdybym straciła umysł?

Wiem, co powiedziałby Edan. Powiedziałby, że suknia księżycy jest zbyt wielkim poświęceniem.

Ale szansen nie wzywał tylko mnie. Jeśli ja z trudem opierałam się jego obietnicom śmierci i zniszczenia, kto wie, ile legionów duchów i demonów z radością przyjdzie mu z pomocą? Taka armia zdziesiątkowałaby siły cesarza.

Nie miałam wyboru.

Poderwałam się, wciąż ściskając amulet. Dym krwawił mi z opuszków, a każda sekunda oporu przed wezwaniem sprawiała, że moje wnętrzności wrzeszczały z bólu. Ale potrzebowałam sztyletu.

Nie musiałam szukać daleko. Edan prawie mnie dogonił. Dyszał, policzki miał czerwone po biegu. Kiedy mnie zobaczył, krzyknął, ale nie słyszałam, co mówi. Przebywałam gdzie indziej, uwięziona w połowie między prawdziwym światem a mrokiem zewu szansena.

Był zaledwie sto kroków ode mnie, ale nie mogłam czekać.

Puściłam amulet i wyciągnęłam rękę do Edana. Dym z moich palców podróżował prędko, gęstniał, aż spowił sztylet przy jego pasie. W mgnieniu oka broń przyleciała do mnie.

– Jinn – sapnęłam. Sztylet wysunął się z pochwy i meteoryt zaskwierczał z życiem, tak potężny, że niemal go upuściłam. Samo dzierżenie rękojeści było jak trzymanie dłoni w stosie rozżarzonych węgla. Ale mogłam to znieść. Musiałam.

Chwyciłam amulet na mojej piersi.

– Pomóż mi być silną – szepnęłam, przyciskając go do twarzy. Jeśli bogini księżyca słucha, może się nade mną ulituje. – Pomóż mi, proszę.

Wystarczyła jedna myśl, by przywołać suknię księżyca. Otuliły mnie delikatne srebrne promienie i suknia po raz ostatni wylała się z orzecha. Jej migoczący jedwab spłynął mi na ramiona, mankiety i kołnierz mieniły się biało-złotymi nićmi; kwiaty i chmury, które wyhaftowałam, błyszczały jak małeńkie kryształki. Skąpało mnie światło i w moich oczach sperliły się łzy – łzy księżyca.

Zanim zdążyłam zmienić zdanie, uniosłam sztylet i dźgnęłam w serce sukni. Srebrne wstęgi rozwiały się, wirując i tańcząc wokół

mnie, a ja pociągnęłam sztylet do rąbka, aż rozciąłam moje dzieło na pół.

W przeciwieństwie do sukni słońca, której śmierć była gwałtowna i ognista, suknia księżyca pozostała spokojna. Poczucie winy stanęło mi w gardle i ostatnie łzy spłynęły mi po twarzy. Wtedy, wreszcie, wyrzuciłam szczątki sukni w powietrze.

Amano, modliłam się, patrząc, jak suknia muska chmury, a jej światło lśni na niebie. Jeśli mnie słyszysz, zwracam ci suknię księżyca. W zamian proszę, byś zerwała więzi, które każą mi – i wszystkim demonom – pomóc szansenowi i Gyiurak. Daj mi siłę, bym mogła pozostać Maią na tyle długo, by pomóc A'landi.

Gdy tylko moja modlitwa się skończyła, łzy księżyca zniknęły w białym rozbłysku.

Wołania gwałtownie ustały. Szansen i Gyiurak zniknęli.

Złapałam amulet, czując się oszołomiona. Dziś zwyciężyłam nad szansenem, ale zapłaciłam okrutną cenę.

Nadal mam jedną suknię, przypomniałam sobie. Najsilniejszą – krew gwiazd. Moje serce.

Czy to wystarczy, by ocalić moją rodzinę i A'landi?

– Maiu! – Chłopak biegł w moją stronę z lasu, ciężko oddychając. Narzucił na mnie swoją pelerynę i pogłaskał mnie po włosach. – Już dobrze. Nie dostanie cię.

– Łzy księżyca reprezentują umysł – szepnęłam. – Straciłam go. Wspomnienia...

– Przypomnę ci. Nadal mnie pamiętasz, prawda? – Dotknął nosem mojego nosa, oczy miał bardzo niebieskie. Niebieskie jak woda, jak lśniące morze w... Widziałam to, ale nie potrafiłam tego nazwać.

Zmrużyłam oczy. Jego twarz wydawała się znajoma, ale nie pamiętałam dlaczego.

Pocałował mnie. Wargi miał miękkie i ciepłe jak mięśnie słońca na moich plecach.

Edan. Chłopak o tysiącu imion i bez imienia. Chłopak o dłoniach splamionych krwią gwiazd. Wracał do mnie.

Ale w zamian za niego uciekły inne wspomnienia. Te najdroższe, jakby wybrane z mojego umysłu, by zranić mnie najbardziej. Bez względu na to, jak się starałam, nie potrafiłam przypomnieć sobie błękitu wód, z którymi dorastałam, historii, które brat opowiadał mi o żeglarzach i smokach morskich. Kiedyś miałam trzech braci. Który z nich chichotał, kiedy próbował namówić mnie, bym udała się z nim do miasta i przeżyła przygodę? Który miał krzywy uśmiech podszyty psotą, kiedy wrabiał mnie, bym wykonała jego obowiązki?

– Mój ojciec i brat... – powiedziałam pusto. – Szansen wziął ich na zakładników.

– Więc musimy po nich iść.

Pokręciłam głową.

– Ja pójdę. – Poderwałam się, smuga dymu razem ze mną. – Mam magię. Ty nie.

Edan wzdrygnął się na to przypomnienie.

– Mam wystarczająco. Szansen właśnie tego chce. Żebyś oszalała z żalu i wściekłości.

Urywany oddech ugrzązł mi w gardle. Gdy spróbowałam wyobrazić sobie ojca i brata, ich twarze były rozmyte, jakby ktoś przesunął po nich mokrym pędzlem. Równie dobrze mogli być obcymi ludźmi, ale wiedziałam, że muszę ich uratować.

– Jeśli chcesz uratować ojca i brata – ciągnął Edan – potrzebujesz planu, takiego jak ten, który obmyśliliśmy na Lapzur. Pozwól, bym pomógł ci opanować twoją magię. Tę tutaj. – Wskazał mój amulet, a potem przycisnął palce do mojej piersi. – I tę tutaj.

– Jak? Myślę, że mi się nie uda.

– Musisz kontrolować swój gniew – wyjaśnił. – Będzie rósł z każdym dniem, jak mówił mistrz Tstring, żywiąc się twoim pragnieniem zemsty. Im bardziej mu się poddasz, tym szybciej zapomnisz siebie. Tym szybciej się zmienisz.

Fala wściekłości wezbrała, ale złapałam za nitki rozumowania Edana.

– Masz rację – powiedziałam w końcu.

Sięgnęłam do kieszeni po materiałowego ptaka, którego ukryłam tam kilka tygodni wcześniej.

– Sami nie damy rady, Edanie. Szansen ma wielotysięczną armię i Gyiurak u boku. Może inne demony. – Urwałam. Na końcu języka miałam imię, które pragnęłam przywołać. Należało do kogoś ważnego, kogoś, kto niósł nadzieję. – Lady Sarnai. – Złapałam je, zanim uciekło. – Musimy znaleźć Lady Sarnai.

– Córkę szansena?

– Wciąż mu na niej zależy. Tylko ona może z nim walczyć. – Podniosłam dziób ptaka palcem. – Jest nadzieją A'landi, Edanie. Nie ty. Nie ja.

Przechylił głowę.

– Mówisz, jakbyś ją podziwiała.

– Zawsze ją podziwiałam – przyznałam. – Problem w tym, że uciekła z pałacu po tym, jak zaatakował jej ojciec. Nawet gdybym wiedziała, gdzie jest, nie wiem, czyby nam pomogła. – Wzięłam głęboki wdech i wygładziłam skrzydła ptaka, które pogniotły się w mojej kieszeni, a potem podałam go Edanowi. – Możemy ją znaleźć dzięki temu.

– Sprytne – rzucił Edan, oceniając moją pracę. Wodził długimi palcami po ściegach na skrzydłach. Wiedziała, że rozpoznał je z naszego zaczarowanego dywanu. Uniósł gęstą brew i zauważył: – Kiatańskie zakładki.

– Znasz je? – zdziwiłam się.

– Byłem w Kiacie wiele razy – odparł. – Gdy byłem o wiele młodszy.

– Ktoś opowiedział mi historię o kiatańskiej księżniczce, która składała takie papierowe żurawie, by znaleźć swoich braci. Mój nie wygląda jak żuraw, raczej jak kaczką...

– Albo feniks – zasugerował Edan. – Nie ten a'landyjski z orlą głową i pawimi piórami. W Nelronacie feniksy miały ogniste skrzydła i rodziły się z popiołów swojego poprzedniego życia. Kiedyś

jednego złapałem i nosiłem ze sobą wszędzie, nawet do Kiaty, aż odleciał.

– Myślałam, że to legendy. – Następne słowa przylgnęły mi do gardła. – Bajki, jak ta o Shiori. Już prawie jej nie pamiętam. Ani tego, kto mi ją opowiedział.

– Więc opowiem ci ją jeszcze raz – obiecał i pogłaskał mnie po policzku. – Dziś wieczorem.

Moja skóra rozgrzała się pod dotykiem Edana, a błysk w jego oku sprawił, że się zarumieniłam. Ptak wrócił do życia, jego miękkie skrzydła połaskotały mnie w dłoń.

– Znajdź Lady Sarnai – szepnęłam do niego. – Powiedz jej, że królestwo jest w niebezpieczeństwie i jej potrzebujemy. Poproś, by spotkała się z nami w Zimowym Pałacu.

Ptak pokiwał dziobem na znak zgody. Wtedy podniosłam rękę, a on odleciał w niebo.

Patrzyłam, jak znika, tkając drogę między drzewami, aż straciłam go z oczu.

Rozdział dwudziesty szósty

S późniliśmy się.

Zimowy Pałac płonął, na jego ostro zakrzywionych dachach kwitł ogień. Dym wił się jak nić wokół szmaragdowych filarów i po zniszczonych dziedzińcach, a ciężkie chmury zasnuwały niebo, które zmieniło barwę z lazuruwej na ciemnoszarą.

Nigdzie nie było śladu Lady Sarnai.

Gryzła mnie rozpacz, gdy mój demoniczny wzrok z daleka przeczesywał pałac i jego otoczenie. Widziałam hełmy, połamane włócznie, rozbite lampiony i ciekące manierki. Na ulicach leżały ciała, głównie żołnierzy – na ich palcach lśnił szron, bo buty i peleryny ukradli im okoliczni chłopci, których nie stać na skrupuły, gdy w grę wchodzi przetrwanie zimy. Poległych było nie więcej niż kilkudziesięciu.

– Gdzie są żołnierze cesarza? – spytałam Edana. – Posłał po armię, by chronić Zimowy Pałac. Nie mogli tak po prostu zniknąć.

Miał ponurą minę.

– Nie wiem, *xitara*.

Brama została zaryglowana, cienie migotały za pomalowanymi na szkarłat wrotami. Strażnicy szansena.

– Musimy przelecieć nad bramą.

Grymasem pokazał mi dokładnie, co sądzi o tym, że używam mojej demonicznej magii, ale zacisnął dłoń na swoim orzechowym kosturze i złapał mnie w talii.

Wyskoczyłam w powietrze w stronę pałacu. Peleryna trzepotała za mną, płomienie przypalały mi buty, wiatr niebezpiecznie rozwiewał iskry, które tańczyły u moich stóp.

Nie miałam tyle doświadczenia w poruszaniu się jak demon, żeby naprawdę polecieć – raczej robiłam wielkie susy. Mimo to sunęłam

po niebie wśród ptaków i czułam się jak jeden z nich. Nie po raz pierwszy zastanowiłam się, jaki kształt przyjmę, gdy wreszcie poddam się klątwie Bandura.

– Demon! – zawołali strażnicy szansena, gdy zbliżyliśmy się do pałacu. – I czarodziej!

Strzały pomknęły w naszą stronę niczym małe sztylety przecinające niebo. Powietrze zaśpiewało, a ja spanikowałam. Zacięłam się w powietrzu, usiłując unieść nas wyżej.

– Leć dalej, *xitara* – powiedział Edan. – Ja się zajmę strzałami.

Gdy nadszedł kolejny atak, uniósł kostur i wymamrotał coś pod nosem. Strzały odbiły się od niewidzialnej tarczy.

– Ach, więc nie stracił magii do końca – rzucił szansen.

Nie powinienam była go usłyszeć, nie przez trzask ognia pochłaniający Zimowy Pałac ani przez ryk zimowego wiatru.

Lecz mój demoniczny słuch był ostry, a wzrok jeszcze ostrzejszy.

Jakiegokolwiek obrażenia szansen odniósł w walce w Jesiennym Pałacu, zdążyły się dawno zagoić.

– Ale Edan, którego znałem, skierowałby te strzały z powrotem na moich żołnierzy, pomnożył dziesięciokrotnie i podpalił im lotki – ciągnął, a potem zwrócił się do swoich ludzi: – Odwołajcie atak. Niech przyjdą. Chcę porozmawiać z demonem Khanujina.

Deszcz strzał ustał, a ja minęłam bramę w kłębie dymu.

Spojrzałam w dół na armię wroga. Na czele jechali synowie szansena – mieli oczy pozbawione litości i usta wykrzywione w wariacjach okrutnego uśmiechu ojca. Najstarszy dzierżył jesionowy łuk Lady Sarnai. Zastanowiłam się, jak to wyglądało, kiedy dorastała wśród nich. W ogóle nie przypominali mi moich własnych braci.

Za nimi jechali generałowie szansena i jego balarscy najemnicy. Żołnierze czekali z uniesionymi mieczami i strzałami w gotowości. Oczekiwali, że się poddam?

Zawrzała we mnie irytacja. Mogłam spalić ich broń na popiół jedną myślą!

Wylądowałam na kamiennej posadzce pałacowego dziedzińca z łoskotem tak donośnym, że żołnierze szansena zatoczyli się do tyłu. Szeregi się rozstały i szansen wyszedł na przód, by mnie przywitać.

– Przyszedłeś błagać, żebym oszczędził twojego cesarza, Maiu Tamarin? – zagrzemiał. – Khanujin czekał niecierpliwie na twój powrót.

A więc jeszcze żył.

Uniosłam podbródek.

– Gdzie są mój ojciec i brat?

– Gyiurak powiedziała mi, że zdołałaś oprzeć się naszym wołaniom – zignorował moje pytanie. Ciekawe, czy wiedział, że całkowicie udaremniłam próby Gyiurak i powstrzymałam wszystkie demony przed nadejściem mu na pomoc. Nigdzie nie dostrzegłam Gyiurak. – Imponujące. Miałem nadzieję, że do nas dołączysz. Zaproszenie nadal aktualne. Przyjmij je, a zjednoczę cię z twoją rodziną.

Jego serdeczny ton wytrącał mnie z równowagi. Na weselu był szorstki i nieprzyjemny, ale teraz próbował przeciągnąć mnie na swoją stronę. To oznaczało, że widział we mnie zagrożenie.

Bo nim byłam. Mogłam przeszyć jego pierś pazurami i rozlać jego krew na przykrytą popiołem posadzkę, zanim choć jeden strażnik zdążyłby zareagować.

Gdyby nie Baba i Keton, może bym to zrobiła.

– Czarodzieju – kontynuował szansen, kłaniając się lekko. – Muszę ci podziękować za złamanie przysięgi. Nie osiągnąłbym nic z tego, gdyby Khanujin miał cię u boku.

Edan uspokoił oddech, ale nic nie odpowiedział.

– Historia zapamięta, że Wojnę Pięciu Zim toczyliśmy ja z cesarzem Khanujinem – mówił dalej szansen – ale to kłamstwo. Wojna rozgrywa się między mną a tobą, czarodzieju. Szkoda, że twoja magia jest tak słaba.

– Chcę zobaczyć ojca i brata – warknęłam.

– Zobaczysz ich już wkrótce. – Szansen się obrócił. – Przybyłaś w samą porę na przekazanie tronu.

Machnął ręką na troje synów, którzy natychmiast oddalili się do komnaty za dziedzińcem. Gdy wrócili, wywlekli naprzód skuloną postać.

Ledwie rozpoznałam cesarza. Nie nosił zbroi ani korony, peleryna, którą mu uszyłam, była porwana i postrzępiona. Czarne włosy miał splecione i wyglądał, jakby nie mył się od kilku dni. Spętali mu kostki i nadgarstki i zakneblowali go jasnozielonym skrawkiem sztandaru szansena.

Coś zaświtało mi w głowie i przeszył mnie dreszcz. Armia nie zostawiłaby Khanujina. Nie, jeśli...

Nie. Obróciłam się, ogarniając wzrokiem spopielone ruiny pałacu. Powietrze było zbyt nieruchome, zbyt ciche.

W tej chwili zrozumiałam, co się stało z armią Khanujina – została zniszczona... przez duchy Gyiurak.

Jaką cenę musiał zapłacić szansen za taką moc?

– Wypuść go – powiedział Edan. Odsunął się ode mnie, wysoki i władczy.

– Lord Czarodziej przemówił – zakpił szansen. – To ciekawe, Edanie, że wciąż służysz Khanujinowi, mimo że twoja przysięga została złamana. A jeszcze ciekawsze, że przybyłeś z cesarską krawcową. Nigdy nie wziąłbym cię za sprzymierzeńca demonów.

– Maia nie jest demonem.

– Jeszcze nie – odezwał się nowy głos.

W burzy bladego, migoczącego dymu Gyiurak zmaterializowała się z amuletu szansena i zajęła miejsce obok niego, przybierając ludzką postać. Jej białe włosy o czarnych pasmach były upięte jak u damy dworu.

– Sentur'na. – Obnażyła zęby, wymawiając imię mojego demona. Zlustrowała Edana i wykrzywiła usta w nikczemnym uśmiechu. – Jinn.

Słyszając to, Edan zeszytniał.

– Przybyliście w samą porę na koniec dynastii Ujin.

Khanujin wybałuszył oczy na widok demona szansena. Wykręcił ręce, próbując wyswobodzić się z więzów.

– Dosyc – rzekł Edan. – Pojmałeś cesarza i ogłosiłeś swoje zwycięstwo. Wypuść go. Zabijając go, zhańbisz swoje dziedzictwo.

– Zhańbie? – warknął gubernator. – Myślisz, że gdyby role się odwróciły, Khanujin by mnie oszczędził? Nie. Poświęcę go mojemu demonowi. Jego krew to cena, którą zapłacę za nową A'landi.

– Ja zapłacę – zawołałam impulsywnie. – Wypuść cesarza.

– Ty? – wychrypiała Gyiurak. – Demon nie może zapłacić ceny krwi. Ale twój ojciec i brat...

Z syknięciem, jakiego nigdy u siebie nie słyszałam, rzuciłam się, by ją zaatakować, ale Edan mnie powstrzymał. Oczami poprosił, bym nie robiła nic pochopnego.

Gyiurak się zaśmiała.

– Zatem niech będzie – stwierdziła i ruchem tak szybkim, że rozmażał się w plamie koloru, przeciągnęła pazurami po bladym gardle cesarza.

Poląła się krew czerwona jak rubiny u jego nadgarstków.

Ten czyn – tak nagły i gwałtowny – mnie zszokował. Powietrze zamarzło mi w płucach, moje ciało napięło się jak struna.

I nagle *puf*.

Khanujin się osunął. Edan go złapał i łagodnie położył na ziemi.

Przyklękłam u jego boku. Wargi miał szare jak popiół, który oprószył jego skórę. Wytarłam mu twarz i złapałam go za rękę. Nie darzyłam go miłością – wiedziałam, że nic, co powiem, nie przyniesie mu otuchy. A jednak przez tę jedną chwilę żałowałam, że nie mogę ulżyć mu w chwili śmierci.

Wydał ostatnie tchnienie i w jego oczach zagościła pustka. Był ostatnim ze swojej dynastii, więc wraz z jego śmiercią skończyła się era. Był samolubny i bezwzględny, ale w pewnym sensie go rozumiałam. Był nawet okrutny, lecz gdy chodziło o jego kraj i jego ludzi, nie pozbawiony serca. W przeciwieństwie do szansena.

Gdy zmarł ojciec Khanujina, cały kraj opłakiwał go przez sto dni. Każdy warsztat i dom zasłonił okna białymi płachtami materiału, by oddać cześć cesarzowi Tainujinowi, a ja – jako mała dziewczynka – zawiązałam białą wstążkę wokół rękawa.

Khanujin nie zazna takiej czci.

Ludzie szansena podnieśli jego sztandar.

– Niech żyje cesarz – zawołali. – Niech żyje dziesięć tysięcy lat!

Ku mojemu zdziwieniu szansen nie wypiął piersi z dumy ani nie napluł na ciało Khanujina, jak po części się spodziewałam. Kiedy jego żołnierze świętowali zwycięstwo, okrążył mnie, zostawiając ślady na ziemi.

Na jego amulecie zamigotały szkarłatne żyłki. Ciekawe, ile krwi obiecał Gyiurak w zamian za jej magię.

– Jak na kogoś tak oddanego krajowi zdajesz się nie rozumieć, że przyszłość A'landi jest związana ze mną. Ostatni raz ponawiam zaproszenie, Maiu Tamarin. Przyjmij je, a oszczędzę twoją rodzinę. Odmów, a zginą.

Ultimatum zadudniło mi w uszach.

Nie uległam, ale też się nie oparłam.

– Gdzie oni są?

Szansen przechylił głowę i żołnierze wprowadzili mojego ojca i brata na dziedziniec.

Patrzyłam z niepokojem. Na pierwszy rzut oka nie byłam pewna, czy to oni. Widziałam dwóch mężczyzn, jednego starszego, drugiego młodszego, skutych ze sobą, z workami po ryżu na głowach.

– Nie znasz ich – zauważyła Gyiurak. Jej słowa cięły mnie jak nóż.
– Już zapomniałaś.

Poczułam udrękę. Nie powinnam musieć zobaczyć ich twarzy, by ich rozpoznać, ale miała rację. Nie znałam ich.

Strażnik uderzył Babę pod kolanami, a ten zawył z bólu.

– Rozpoznajesz jego krzyk, Sentur'na? – dręczyła mnie Gyiurak.

Wzdrygnęłam się. Nie znałam dźwięku krzyku Baby, bo do tej pory nigdy go nie słyszałam.

Ale znałam jego głos.

– Keton – powiedział słabo, gdy mój brat próbował go bronić. Zaśnieżone buty przykuwały ich do ziemi. Usłyszałam, jak Baba szepcze: – Nie walcz.

Powoli wspomnienie Baby do mnie wróciło. Nawet teraz, w tej okropnej sytuacji, był spokojny. Czuły. Wreszcie rozpoznałam lekki łuk jego wątych pleców, wyraźnie zarysowane knykcie u dłoni – dłoni, które przez lata uczyły moje własne szycia.

Rozpoznałam też brata. Jego pięty kołyszące się, gdy kuśtykał, nierówno przycięte spodnie, które sam skrócił, łokcie, które wystawiał, kiedy się bał lub denerwował.

Spojrzałam w twarz szansena.

– Uwolnij mojego ojca i brata.

Gyiu’rak prychnęła.

– Albo?

– Albo cię zabiję – odparłam chłodno.

W jej oczach błysnęło rozbawienie. Nad dolną wargą wyrosły ostre tygrysie kły, a gdy ruszyła w moją stronę, dostrzegłam, jak mięśnie nabrzmiewają na jej ramionach i nogach. Postarała się, żeby mnie przerosnąć.

– Chciałabym to zobaczyć.

– Nie – odezwał się Edan, dotykając mojego barku. – Jeśli pójdziesz tą ścieżką...

Nie musiał kończyć – wiedziałam, co ma na myśli. Jeśli dam Gyiu’rak się sprowokować, oddam się pragnieniu zemsty mojego demona.

Będę jak Gyiu’rak.

Ale, ach, jak ja pragnęłam zemsty.

Obróciłam się do szansena, ignorując Gyiu’rak.

– Wypuść ich.

– Wystawiasz moją cierpliwość na próbę, krawcowo – odparł. – Dałem ci szansę do nas dołączyć. Byłaś głupia i ją odrzuciłaś. –

Uniósł podbródek na Gyiurak, a jej oczy pociemniały od żądzы krwi.
– Zabić ich.

Serce podskoczyło mi do gardła i zdusiłam okrzyk, rzucając się na Gyiurak, zanim zdążyła dopaść Babę i Ketona. Bez trudu zablokowała mnie ręką i odepchnęła na bok.

Nigdy nie zostałam uderzona z taką siłą, nawet przez Bandura. Cała się złożyłam, moje nerwy drżały od ciosu, a kolana nie chciały się rozprostować. Gyiurak śmiała się, gdy usiłowałam wstać.

– Żałosne – wychrypiała. – Nie martw się, zadam im szybką śmierć.

Zamknęłam oczy, przywołując scenę śmierci Khanujina – Gyiurak poderżnęła mu gardło tak szybko, że nawet nie zdał sobie sprawy z tego, co się wydarzyło, zanim z porwanego ścięgu jego szyi popłynęła krew, kolor uleciał z jego twarzy, a życie z jego ciała.

Nie zamierzałam pozwolić, by to samo przydarzyło się Babie i Ketonowi.

Poderwałam się i rzuciłam na Gyiurak, chwytając ją od tyłu i owijając ręce wokół jej szyi.

Wykręciła się i wyskoczyła w powietrze, by mnie zgubić. Trzymałam mocno, zanurzając paznokcie w jej szyi i piersi. Ciało miała zimne, a kości twarde jak żelazo. Nie wiedziałam, czy moje ataki odnoszą jakikolwiek skutek.

Gdy wylądowałyśmy, pobięła do ognia wciąż płonącego na środku pałacu. Nie puszczałam. Raz za razem szarżowała w płomienie, próbując utopić mnie w ich żarze, ale ja nic nie czułam. Ogień łaskotał moją skórę i osmalał tunikę na plecach, ale nie robił nic mnie.

Nie mogłam powiedzieć tego samego o Gyiurak. Płomienie przypalały jej ludzką skórę. Zobaczyłam ból na jej twarzy, jej zaciśnięte usta nadziane na kły. Czy inne demony były wrażliwe na ogień? Nagle zrozumiałam – Bandur często podróżował do mnie przez płomienie, ale nigdy w ludzkiej postaci.

Gdy zdała sobie sprawę, że jej wysiłki idą na marne, obnażyła zęby.

– Może twoja przemiana zaszła dalej, niż sądziłam, podrzutko.

Poleciała na plecy, zmuszając mnie, bym odskoczyła, zanim mnie przygniecie. Upadłam ciężko na bok, moje żebra ugięły się pod moim ciężarem. Gyiurak skoczyła, a ja przeturlałam się w stronę ognia, chwyciłam trzeszczące polano i zamachnęłam się na jej twarz.

Iskry skwierczącego drewna sypnęły jej w oczy i ryknęła jak tygrysica, wyciągając ręce do kolejnego ataku. Uchyliłam się i pchnęłam ją w płomienie.

Łuk srebrzystego błękitu przemknął obok mnie. To Edan z meteorytowym sztyletem natarł na Gyiurak i wbił jej ostrze w serce.

Wrzasnęła, zwijając się z bólu. W kłębie dymu wróciła do amuletu szansena.

To nie był koniec walki. Otaczały nas setki żołnierzy. Stanęłam naprzeciw nich z determinacją – Edan i ja nie mieliśmy szans pokonać ich wszystkich, ale zamierzałam zrobić to, co muszę, by uwolnić Babę i Ketona.

– Zabić więźniów! – wrzasnął szansen do synów.

Unieśli łuki i wycelowali strzały w mojego ojca i brata. Zdjął mnie strach. Rzuciłam się, by ich osłonić.

Wtedy znajoma szkarłatna strzała trafiła jednego z synów prosto w spód dłoni. Za chwilę śmignęła kolejna, a po niej następna, aż wszyscy trzej upadli, ciężko ranni.

Czy to możliwe? Wyciągnęłam szyję, szukając Lady Sarnai.

Konie wpadły na dziedziniec przez bramę, galopem pokonując płomienie, wzbijając w powietrze zgłiszczu i popioły. Poleciały kolejne szkarłatne strzały, a ja usłyszałam krzyki – ostatnie odgłosy żołnierzy, zanim upadli.

Ludzie szansena byli zajęci, więc zagoniłam Babę i Ketona do rogu, z dala od zgiełku walki.

Pociągnęłam za worki zasłaniające im twarze, ale w ostatniej chwili postanowiłam ich nie ściągać. Nie chciałam, żeby mnie taką widzieli – bardziej demona niż dziewczynę.

– Zostańcie tu – poprosiłam, dotykając ramienia Ketona, a potem Baby. – Będziecie bezpieczni.

– Maiu, to ty? – zapytał Baba.

Przygryzłam wargę, żeby nie odpowiadać. Kiedy wypowiedział moje imię, poczułam echo ułucia w sercu. Zabolało mnie przez sekundę, a potem uczucie zniknęło.

Wróciłam na pole bitwy, gdzie zobaczyłam Lady Sarnai i Lorda Xinę otoczonych przez mały batalion żołnierzy.

Nigdy nie widziałam Lady Sarnai w walce. Była szybsza niż jakikolwiek mężczyzna i tak samo silna. Żaden z ludzi szansena nie dorównywał jej umiejętnością strzelania z łuku. Trafiła tuzin żołnierzy, torując Lordowi Xinie ścieżkę do jej ojca.

Jednak nasycony siłą demona szansen z łatwością obezwładnił dawnego ulubieńca. Złamał włócznie Xiny na pół, cisnął nim o ścianę fortecy i wydał z siebie triumfalny ryk, bardziej tygrysi niż ludzki.

Mój wzrok śledził amulet podskakujący na jego opancerzonym torsie. Obsydian lśnił magią Gyiurak. Obawiałam się, że wiem, co nastąpi za moment.

Szansen obrócił się w stronę córki, która pędziła na niego z uniesionym łukiem.

Upuścił złamaną włócznie Xiny i rozpostarł ramiona, jakby z radością przyjmował jej atak. Odczekał, aż znajdzie się dwadzieścia kroków od niego, a potem dotknął amuletu i połączył się z Gyiurak, przybierając postać tygrysa. Jego ludzką skórę porosło białe futro.

Widziałam jego transformację wcześniej, ale Lady Sarnai nie. Szarpnęła za lejce i pochyliła ciało do przodu, kuląc ramiona, by przygotować się na atak ojca.

Musiałam coś zrobić, ale stałam po drugiej stronie pola walki, za daleko, żeby pomóc.

Tygrys rzucił się na Sarnai z zawrotną prędkością. Jej koń zarżał, a ona spadła z siodła i zniknęła mi z oczu. Większość wojowników zginęłaby natychmiast i w pierwszej chwili przeraziłam się, że ona również. Jednak córka szansena wstała i zaczęła mocować się z tygrysem gołymi rękami.

Podniósł pazury do jej gardła.

Stój! – krzyknęłam do niego w myślach. *To twoja córka. Nauczyłeś ją tak walczyć.*

Przez jego twarz przemknęło wahanie. Warknął, ale posłuchał.

Twój demon wypaczył twoje myśli. Nie pozwól, żeby Gyiurak zamordowała twoją córkę.

Gdy ja przemawiałam do szansena, Lady Sarnai usiłowała umknąć przed jego pazurami i odzyskać równowagę.

Zabij ją! – wrzasnęła Gyiurak z amuletu szansena. Krzyki demona zagłuszyły moje i wahanie na twarzy szansena wyparowało. *Zabij ją.*

Pazury tygrysa zawisły w powietrzu. Ścisnęło mnie w żołądku. Byłam pewna, że za sekundę Lady Sarnai będzie martwa. Opuścił łapę, ale jego córka zrobiła unik, a Lord Xina zaszarżował na szansena i wbił mu złamaną włócznię w bok.

Tygrys ryknął z bólu, wijąc się i skręcając. Lady Sarnai uniosła miecz. W przeciwieństwie do ojca, nie zawahała się. Ale było za późno. Szansen przeskoczył nad ogniem i zniknął.

Płomienie natychmiast opadły, a Lady Sarnai wbiła miecz w ich pozostałości. Nie widziałam jej twarzy, lecz po ramionach poznałam, że jest sfrustrowana. Straciła szansę, by pokonać ojca.

Odwróciła się od zgłiszcz i pomaszerowała do sztandaru wzniesionego przez ludzi szansena. Przełamała maszt o kolano i porwała flagę na pół.

– Szansen się wycofał – ogłosiła. – Zamknąć wrota!

Na jej rozkaz brama Zimowego Pałacu zatrzęsnęła się z hukiem.

Bitwa dobiegła końca.

Rozdział dwudziesty siódmy

To nie było zwycięstwo.

Lady Sarnai wiedziała, tak jak ja, że szansen oddał Zimowy Pałac tylko dlatego, że ten nie miał dla niego strategicznej wartości. Najmniejsza z posiadłości Khanujina została zbudowana w spokojniejszych czasach, by zapewnić schronienie rodzinie królewskiej podczas ostrych zim A'landi. Za obronę służyło jej położenie na klifie, a koszary zostały niemal ogołoczone z zapasów w Wojnie Pięciu Zim. Nawet nie łączyła się z Korzennym Szlakiem.

Cesarz Khanujin popełnił błąd, zostając tutaj. Wiosenny Pałac znajdował się zaledwie tydzień drogi od Zimowego. Położony przy wschodnim wybrzeżu A'landi, był chroniony zarówno przez cesarską flotę, jak i armię z Dżapporu – najsilniejszą w całym kraju. Teraz, gdy Khanujin zginął, nikt nie mógł powstrzymać szansena przed podbiciem stolicy... i całej A'landi.

Nikt – chciałam powiedzieć Lady Sarnai – oprócz niej.

Jej trzech bracia został skuci, szkarłatne strzały siostry wystawały im z rąk, nóg, żeber i ramion. Każda rana wyglądała na przemyślaną tak, by zadać silny ból, ale nie zabić.

Zignorowała ich błagania o przebaczenie i odebrała najstarszemu bratu jesionowy łuk.

– Zabierz ich do lochu – poleciła Xinie. – Potem zdecyduję, co z nimi zrobić.

Przerażeni mroczną magią demona, którą zobaczyli, liczni żołnierze szansena byli skłonni przyrzec posłuszeństwo Lady Sarnai, która nieustraszenie poprowadziła ich w bitwie podczas Wojny Pięciu Zim. Ci, którzy nie chcieli się jej poddać, zostali wtrąceni do lochu bez wody i jedzenia. Kilku pluło na nią i krzyczało:

– Mam honor i nie podążę za kobietą!

Oni również zostali wtrąceni do lochu, ale z poleceniem dla strażników, by ucieli im języki.

Nikt więcej nie śmiał podważyć jej dowództwa.

Do południa Lady Sarnai przywróciła porządek w Zimowym Pałacu. Jej ludzie ugasili wszystkie płomienie, a ona zwróciła się do ocalałych ministrów cesarza, by sprawdzili, jaką broń da się odzyskać ze zbrojowni i jaką żywność można znaleźć w spichlerzach i skrytkach pałacu.

– Jest niesamowita, prawda? – zagaił Keton, gdy kołysałam głowę Baby kolanach. – Nawet bardziej przerażająca, niż zapamiętałem z wojny.

– Prawda. – Nie chciałam rozmawiać o Lady Sarnai. Teraz, kiedy widziałam ojca i brata ponownie, chciałam tylko zapamiętać ich twarze. Słyszeć ich głosy i wypełnić coraz większe luki w mojej pamięci.

Baba miał podarte rękawy. Podwinęłam je i zobaczyłam siniaki na jego rękach.

– Bili nas tylko wtedy, gdy się opieraliśmy – wyjaśnił słabo Keton. – Gdy przyjechali do Port Kamalan, próbowałem z nimi walczyć. Prawie spalili warsztat.

Zbladłam ze złości. Na samą myśl o Babie oderwanym od stołu krawieckiego, żołnierzach plądrujących warsztat, który moja rodzina z takim trudem utrzymywała, o ojcu i bracie skutych łańcuchem, o Ketonie, który dopiero co ponownie nauczył się chodzić, popychanym i smaganym... Jak szansen śmiał!

– Tak mi przykro – wyszeptałam. – To moja wina.

Keton dotknął mojej ręki w geście przebaczenia, ale dostrzegłam, że w jego głowie układają się pytania – rozpoznałam po bruździe na jego czole. Dlaczego to była moja wina? Dlaczego byłam tak ważna dla szansena, że posłał żołnierzy do Port Kamalan, by pojмали jego i Babę? Nie byłam gotowa, żeby odpowiedzieć.

Zacisnęłam usta i schowałam ręce do kieszeni.

Ku mojej uldze pojawił się Edan.

– Główne komnaty na południowym dziedzińcu pozostały nietknięte przez pożar – oznajmił cicho. Brzmiał na zmęczonego. Używanie magii wykończyło go bardziej, niż chciał dać po sobie poznać. – Twojemu ojcu będzie tam ciepłej.

Keton wybałuszył oczy, rozpoznając Edana z moich historii, ale to nie był czas, żeby ich sobie przedstawiać.

Razem z Edanem podnieśliśmy Babę i zanieśliśmy go do środka. Gdy znaleźliśmy łóżko w jednej z komnat ministrów i położyliśmy Babę, rozwarł opadające powieki.

Złapał mnie za ramię.

– Maiu.

Wzdrygnęłam się i nie podniosłam oczu w nadziei, że jeśli będę trzymać się w cieniu, Baba ich nie zauważy.

– Jesteś bezpieczny – zapewniłam go. – Szansen uciekł. Lady Sarnai przejęła Zimowy Pałac.

– A cesarz?

Zawahałam się.

– Nie żyje.

– Nie żyje. Tylu ludzi nie żyje. – Jego oczy zaszły mgłą i zawiesił wzrok na suficie. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił. – Niech bogowie mają go w swojej opiece. – Zaczął się podnosić. – Kto jest za tobą?

Edan wrócił z parującym brązowym kociołkiem.

– Babo, Ketonie, to jest Edan, Jego Wysokość Lord Czarodziej.

– Były Lord Czarodziej – podkreślił Edan, odchrzäkując.

Kiedy indziej może uśmiechnęłabym się, widząc zdenerwowanego Edana, ale nie dziś. Odstawił kociołek, by należycie przywitać moją rodzinę. Najpierw uklonił się Babie, potem Ketonowi. Mój brat się skrzywił.

– Jesteśmy w tym samym wieku – powiedział. – Proszę, nie kłaniaj się.

Mój ojciec przyglądał mu się nieufnie.

– Ach tak, dużo o tobie słyszałem. Wielu uważa, że to przez ciebie rozpętała się Wojna Pięciu Zim.

Edan wziął głęboki wdech.

– Nie mają racji – odparł – proszę pana.

– Więc to ty jesteś winny śmierci moich najstarszych synów. Winny śmierci tysięcy synów, którzy zginęli, i kolejnych, którzy idą na śmierć w tej chwili.

– Babo... – wtrąciłam. Podałam mu wodę. – Napij się.

Na dźwięk mojego głosu ramiona Baby zadrżały.

Westchnął ze skrucą.

– Jestem zmęczony – rzekł w końcu. – Zostawmy to na później. Chcę odpocząć.

Zamknął oczy, oddalając nas wszystkich.

Ciężkim krokiem wyszłam z pokoju za Edanem i Ketonem. Brat dotknął mojego ramienia i tak cicho, że tylko ja mogłam usłyszeć, powiedział:

– Obaj mieliśmy trudny tydzień. Zostanę i porozmawiam z nim, kiedy wydobrzeje.

Beznamiętnie skinęłam głową, próbując ukryć swoje rozczarowanie.

– Dziękuję, Ketonie – szepnęłam i dołączyłam do Edana.

– Nie martw się, *xitara*. – Pocałował mnie w policzek. – Nigdy nie byłem lubiany wśród A'landczyków, ale zdołałem przekonać do siebie tych najważniejszych.

Zmusiłam się do uśmiechu, ale nie to mnie martwiło. Jeśli Baba nie ufał Edanowi z powodu jego magii, to co pomyśli, kiedy pozna prawdę o mnie?

Co pomyśli, kiedy odkryje, że jego córka jest potworem?

Po bitwie zapomniano o ciele Khanujina. Jego cesarskie szaty leżały w strzępach, a zaczarowana peleryna, którą mu uszyłam, była niemal nie do poznania pod brudem i krwią. Gdy zobaczyłam zbezczeszczone i zapomniane zwłoki cesarza, zniknęła niechęć, którą kiedyś do niego żywiłam.

– Zasługuje na pochówek – stwierdziłam. – Wielu go kochało... choć nie wiedziało, jak bardzo potrafił być okrutny.

– Nie był dobrym człowiekiem – zgodził się Edan – ani dobrym władcą, ale troszczył się o ten kraj na tyle, by dokonywać dla niego poświęceń.

Przyklęknął obok swojego dawnego pana. Szyderczy uśmiech, który wykrzywił usta cesarza, złagodniał w miękką linię. Khanujin wyglądał bardziej królewsko po śmierci, gdy zbladł i poszarzał.

Wśród talizmanów na jego pasie zauważyłam dawny amulet Edana.

Edan podniósł go i przytrzymał, wodząc kciukiem po jastrzębiu wygrawerowanym na brązowej powierzchni. Myślałam, że go zatrzyma, ale po dłuższej chwili odłożył amulet z powrotem.

– Nawet bez przysięgi czuję się zobowiązany, by go chronić. Obiecałem jego ojcu, że ochronię A'landi. Zawiodłem ich obu.

– A'landi jeszcze nie upadła – pocieszyłam go. – Nie pozwolimy na to.

Edan skinął głową i znów wyciągnął do mnie rękę, ale nadejście Lady Sarnai ze świtą żołnierzy nie pozwoliło mu powiedzieć tego, co zamierzał. Córką szansena stanęła pewnie jak każdy król, z jedną ręką na biodrze, drugą na rękojeści miecza.

– Co wy dwoje tu robicie? Z tym... – Nie mogła zmusić się, by wspomnieć martwego cesarza. Łypnęła na nas ostro. – Mamy pracę do wykonania. Przydajcie się do czegoś.

Podniosłam się z posadzki. Nie chciałam, żeby księżniczka patrzyła na mnie z góry.

Bez wątpienia spodziewała się, że natychmiast usłucham, ale postąpiłam odwrotnie.

– On zasługuje na pochówek, Wasza Wysokość. Nie możesz zostawić go tu, żeby zgnił.

– Kim ty jesteś, żeby wydawać rozkazy?

– Był cesarzem – przekonywałam. – Bez względu na to, co do niego czujesz, zginął za A'landi.

– Haniebną śmiercią – wycedziła. – Jego armia została wybita. Pozwolił, żeby wzięli go do niewoli....

– Wolałabyś, żeby uciekł? – kłóciłam się. – Cesarz Khanujin nie był wspaniałym człowiekiem, ale nie był też tchórzem. Zdecydował, że zostanie ze swoim krajem do końca.

W przeciwieństwie do ciebie, dałam do zrozumienia.

Jej twarz pociemniała na zniewagę, którą celowo zawiesiłam między nami.

– Umyjcie go – rozkazała swoim ludziom i jakby po namyśle dodała: – Krawcowo, uszyj mu stosowny całun na pogrzeb.

Obróciła się na pięcie, ledwie zaszczycając mnie spojrzeniem. Coś pofrunęło za nią, choć próbowała to odpędzić.

Mój ptak.

– Chodź ze mną – poprosiłam Edana i podążyliśmy za Lady Sarnai do sali audiencyjnej, którą zarekwirowała, po prostu kładąc łuk na dębowym stole. Lord Xina i pozostali przy życiu ministrowie Khanujina już tam na nią czekali.

– Tamarin – burknęła, gdy zdała sobie, że poszliśmy za nią, dodatkowo poirytowana tym, że jej uszy łowczyni nas nie usłyszały. Założyła ręce na piersi. – Myślałam, że kazałam ci uszyć całun dla twojego Khanujina.

Nie odpowiedziałam, tylko zagwizdałam cicho i materiałowy ptak, który fruwał po sali, usiadł mi na dłoni.

Córka szansena prychnęła.

– Więc ptak należy do ciebie. Powinnam była się domyślić. Kłopoty zawsze podążają tam gdzie ty.

Śmiało się wyprostowałam.

– Kiedy maszerujemy na Dżappor?

– Maszerujemy na Dżappor? – powtórzyła. Cała rada spojrzała na mnie, jakbym oszalała.

– Czas na ratowanie A'landi się kończy – ciągnęłam. – Musimy wyruszyć teraz.

– Czemu miałabym ratować A'landi? – warknęła Sarnai. – Cesarz nie żyje, tysiące jego ludzi nie żyją. Nie poświęcę kolejnych, kiedy nie ma nadziei na pokonanie mojego ojca. – Odwróciła się. – Wycofujemy się na zachód, zabieramy ze sobą ocalałych.

– Ale...

– Kraje powstają i upadają. Czarodziej powinien wiedzieć to lepiej niż ktokolwiek inny.

– Jesteś zła – zaczęłam. – Masz prawo. Khanujin wiele ci odebrał. Mnie również, nam wszystkim. Ale pomyśl, co się stanie z A'landi, gdy twój ojciec zostanie cesarzem. Sama powiedziałaś, że nie jest już mężczyzną, którego pamiętasz, że został splugawiony przez swojego demona. Co powstrzyma Gyiurak przed zostaniem prawdziwą władczynią A'landi?

Sarnai napięła ramiona.

– Nie wygramy z armią mojego ojca. Jeśli po śmierci Khanujina szansen mianował się cesarzem, armia w Dżapporze będzie po jego stronie. Inni gubernatorowie nie odważą się stanąć przeciwko niemu.

– Możesz wezwać ich na pomoc? – spytałam.

– Nie ma na to czasu – odpowiedział za nią Lord Xina. – Szansen dotrze do Dżapporu w kilka dni. Przejmie kontrolę nad cesarską armią.

– Gyiurak przejmie kontrolę nad cesarską armią – powiedziała Lady Sarnai ze ściśniętym gardłem. – Jej władza nad moim ojcem umacnia się z dnia na dzień. Gdy cena krwi zostanie zapłacona, układ zostanie przypieczętowany.

– Myślałam, że ceną krwi było życie cesarza.

– Tak, życie cesarza – przytaknęła pustym głosem. Jej blizny lśniły blado w rozmytym świetle. – I dziesięć tysięcy innych.

Mój żołądek zrobił fikołka. Ta wiadomość zszokowała nie tylko mnie, ale i ministrów. Zapadła wstrząśnięta cisza, a potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Sarnai uniosła ręce i tupnęła o drewnianą podłogę.

– Dosyć! Dla mojego ojca to nic. Tysiące już zginęły w Wojnie Pięciu Zim. Widzi to jako szansę, by zakończyć zepsutą dynastię i rozpocząć własną. Stoczyłam dosyć bitew, by wiedzieć, kiedy się wycofać, a kiedy walczyć. Nie mamy szans zwyciężyć z Gyiurak.

– Nie zgadzam się, Wasza Wysokość – odezwał się Edan.

– Więc oświeć nas, czarodzieju – rzuciła ostro. – Jak możemy pokonać mojego ojca?

– Będzie potrzebował kilku dni, żeby zagoić rany – tłumaczył Edan. – Cesarska flota i armia Dżapporu stawiają mu opór. Wojna Pięciu Zim nie skończyła się tak dawno, żeby zapomnieli, iż był wrogiem. Spróbują ochronić przed nim Wiosenny Pałac. Ale jego demon będzie jeszcze silniejszy w Dżapporze, położonym bliżej północy. Powiedziałbym, że mamy tydzień. Najwyżej dwa, zanim upadnie stolica.

Oczy Lorda Xiny, czarne jak dwa migoczące kamienie, zwróciły się na Edana.

– A niby dlaczego mielibyśmy ci ufać? Tobie, którego lojalność da się kupić...

– Kupić? – powtórzył Edan. – Myślisz, że chciałem pomagać Khanujinowi w walce z szansenem? Rozrywać kraj wojną? Byłem związany przysięgą, której nie mogłem złamać. Nie miałem wyboru. Ludzie szansena mają wybór: podążają za nim tylko ze strachu, nie z lojalności. Pokaż im, że powinni walczyć za ciebie, żeby ocalić swój kraj.

– Boją się Gyiurak – powiedziała niskim głosem Lady Sarnai. – Nikt nie zdoła jej powstrzymać.

– Ja zdołam – oznajmiłam ze śmiertelnym spokojem. – Jestem jak ona. Jestem demonem.

Wszyscy ucichli. Ministrowie się cofnęli, jakby dystans miał ich przede mną ochronić. Niektórzy mamrotali modlitwy, inni przekleństwa. Lord Xina wycelował włócznię w moje gardło.

Zignorowałam ich wszystkich i przyjrzałam się córce szansena. Jeśli moje wyznanie ją zdziwiło, nie dała po sobie poznać.

– Czarodzieju, powiedz mi, dlaczego nie powinnam skazać krawcowej na śmierć.

Po twarzy Edana przemknęło zaskoczenie. On i Lady Sarnai od początku się nie dogadywali – nigdy wcześniej nie pytała go o zdanie.

– To prawda, że cesarska krawcowa została skazana na podążanie ścieżką demonów – zaczął cicho. – I to prawda, że w odpowiednim czasie za jej czyny nie będzie odpowiadać Maia Tamarin, lecz potwór w jej ciele. Ale wierzę, że nawet jako demon zrobi wszystko, co w jej mocy, by chronić A'landi.

Choć brzmiał posępnie, jego wiara we mnie nieco roztopiła lód w moim sercu. Przygryzłam wargę, licząc, że Sarnai mu uwierzy.

Minister wojny wstał.

– To niedorzeczne. Nie możemy mieć demona wśród nas. Każcie natychmiast ją pojmać. Lordzie Xino, błagam, żebyś posłuchał rozsądku...

– To ja dowodzę armią – rzekła ostro Sarnai. – Nie Lord Xina. Ostrzegam cię jeden raz, ministrze Zha, i tylko dlatego, że jesteś nowy w moich szeregach. – Minister się skulił, a jej zimne spojrzenie wróciło do mnie. – Jutro rano ogłoszę, czy ruszamy na Dżappor, czy nie. I zdecyduję o losie Mai Tamarin. Możecie się rozejść.



– Myślisz, że zmieni zdanie?

Edan wiedział, że nie pytam, czy mnie oszczędzi, tylko czy dostrzeże sens w marszu na Dżappor. Zastanowił się.

– Jest wspaniałą wojowniczką, ale niedoświadczoną władczynią. Szansen nigdy oficjalnie nie powierzył jej funkcji dowódcy podczas Wojny Pięciu Zim. Miała czternaście lat, kiedy wojna się zaczęła, była bardzo młoda i zachwycona reputacją i siłą ojca. Teraz, kiedy została zmuszona z nim walczyć, trudno przewidzieć, co zrobi.

Pomyślałam o tym, jak szansen zawahał się, zanim zaatakował Sarnai.

– Myślisz, że ją kochał?

– Zanim Gyiurak go splugawiła? Może tak, na swój sposób. Ale szansen ponad wszystko zawsze kochał władzę. Widział potencjał Sarnai i obiecał jej dowództwo nad armią, gdy skończy osiemnaście lat.

– Obiecał jej też, że nie będzie musiała wychodzić za mąż. – Przypomniałam sobie, co sama Sarnai powiedziała mi dawno temu.

– Kupił jej lojalność. Służyła mu i naprawdę wierzyła, że jej ojciec uczyni A'landi lepszym miejscem, gdy zdetronizuje Khanujina. Ale kiedy zaczął układać się z Gyiurak, ich relacja została zatruta. A gdy rozejm został przypieczętowany i szansen wysłał ją, żeby wyszła za mąż za cesarza, jej wiara w niego całkowicie upadła.

– Jej wiara w A'landi też – mruknęłam, marszcząc brwi. – Jak mogę jej pomóc? Potrzebujemy więcej ludzi, a mamy tak mało czasu. – Urwałam. Przede mną leżał sztandar cesarza. Zamierzałam uszyć szaty pogrzebowe, ale wpadłam na inny pomysł. – Ptak, którego uszyłam, by cię odnaleźć... i żeby przywołać Lady Sarnai. Mogę uszyć ich więcej. Setki. – Przełknęłam ślinę, dotykając amuletu. Łupiny orzechów wydawały się puste w mojej dłoni. – Mam tylko nadzieję, że pamiętam, jak się szyje. – Spojrzałam na moje pazury i się wzdrygnęłam.

Edan złapał jeden koniec sztandaru, ja drugi, i razem go podnieśliśmy.

– Pomogę ci – obiecał.

Zabraliśmy się do pracy. Cięliśmy sztandar na setki kwadratów, Edan składał, a ja szyłam. Potrafiłam poprowadzić tylko najprostsze ściegi, takie, których mama uczyła mnie, gdy byłam małą dziewczynką. Ale to wystarczyło.

Wszyłam każdemu ptakowi nić z pozostałości zaczarowanego dywanu, by dać mu dar latania. Nici drgały, gdy pracowałam, obudzona magią buzującą w mojej krwi.

Dlaczego jesteś taka samolubna, Maiu? Nie potrzebujesz ptaków, żeby wygrać wojnę. Masz dosyć mocy, by obalić szansena. Jeśli się poświęcisz, ocalisz tysiące przed śmiercią. Czy to nie honorowe?

Przygryzłam wargę tak mocno, że zaczęła krwawić.

– Nic ci nie jest? – zapytał zmartwiony Edan.

– Gdybym mogła uratować A'landi, poddając się – wydukałam, patrząc na moje ręce, a raczej to, co kiedyś było moimi rękami – całkowicie oddając się demonowi, powinnam? Nikt nie musiałby walczyć. Mogłabym ocalić niezliczone istnienia.

– Jeśli się oddasz, nie będziesz już sobą. – Wyjął igłę z moich drżących dłoni. – Wytrzymaj jeszcze trochę. Dla A'landi. Dla mnie.

– Boję się, że to doprowadzi mnie do szaleństwa – wyznałam. – Mam w sobie tyle gniewu. Nie panuję nad nim. – Zacisnęłam powieki, pragnąc odpędzić wspomnienia okropnych rzeczy, które robiłam, odkąd Bandur mnie przeklął. Te wspomnienia były wyraźniejsze niż wszystkie echa mojego dawnego życia.

– A co, jeśli znów cię zapomnę? – wyszeptałam. – Co, jeśli...

– Mnie zaatakujesz? – Wciągnął powietrze. – To może się zdarzyć. Czarodzieje i demony to naturalni wrogowie. – Na widok mojej przerażonej miny dał mi całusa. – Jeśli mnie zapomnisz, znajdę sposób, by znów ci przypomnieć. A jeśli mnie zaatakujesz – położył moją dłoń na swojej piersi – będę cię trzymał, aż przestaniesz. – Nie byłam przekonana, ale Edan jeszcze nie skończył. – Wierzę w to, co powiedziałem mistrzowi Tstringowi, o tym, że jesteś dobra. – Przeczesał palcami moje włosy, odgarniając je z oczu na bok twarzy. – Każdego dnia się zmieniasz. Wyglądasz coraz bardziej jak demon

i wiem, że głos w tobie rośnie w siłę. Ale twoje serce należy do ciebie, Maiu. To się nie zmieni, dopóki będziesz się go trzymać.

– Mam nadzieję, że masz rację.

– Wiem, że mam rację. – Zerknął na rosnącą stertę materiałowych ptaków. – Uwierzyłabyś mi, gdybym powiedział, że ją znałem? Kiatańską księżniczkę, która złożyła tysiąc żurawi?

– Nie jesteś aż taki stary!

Skrzywił się.

– Ta historia nie jest aż taka stara. Spotkałem Shiori tylko raz, na krótko, ale za bardzo nie różniła się od ciebie. Nawet gdy spadła na nią straszna klątwa, pozostała silna. Jej papierowe ptaki przynosiły jej nadzieję. – Przycisnął moją dłoń do swojego serca. – Nie jesteś sama, Maiu. Nie jesteś i nigdy nie będziesz.

Jego serce biło miarowo pod moją dłonią. Skinęłam głową i zebrałam pierwszą partię ptaków na tunikę. Czerwone nici wszyte w ich skrzydła migotały w świetle księżyca.

Wsparłam się na Edanie i wspiełam na parapet. Przykucnęłam przed rozległym widokiem na lasy i ocean pod Zimowym Pałacem. Wciąż trzymając Edana za rękę, obróciłam się twarzą do niego.

– Na szczęście – powiedział. Zanim mnie pocałował, jego oddech połąskotał mnie w nos.

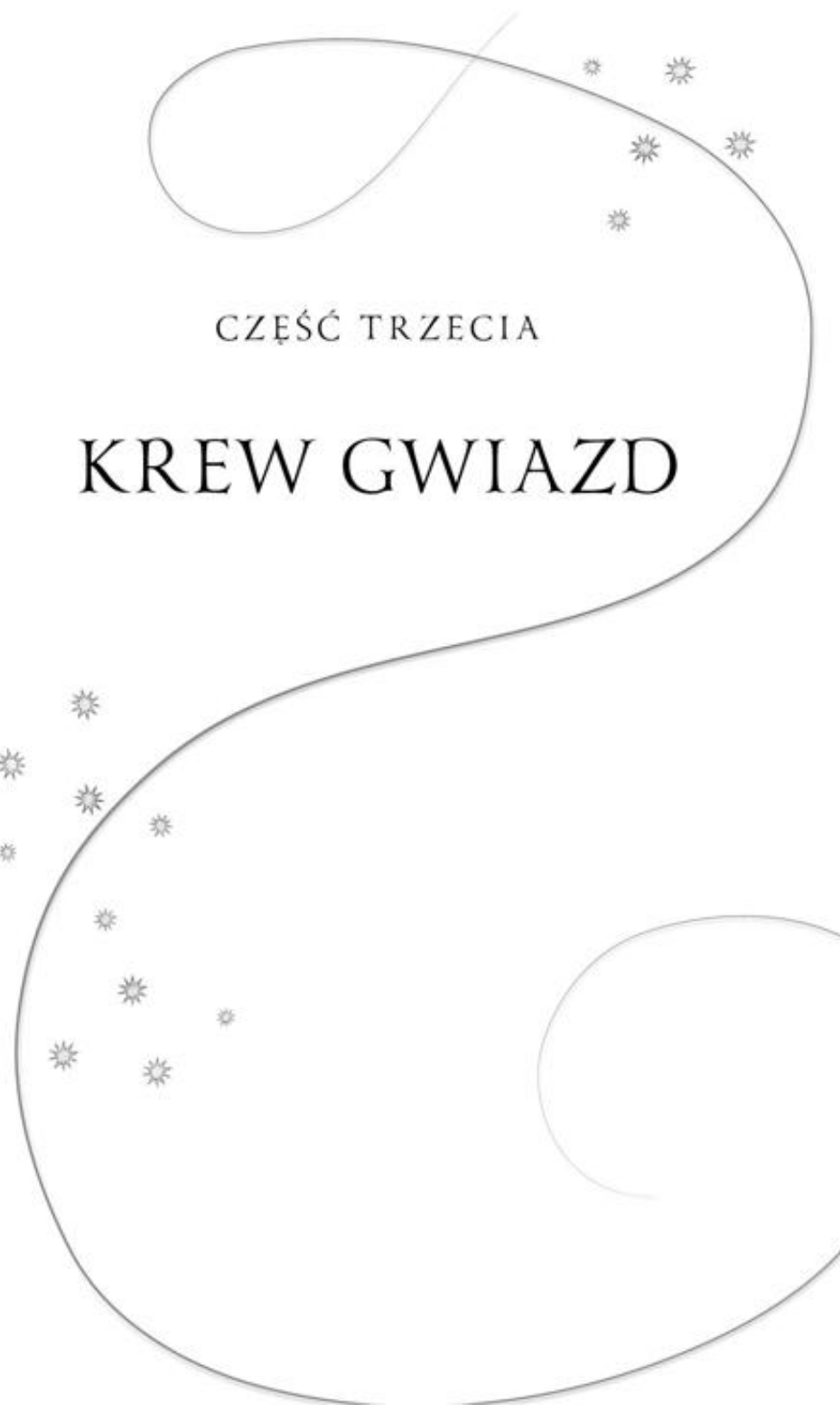
Wyskoczyłam w niebo. Podmuch powietrza pchał mnie coraz wyżej i wyżej. Tam, pośród chmur, zawisałam na tak długo, jak tylko mogłam – jakbym stąpała po wodzie.

– Nie jestem sama – powtórzyłam. – I nie wszystko jest stracone.

Przytuliłam ptaki do siebie i wymusiłam uśmiech. Marne to pocieszenie, ale bez śmiechu słońca moje ciało nie czuło chłodu nocy oblekającego moją skórę, a bez łez księżyca moje serce nie drżało przed niczym. Zwłaszcza przed nieuniknioną przyszłością, przed ceną za ocalenie A'landi – moją śmiercią.

Czułam, że zaraz spadnę, więc uniosłam amulet i przycisnęłam usta do pęknięcia na szkle, wypuszczając najmniejszą kroplę krwi gwiazd – tylko tyle, by skąpać moje ptaki w jej świetle.

A potem, na tle białego sierpa księżyca, wyrzuciłam ręce w górę i wysłałam ptaki, by odnalazły każdego, kto mógłby zawalczyć o przyszłość A'landi.



CZĘŚĆ TRZECIA

KREW GWIAZD

Rozdział dwudziesty ósmy

Wysłaliśmy cesarza Khanujina do niebios wśród ruin świątyni Zimowego Pałacu. W ceremonii nie uczestniczyli kapłani ani mnisi, tylko żołnierze Lady Sarnai i nieliczni ministrowie, którzy przeżyli atak szansena. Zbudowali skromny stos z cegieł w rudym kolorze i położyli cesarza, a potem przed nim uklękli.

Edan nie zamierzał iść na pogrzeb. Kiedy zapytałam dlaczego, odparł:

– Ten rytuał to jedna z najstarszych tradycji A'landi. Jego celem jest oddanie czci Khanujinowi i życzenie mu bezpiecznej podróży do jego miejsca wśród bogów. Czarodzieje i religia nigdy nie współgrali. Obraziłbym jego i wasz lud, gdybym poszedł.

Skłoniłam się razem z Babą i Ketonem, by oddać hołd, a potem ociagałam się przez chwilę, obserwując, jak wiatr unosi prochy cesarza ze stosu. Palce bolały mnie od szycia przez całą noc.

Po tym, jak robiłam setki ptaków razem z Edanem, zabrałam się do szycia szat pogrzebowych dla Khanujina. Wykorzystałam jego sztandar i inne skrawki, które znalazłam w pałacu – stare zasłony, obrusy, nawet worki po ryżu, którymi zasłonięto twarze Baby i Ketona – na ptaki, a bez nożyczek nie mogłam zamienić szorstkich lnianych koców w jedwab.

Tylko to, co zostało, poszło na szaty dla Khanujina. Tak więc cesarz został pochowany jak chłop. Bez haftów, bez klejnotów na skromnej tkaninie, bez złota ani brokatu. Bez choćby skrawka jedwabiu.

Nikt tego nie skomentował.

– Dokąd idziesz? – zapytał Keton. Gdy się obróciłam, podskoczył. – Twoje oczy, Maiu. Czy...

– Po prostu są przekrwione – skłamałam szybko, zbywając jego obawę machnięciem ręki w rękawiczce. Osnuł mnie woal skrępowania. Mój brat zawsze mówił, że nie umiem kłamać, i miał rację. Ale wszystko się zmieniło. Ja się zmieniłam.

Pospieszyłam naprzód, by uniknąć jego pytań. Ale kiedy poszedł za mną, nie mogłam powstrzymać się przed słuchaniem cichego stapania jego stóp, zgrabnego stukania laski między jednym krokiem a drugim. Gdy widziałam go ostatnim razem, dopiero na nowo uczył się chodzić.

Ścisnęło mnie w piersi. Jeszcze niedawno pragnęłam tylko zobaczyć Babę i Ketona, by móc ich uścisnąć. Ale teraz, kiedy znów byliśmy razem, cały czas trzymałam ich na dystans. Nie wiedziałam, co im powiedzieć, żeby nie skłamać.

Tak bardzo mnie to bolało.

Zwolniłam kroku i zrównałam się z bratem. Schowałam ręce do kieszeni – uszyte naprędce rękawiczki ledwie ukrywały moje pazury.

– Nie śpiam za dobrze – powiedziałam w końcu. To była marna próba wytłumaczenia.

– Ja też nie. – Przechylił głowę, słuchając płomieni wciąż trzaskających na stosie. – Słyszałem, że wczoraj Lady Sarnai urządziła radę wojenną. Myślisz, że pogłoski o marszu na Dżappor są prawdziwe?

Chciałam się z nią zobaczyć właśnie po to, by to ustalić.

– Nie wiem.

– Ludzie chcą walczyć – oznajmił Keton. – Ja chcę walczyć.

Przygryzłam wargę, próbując zignorować niepokój podchodzący mi do gardła.

– Nie, powinieneś tu zostać. Z rannymi.

Spojrzał na mnie krzywo, a ja pożałowałam swoich słów.

– Moje nogi są coraz silniejsze, Maiu. Może nie jestem tak szybki jak inni, ale mogę walczyć...

– Już walczyłeś. Widziałeś za dużo wojny.

– Mówi moja młodsza siostra – zbeształ mnie. – Wtedy nie wiedziałem, za co walczę. Teraz wiem. Inni żołnierze czują to samo.

– Za co walczysz?

– Cesarz nie żyje, szansen jest w połowie drogi do stolicy. Widziałas jego demona. – Przełknął ślinę. – Jeśli nie będziemy bronić A'landi, niech bogowie nam pomogą. Będziemy straceni.

Jak mogłam odwieść go od tego zamiaru, kiedy sama pragnęłam zrobić to samo – pomóc uratować nasz kraj?

Chciałam, żeby Lady Sarnai rozkazała iść na Dżappor. Chciałam, żeby pokonała swojego ojca, zgładziła Gyiurak i wysłała ją w zaświaty.

Dziesięć tysięcy istnień! Jak ktokolwiek mógł pragnąć władzy tak bardzo, żeby zawrzeć taki układ?

Rozluźniłam szczękę, powstrzymując swój gniew. Gdy spojrzałam w oczy brata i zobaczyłam ogień w jego oczach, rozpoznałam w nich tę samą determinację, która płonęła we mnie.

– Pójdę poszukać Lady Sarnai – wydusiłam tylko, kładąc mu rękę na ramieniu. – Zajmij się Babą.



Lady Sarnai i Lord Xina nie przyszli na pogrzeb, ale wiedziałam, gdzie ją znaleźć. Spała na zewnątrz, obok kuchni, rezygnując z prawa do nielicznych pozostałych pokoi na rzecz rannych.

Usłyszałam Sarnai, zanim ją zobaczyłam. Parowała się z Lordem Xiną – byli tak pochłonięci walką, że mnie nie zauważyli, więc schowałam się za filarem.

Sarnai nadal nie zdjęła zbroi. Pancerz musiał ważyć trzecią część tego co ona, a mimo to nosiła go dumnie, wyprostowana i z potem lśniącym na czole. Lord Xina był dwa razy większy od niej, ale poruszała się ze śmiertelną gracją, jej kij bojowy tańczył w rytm walki tak, jak kiedyś moje palce tańczyły z igłą. Wypatrzyła

odsłonięty bok Xiny, dźgnęła go w kolano i podcięła kijem tak, że upadł na plecy.

– Zrobiłeś się powolny, Xina – rzuciła, wyciągając rękę. – Dasz się zabić, jeśli będziesz człapać jak niedźwiedź.

– A ty stałaś się słaba, Sarnai. Jeśli człapię jak niedźwiedź, to przynajmniej nie machaj moim mieczem jak siekierą. Nie pamiętasz nic ze szkolenia?

Zamiast przyjąć jej rękę, Xina pociągnął ją w dół, a ja po raz pierwszy usłyszałam śmiech Sarnai. Xina nigdy nie był przystojny, ale po niewoli w lochu Khanujina jego twarz zmieniła się w łataninę z koszmarów: przednie zęby miał połamane, nos rozbity, górną wargę popękana. A jednak sposób, w jaki na siebie patrzyli, sprawił, że zrobiło mi się ciężko na sercu. Odwróciłam się, by dać im chwilę prywatności.

Gdy wreszcie ponownie spojrzałam w ich stronę, siedzieli razem przy ogniu płonącym w ceglanym palenisku, na którym kiedyś piekło się mięso. Nie byli sami.

Edan mnie uprzedził.

– Jeśli przyszedłeś błagać o życie krawcowej, spóźniłeś się – oznajmiła Lady Sarnai, ledwie racząc go spojrzeniem, gdy ocierała pot z czoła. – Podjęłam decyzję. Nie mogę pozwolić, żeby żyła.

– Więc nie jesteś wojowniczką, którą poznałem podczas Wojny Pięciu Zim, Wasza Wysokość.

– A ty nie jesteś czarodziejem, którego poznałam – odcięła się. – Może ciebie też skażę na śmierć. Bo co jeszcze masz do zaoferowania?

Edan uniósł orzechowy kostur i ogień wystrzelił do góry, przybierając kształt jastrzębia. Tylko gdy przyjrzałam się uważnie, dostrzegłam pot na jego karku. Kiedyś taki pokaz przyszedłby mu z łatwością, ale teraz musiał się wysilić.

– Nie pokonasz swojego ojca bez Mai Tamarin...

– Zostanie w Zimowym Pałacu – przerwała mu Sarnai, zaskakując nawet mnie tą nagłą zmianą zdania. – To więcej litości, niż na to

zasługuje.

Edan zaczął coś mówić, ale wyszłam zza filara i wtrąciłam:

– Zabierzcie mnie do Dżapporu. Oddałabym życie, żeby ocalić A'landi. Żeby ocalić moją rodzinę.

Wszyscy troje spojrzeli na mnie, zdziwieni, że się do nich podkrađłam. Byłam aż tak niezdarna jako Maia czy jako demon umiałam poruszać się bezszelestnie, nie zwracając niczyjej uwagi?

Lady Sarnai przeszła mnie wzrokiem.

– Twój czarodziej już przedstawił twoją sprawę. Doszłam do wniosku, że razem z mocą stracił również rozsądek. Stoisz tu wolna tylko dzięki temu, co zrobiłaś dla mnie i dla Xiny w Jesiennym Pałacu, krawcowo. – Specjalnie zawiesiła głos, bym zrozumiała, że okazuje mi więcej hojności, niż na to zasługiwałam. – Ale nie opuścisz Zimowego Pałacu.

– Nie możesz mnie tu trzymać – zaprotestowałam głosem ostrym jak nóż.

Sarnai zeszywniała. Xina sięgnął po miecz, ale go powstrzymała.

– Nie mogę? – powtórzyła, wstając. Jej długie czarne włosy, rozplątane z bojowych warkoczy, opadły na plecy. – Edan twierdzi, że nadal masz dobre serce, ale ja znałam demony całe życie. Ziarnem wszelkiej magii jest chciwość.

– Nie wierzę to.

Wyśmiała mnie.

– Mój ojciec też tak mówił. Wiesz, był młodym mężczyzną, kiedy cesarz Tajjunin zjednoczył A'landi. Każdy szansen musi wykazać się na wojnie i ojciec obawiał się, że w zjednoczonym kraju nie uda mu się zyskać chwały. Pragnął wojny. Nie zamierzał dzielić A'landi na pół, wręcz przeciwnie. Ale był zły, że tyle zwycięstw mojego dziadka dla Tainujina przypisano Lordowi Czarodziejowi, i poprzysiągł, że nie spotka go ten sam los. Gyiurak przyszła do niego i zaoferowała, że pomoże pokonać czarodzieja i przejąć tron... za cenę krwi.

– Dziesięć tysięcy istnień.

– Tak – przytaknęła posępnie. – Byłam tam tamtej nocy. Wtedy po raz pierwszy widziałam demona. – Wbiła wzrok w ogień. – Mój ojciec odmówił zapłaty, ale zasiała w nim okrutne pragnienie, którego nie mógł zaspokoić, nawet kiedy zabił Tainujina i jego dziedzica. Stał się zachłanny, pragnął amuletu Edana, by samemu kontrolować czarodzieja. Ale Khanujin odkrył ich plany i zdobył go pierwszy, a mój ojciec został zmuszony, by wycofać się na północ. Gyiurak czaiła się w tamtejszych lasach i zapolowała na niego, kiedy wrócił do domu. Wymusiła na nim przysięgę krwi w zamian za jej mroczną magię, by pokonać Khanujina i jego czarodzieja i przejąć tron. – Sarnai podniosła wzrok z ogniska i posłała mi ostre spojrzenie. – Od tego dnia mój ojciec już nigdy nie był taki sam. Na wojnie ledwie zauważyłam różnicę, ale powoli pochłaniała go żądza krwi. – Mówiła ciężkim głosem, a jej twarz wykrzywiła się na wspomnienie czegoś okropnego. – Próbowałam pokazać mu, co się z nim dzieje, błagałam, żeby przestał. Ale nie chciał słuchać.

Przełknęłam ślinę, na swój sposób rozumiejąc, jak dobrze jest czuć gniew. Nadal miałam posmak jego słodczy.

– Nie masz wyboru: musisz mnie zabrać – powiedziałam spokojnie. – Nikt z was nie dorównuje Gyiurak.

Jej nozdrza zadrżały.

– Nie słyszałaś nic z tego, co powiedziałam? Nie ufam ci.

I słusznie. Nawet nie wiedziała, że mogłam bez trudu wśliznąć się do jej umysłu, jak Bandur wśliznął się do umysłu Ammi, i zmusić ją, by zrobiła to, co chcę. Ta możliwość unosiła się we mnie, mącąc moją własną siłę woli. Mimo to się powstrzymałam.

– Jeśli obawiasz się, że cię zdradzę – zaczęłam – Edan ma sztylet, którego można używać przeciw demonom.

– Maiu – szepnął Edan. – Maiu, wystarczy.

Udawałam, że go nie słyszę.

– Ma go przy sobie teraz.

Lord Xina przywołał go, by podał mu broń. Edan niechętnie wręczył ją wojownikowi, a ten przekazał ją Lady Sarnai.

– Wygląda zwyczajnie – oceniła.

Gdy oglądała sztylet, chłonąc wzrokiem misterne linie wyryte na pochwie, mówiłam dalej:

– Jeśli zwrócę się przeciwko A'landi, przytrzymaj rękojeść i wypowiedz słowo: „Jinn”. W ten sposób odsłonisz ostrze. A potem przesyj mi serce... – Podniosłam amulet, ponieważ teraz to on był moim prawdziwym sercem, z każdym dniem coraz bardziej. Głos mi się załamywał, ale nie skończyłam. – Walcząc dla ciebie, będę nosić suknię Amany. Suknię malowaną krwią gwiazd. – Ścisnęło mnie w gardle. – Suknia jest źródłem mojej siły. Jeśli zechcesz mnie zabić, musisz zniszczyć ją razem z amuletem, i wtedy zginę.

Twarz Edana zdradzała, że mówię prawdę.

– Nie wini Edana za to, że zataił przed tobą tę informację – poprosiłam. – Wierzy, że wciąż jest we mnie dobro. Ale ja wiem lepiej. – Po raz pierwszy ukloniłam się Lady Sarnai. – Teraz wiesz, że możesz mnie zgładzić. – Pomyślałam o ostatniej sukni, tej, która chroniła moją duszę przed szponami demona. – Pozwól mi sobie pomóc i pokonać Gyiurak.

Ku mojemu zdziwieniu Sarnai wstała i oddała sztylet Edanowi. Bez wyjaśnienia rzuciła:

– Jutro maszerujemy na Dżappor i wy dwoje do nas dołączycie. – Urwała na moment, a potem dodała: – Nie zawieź mnie, Maiu Tamarin. Bo jeśli mnie zawiedziesz, przysięgam na Dziewięć Niebios, że nie pożyjesz długo, żeby pożałować.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Podażyliśmy wzdłuż linii brzegowej oceanu Cuiyan w górę. Teren stopniowo przechodził w trawiasty step przykryty koronką śniegu. Gwałtowne wiatry targały trawami, a gorzki chłód ze świstem wdierał się do moich płuc. W dalekiej oddali dostrzegałam znane północne lasy, w których podobno czaiły się demony.

Podczas marszu na Dżappor lustrowałam niebo, wypatrując moich ptaków. Wrócił tylko jeden, samotny, przez co niemal pękło mi serce. Jednak potem zobaczyłam ich więcej – wznosiły się nad konwojem statków na północnym wybrzeżu. Ujrzałam łodzie rybackie z poszarpanymi żaglami, statki handlowe i, chwała bogom, flotę smoczych pancerników pod sztandarem cesarza Khanujina.

Żołnierze przybywali pieszo, konno, na wozach i w powozach. Niektórzy przyprowadzili swoje żony i siostry, inni przynieśli żywność, koce, narzędzia do wyrobu łuków i włócznie czy do ostrzenia sztyletów i mieczy. Większość znalazła nas dzięki moim ptakom, część odpowiedziała na wezwanie Lorda Xiny. Posiłki przybywały z każdą godziną. Do końca dnia do armii Lady Sarnai dołączyły setki.

Widziałam, co udział w Wojnie Pięciu Zim zrobił z Ketonem, jak przygasił światło w jego oczach. Twarze tych żołnierzy wyglądały tak samo jak twarz mojego brata, zahartowane przez wojnę. Teraz patrzyłam na nich z podziwem, nie ze współczuciem.

Mimo to czułam się okrutna, że poprosiłam ich, by znów stanęli do walki.

– To, że tu przyszli, to nie sprawa magii, prawda? – spytałam Edana zmartwiona. – Nie zmusiłam ich ani nie wezwałam jak szansen mnie?

– Nie – zapewnił. – Ludzie wiedzą, że zjednoczony kraj to coś, o czym należy marzyć, i za co należy walczyć, z cesarzem czy bez niego.

Wśród tłumu nowo przybyłych dostrzegłam znajomą parę warkoczyków. Przede mną ukazała się twarz dziewczyny: pełne policzki, jasne, okrągłe oczy i małe, kształtne usta.

– Maia! – Podbiegła do mnie, zarumieniona z ekscytacji, wymachując jednym z materiałowych ptaków za ognistą czerwoną nić, którą wszyłam mu w skrzydła.

Upuściła ptaka na moją dłoń, a ja przytuliłam go do serca. Nić, jeszcze ciepła od magii, połaskotała mnie po kciuku.

– Wyglądasz lepiej – przywitała mnie serdecznie. Przechyliła głowę, spoglądając na Edana. – Lord Czarodziej zdołał ci pomóc?

Za nic nie mogłam przypomnieć sobie jej imienia. Tańczyło mi na końcu języka, jak jedwab wciąż wyslizgujący się z dłoni. Zmarszczyłam brwi.

– Udało nam się zyskać trochę czasu.

W jej życzliwych oczach załśniło zrozumienie. Złapała mnie za rękę, ignorując ostre paznokcie i zakrzywione palce w rękawiczkach.

– To ja, Maiu. Ammi, twoja przyjaciółka.

– Ammi – powtórzyłam i ją objęłam. Imię rzeczywiście brzmiało znajomo. Nici ucieczki z Jesiennego Pałacu i podróży przez A'landi rozwinęły się w moim umyśle. Ta dziewczyna była dla mnie ważna, ale nie potrafiłam stwierdzić dlaczego.

Rozluźniła ramiona i uśmiechnęła się od ucha do ucha. Zauważyłam, że jest ciepło ubrana – w ocieplaną kamizelkę i grube wełniane spodnie. Przerzuciła przez ramię spory tobołek.

– Przyniosłam dodatkowe ubrania i zapasy, z pozdrowieniami od mistrza Longhaia. Opuściłam jego warsztat kilka dni po tobie. Kiedy usłyszałam, że poszłaś walczyć z szansenem, wiedziałam, że muszę pomóc. Może nie władam mieczem, ale radzę sobie z nożem i potrafię rozpalić ogień. Żołnierze muszą jeść.

– To prawda. – Zerknęłam na setki nowo przybyłych mężczyzn. – Obawiam się, że czeka cię ciężka praca. – Wzięłam jeden z reszty tobołków i pokazałam, żeby poszła za mną. – Chodź, przedstawię cię mojej rodzinie.



Ammi szybko została naszą główną kucharką. Obecność kobiet w obozie czyniła cuda na morale żołnierzy. Nawet Keton więcej się uśmiechał.

– Szczęśliwy brzuch to szczęśliwy człowiek – mawiała Ammi. Miałam nadzieję, że dobre nastroje się utrzymają. Zbliżaliśmy się do Wiosennego Pałacu.

Maszerowaliśmy tak długo, że podeszwy butów Ketona się poprzecierały. Nie narzekał, więc nie poruszałam tematu, idąc obok niego i dotrzymując mu towarzystwa, gdy pchał Babę na wozie z zaopatrzeniem.

– Powinieneś zostać w Zimowym Pałacu – próbowałam przekonać ojca przed marszem. – Tak będzie bezpieczniej.

– Gdzie moje dzieci, tam ja.

– Ale...

– Nie zostanę – uparł się.

Więc zabraliśmy go ze sobą. Głównie spał, nadal odzyskując siły po czasie spędzonym w niewoli szansena.

– Jak myślisz, co się stanie z konkubinami cesarza teraz, kiedy zginął? – zagaił Keton, starając się nawiązać luźną rozmowę.

– Cesarz Khanujin nie miał żadnych konkubin.

Mój brat prychnął.

– Oczywiście, że miał. Wszyscy cesarze mają. Pewnie trzymał najładniejsze w Wiosennym Pałacu. Kobiety w Dżapporze są znane ze swojej urody. Mówi się, że to dlatego stolica nigdy nie została

podbita: bo kobiety oczarują wrogów A'landi i doprowadzą ich do klęski.

– Nawet gdyby to była prawda, nie sądzę, żeby ich czar zadziałał na szansena – rzuciłam oschle.

– Może nie. – Zabrzmiął mroczniej. Zamilkł na chwilę, zanim otrząsnął się z czegoś, co go dręczyło. – Wiesz, żałuję, że nie możemy wojować garnkami ryżu zamiast mieczami. Wtedy na pewno byśmy wygrali.

Mój brat nigdy wcześniej nie interesował się kuchnią.

– Skąd ta myśl?

– Ammi mówiła, że w Dzapporze mają najlepsze jedzenie w A'landi. Nie znajdziesz nic takiego na północy, powiedziała. Niezła z niej kucharka, z tej twojej przyjaciółki.

Zdziwiłam się.

– Rozmawiałeś z Ammi?

– Trochę. Chciałem podziękować za jej wysiłki. – Keton zerknął na Ammi, która snuła się między żołnierzami, rozdając filiżanki herbaty i ryżowe pierożki zawinięte w liście bambusa. Mój brat odchrząknął, a na jego policzki nieoczekiwanie wstąpił rumieniec. Natychmiast spróbował zmienić temat. – Dlaczego czarodziej nie idzie z nami?

Zerknęłam na Edana, który przez całą drogę szedł kilka kroków z przodu. Zacisnęłam usta i nie odpowiedziałam. Keton dobrze wiedział dlaczego.

Baba wciąż był nieufny wobec Edana. Dziękował mu uprzejmie, kiedy pomagał nam rozbijać namioty lub przynosił jedzenie, ale nigdy nie zapraszał go, by został i zjadł z nami.

Za każdym razem, gdy próbowałam bronić Edana, po twarzy Baby przemykał cień. Nie odzywałam się, idąc za radą Edana, by dać Babie więcej czasu. Ale w głębi duszy bałam się pytań, które Baba mógłby zadać, gdybyśmy podjęli temat magii, bałam się, że już wie, czym się stałam.

Mój brat zrobił przebiegłą minę, której nigdy nie potrafiłam odczytać.

– Czarodzieju! – zawołał, gestem przywołując Edana. – Może pójdziesz z nami? – Zauważył moje zaskoczenie. – Nie martw się, Maiu. Będzie miło. Edanie, dołącz do nas!

Edan zamrugął, chwilowo sparaliżowany zaproszeniem, ale w końcu do nas podszedł.

– Właśnie rozmawialiśmy o Wiosennym Pałacu – zaczął mój brat. – Opowiedz nam o nim. Czy kobiety naprawdę są takie piękne, jak wszyscy mówią? Czy wolisz kobiety z południa?

– Ketonie! – Zdzieliłam brata łokciem, przerażona. – Piłeś coś?

Zaśmiał się, a ja ukryłam uśmiech, kiedy zobaczyłam minę Edana. W życiu nie widziałam go tak oniemiałego.

– Dobrze, dobrze, po prostu opowiedz nam o Wiosennym Pałacu – poprosił Keton. – Dlaczego leży tak daleko na północ?

– A'landi nie zawsze była tak duża jak teraz – odparł Edan. – Pierwszy cesarz miał tylko jedną rezydencję, znaną obecnie jako Wiosenny Pałac. Zbudował ją na północy, by armie szansena mogły chronić kraj przed najazdami. Gdy imperium rozrosło się na wschód i na południe, jego potomkowie zbudowali trzy kolejne pałace, by podzielić swój czas między wszystkie części królestwa. Dopiero za czasów cesarza Tainujina ludzie zaczęli się martwić, że stolica leży za daleko na północ. Zbyt blisko terytorium szansena, gdzie mieszkańcy północy są bardziej lojalni wobec niego niż wobec cesarza. Te obawy okazały się prorocze.

Keton nie odpowiedział, co Edan błędnie uznał za brak zainteresowania, więc dodał:

– Maia mówiła, że walczyłeś w Wojnie Pięciu Zim.

Oczy Ketona pociemniały.

– Walczyłem w tym samym pułku co moi bracia. Byli o wiele lepszymi żołnierzami niż ja. Finlei powiedział, że kiedyś z tobą walczył. Podobno zabiłeś stu żołnierzy jednym machnięciem ręki.

Edan miał nieprzeniknioną minę.

– To było bardzo dawno temu. Całe życie temu.

Obaj milczeli. Szłam między nimi, aż Keton wymamrotał wymówkę, żeby sprawdzić, co u Baby.

– Nie powinienem był wspominać o wojnie – wyszeptał Edan, kiedy Keton nas zostawił. – To był błąd.

– Denerwowałeś się. Niepotrzebnie, Keton cię lubi.

– Chce mnie lubić. Chciał.

– Spróbuj jeszcze raz – namawiałam. – To wiele by dla mnie znaczyło, gdybyście zostali przyjaciółmi. To mój ostatni brat. Obaj jesteście moją rodziną.

– Maiu... – Głos mu drżał. – Mówisz, jakbyś...

– Pociągnę wóz – przerwałam mu, nie chcąc słyszeć tego, co zamierzał powiedzieć. Może i moje serce było odrętwiałe, ale jeszcze nie umarło i chciałam oszczędzić mu bólu na tyle, na ile mogłam. – Spróbuj. Keton doceni twoje towarzystwo.

Skinął głową i odszedł, żeby porozmawiać z moim bratem. Ciągnęłam Babę sama, wsłuchując się w dźwięk moich butów kłapiących o trawę. Był tak ludzki, choć moje pazury wywijały się przy każdym kroku. Moje stopy pragnęły latać, ale stłumiłam to pragnienie i szłam dalej.

Kilka minut później usłyszałam, jak Keton się śmieje.

– Co zrobiła? – zawołał. – Mówiłem, żeby trzymała się na uboczu. Nic dziwnego, że ją przejrzałeś.

Choć chciałam usłyszeć, co o mnie mówią, skupiłam się na drodze przed sobą. Amulet bił mi o pierś i pomyślałam o trzech sukniach, dla których poświęciłam tak wiele.

Ta odrobina krawieckiego daru, która mi została, nie była przeznaczona na szycie igłą i nitką, lecz na tkanie przyszłości, splot po splocie, dla ludzi, których kochałam. Przyszłość wytrzyma, nawet gdy ja rozpadnę się na strzępy. Musi, inaczej wybór, którego dokonałam – który zdaniem mistrza Tstringa był nieunikniony – pójdzie na marne.

Dwa dni później wkroczyliśmy na Północne Równiny. Na wschodzie leżał Dżappor, a na północy lasy i puszcze, w których dorastała Lady Sarnai.

Lord Xina ćwiczył żołnierzy, uczył ich walki w grupie, a także sprawdzał ich siłę fizyczną i wytrzymałość. Edan uczył ich wszystkiego, co wiedział o demonach i duchach.

– Duchy nie mogą władać bronią, nie są szybkie ani bystre jak Gyiurak. Mogą atakować, jedynie wabiąc was do siebie. Będą mówić głosami, które są wam drogie, przybierać twarze waszych bliskich i znać wasze najskrytsze sekrety i pragnienia. Nie dajcie się złapać w te pułapki. Nie dotykajcie duchów. Jeśli ich dotkniecie, staniecie się jednymi z nich, a wasze dusze już zawsze będą błąkać się między niebiosami a zaświatami, dopóki demon, któremu służycie, nie zostanie pokonany.

W tym czasie ja siedziałam z kobietami, obierając rzodkiewki i ziemniaki – skromny dar od jednego z rolników.

Kobiety zerkały na moje oczy i ręce w rękawiczkach, szeptały za moimi plecami, kiedy myślały, że nie słyszę. Bez trudu je ignorowałam, dopóki Baba nie przyszedł, by pomóc – wtedy szybko wymyśliłam wymówkę, żeby wyjść. Nie chciałam, żeby zobaczył ich spojrzenia, nie chciałam w końcu odpowiadać na jego pytania. Nie chciałam zranić go prawdą, jeszcze nie teraz.

Moja obecność w obozie dawała ludziom pożywkę do plotek, więc głównie trzymałam się na uboczu – tylko wieczorami dołączałam do nocnej rady wojennej Lady Sarnai.

– Czterystu żołnierzy – powiedział ponuro Lord Xina. – To o wiele za mało.

Chciałam krzyczeć, że to więcej, niż mogliśmy na to liczyć, ale Lady Sarnai mnie uprzedziła.

– Radziliśmy sobie w gorszych sytuacjach. Kobiety mogą walczyć. Część z nich wyraziła taką chęć.

– Niewiele zmieniają – upierał się Xina. – Tylko pošlesz je na śmierć. Twój ojciec ma tysiące wyszkolonych mężczyzn.

– To nie wojna między armiami, tylko wojna przeciw mojemu ojcu. Dowodzi swoimi żołnierzami poprzez strach, poprzez sojusz z Gyiurak. Gdy pokonamy jego i demona, armia się podda. Wyzwaniem jest zabicie Gyiurak. Choć mój ojciec jest zepsuty, nadal jest człowiekiem i ma ludzkie słabości. Mógł mnie zabić w Zimowym Pałacu, ale tego nie zrobił. – Ściszyła głos, lecz nadal brzmiała surowo. – Pamięta mnie.

Z trudem zaczerpnęłam powietrza. Gdybym nie widywała Baby i Ketona codziennie w obozie, zapomniałabym ich. Ich twarze by mi się rozmyły, ich głosy stałyby się znajomą piosenką, którą kiedyś słyszałam, ale której nie potrafiłam zaśpiewać.

Straciłam historie Senda i śmiech Mamy. Słowa Finleia wypowiedane, gdy brakowało mi odwagi lub wiary w siebie.

Starłam się nie panikować, ale pusty ból we mnie wyostrzał się z każdym dniem.

Dziś, zdecydowałam. Powiem Edanowi, co od dawna nawiedza mój umysł.

I będę się modlić, żeby mnie za to nie znienawidził.



Po zmroku budowaliśmy wioskę namiotów na środku równiny. Śnieg jeszcze nie spadł, ale trawa pod naszymi butami skrzypiała od szronu, a z każdą godziną lodowaty wiatr wzierał coraz głębiej. W obozie nie było zbyt wiele kobiet – spałyśmy w kilku namiotach obok Lady Sarnai. Prawie nikt nie zauważał, kiedy wymykałam się, by odwiedzić Edana.

Trzymałam rękę na jego torsie, czując miarowe bicie serca. Jeszcze niedawno martwiłam się o jego conocne przemiany w jastrzębia, lecz teraz te obawy wydawały się odległym wspomnieniem. Już nie krzyczał przez sen. Teraz ja to robiłam.

Czasami w środku nocy sięgał po moją dłoń. Pragnęłam, aby tak było zawsze.

Ale musiałam walczyć, żeby pozostać Maią. W każdej sekundzie, minucie, godzinie walczyłam sama ze sobą, by odróżnić moje myśli od myśli mojego demona. Krew gwiazd zatrzymała na tyle mojego serca, bym zachowała jakiegokolwiek wyobrażenie o tym, kim byłam. Lecz gdybym straciła suknię...

– Miałeś tak samo? – spytałam, gdy Edan obudził mnie z koszmaru. – Kiedy oddaliłeś się od przysięgi? Podczas naszej podróży, gdy czułeś zew świtu i wołanie zmierzchu?

– Miałem inaczej – odparł. – Nie walczyłem ze samym sobą. Czułem, że magia mnie opuszcza, ale wiedziałem, że odzyskam ją, gdy ponownie spotkam się z moim mistrzem. Twoja magia zwróciła się przeciwko tobie... i...

– I nie mogę nic zrobić – dokończyłam za niego posępnie. – To tylko kwestia czasu.

Zacisnęłam usta i spojrzałam na swoje paznokcie, grube, twarde i ostre. Nawet knykcie miałam chropowate, moja skóra wysychała i pokrywała się łuskami.

– Jak zostałeś jastrzębiem? – zapytałam nagle.

– Może nie powinniśmy już o tym rozmawiać, Maiu...

– Chcę wiedzieć – nalegałam. – Zastanawiałam się, jaką postać przybiorę. To mi pomoże.

Wziął głęboki wdech.

– Demony przybierają tę samą postać, którą przybierały jako czarodzieje, ale nie każdy demon był najpierw czarodziejem. Niektóre demony nie mają postaci duchowej, inne są na tyle potężne, że mogą przybrać każdą formę, jaką zechcą. Modliłem się

o istotę o dobrym wzroku – wyznał. – Mój psuł się od czytania przy świetle księżyca. Żołnierze raczej nie korzystali ze świec.

– I stąd jastrząb?

– Na początku, kiedy odkryłem mój talent do magii, jastrząb usiadł mi na głowie.

– Na głowie? – Na jedną cudowną sekundę zapomniałam o moich troskach i zachichotałam.

Edan się uśmiechnął.

– Próbowałem go odpędzić, ale trzymał się mnie przez cały tydzień, skrzeczał tak głośno, że chłopcy z mojego oddziału rzucali w niego kamieniami. Wtedy go nie rozumiałem, ale zawsze sądziłem, że on rozumiał mnie. Potem odleciał i już nie wrócił, ale nigdy o nim nie zapomniałem. Nie byłem zdziwiony, że stałem się jastrzębiem.

Ja nie miałam pojęcia, czym się stanę. Nie przyszła do mnie żadna istota – właściwie teraz wszystkie się mnie bały. Ale nie powiedziałam tego Edanowi.

– Te ostatnie tygodnie były dla mnie bardzo trudne. Nie wiedziałam, czy jesteś bezpieczny, czy mój kraj ogarnie wojna, czy następnego dnia obudzę się jako Maia, czy jako ktoś inny. – Przełknęłam ślinę i wtuliłam się w niego mocniej. – Ale teraz wiem, że jestem silna. Bo mam ludzi, dla których muszę być: Babę, Ketona.

– I mnie?

– Zwłaszcza ciebie.

Powiodłam dłonią po jego torsie aż do szyi i nawinęłam na palec luźny lok. Gdy tylko okręciłam go wokół, puściłam i popatrzyłam na nasze ręce. Dłoń Edana idealnie układała się na mojej. Jego długie palce zasłaniały moje ostre czarne szpony.

– Chciałabym, żebyś mi coś obiecał. – Mówiłam najspokojniej, jak potrafiłam. – Odkąd cię znalazłam i ponownie zobaczyłam rodzinę, jest ze mną lepiej. Ale to nie potrwa długo. Czuję, że z każdym

dniem tracę siebie. Jeśli... stanę się niebezpieczna, musisz mnie powstrzymać.

– Maiu...

– Kiedy wreszcie stanę się demonem, Edanie – przez gulę w gardle mówienie sprawiało mi ból – chciałabym, żebyś wziął amulet. Zabierz go na koniec świata i spętaj całą magią, jaką zdołasz. Zrób, co musisz: zakop go, wrzucić na dno oceanu, bylebym tylko nigdy go nie znalazła.

– Co to da? – zapytał łagodnie. – Będziesz cały czas go szukała. Jesteś związana z sukniami w amulecie...

– Z suknią. Została tylko jedna. – Gardło mnie piekło, ale ciągnęłam: – Proszę, Edanie. Nie chcę, żeby Maia-demon go miała... żeby nadużywała jego mocy.

Żeby zraniła wszystkich jeszcze bardziej, niż już to zrobiła.

– Nie da się w ten sposób powstrzymać demonicznej magii, Maiu – rzekł poważnie. – Nawet dla ciebie.

W głębi duszy już to wiedziałam. Ale i tak miałam nadzieję.

– Więc zabij mnie. Obiecuj, że to zrobisz.

Pokręciłam głową, uprzedzając jego protesty.

– Jeśli do tego dojdzie, tak zrobię – przytaknął odrętwiały, a potem wyszedł z namiotu.

Musiałam się powstrzymać, żeby nie podążyć za nim. Czekałam, pewna, że zaraz wróci.

Nie wrócił.

Rozdział trzydziesty

Lady Sarnai zobaczyła mój cień przed swoim namiotem, zanim zdążyłam się zapowiedzieć.

– Nie stercz tak, Tamarin. Wejdź do środka.

Opatulona grubymi warstwami lisiego futra, zmrużyła oczy, widząc, jak mało mam na sobie. Wiatr sącył się przez moje muślinowe rękawy, ale nie było mi zimno.

Jej namiot był skromny. W środku znajdowały się kremowa świeca, burgundowy koc i dwa brązowe garnki – jeden na wodę, drugi na ogień. Jej łuk leżał na łóżku obok kołczanu świeżo wyciosanych strzał.

– O co chodzi? – spytała oschle.

– Przyszłam prosić o przysługę – wychrypiałam.

Odłożyła miecz, który przed chwilą zaczęła ostrzyć.

– Nie masz prawa prosić o przysługi.

– Przepraszam, Wasza Wysokość. Pójdę już...

Prychnęła.

– Bierna jak zawsze. Nie wiem, jak mogłam uznać cię za mężczyznę. Czego chcesz?

Wyprostowałam się, słysząc tę zniewagę.

– Poprosiłam Edana, żeby mnie zabił, jeśli stracę nad sobą panowanie. Ale nie wierzę, że to zrobi.

Nachyliła się, zaineresowana.

Wzięłam głęboki wdech.

– Chcę, żebyś ty to zrobiła, jeśli on zawiedzie.

Sarnai uniosła elegancką brew i usiadła sztywno na jednym z kufrów.

– Wiedziałam, czym jesteś, jak tylko cię zobaczyłam. Wiedziałam, odkąd kazałaś mi włożyć tę przeklętą suknię i o mało mnie nie

zabiłaś.

Skłoniłam głowę.

– Ale żaden prawdziwy demon nie wyjawiałby tajemnicy, jak go zabić. Dlatego oddałam Edanowi jego sztylet. Dlatego pozwoliłam ci żyć. Jednak twoje dni są policzone, Tamarin.

– Nie...

– Nie przerywaj mi. Nie masz prawa, a ja nie skończyłam. – Napięła rękę, w której trzymała miecz, i zmarszczyła czoło. – Powiedziałam ci, co magia zrobiła z moim ojcem. Widziałam, jak zmienia się z najwierniejszego generała w zdrajcę ponad wszystko pragnącego władzy. Myśli, że kontroluje demona, ale Gyiurak go oszukuje. Zniszczy go, to jej natura: natura demona. Widzę ją w twoich oczach. – W jej głosie zabrzmiał chłód. – Nie możesz jej kontrolować, jeśli jesteś słaba.

Słaba? – warknął z niedowierzaniem mój demon. Tak, jesteś słaba, ale tylko dlatego, że się opierasz. Wyobraź sobie, Sentur'na, co mogłabyś zrobić dla A'landi, gdybyś się poddała. Byłabyś równa Gyiurak. Byłabyś...

Odejdź, odepchnęłam głos w mojej głowie. Nie posłucham cię.

– Dlaczego wróciłaś? – zapytałam Sarnai. – Powiedziałaś, że nie da się pokonać twojego ojca.

– Bo się nie da – odparła. – Ale lepiej, żebym to ja prowadziła A'landi w walce przeciwko niemu, nie ty.

To miała być obelga, ale nawet nie drgnęłam.

– Więc dałaś mi powód, żeby cieszyć się z tego, czym się staję. – Popatrzyłam na jesionowy łuk za jej plecami. Wskazałam go, nie dając jej szansy na odpowiedź. – Kiedy cię udawałam, twój ojciec powiedział, że łuk jest świadectwem twojej siły.

Sarnai prychnęła.

– Moich braci od urodzenia szkolono na wojowników. Pragnęłam tego samego ponad wszystko. Ojciec powiedział, że będę mogła z nimi trenować, jeśli uda mi się naciągnąć jego łuk. Wiedział, że to niemożliwe, nawet dla moich braci. Umiałam trafić ważką nożem

z odległości stu metrów i trawić trucizny, które moi bracia szykowali dla siebie nawzajem, ale zamiast tego podawali je mnie, jednak nie miałam dość siły, by naciągnąć łuk choćby do połowy. Ojciec uważał mnie za marionetkę do wydania za mąż. Nie zamierzałam na to pozwolić. Dołączyłam więc do matki i pobierałam lekcje haftowania oraz tańca, ale nocą wymykałam się do lasu i nosiłam polana na plecach do pałacu, żeby nabrać sił. Ciągnęłam to przez pół roku, aż moje gładkie dłonie zrogowaciały, plecy przestały boleć od noszenia ciężarów, a kości się wzmocniły. Gdy mój ojciec dowiedział się, że jego jedyna córka, Klejnot Północy, wykonuje ciężką pracę po nocach, kazał powiesić drwala. Jaki pożytek bym mu przyniosła, gdybym straciła urodę? Nie mogłabym zostać cesarzową, gdyby moją twarz przecinały blizny, a skórę raniły drzazgi.

Dotknęła twarzy. Fioletowe siniaki wyblakły – zaledwie widma na tle zimowego rumieńca na jej policzkach. Srebrnobiałe blizny na skórze miały zostać na zawsze i przypominać o spotkaniu z moimi sukniami, lecz to nie one odarły ją z delikatnej elegancji młodej dziewczyny. Winę za to ponosiły wojna i strata.

Wciągnęła powietrze i podjęła:

– Ale ukradłam łuk ojca i naciągnęłam go bez trudu, jakbym narzucała na siebie szarfę, a potem wystrzeliłam i uwolniłam drwala. Tego dnia ojciec pozwolił mi dołączyć do braci. Kiedy pokonałam ich wszystkich, kazał mi trenować z Lordem Xiną. – Ściągnęła usta. – A potem wyjść za Khanujina.

Zapadła cisza. Trwała długo, aż wreszcie przerwałam ją pytaniem:

– Ulżyło ci, że zginął?

– Khanujin nie był dobrym cesarzem. Nie był nawet dobrym człowiekiem. – Zastanowiła się, jakby to, co zamierzała powiedzieć, irytowało ją samą. – Ale pomyślałam o tym, co powiedziałaś, krawcowo, i stwierdzam, że miałaś rację. Choć go nienawidziłam, stawiał A'landi na pierwszym miejscu. Teraz, kiedy to widzę, nie mam wyboru: muszę go szanować. – Spochmurniała. – A więc: tak,

ulżyło mi, że zginął, ale wolałabym, żeby żył. Teraz jego brzemie spadło na nas.

Na nas.

– Może cesarz, którego obie nienawidziłyśmy, jednak miał w sobie odrobinę dobra.

– Nie rozpędzałam się aż tak – zadrwiła, ale ten jeden raz nie miała nic złego do powiedzenia o Khanujinie. – Jesteś dziwna, Tamarin – dodała po chwili. – Może w innym życiu zostałybyśmy przyjaciółkami. Ale nie w tym.

Co mogłam na to odpowiedzieć? Skłoniłam głowę.

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

– Daj spokój. Teraz wszyscy jesteśmy żołnierzami. – Złapała rękojeść miecza i zaczęła czyścić ostrze kawałkiem tkaniny. Łuk za nią pozostał nietknięty. – Jeśli masz magię i wolę, by wezwać tak wielu ludzi do pomocy, znajdziesz w sobie siłę do walki z tym, co cię dręczy.

Zamrugalam, zdziwiona.

– Tak, Lady Sarnai.

– Dobrze. Idź i nad tym popracuj. – Wrócił dawny ton, do którego się przyzwyczaiłam. – Nie możesz zawieść.



Co rano Keton wstawał przed resztą żołnierzy i ćwiczył nogi. Następnego dnia podążyłam za nim. Potrafił już chodzić bez laski, ale nie długo, a władanie mieczem sprawiało mu trudność. Jednak gdy mnie zobaczył, wrócił jego dawny uśmiech i na chwilę znów stał się moim figlarnym najmłodszym bratem, z błyskiem w oku, który oznaczał, że Keton coś knuje.

– Wiesz, nigdy nie sądziłem, że ucieszę się, kiedy najlepszy wojownik szansena podaruje mi miecz – zagaił mój brat. – Ani że będę walczyć za jego córkę.

– A co na to pozostali?

– Wszyscy mamy mieszane uczucia. Na początku nie ufaliśmy Lordowi Xinie, ale nie poświęciłby tyle czasu na trenowanie nas tylko po to, żeby potem zabić nas w walce.

– A Lady Sarnai?

– Wielu jej nie ufa, niektórzy nawet jej nienawidzą. Nie winię ich. Na wojnie była tak samo bezwzględna jak jej ojciec, na polu bitwy bardziej brutalna niż Lord Xina. Ale wszyscy najbardziej nienawidzimy szansena i wiemy, że osobą, która może go pokonać, jest jego córka. – Keton przechylił głowę. – Czy teraz zapytasz mnie, co sądzimy o czarodzieju?

Wstrzymałam oddech.

– Nie zamierzałam.

Wyszczerzył zęby.

– Przekonujemy się do niego. Zaczynam go lubić. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Twoją przyjaciółkę Ammi też. Dziś znowu będzie zupa rzodkiewkowa?

– Cebulowa.

– Ach, cebulowa. – Zachichotał i wyważył miecz, przekładając go z ręki do ręki. Zrozumiałam, że ćwiczył. Ta prosta czynność nie przyszła mu łatwo, choć mogło się tak wydawać. – Pamiętasz, w jakie kłopoty pakowałem się przez cebulę?

Zmusiłam się do śmiechu, by nie zauważył, że nie pamiętam.

– Kroilem cebulę, żeby popłynęły mi łzy, a potem brałem czerwony barwnik Baby i wylewałem sobie na rękaw, żeby udawać, że się skaleczyłem. Mama się wściekała, myśląc, że zrobiłem sobie krzywdę.

– A kiedy dowiadywała się, że nie zrobiłeś – zaczęłam, powoli składając elementy w całość – kazała ci przez cały dzień kroić cebule, aż oczy miałeś tak czerwone, że nic nie widziałeś. Finlei i Sendo nazywali cię: „Zalewa”.

Zaśmiał się.

– Dobrze się bawiliśmy we czwórkę, prawda?

Zaschło mi w gardle. Moje wspomnienia były jak dzikie ptaki w klatce. Jedno po drugim odlatywały, by nigdy nie powrócić.

– Pamiętasz, jak Sendo i ja udawaliśmy, że jesteśmy balarskimi piratami? – Keton schował miecz do pochwy i zamachnął się na dół moich pleców. Ku jego zdumieniu zrobiłam zręczny unik.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – zapytał.

– W moich podróżach.

Uniósł brew.

– Od czarodzieja? Baba pytał, czy Edan wyjawiał ci swoje zamiary.

Moją twarz uderzyła fala gorąca, ale ostygła tak szybko, jak się pojawiła.

– A co? – wydusiłam ostrożnie.

– Mówi, że wyjawiał. – Skrzywił się drwiąco. – Co, żadnego uśmiechu? Może moje rady były aż za dobre. Chyba zbyt długo udawałaś mężczyznę. Teraz nic cię nie rusza.

– Może – rzuciłam. A może wiem, że to, czego Edan pragnie, nigdy się nie wydarzy. – Jakie to ma znaczenie? Baba mu nie ufa.

– Baba nie zaufałby mnichowi. To nie ma nic wspólnego z tym, że Edan jest cudzoziemcem, mówi po a'landyjsku nawet lepiej niż ja. Choćby był cesarzem, Baba i tak miałaby zastrzeżenia. Jego zdaniem nikt nie jest dla ciebie wystarczająco dobry.

– Dla mnie? – Wykręciłam dłonie w rękawiczkach, które miały zakrywać potworne szpony pod spodem. – Ty zawsze byłeś jego ulubieńcem.

– Jestem ulubieńcem, ale to w tobie widzi najwięcej siebie. – Keton postawił miecz na ziemi i oparł się o rękojeść. Był zmęczony od trenowania. – Chce, żebyś była szczęśliwa. Tak jak on był szczęśliwy z Mamą.

Pomyślałam o czerwonej nitce, którą zawiązałam wokół nadgarstka Edana, i sięgnęłam do tej zawiązanej na moim. Nadal tam była.

– Edan mnie uszczęśliwia.

– Każdy to widzi – przyznał cicho Keton. – Baba też to zobaczy. Po prostu obawia się magii. Magia to oszustwo, a czarodziej oszukał wszystkich co do cesarza.

– To była sprawka Khanujina – zaprotestowałam. – Poza tym Edan już nie jest czarodziejem. Stracił większość magii.

– Więc kim jest ten drugi... czarodziej, o którym mówił szansen?

– Czarodziejka. – Przygryzłam wargę bardzo mocno, ale nie poczułam bólu. – To ja.

Spodziewałam się, że mój brat odskoczy zszokowany, on jednak tylko potaknął.

– Czułem, że coś ukrywasz. Baba też.

– Nie...

– Nie naciskam, żebyś nam powiedziała. Ale w obozie krążą plotki... Baba chciałby usłyszeć prawdę od ciebie.

– Wiem. – Spuściłam głowę. – Wiem.

Dotknął mojego ramienia.

– Jak brzmiało to powiedzenie, które Finlei zawsze ci powtarzał?

Zawahałam się. Mój żołądek zwinął się w supeł, a słowa zatańczyły na końcu języka, ale Keton wypowiedział je, zanim zdążyłam sobie przypomnieć.

– Chwytaj wiatr. – Uśmiechnął się smutno. – Bo zostaniesz latawcem, który nigdy nie wzleci.

Powtórzyłam je, świadoma, że miały dodać mi otuchy. Ale to nie było takie proste. Lepiej, żeby niektóre rzeczy pozostały dla Baby tajemnicą.

Nagle obok nas pojawiła się Lady Sarnai. Weszła na niskie trawiaste wzgórze za moim bratem i jak zwykle spojrzała na mnie spode łba.

– Kiedy powiedziałam, że masz znaleźć swoją siłę, nie chodziło mi o to, żebyś gawędziła sobie z bratem, krawcowo.

Na jej widok Keton padł na kolana.

– W-wasza Wysokość – wyjąkał.

Nie mógł oderwać wzroku od córki szansena. Jej niegdyś nieskazitelną skórę przecinały srebrnobiałe blizny, po szyi i policzkach biegły ciemnoszare żyły. Jej uroda się zmieniła, stwardniała, ale może piękno Lady Sarnai nigdy nie było tym, co przyciągało ludzi. Biła od niej jeszcze silniejsza aura wojowniczkki niż wcześniej, a w jej stalowych oczach lśniła taka odwaga, że wzdrygnęliby się nawet najsilniejsi.

– Wstań – rozkazała Ketonowi. Kiedy z trudem się podnosił, zareagowała na jego dawną kontuzję nieznacznym szarpnięciem podbródka. Uniosła rękę, by powstrzymać mnie przed udzieleniem mu pomocy. – Jeśli mu pomożesz, nigdy nie nabierze sił.

Gdy wstał, ledwie zdolny zarzucić miecz na ramię, zmarszczyła brwi.

Wiedziałam, co myśli: Keton nie przeżyje w walce z ludźmi szansena, nie kiedy samo trzymanie miecza sprawia, że traci równowagę i jeszcze bardziej utyka.

Jednak gdyby zwolniła go ze służby, Keton by się załamał. Otworzyłam usta, żeby go obronić, ale mnie uprzedziła:

– Igła jest dla krawca tym, czym miecz dla wojownika. Nie ma zbyt dużej różnicy. – Sięgnęła po łuk przewieszony przez ramię. – Ale igła to nie jedyne narzędzie w rękach krawca, a miecz nie czyni człowieka wojownikiem. – Podała łuk Ketonowi. – Daj mi swój miecz.

Usłuchał, a Lady Sarnai obserwowała, jak zmienia pozycję i dostosowuje się do lżejszej broni.

– Nie powiedziałam, żebyś go naciągał – rzekła surowo. – Ten łuk nie jest dla ciebie. Trzymaj go, o tak. – Nie dało się stwierdzić, o czym myślała, kiedy pokazywała mu, jak trzymać broń. Ale po długiej chwili oznajmiła: – Nie wiem, co za głupiec dał ci miecz. – Mlasnęła językiem. – Potrzebujemy więcej łuczników, a ty masz silniejsze ramiona i plecy niż większość. Udaj się do Lorda Xiny, a on zaopatrzy cię w łuk.

Na te słowa mój brat pojaśniał, a ja zesztyniałam z zaskoczenia.

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

– Jeszcze mi nie dziękuj – rzuciła do mnie, a do Ketona: – Widać, że nigdy wcześniej nie dzierżyłeś łuku. Musisz ciężko trenować, od teraz do rozpoczęcia bitwy. – Łypnęła na moją sklonioną głowę. Tylko na ten gest podzięki byłam w stanie się zebrać. – Tobie też przydałaby się lekcja, krawcowo. Widziałam, jak władasz tym swoim sztyletem. Twoja technika jest godna pożałowania.

– Jestem twoim najmniejszym zmartwieniem – powiedziałam. Nie było sensu mówić jej, że już nie potrzebuję broni. Gdybym naprawdę chciała zrobić komuś krzywdę, miałam inne sposoby. – Kobiety powinny zostać przeszkolone do walki. Te, które chcą.

W oczach Lady Sarnai zaiskrzyło światło. Popatrzyła na mnie i przez sekundę poczułam, że widzi we mnie równą sobie, nie służącą.

– Te, które zechcą wstąpić do armii, zostaną przeszkolone. Zaczniemy po obiedzie.

Do wieczora niemal każda zdolna do walki kobieta, w tym Ammi, zgłosiła się na szkolenie do Lady Sarnai. Dzięki temu zyskaliśmy dziesiątki żołnierzy.

Wszyscy wiedzieliśmy, że mamy marne szanse w walce z szansenem, że potrzeba miesięcy, nie dni, aby zostać wojownikiem. Ale nadzieja to cenna broń, a my ostrzyliśmy każdą jej krawędź.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Ostatniego dnia naszego marszu na Dzappor zaczął padać śnieg.

Na początku płatki opadały łagodnie, szroniąc żółtą trawę. W ciągu godziny wszystkie drzewa zaśnieżyły bielą, jakby z gałęzi zwisały perły. Zmiana krajobrazu była tak hipnotyzująca, że nikt nie zauważył, jak dym z dogasającego ogniska przybiera kształt tygrysa.

Nikt oprócz mnie.

Zjeżyły mi się włoski na karku.

– Gyiurak – powiedziałam i obróciłam się, by ostrzec pozostałych. Nie zdążyłam. Posłała niewidzialny podmuch demonicznego wiatru, który poszybował do moich płuc.

Moje gardło się zacisnęło, przebite tysiącem igieł, a ja szarpnęłam do przodu, próbując złapać oddech.

– Maiu? – Podbiegła do mnie Ammi. – Maiu, co się dzieje?

Przycisnęłam dłoń do piersi, dusząc się i wskazując ogień.

Potężne kończyny wyłoniły się z cienia i przeobraziły z dymu w ciało. Jednak zanim Ammi i pozostali zrozumieli, co się dzieje, było już za późno.

Gyiurak wypadła z płomieni z rykiem, który targnął ziemią.

Wybuchła panika. Wszyscy rzucili się w poszukiwaniu broni i schronienia. Wepchnęłam Ammi za wóz i chwyciłam najbliższą włócznię, choć wiedziałam, że na niewiele się zda w starciu z demonem.

Gyiurak grasowała po obozie, warcząc na skulonych żołnierzach. Jej futro lśniło, białe jak śnieg, z połyskującymi pasami niby starannie przemyślane smugi atramentu.

Szukała kogoś. Przepchnęłam się w jej stronę, ale to nie mnie pragnęła, tylko Lady Sarnai. Córką szansena stanęła przed nią

z uniesionym łukiem i szkarłatną strzałą umieszczoną na cięciwie, wycelowaną między oczy Gyiurak.

Z gardła demona dobył się śmiech.

– Twoja żałosna broń nie może mnie zranić, klejnociku – zakpiła. – Ale trzymaj ją w górze, jeśli dzięki temu czujesz się bezpieczniej. – Zwróciła się do reszty obozu, każdym oddechem przecinając gęste powietrze. – Na prośbę Jego Ekscelencji Cesarza Makangisa przynoszę wam dobre wieści: ponieważ wszyscy jesteście obywatelami A'landi, daję wam jedną szansę, byście się poddali.

Lady Sarnai z powrotem naciągnęła cięciwę. Próbowалаm przykuć jej uwagę, ostrzec, by nie atakowała.

Zignorowała mnie.

Jej strzała świsnęła, lecąc prosto i celnie, i trafiła demona prosto w czoło. Dym uleciał z futra Gyiurak, lecz tygrysica wyrwała strzałę jak luźną nitkę z płaszcza i odrzuciła.

Rana zasklepiła się w kilka sekund. Nie popłynęła ani kropla krwi.

Cały obóz był w szoku. Żołnierze chowali się za tarczami, drżały im kolana. Nawet Lady Sarnai się cofnęła.

Podeszłam bliżej Gyiurak. Strzała nie mogła jej zranić, ale ja tak.

– Mamy dziesięć tysięcy przeciwko waszej żałosnej armii – oznajmiła Gyiurak. – Cesarz Makangis czeka, aż się poddacie. Jeśli nie, bitwa rozpocznie się jutro. Nie okażemy żadnej litości.

Niektórzy mężczyźni się zawahali i nieśmiało wyszli naprzód. Wtedy usłyszałam okrzyk:

– Nie poddamy się!

To Ammi. Razem z inną kobietą zastąpiły drogę żołnierzom.

– Nie poddamy się! – powtórzyły.

– Twoja cena krwi nie zostanie zapłacona – ryknęłam z mocą. – Nie, kiedy ja walczę u boku Lady Sarnai.

– I ja – zadeklarował Edan, dołączając do mnie.

– Walczymy za Lady Sarnai. Walczymy za A'landi.

Wkrótce wszyscy skandowali te słowa, a ich moc rozniosła się po całym obozie.

Gyiu'rak rzuciła mi nienawistne spojrzenie.

– To ciekawe, że słuchają akurat ciebie, Maiu Tamarin – wychrypiała niskim głosem i przekrzywiła głowę. *Nie wiedzą, prawda? Może im powiem?*

Zamarłam. Moje paznokcie urosły tak ostre, że przez samo zaciskanie pięści krwawiły mi dłonie.

Czego się boisz? – spytała bezgłośnie Gyiu'rak, wślizgując się do zakamarków mojego umysłu. *Że spróbują cię zabić? Że będą się ciebie bali? Pozwól im. Wkrótce wszyscy zgina...*

– Odejdź! – krzyknęłam. – Idź stąd.

Mój głos zagrzmiał tak, że strącił śnieg z drzew.

Na tygrysie usta Gyiu'rak wstąpił uśmiech.

– Dobrze.

Bez ostrzeżenia rzuciła się na żołnierzy najbliżej niej. Gdy ich krzyki przeszyły powietrze, tygrysicę spowiła smuga dymu i Gyiu'rak zniknęła.

Skandowanie ucichło, a wokół nas uniosły się strach i niepewność.

Nikt się jej nie poddał, a jednak Gyiu'rak zatriumfowała. Wcześniej żołnierze tylko słyszeli o jej mocy. Dziś doświadczyli ich na własne oczy.

Ale Lady Sarnai też ma demona, pomyślałam. Mnie.

– Jak mamy walczyć z czymś takim?

– Nie da się jej zabić. Nie mamy szans!

– Już po nas.

– Wciąż mamy Lorda Czarodzieja! – zawołał Keton. – I... – Brat spojrzał mi w oczy, ale pokręciłam głową.

– Czarodziej nie zrobił nic, kiedy walczyliśmy o życie w Jesiennym Pałacu. Już nie ma magii.

Edan obok mnie zacisnął pięści.

– Pokaż im – namawiałam go. – Pokaż im, że się mylą.

– To nie moja magia nas uratuje, tylko twoja.

Choć chciałam zaprzeczyć, wiedziałam, że ma rację. Nie mogę wiecznie się ukrywać. Nie, jeśli chcę ocalić A'landi.

Wkroczyłam na środek obozu, ściągnęłam rękawiczki i uniosłam pazury. Wiatr stłumił zaskoczone okrzyki.

– Wielu z was zastanawiało się nad moimi oczami. Dlaczego świecą na czerwono jak oczy demona. I nad moimi rękami. – Rozczapierzyłam szpony. – To część ceny, którą zapłaciłam za uszycie sukien Amany.

Keton stał na czele tłumu. Setki żołnierzy czekały, by usłyszeć, co teraz powiem. Wzięłam wdech, unikając wzroku brata.

– Jestem demonem. – Pozwoliłam, by moje słowa wybrzmiały. Spoglądałam w oczy wszystkim mężczyznom i kobietom, którym zdołałam, żeby pokazać im, w jakikolwiek sposób, że nadal jestem Maią. Że ich nie skrzywdzę.

Przełknęłam ślinę, przyswajając ich przestraszone spojrzenia, wykrzywione usta i napięte szczęki. Edan dotknął mojego łokcia, bym mówiła dalej.

– Według naszych legend demony stworzyli sami bogowie – ciągnęłam. – Bogowie, którzy niecierpliwni się w niebiosach i chcieli, by inna nieśmiertelna rasa wykonywała ich polecenia. Stopili więc części ludzi i bestii, tworząc nowe istoty. Gdy bogini matka się o nich dowiedziała, wysłała swoje dzieci, gwiazdy, by przepędziły demony z nieba na ziemię. Od tego czasu gwiazdy pilnują demonów, by te nigdy nie wróciły do nieba. – Pokazałam swój amulet. – Demony i duchy są bezbronne wobec mocy gwiazd, którą wykorzystam, by ochronić A'landi. Ochronić nas wszystkich.

Otworzyłam amulet i wypuściłam wiązkę gwiazdnego światła, srebrnego i złotego, oślepiającego wszystkimi kolorami nieba. To nie był prawdziwy pokaz mojej mocy, jedynie gest mający na celu złagodzenie strachu, ale zadziałał. Unieśli głowy, ich oczy rozbłyły. Przez tłum przeplatały się nici nadziei.

– To nie moja magia ocali nas przed Gyiurak! – zawołał Edan do tłumu. – Tylko magia Mai Tamarin!

– Stanę do walki z Gyiurak – przyrzekłam – a Lady Sarnai pokona swojego ojca. Jednak jego armia jest silna. Potrzebujemy was wszystkich do pomocy, by odzyskać przyszłość A'landi.

Przez obóz przetoczyły się pomruki zgody. Odsunęłam się na bok, a Lady Sarnai wystąpiła naprzód, by zebrać żołnierzy.

Zrobię to, co do mnie należy. Modlę się tylko, by ich nie zawieść.



Baba siedział na kłodzie, skulony przy małym ognisku, nad którym wisiał mosiężny kociołek, i pocierał dłonie, by je rozgrzać. Mimo niedawnej niewoli u szansena od lat nie wyglądał tak krzepko. Przez ostatnie kilka dni słyszałam, jak śmiał się z Ammi i starszymi mężczyznami oraz kobietami w obozie. Widziałam nawet, jak próbował pomagać przy cerowaniu.

Jednak gdy tylko mnie zauważył, jego dobry nastrój przygasł.

Podniosłam kociołek i nalałam gorącej wody do drewnianego kubka obok Baby. Jeśli słyszał moje wyznanie, nie dał tego po sobie poznać.

– Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś zobaczę śnieg – mruknął, przesiewając go przez palce. – Wiesz, że dorastałem niedaleko Dżapporu? Byłem leniwym chłopakiem, nie chciałem uczyć się rzemiosła ojca, właściwie żadnego innego też nie. Pewnego roku w środku jesieni miała miejsce straszna zamieć. Nikt się jej nie spodziewał, więc byliśmy nieprzygotowani. Trwała wiele dni, a ponieważ w czasie burzy nie dało się robić interesów, zabrakło nam jedzenia i pieniędzy. – Spojrzał na mnie. – Byłem najstarszym synem, więc ojciec wysłał mnie do miasta na żeby. Chodziłem od domu do domu, brnąc po pas w śniegu, i oferowałem cerowanie rękawów czy łatanie spodni w zamian za ryż, tak jak ty w Port

Kamalan, kiedy nastały trudne czasy. Wtedy odkryłem, że kocham igłę i nitkę, tak jak mój ojciec, a przed nim mój dziadek. – Dotknął moich dłoni w rękawiczkach. – Tak jak ty.

– Wiedziałeś, że nożyczki są magiczne? – spytałam po dłuższej chwili.

Wciągnął parę ze swojej filiżanki, zanim upił łyk.

– Podejrzewałem. Moja matka nigdy o nich nie mówiła. Sama była utalentowaną krawcową, tak jak twój dziadek. Ale przestała szyc, gdy byłem bardzo młody. Dała mi nożyczki, kiedy przeprowadziłem się do Gangsunu z twoją matką, i poleciła, żebym się nimi zajął. Myślę, że wiedziała, iż się do mnie nie odezwą. Rozumiem, że odezwały się do ciebie.

– Tak – przyznałam. – Ale je straciłam. Musiałam je poświęcić.

Widział, że w tej historii jest coś więcej, niż opowiadałam.

– Strasznie zbladłaś, Maiu. Martwię się o ciebie.

– Przez jakiś czas byłam chora – powiedziałam. Nie kłamałam, nie do końca.

– Czarodziej... zajął się tobą?

– Zrobił, co w jego mocy. Chciałabym, żebyś dał mu szansę.

Baba westchnął.

– Chcę, ale wtedy pytam siebie: gdzie był, kiedy szansen atakował Jesienny Pałac? Jak może mówić, że cię kocha, kiedy zostawił cię na pastwę demonów i żołnierzy wroga?

– Właśnie to nie daje ci spokoju? Myślisz, że zostawił mnie na śmierć?

Z jego milczenia wywnioskowałam, że tak.

– Maiu, chcę dla ciebie jak najlepiej. Mężczyzna należący do magii nie...

– Edan mnie zostawił, bo go okłamałam – przerwałam mu. – Nie powiedziałam mu, czym się stałam. Tak jak nie mówiłam tobie. Jeśli jest ktoś, komu nie powinieneś ufać, to jestem to ja.

Popatrzył na mnie dotknięty. Pobladł.

– To nie czas na opowieści, Maiu. To do ciebie niepodobne.

– Wiesz, że to prawda. Babo, zauważyłeś zmiany...

– Zauważyłem, kiedy wróciłaś do domu – rzekł cicho. – Jakby światło w twoich oczach zniknęło na zawsze. – Urwał. – Obwiniąłem czarodzieja o twoje nieszczęście.

Jak mogłam go pocieszyć?

– To, co słyszałeś, to nie plotki – szepnęłam. – To był mój wybór.

– Twój wybór? Najpierw żona, potem dwaj synowie. – Załamał mu się głos. – Ojciec nie powinien grzebać swoich dzieci, Maiu.

Gardło paliło mnie z żalu. Chciałam płakać razem z nim, ale łzy nie płynęły. Wciągnęłam rześkie powietrze i z moich ust uleciał kłęb pary.

– Przykro mi, Babo. Jeśli nie wrócę, bądź dobry dla Edana. Ketonowi przyda się kolejny brat, a Edan... nie ma nikogo na tym świecie.

Oczy Baby zaszkliły się łzami, które próbował powstrzymywać.

– Kochasz go – stwierdził. – Więc to on jest tym, o którym mówiła twoja matka. Tym, z którym jesteś związana, w tym życiu i w następnym.

– Tak.

Zaczął padać śnieg, a ja wyciągnęłam rękę i patrzyłam, jak płatki topnieją, gdy tylko dotykają mojej dłoni. W dole tlił się ogień – prócz jego trzaskania i śpiewu ptaków nie było słychać nic. Rozżarzone węgle u moich stóp migotały jak umierające gwiazdy.

– Więc niech twoje serce będzie spokojne – powiedział w końcu Baba. – Bez względu na to, czym się staniesz, zawsze będziesz moją Maią. Moją silną córką.

Poczułam ulgę, że mój ojciec rozumie.

– Dziękuję, Babo. Dziękuję.

Rozdział trzydziesty drugi

Róg szansena zabrzmiał z drugiego brzegu rzeki Dżingan. Trzy Rdźwięki, każdy tak potężny, że śnieg spadł nam z hełmów.

Zaproszenie do walki.

Wpatrywałam się przed siebie, ignorując swoje odbicie w tarczy żołnierza, gdy jechałam obok Edana za Lady Sarnai i Lordem Xiną. Rano zostawiliśmy Babę w obozie, ale postanowiłam się nie żegnać.

Tak było lepiej. Dziś obudziłam się inna. Przez noc moje czarne włosy przybrały odcień najciemniejszego złota, oczy płonęły czerwienią lawy, a nos wyostrzył się w czubek szpiczasty jak grot strzały.

Kiedy Edan do mnie przyszedł, nie przywitałam go. Rozpoznałam jego wysoką sylwetkę, kwadratową szczękę, opadnięte ramiona. Ale nie wiedziałam, dlaczego go rozpoznałam. Dlaczego go kochałam.

Od armii szansena dzielił nas most szeroki na dziesięciu żołnierzy. Na kamiennym filarze u jego podstawy wyryto pozdrowienie pierwszego cesarza A'landi witające wszystkich w stolicy, Dżapporze, gdzie zaczynał i kończył się Korzenny Szlak, gdzie rodził i odwracał się los. Ciekawe, czy pierwszy cesarz kiedykolwiek wyobrażał sobie, że ten most, jedyna droga do Dżapporu, stanie się również bramą do wojny.

Śliwy otaczały mury stolicy, ich blad różowe pąki opadały z przykrytych śniegiem gałęzi. Od wieków nietknięty przez wojnę Dżappor uważano za jedno z najpiękniejszych miast na świecie. Ale teraz, gdy podbił je szansen, wątpiłam, by wciąż było tak piękne.

Za Dżapporem wznosił się Wiosenny Pałac. Jego morsko-zielone dachy były tak wysokie, że przeszywały chmury. Nie dostrzegłam znamion żałoby po cesarzu Khanujinie, tylko sztandary szansena

na każdym dachu – dzikie plamy ostrej zieleni spływające po ścianach.

Jego armia czekała po drugiej stronie rzeki.

– Za to walczymy – mówiła Lady Sarnai. Umknęła mi część jej przemowy, ale kiedy wypowiedziała moje imię, skupiłam na niej uwagę. – Tamarin włoży legendę, którą wszyscy znacie, suknię malowaną krwią gwiazd.

Dotknęłam amuletu, przywołując ostatnią suknię Amany. Owionęła mnie z wdziękiem północnej burzy. Blask gwiazd niewiele ważył, a niekończące się fałdy nocy wirowały wokół mnie jak chmury.

Za mną rozbrzmiały okrzyki zachwytu, ale ja nie spuszczałam wzroku z Edana. Z całego tłumu on jeden patrzył na mnie, a nie na suknię.

Na znak Lady Sarnai pomknęliśmy na most. Rozległ się huk kroków, żołnierze z mieczami pędzili na ludzi szansena, a gdy zerknęłam za siebie, zobaczyłam Ketona wśród łuczników. Z łukiem przewieszonym przez ramię pomagał innemu żołnierzowi podnieść rusznicę i znaleźć idealne miejsce, by wystrzelić we wrogą armię.

Nie zdążyli.

Dwadzieścia kroków dalej zimna mgła podniosła się z rozszalałej rzeki i nagle zgęstniała w nieprzeniknione opary.

Zobaczyłam go przez tę chmurę.

Szansen stał samotnie, bez armii. Miał tylko miecz zatknięty za pas. Ukłonił się powoli, futrzana peleryna zatrzepotała mu za plecami. Na mundurze nosił złotą zbroję z płonąca głową tygrysa na torsie.

Coś było nie tak. Dlaczego jego żołnierze nie stali za nim na moście?

– Edanie? – szepnęłam, wskazując gubernatora.

– Wycofaj się! – krzyknął do Lady Sarnai. – To...

Za późno.

Szansen nie przybył sam. Towarzyszyły mu setki duchów. Wyłoniły się z mgły, mięso zwisało z ich obnażonych kości, resztki skóry były mlecznobiałe jak śnieg, oczy czarne jak onyks.

– Idziemy naprzód! – rozkazała Lady Sarnai i pomknęła w stronę ojca.

Duchy otoczyły Sarnai i Xinę, odcinając ich od szansena. Nasi żołnierze spanikowali, zapominając nauki Edana, gdy duchy zablokowały drogę ucieczki w każdym kierunku.

Sentur'na. Wiesz, że nie wygrasz. Dołącz do nas.

Zignorowałam duchy i obróciłam się do naszych żołnierzy.

– Pamiętajcie, co powiedział Edan! Nie słuchajcie ich. Opierajcie się, bo wszystko, co mówią, jest nieprawdziwe!

Edan wystrzelił płomień we mgłę i opary na moment się podniosły. Duchy poleciały do tyłu, ale żołnierze zastygali jeden po drugim z bronią uniesioną w górze.

Słuchając duchów, uświadomiłam sobie z bólem serca. Armia Lady Sarnai zostanie zdziesiątkowana bez jednej ofiary po stronie szansena.

Chwyciłam fałdy spódnicy, nakłaniając moc sukni, by odpędziła duchy, ale nic się nie wydarzyło. Dlaczego nie mogłam przywołać jej magii?

Ponieważ Amana odrzuca ciemność w tobie, odpowiedział mój demoniczny głos. Zaszłaś już za daleko, Sentur'na. Ale nie wszystko stracone. Masz w sobie inną magię wystarczająco potężną, by władać suknią. Tak, wykorzystaj swoją żądzę, gniew i nienawiść do szansena, aby wezwać krew gwiazd. Magia Amany i nasza nie powinny się ze sobą kłócić. Zjednocz je, a staniesz się demonem o wiele potężniejszym od Gyiurak...

– Dosyć! – odepchnęłam głos i ruszyłam do walki.

Duchy zwróciły się przeciwko mnie. Wyciągały smukłe palce, oplatając moje kończyny i moją suknię.

Wyrwałam się, a mój gniew obudził krew gwiazd. Żyły gorącego, lśniącego szkarłatu rozbiegły się po spódnicy we wzorze, którego

nigdy wcześniej nie widziałam.

Przypomniałam sobie słowa mojego demona i natychmiast stłumiłam gniew. Musiał istnieć inny sposób. Jeśli ta suknia była moim sercem, z pewnością wyczuwała moją potrzebę.

A jednak nie. Gdy iskra mojego gniewu zgasła, suknia nie ożyła. Tkanina pozostała matowa jak tusz. Ciemna jak śmierć.

Zobaczyłam, jak Edan atakuje duchy swoim sztyletem. Lady Sarnai i Lord Xina skupili się na szansenie, lecz każda wymierzona w niego strzała się odbijała, każda rzucona włócznia ledwie rysowała jego zbroję.

– Poddaj się! – krzyknął szansen. – Nie wygrasz, Sarnai. Poddaj się, a oszczędzę twoją żalosną armię.

Nie słyszałam jej odpowiedzi.

Co mogłam zrobić? Nie byłam strażniczką Lapzuru. Nie mogłam wezwać jego duchów, by mi pomogły. Ale duchy Gyiurak skądś się wzięły – z upadłych żołnierzy szansena. Może mogłam wezwać duchy ludzi, których znałam i kochałam.

Serce podeszło mi do gardła.

– Pomóżcie nam – szepnęłam, po cichu życząc sobie, by ktokolwiek wysłuchał.

Nawoływałam i nawoływałam, aż ból przeszył moje oczy i gorące łzy spłynęły mi po policzkach,

Nagle z ciemności wyszły dwie znajome postacie.

Moi bracia. Finlei i Senda. Wyglądali na starszych, niż kiedy widziałam ich po raz ostatni. Na lewym oku i policzku Finleia widniała krzywa blizna, a piegi Senda odznaczały się na jego twarzy, niegdyś chłopięco okrągłej, teraz zmężniałej, wyciosanej przez wojnę i głód.

Otworzyłam usta, lecz mój najstarszy brat przewidział moje pytanie.

– To nie sztuczka – oznajmił Finlei. – Jesteśmy tu. Wezwałaś nas.

Obróciłam się do Senda. Mój drugi brat, mój najlepszy przyjaciel.

– Sprowadziliśmy pomoc – powiedział. – Żołnierzy, którzy polegli z nami podczas Wojny Pięciu Zim. Nie wolno nam zostać na długo, ale możemy odpędzić armię Gyiurak.

– Jak? – sapnęłam. – Jak to możliwe, że tu jesteście?

Zanim zdążyli odpowiedzieć, moje uszy przeszył wrzask, tak głośny i pełen żałoby, że obróciłam się, by spojrzeć, skąd dobiegł.

Lady Sarnai?

Nigdy nie widziałam na jej twarzy takiego przerażenia. Takiej udręki. Przedarła się przez tłum żołnierzy i duchów, kreśląc mieczem dzikie pociągnięcia jak burza targająca pędzlem. Ale spóźniła się.

Lord Xina poległ.

Szansen wbił ostrze jeszcze głębiej w żebra wojownika i przytrzymał go za ramię. Gdy zobaczył, jak córka pędzi w jego stronę z paniką i gniewem na twarzy, uśmiechnął się z pogardą.

A potem wyciągnął miecz, wytarł ostrze o pelerynę Xiny i kopniakiem przewrócił go na bok.

Lady Sarnai wypuściła strzały. Nawet nie drasnęły szansena, co tylko podsyciło jej wściekłość. Natarła na niego, dobywając miecza i unosząc go wysoko nad głowę.

– Sarnai, nie! – krzyknęłam.

Jeśli mnie usłyszała, zignorowała moje słowa. Nie mogła mierzyć się ze swoim ojcem, nie, kiedy posiadał moc Gyiurak. Ale była zbyt zaślepiona gniewem, by to zobaczyć, by się tym przejąć.

Rzuciłam się za nią, zbijając ją z kursu.

Wściekły szansen zamachnął się na mnie. Wyrwałam miecz z rąk Sarnai i zablokowałam cios, ale był silny. Odepchnął mnie i dał legionowi duchów znak, by otoczyły jego córkę.

Obległy również mnie. Setki duchów szarpały mnie i odgradzały od Lady Sarnai. Z amuletem rozgrzewającym się na piersi wyprowadziłam cios mieczem, usiłując utorować sobie drogę z powrotem do szansena.

Sarnai już się podniosła, lecz jej broń była bezużyteczna w walce z duchami. Na rozkaz szansena zbliżały się do niej powoli, jeden okrutny krok po drugim, aż w końcu przyparły ją do muru.

– Zawsze byłaś moim ulubionym dzieckiem, Sarnai – powiedział jej szansen. – Szkoda, że wybrałaś złą stronę.

Łypnęła na niego, wycofując się w stronę krawędzi mostu.

– Wkrótce duchy cię pochłoną. To nie będzie bolało. Wrócisz na moją stronę, gdzie twoje miejsce, córko.

– Przestałeś być moim ojcem w dniu, w którym sprzedałeś duszę Gyiurak – wycedziła. A potem, zanim duchy zdążyły jej dotknąć, skoczyła z mostu.

Dopadłam do balustrady, ale nie musiałam się martwić. Nawet potężna rzeka Dzingan nie mogła pochłonąć Klejnotu Północy. Sarnai wynurzyła się z jej wód, przecinając fale.

Szansen ryknął, by duchy podążyły za nią, ale miałam już dość. Upuściłam miecz Lady Sarnai i zebrałam spódnice, nie zważając na to, co się dzieje wokół mnie.

Pozwoliłam, by mnie obezwładniły, by ich szepty i drwiny wybrzmiały coraz głośniejsze w mojej głowie, strasząc pograżeniem mnie w beznadziei. Skupiłam strach i gniew, aż rozgorzały we mnie jak burza...

– Maia! – zawołał Sendo. Duch mojego brata pojawił się obok mnie i położył nieważkie ręce na moich barkach. – Odpuść. Nie tędy droga.

Obróciłam się, zaskoczona jego głosem.

– Więc którądy?

– Spróbuj jeszcze raz, z suknią.

Próbowałam, chciałam mu powiedzieć, lecz Sendo opuścił ręce i ujął moje dłonie. Spojrzałam na niego, przyglądając się jego piegom, które w rodzinie dzieliliśmy tylko my, jego oczom, niegdyś ziemisto brązowym odbiciom moich własnych.

Ostatnia suknia to moje serce. Czy to dlatego nie mogłam przywołać jej magii – bo bałam się stracić jedyną rzecz, dzięki której

wciąż byłam Maią Tamarin?

– Twoje serce jest silne, siostró – rzekł mój brat, słysząc moje myśli. – Zawsze było.

„Odpuść” – powiedział. Więc powoli odpuściłam. Uwolniłam strach, którym otoczyłam serce, a w jego miejsce pojawiła się miłość – do rodziny, do kraju, do Edana.

Suknia rozbłysła i ożyła, a krew gwiazd spłynęła falami po połyskliwym jedwabiu. Promienie światła zamigotały na długich rękawach niczym srebrne igły. Moc mnie spowiła, jej blask przemknął przez rękawy tak, że rozpostarły się jak skrzydła. Nie byłam już skromną krawcową z Port Kamalan – byłam krawcową bogów.

Duchy wrzasnęły, rozgromione przez fale światła. Atakowałam bez litości, wspomagana przez armię duchów Senda i Finleia. W końcu żołnierze Lady Sarnai zyskali przewagę liczebną nad zjawami szansena.

Zobaczyłam Ketona zawzięcie strzelającego z łuku obok Edana. Pot spływał mu z czoła, twarz miał czerwoną od wysiłku walki z wrogiem, którego nie mógł pokonać. Zjawy kłębiły się wokół niego i krzyczały. Nie widział ich, ale je czuł, słyszał.

Duchy moich braci przemknęły obok Ketona i Edana z mieczami w dłoniach, rozpruwając zjawy wokół. Pragnęłam, by Keton mógł ich zobaczyć.

Pragnęłam, byśmy byli wszyscy razem.

Moja suknia była wściekłą burzą jedwabiu i światła. Uniosłam ręce. Nieskończone wstęgi rękawów wirowały wokół mnie, rozszarpując duchy i torując mi drogę do prawdziwego celu: szansena.

Poruszał się z prędkością demona i siłą tygrysa. Każdy zamach mieczem kończył życie, a gdy ktoś ośmielał się uciekać, on przybierał postać tygrysa, którą dzielił z Gyiurak, i rzucał się za nim.

Przeleciałam przez most i wylądowałam przed szansenem. Moje rękawy wystrzeliły i zacisnęły się wokół jego umięśnionej szyi.

Blask sukni osmalił jego futro i sprawił, że oczy zaszyły mgłą. Tygrys z warknięciem rozerwał jeden rękaw pazurami, ale materiał splótł się z powrotem i przylgnął do niego mocniej niż wcześniej.

– Poddaj się – rozkazałam.

– Jeśli myślisz, że wygrałaś tę wojnę, niestety jesteś w błędzie – wychrypiał. – Połowa twoich ludzi nie żyje, a ja nie posłałem ani jednego żołnierza na pole bitwy.

Te słowa były jak cios. Szansen miał rację – walczyliśmy tylko z armią zjaw. Tysiące żołnierzy czekały na nas w Dżapporze.

– To nie ma znaczenia – wycodziłam. – Bez ciebie nie zwyciężą.

– Więc powinnaś była mnie zabić.

Zanim zdążyłam go powstrzymać, sięgnął po amulet i w chmurze perłowego dymu rozplątał się we mgłę.

– Nie! – Walnęłam pięściami w kamienną balustradę mostu.

Zjawy zniknęły. Armia duchów moich braci także. Nasi ocalali żołnierze otrząsali się z czaru.

Lady Sarnai wspięła się na most i uklękła nad martwym ciałem Lorda Xiny. Wszyscy czekali na jej decyzję – wycofujemy się do obozu czy ruszamy na Dżappor.

– Maiu – zawołał mnie ochryply głos.

– Twoi bracia – powiedział Edan i wskazał dwa duchy dryfujące nad nami.

Czekały na mnie.

Podерwałałam się w powietrze.

– Nie odchódźcie. Bitwa jeszcze się nie skończyła.

– Dla nas tak – odparł łagodnie Finlei. – Amana pozwoliła nam odpowiedzieć na twoje wołanie ten jeden raz, ale więcej ci nie pomożemy, siostro.

– Proszę. Kiedy odejdziecie...

– Nie zapomnisz nas. – Sendo pokręcił głową.

– Jak mogłabyś zapomnieć dwóch braci tak wiekopomnych jak my? – zażartował Finlei, a potem spoważniał. – Walnij ode mnie Ketona, bardzo mocno, za to, że poszedł za nami na wojnę, chociaż mu zabroniliśmy... i przekaż Babie, że bardzo za nim tęsknimy.

Gdy załamał mu się głos, myślałam, że pęknie mi serce. Zostańcie, chciałam błagać, ale wiedziałam, że nie mogą. Ścisnęło mnie w gardle. Mówienie sprawiało mi ból.

– Tak zrobię.

– Zawsze chwytaj wiatr, siostró.

– Będę – szepnęłam.

Finlei odwrócił się, by odejść, ale Sendo się zawahał. Zmarszczył czoło z niepokojem i położył mi dłoń na ramieniu. Nie czułam jego dotyku, lecz ten gest mnie rozgrzał, jak delikatne muśnięcie słońca na skórze.

– Tęskniłem za tobą, Maiu. – Posłał mi smutny uśmiech. – Pamiętasz nasz ostatni dzień w domu?

– Malowałam – powiedziałam cicho. – Wylałam sobie najdroższe indygo Baby na spódnicę. Byłam taka głupia. Taka głupia...

– Nie, nie głupia. – Dotknął mojego nosa. – Zobacz, jak daleko zaszłaś, od dziewczynki z farbą na palcach i nosie. Ty, która jak urzeczona słuchałaś moich historii na pomoście. Stałaś się taka silna. – Przełknął ślinę. – Przepraszam, że nigdy nie wróciliśmy do domu.

Zamrugalam, by odpędzić łzy. Było tyle rzeczy, które chciałam mu powiedzieć – pięć lat nowin i zmartwień, radości i olśnień – i historii, którymi chciałam się z nim podzielić, lecz teraz, kiedy tu był, nie mogłam wydusić ani słowa.

– Muszę iść – rzekł i złożył na moim policzku widmowy pocałunek.

– Zaczekaj... – poprosiłam.

– To nie pożegnanie, siostró. Nasze ścieżki jeszcze się przetną. Może nie w tym życiu, ale Mama, Finlei i ja zawsze będziemy nad tobą czuwać. Do tego czasu uważaj na siebie.

Sendo skinął do Edana, pozdrawiając go, zanim dogonił Finleia.

A potem moi bracia zniknęli.

Rozchyliłam wargi i wzięłam urywany oddech.

– Wycofujemy się do obozu! – zarządziła Lady Sarnai. Przerzuciła ciało Lorda Xiny przez konia i ruszyła. – Zabierzcie każdego, kogo zdołacie. Dziś wieczorem ich pochowamy.

Opuściłam się z powrotem na most, z suknią powiewającą wokół mnie. Edan splótł nasze ramiona i odnalazł moją dłoń.

Gdy tylko moje stopy dotknęły chłodnego kamienia, wszystko wybuchło.



Świat się przechylił, a żołądek podskoczył mi do gardła, gdy most runął.

Nic nie widziałam. Pył przesłonił mi wzrok, wszystko zlało się w plamę szarości, ludzkich krzyków i potwornych ryków rzeki.

Ciała posypały się do wody jak kamyki. Wyrwałam za nimi, ratując tylu, ilu zdołałam, z lodowatych szponów Dżingan.

Gorączkowo szukałam Edana, Ketona i Ammi. Mój brat płynął z prądem rzeki w stronę Dżapporu, Ammi już człapała do brzegu niedaleko niego. Edan także był bezpieczny – stał po stronie Dżapporu na jedynym odcinku mostu, który się nie zawalił, i używał magii, by opóźnić jego zniszczenie.

Zalała mnie fala ulgi, ale wtedy dostrzegłam Lady Sarnai w wodzie. Jej koń nie mógł płynąć wśród gruzu i spadających kamieni – nie niosąc ciało Lorda Xiny.

Rzuciłam się za nimi, walcząc z głodną rzeką.

Ciało Xiny zsunęło się z konia, a ona zanurkowała za nim, lecz wody były zbyt dzikie. Pochłoneły Lorda Xinę. Lady Sarnai zamiotła się, gdy złapałam ją za ramiona i pomknęłam w stronę ładu.

Tam, na brzegach Dżapporu, stał jej ojciec ze swoim demonem. Otaczały nas setki żołnierzy, a tysiące czekały za murami miasta.

Znaleźliśmy się w pułapce. Most przepadł, nie mogliśmy wycofać się do obozu. Byliśmy zdani na łaskę szansena.

– Witaj w Dżapporze, Sarnai – powiedział szansen. – Straciłaś połowę armii. Nie masz żywności ani schronienia. Nie sądzisz, że czas się poddać?

Lady Sarnai wstała. Gniew i nienawiść wykrzywiły jej rysy. Natarła na ojca ze sztyletem, lecz w swojej żałobie straciła koncentrację, stała się nieostrożna. Szansen bez trudu odparł jej atak i rzucił ją na ziemię.

Splunął na nią z obrzydzeniem.

– Żałosne – zagrmiał. Ruszyłam w jego stronę, pewna, że zaraz ją zabije, ale on się wycofał. Bez Gyiurak u boku jego oczy wciąż lśniły czernią i okrucieństwem, jednak zauważyłam w nich coś... najmniejszą, najbardziej nikłą iskierkę człowieczeństwa.

– Daję wam wieczór na opłakanie strat. Macie czas do świtu, by się poddać.

Po tych słowach szansen i jego ludzie przeszli przez bramy Dżapporu, zostawiając nas nad rzeką w przenikliwym, ponurym zimnie.



Do zmroku rzeka się uspokoiła i jej wody przykryła cienka warstwa lodu. Śnieg spadł i otulił wszystko bielą. Kiedy rozbijaliśmy skromny obóz na brzegu, na murach miasta tańczyły pochodnie. Brutalnie przypominały, że ciepło i wygoda są tak blisko, a jednak tak daleko. Żołnierze stłoczyli się, by odegnać chłód, ale nie mieliśmy nic do jedzenia. Niektórzy zgłodnieli do tego stopnia, że zaczęli jeść śnieg.

Sama myśl o tym, że rano znów trzeba będzie stanąć do walki, załamała niektórych żołnierzy. Nie pomagało to, że Lady Sarnai –

ich dowódczyni – gdzieś zniknęła.

Gdy zapadł zmierzch, poszłam jej poszukać. Klęczała nad wodą, ściskając w dłoniach hełm Lorda Xiny.

– Odejdź, krawcowo.

Przyklękłam obok niej. Zamierzałam powiedzieć, że ludzie jej potrzebują. Że musi ich poderwać do walki. Lecz widząc ją w takiej rozpaczy, zamiast tego rzuciłam:

– Wracaj do obozu. Zamarzniesz tu sama.

Zacisnęła zęby i mnie odepchnęła.

– Jakie to ma znaczenie? – warknęła, z trudem cedząc słowa. – Nie poddam się. Rano wszyscy zginiemy, i to bez honoru.

Rozumiałam jej ból. Szansen wrzucił ciało Lorda Xiny do rzeki. Lady Sarnai nie mogła go pochować, nie mogła odpowiednio go opłakać.

– Lord Xina nie chciałby, żebyś w to wierzyła.

– Na północy są demony... – Głos jej się załamał. – Jeśli nie odda się czci zmarłym, zostaną duchami.

Spojrzałam na nią. Podczas próby wydawała się starsza ode mnie. Teraz to ja czułam się starsza. Jakbym przeżyła osiemdziesiąt lat, a nie osiemnaście.

– Nie pozwolimy, by to przytrafiło się Xinie – powiedziałam. – Jeśli pokonamy Gyiurak, jego duch będzie wolny. – Zawahałam się. – Był wspaniałym wojownikiem. Jednym z najwspanialszych ze swojego pokolenia. Jego śmierć nie pójdzie na marne, Wasza Wysokość.

Długo nie dawała znaku, że mnie usłyszała. Potem sięgnęła do kołczanu po strzałę i podpaliła lotkę. Umieściła ją na hełmie Xiny i patrzyła, jak płonie.

Razem obserwowaliśmy, jak popiół unosi się i leci do chmur.

Gdy pozostały tylko zgłiszcza, wreszcie się podniosła. Oczy miała ciemne, jakby przylgnęła do nich dym.

– Jutro zabiję mojego ojca.

Rozdział trzydziesty trzeci

Szansen nie przybył o świcie.

Był tak okrutny, że kazał nam czekać do zmierzchu, gdy palce u stóp odmarzły nam w butach, a mróz okrył rdzą naszą broń i naszego ducha.

W powietrzu unosił się zapach prochu i śniegu. Rozpaczy.

Wreszcie, gdy słońce zniknęło w rzece niczym perła zanurzająca się w wodnistych głębinach swojego domu, usłyszeliśmy huk grzmotu: nadchodziła armia szansena. Ich kroki dudniły, wprawiając mury miasta w drżenie, i wkrótce żołnierze otoczyli nas jak wąż ofiarę.

Szansen przybył jako ostatni, z Gyiurak u boku. Za jej plecami powiewała znajoma szmaragdowa peleryna.

Należała do Lorda Xiny – rozpoznałam ją po chwili. Wyglądała źle na szerokiej tygrysiej sylwetce, szorstka farbowana wełna narzucona na białe futro niczym trofeum. Gyiurak przejęła również jego rękawice i tarczę z pieczęcią rodu odciśniętą w szkarłatnej lace. Obnosiła się z nimi, żeby wszyscy widzieli.

Zerknęłam w stronę Lady Sarnai. Zaciskała szczękę, trzymając lejce tak mocno, że pobierały jej knykcie. O czym myślała, gdy widziała zbroję ukochanego na demonie, który doprowadził do jego śmierci?

Krzyknęła i jej koń natarł na szansena. Żołnierze podążyli za nią, ale ja zostałam na miejscu.

Miałam własny plan.

Edan musnął mnie ramieniem. Czerwona nitka, którą zawiązałam mu wokół nadgarstka, wystawała spod rękawa.

– Czuwaj nad moim bratem – poprosiłam. – I nad Lady Sarnai. Nie pokona szansena sama.

– Maiu... – Ujął moją dłoń. Jego nitka rozbłysła, tak jak moja. Ostrożnie, aby go nie zranić, splotłam szpony z jego palcami. Marzyłam, by ta chwila trwała wiecznie.

Położyłam jego ręce na swojej talii i pocałowałam go, by uciszyć protesty. Postąpiłam niemądrze, całując go w środku bitwy, ale nie obchodziło mnie to.

– Kocham cię – powiedziałam, przechylając głowę.

A potem puściłam i wzbiłam się do nieba. Suknia z krwi gwiazd spowiła mnie zmierzchem i gwiazdowym pyłem.

Amulet dudnił mi w uszach cichą pieśnią, którą mogłam usłyszeć tylko ja. Nożyczki też tak do mnie szumiały, nawołując, bym ich użyła. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że może dostałam je, by przygotowały mnie właśnie na tę chwilę. Bym zaufała magii śpiewającej we mnie i mogła przemienić mój kwitnący mrok w światło.

Amulet zaiskrzył i obudził się do życia.

Dwie moce we mnie – mój demoniczny mrok i światło Amany – zderzyły się i starły w rozbłyskach światła bijącego z mojej sukni. Tymczasem suknia przylgnęła do mojej skóry, jedwab wplótł się w moje ciało, by chronić mnie przed ciemnością. By mnie ocalić.

Spódnica spęczniała jak księżyc nade mną i uniosła mnie wysoko nad ziemię, w stronę chmur.

To, co zobaczyłam z góry, potwierdziło moje najgorsze obawy. Armia szansena nas rozgramiała. Nasi zmarli już piętrzyli się w stosach. Wiedziałam, że nie zdobędziemy Wiosennego Pałacu.

W samym sercu bitwy Lady Sarnai walczyła z ojcem. Nie mogła równać się z jego siłą demona.

Odbierz mu amulet – przykazałam w myślach, posyłając wiadomość w smudze dymu, która przybrała kształt ptaka i pofrunęła do córki szansena.

W tym czasie Gyiurak grasowała po polu walki.

Gdybym przerwała ich więź, Lady Sarnai miałaby szansę.

Wzięłam płytki wdech, rzuciłam się na Gyiurak i powaliłam ją na ziemię. Spódnica sukni musnęła jej potężne nogi, parząc ją swoim dotykiem. Dym uleciał z jej ran, gorący na tle padającego śniegu.

– Nie mam na ciebie czasu – warknęła, ale ja natarłam ponownie. Bez trudu odparła atak i złapała mnie za nadgarstki. Myślałam, że połamię mi kości, lecz zrobiła coś o wiele gorszego. Wpiła pazury w mój amulet.

Moją pierś przeszył najostrejszy ból. Miażdżyła mi serce. Nie mogłam oddychać. Mój umysł poszarzał, płuca rzeziły, dusiłam się. Okładałam Gyiurak, próbując się uwolnić.

Ona tylko posłała mi uśmiech i zatopiła pazury głębiej. Gęsta czarna krew popłynęła mi z ust, a ja posmakowałam węgiel.

Kiedy krzyknęłam, szarpnęła za łańcuszek. Od Bandura nauczyłam się, że nie mogę oddać jej amuletu. Gdyby mi go odebrała, mogłaby mnie kontrolować.

Puść się! – rozkazał rosnący we mnie demon.

Nie rozumiałam. Moja suknia błyskała i szalała jak burza. Nie mogłam nad nią zapanować. Ból był zbyt silny. Cała płonęłam.

To, co nadeszło potem, zlało się w plamę oślepiającego światła i wirującej ciemności. Maia-demon obezwładniła mnie, gwałtownie odcinając od zmysłów. Przez jedną odrętwiająco długą chwilę byłam niczym. Widziałam, słyszałam i czułam nic.

Kiedy odzyskałam zmysły, Gyiurak już nie trzymała mojego amuletu. Spaliłam jej futro, a ona warknęła, uniosła mnie wysoko i cisnęła do rzeki.

Świat wokół mnie błyskał, gdy leciałam do tyłu. Moje ciało było zbyt lekkie, jak liść na wietrze. Jednak moja głowa wydawała się ciężka. Dudniło mi w uszach, czułam, jak Maia-demon walczy, by zapanować nad moim umysłem. Wiedziała, że jestem osłabiona i że nie będę w stanie dłużej się opierać.

Nie potrzebuję dużo czasu, powiedziałam jej. Daj mi tylko kilka minut, a potem możesz mnie mieć.

Poszybowałam przez pole walki, miotając się na wietrze, aż suknia powstrzymała mojego demona. Spódnica buchnęła, a ja się zachwiałam. Gdy odzyskałam równowagę, poszukałam wzrokiem Gyiurak.

Znalazłam – plama białego futra pędziła przez oszronione pole walki w stronę wysokiej postaci na koniu.

Strach pobudził mnie do życia i pomknęłam za nią.

Edan! – krzyknęłam w myślach. Dym uleciał z moich ust, kiedy spróbowałam się z nim porozumieć.

Nie usłyszał mnie. Uniósł orzechowy kostur i wezwał chmurę ptaków, które wzbiły się nad jego głowę, po czym zanurkowały w wir walki, by zaatakować żołnierzy szansena.

– Do bram! – rozkazał naszym, gdy coraz więcej ludzi wroga padało. Potem ruszył w stronę gubernatora.

Uważaj! – ostrzegłam go rozpaczliwie. Gyiurak zaraz cię dopadnie!

Odwrócił się, jakby mnie usłyszał. Gdy zobaczył demona, przestraszył się, ale nie zmienił kursu. Pognał konia naprzód, ścigając się z tygrysicą i szarżując na szansena.

Gyiurak skoczyła na Edana, lecz on skręcił ostro w lewo i staranował szansena. Wróg spadł z wierzchowca, a Edan natarł, biorąc zamach. Szansen bez trudu zrobił unik i zdzielił czarodzieja w bok, zwalając go z konia.

Zanim zdołał wykończyć Edana, Lady Sarnai z furią pchnęła ojca w szyję, tors i kolana. Jednak bez względu na to, jak atakowała, jej miecz nie mógł przebić jego zbroi.

Futro Gyiurak zaczęło się rozmywać i tygrysica pomknęła do amuletu szansena w białej mgle. Gdyby wróciła do środka, obdarzyłaby go pełnią swojej demonicznej mocy, w tym możliwością zmiany kształtu.

– Sztylet! – krzyknęła Sarnai do Edana. – Daj mi sztylet!

Edan rzucił jej broń. Żelazno-meteorowe ostrze poszybowało łukiem, migocząc na niebiesko. Rękojeść wylądowała zgrabnie

w dłoni Lady Sarnai i dowódczyni obróciła ostrze, by zerwać ojcu amulet. Wściekły szansen rzucił się na córkę.

Sarnai dała susa i jego miecz przeciął szyję konia. Rumak zarżał i wierzgnął, a potem upadł na kolana i wydał z siebie ostatni okropny jęk. Sarnai zeskoczyła z siodła i pobiegła.

Gyiu'rak pomknęła za nią, ale Edan ją zablokował. Mogłam go ratować albo zabrać amulet Lady Sarnai. Śnieg szczypał mnie w oczy, przygryzłam wargę tak mocno, że zaczęła krwawić. Tylko jedno mogło zakończyć tę wojnę.

Wzięłam ostry zakręt i wzbiłam się w powietrze, by Sarnai mnie zauważyła.

– Daj mi amulet! – krzyknęłam. – Zniszczę go!

Nie zawahała się. Koń szansena deptał jej po piętach, więc rzuciła mi amulet.

Złapałam go i zacisnęłam pięść, przebijając pazurami błyszczącą, czarną powierzchnię.

Amulet zaskwierczał mi w dłoni, z grawerowanego tygrysa zaczął sączyć się dym. Czułam wściekłość Gyiu'rak. Tygrysica cisnęła Edana na bok i natarła na mnie. Cała armia szansena zwróciła się przeciwko mnie.

Brzęk mieczy, świst strzał. Na rozkaz szansena wystrzeliła cała salwa. Ostre krawędzie przeszyły moją skórę – nacięły łydki i łokcie, przekłuły plecy. Nie czułam nic.

Czas Mai dobiegł końca.

To był moment, którego się bałam – moment, w którym stałam się demonem. Jednak teraz, gdy to nastąpiło, nie czułam strachu. Maia-demon próbowała mnie uspokoić.

To nie będzie bolało, szeptała. Widzisz, jaka będziesz potężna? Potężniejsza nawet od Gyiu'rak.

Lecz to nie jej słowa sprawiały, że byłam spokojna. Nie miała pojęcia, co zaraz się wydarzy.

Moja pierś zafalowała. Nie poczułam bólu, tylko przyptyw ciepła topiący chłód, który nosiłam w sobie przez ostatnie kilka miesięcy.

Poddałam się ogniovi. Amulet Gyiurak wciąż płonął w mojej dłoni. Tygrysia głowa na obsydianowej powierzchni stopniała w kupkę piasku i przesypała mi się przez palce.

Dwa okrzyki rozdarły powietrze, najpierw Gyiurak, potem szansena. Miecz wysliznął się z dłoni gubernatora i spadł na ziemię.

Złapana w pół skoku Gyiurak zaczęła się tlić. Krwawiła wstęgami dymu, aż zostały tylko jej rubinowe oczy. Potem i one zgasły, a ich popioły porwał wiatr.

Potęga szansena zniknęła w jednej chwili – został wyschnięty człowiek, z wyglądu starszy, niż był naprawdę. Osunął się pokonany, upadł na kolana, zgarbił plecy i zacisnął pięści. Nie ruszał się jakby przez wieczność. A potem podniósł hełm. Włosy mu posiwiały.

– Cóрко – wychrypiał.

Gdy Lady Sarnai spoglądała na ojca, w jej ciemnych oczach szalała burza. Widziałam, że decyduje, czy go wykończyć, czy okazać litość. Przytknęła miecz do jego szyi. Ostrze ciążyło mu na wątych barkach.

– Poddaj się.

Szansen uniósł podbródek i wysunął nogę do przodu, by uklęknąć na jednym kolanie. Uznałam to za znak zgody... I wtedy dostrzegłam błysk sztyletu przy jego łydce.

Wycelował nóż w żebra córki.

Miecz wypadł jej z ręki, a ona odskoczyła i przetoczyła się na bok. Szansen zadał kolejny cios, lecz tym razem Sarnai była gotowa. Sięgnęła do kołczanu i dźgnęła go szkarłatną strzałą w pierś. Wypełniła obietnicę złożoną zeszłej nocy.

Nie widziałam, jak szansen upada. Moje ciało nie mogło dłużej czekać.

Rozpoczęłam przemianę. Ogniste skrzydła wystrzeliły z kręgosłupa, skóra przestała być skórą i przeobraziła się w pióra z najjaśniejszego niebiesko-złotego ognia. Oczy się zaokrągliły. Założyłam ręce na piersi. Nawet najlepsi tkacze nie mogli wyobrazić

sobie blasku moich skrzydeł, warstw na warstwach pojedynczych płomieni przeplatanych nitkami falującego szafiru i fioletu.

Powietrze wyrwało mi z płuc. Serce niemal się zatrzymało.

Muszę działać teraz, zanim Maia-demon zwycięży, zanim to ona stanie się legendą, którą pewnego dnia usłyszysz Baba. To nie może się zdarzyć, nie kiedy poświęciłam tyle, by utkać nowy świt, by dać A'landi słońce, księżyc i gwiazdy. Nie, póki moje serce nadal bije, nie póki wciąż oddycham.

Obróciłam się do Edana. Krzyczał moje imię, ale ja już go nie słyszałam. Uniosłam nadgarstek i dotknęłam czerwonej nici.

Jesteś końcem nici, Edanie, chciałam mu powiedzieć. Zawsze byłeś.

Jego oczy, błękitne i błagalne, były ostatnim, co zobaczyłam, zanim uwolniłam krew gwiazd. Suknia owinęła się wokół mnie, skrzące fale światła gwiazd zdusiły demona w moim wnętrzu. Wkrótce mieliśmy zniknąć.

Wystrzeliłam w niebo, wysoko w gwiazdy, aż chmury przykryły A'landi, a firmament nieba oddzielił mnie od Edana.

Tam w górze, wreszcie, z krwią gwiazd spływającą ze skrzydeł, wybuchłam i stanęłam w płomieniach.

Rozdział trzydziesty czwarty

Moja suknia rozpostarła się po niebie i jak okiem sięgnąć okryła noc kocem gwiazd. Chmury muskały mnie po kostkach, miękkie jak kwiaty szarotki.

Gdy spojrzałam w dół, nie widziałam ziemi. Nie widziałam Edana, Lady Sarnai ani Ketona, pokłosa bitwy ani tego, czy udało się ocalić A'landi.

Ale z jakiegoś powodu wiedziałam, że wygraliśmy. Z jakiegoś powodu, przez łaskotanie w sercu silniejsze od lekkiego trzepotu radości, wiedziałam, że demon i cienie tu za mną nie podążyły. W końcu byłam wolna.

Panował spokój. Cisza zakłócana jedynie niepewnym biciem mojego serca, ciepłem krwi napływającej mi do głowy, gdy szybowałam, zatracając się w nieskończonej tkaninie światła gwiazd.

Wtedy usłyszałam śmiech, delikatny jak brzęk cymbałów. Myślałam, że już nigdy go nie usłyszę.

Wyteńczyłam wzrok i dostrzegłam znajomą postać na tle lśniącego księżyca w pełni.

– Mama – westchnęłam.

Moje skrzydła rozplynęły się w ręce, pióra stopniały w skórę w blasku mojego ognia. Poleciałam, by uścisnąć matkę.

– Długo na ciebie czekałam, Maiu – powiedziała, głaszcząc mnie po policzku. – Stało się tak, jak przewidziałam: jesteś najwspanialszą krawcową w A'landi. Krawcową godną bogów.

– To więcej, niż kiedykolwiek pragnęłam – odparłam. Przytuliła mnie i dłonią wygładziła zmarszczki na czole.

Zamknęłam oczy. Poczułam się jak mała dziewczynka, która spędzała całe dni w kącie sklepu Baby, cerując spodnie i haftując

szaliki. Dziewczynka, która marzyła, by zostać krawcową cesarza.

– Byłam taka głupia – szepnęłam, uwalniając się z jej objęć. – Gdybym mogła cofnąć czas, nigdy nie opuściłabym domu.

– Wcale tak nie myślisz – nie zgodziła się Mama. – Gdybyś nie opuściła domu, nie znalazłabyś drugiego końca swojej nici. – Wskazała czerwoną nitkę na moim nadgarstku. Łaskotała mnie tak lekko, że niemal o niej zapomniałam.

Oblizalam wargi. Smakowały słodko, nie jak popiół z moich koszmarów, lecz jak ciasteczka, które Ammi dała mi dzień przed bitwą. Dzień przed moją śmiercią.

Oczy mi się zaszklily. Odwróciłam wzrok, by Mama nie zobaczyła łez.

Czułam się inaczej. Lekka i wolna, co miało sens, bo pewnie stałam się duchem jak Mama. Pod stopami zamiast ziemi miałam niebo, ale nie panikowałam. Zachwycalam się. Zachwycalam się swoim równomiernym biciem serca i oddechem, a także spokojem tego miejsca.

Zachwycalam się tym, że czuję. Chłód, który przesiąkł do mojej duszy przez ostatnie miesiące, zniknął, tak samo jak palący żar. Zastąpiło je delikatne ciepło, które śpiewało w moim sercu. Tak dawno nie czułam ciepła. A gdy zamarłam, by wsłuchać się w swoje myśli, nie usłyszałam żadnych głosów oprócz moich własnych.

Dookoła mnie skrzyły się gwiazdy, każda olśniewająca jak najcenniejszy klejnot na ziemi. Niebo było niesamowitą mieszanką kolorów, połączeniem świtu i zmierzchu, podobnie jak suknia z krwi gwiazd.

Mama wyciągnęła rękę. Coś błyszczało jej na dłoni.

– Moje nożyczki!

– Amana poprosiła, żebym ci je oddała. Są w naszej rodzinie od bardzo, bardzo dawna.

– A więc to prawda – wyszeptałam, biorąc nożyczki. Lśniły jaśniej niż wcześniej, słońce i księżyc wyryte na ramionach mieniły się pod każdym kątem. – Jestem potomkinią krawca Amany?

Mama przytaknęła.

– Historia zatarła się przez wieki, ale tak, pierwszy człowiek, który uszył suknie, był twoim przodkiem.

Oddałam jej nożyczki.

– Więc należą do niego, a nie do mnie.

Niepewne dotknęła mojego ramienia. Wyczułam, że to, co zamierza powiedzieć, nie przyjdzie jej łatwo.

– Nie wiem, czy to, że tu jesteś, sprawia mi ból, czy mnie cieszy. Tęskniłam za tobą... – Urwała. – Amana życzy sobie, żebyś dołączyła do niej w niebie, ale ja wiem, że twój czas jeszcze nie nadszedł, córko.

– Co masz na myśli?

– Razem z twoimi braćmi wstawiłam się za tobą, a Amana nas wysłuchiwała. Daje ci wybór. – Wzięła głęboki wdech, a moje serce załomotało.

Wybór.

– Możesz zostać z nami i być krawcową bogów – wychrypiała. – Albo wrócić do Baby, Ketona i twojego czarodzieja.

Żar zapłonął w moim nosie i wystrzelił do oczu. Nie mogłam powstrzymać łez.

– Chciałabym, żebyście ty, Finlei i Sendo wrócili do domu.

– Maiu, wiesz, że to niemożliwe.

Choć spodziewałam się tej odpowiedzi, i tak wyrwał mi się zdławiony szloch.

– Baba cię potrzebuje – dodała Mama. – Keton też. I twój czarodziej. – Kciukiem otarła łzy migoczące na moich policzkach. – Już jestem szczęśliwa, widząc, jaką kobietą się stałaś: piękną, silną i odważną. – Dotknęła czerwonej nitki na moim nadgarstku. – Widzisz? Nawet życie i śmierć nie zerwą więzów przeznaczenia. Edan na ciebie czeka.

Potaknęłam, ale zanim się odwróciłam, Mama wcisnęła mi nożyczki.

Gdy znów wzięłam je w ręce, poczułam wahanie. Powiodłam palcami po rysunkach wyrytych na ramionach, a ostrza rozbudziły się pod moim dotykiem. Nawet tutaj słyszałam, jak szumią z mocą.

Zacisnęłam palce na uchwytych, pragnąc ponownie zjednoczyć się z nożyczkami, ale pokręciłam głową.

– Nie zmieniałam zdania.

– Są źródłem twojej magii.

– Wcześniej byłam szczęśliwa bez magii i mogę znów być szczęśliwa bez niej. Nożyczki dobrze mi służyły, ale już ich nie potrzebuję. Zachowaj je dla mnie, Mamo.

Moja odpowiedź chyba ją zadowoliła, bo Mama zarzuciła mi ramiona na szyję. Jednak nie wzięła nożyczek.

– Zanim odejdiesz, musisz użyć ich ostatni raz.

Wskazała koc gwiazd pod nami. Zobaczyłam rysę – ślad migoczącego światła słonecznego sączącego się przez szwy.

Rozdarcie niebios.

Miałam je naprawić, jak pierwszy Tkacz w legendzie.

– Razem, Mamo – powiedziałam.

Położyła mi dłoń na ramieniu i poprowadziła mnie, a ja przytknęłam nożyczki do rozdarcia i uwolniłam ich magię, by zszyć niebios. Gdy skończyłam, Mama zabrała nożyczki i przyciągnęła mnie do siebie.

Pocałowała mnie w czoło.

– Żegnaj do czasu, moja Maiu.

Gdy wypuściła mnie z objęć, cały świat zapłonął i niebo zmieniło się w morze ognia. Patrzyłam, jak Mama znika wśród gwiazd, moi bracia pojawiają się obok i odprowadzają ją z powrotem do nieba. Wtedy morze mnie pochłonęło i stanęłam w płomieniach.

Nagle uświadomiłam sobie, jaką formę przybrałam: feniksa, który ma zmartwychwstać.

Szum wody rozbrzmiewał mi w uszach, mgiełka łaskotała mnie po twarzy.

Mój pierwszy oddech był pełen oceanu. Spiłam jego świeżość, a potem zaczęłam się budzić.

Poczułam, jak krew napływa mi do kończyn, i zagrzebałam palce stóp w ciepłym, wilgotnym piasku.

Ktoś mnie obejmował – jego serce biło łagodnie w harmonii z moim. Otworzyłam oczy, podnosząc rzęsy uparcie przyklejone do skóry.

Niewyraźna twarz zawisała nade mną i jej rysy wyostrzyły się w blasku słońca. Nos o krzywym grzbiecie, kwadratowy, wyraźnie zarysowany podbródek, bardziej zarośnięty, niż zapamiętałam. Włosy, czarne jak węgiel zmierzwione loki, które rozpaczliwie wymagały przycięcia, i wąskie wargi – teraz rozchylone w bezdźwięcznym zdziwieniu.

– Edan.

Na jego twarz wpłynęła ulga i opadł na kolana obok mnie.

– Pomyślałem, że chciałybyś ostatni raz zobaczyć ocean – zaczął. – Myśleliśmy, że nie żyjesz.

– Jestem tu. – Przytknęłam mu palec do ust, by go uciszyć. Oczy miał wilgotne i zapuchnięte, policzki mokre od łez. Otarłam je rękawem i ujęłam jego twarz w dłoń.

Pocałowałam jego policzki, nos, oczy. Usta. Zatrzymałam się na nich i wetchnęłam znajome ciepło jego oddechu. Pozwoliłam, by zlało się z moim własnym i tak zostało, jak wtedy, gdy pokochałam go po raz pierwszy.

Wschodzące słońce musnęło moją twarz.

– Jest ranek – zauważyłam. – Gdzie Baba? I Keton...

– Są bezpieczni. Idą do stolicy.

Poderwałam się.

– Stolicy? To znaczy, że...

– Wojna się skończyła – przytaknął. – Gyiurak już nie ma. Szansena również. Lady Sarnai jest cesarzową.

– Cesarzową? – powtórzyłam.

– Tak. Ludzie tego chcieli. Ministrowie na początku dostali szafu, że kobieta ma rządzić A'landi, ale Sarnai jest prawowitą władczynią.

– Cesarzowa Sarnai – wymamrotałam i pozwoliłam, by słowa wybrzmiały. – A'landi znów jest jednością.

– Wkrótce się tu zjawi. Chcieliśmy... pochować cię tu, nad wodą. Twój brat powiedział, że byś sobie tego życzyła.

W tej samej chwili Sarnai zbliżyła się do nas, otoczona armią zmęczoną po bitwie. Bez trudu zobaczyłam w niej cesarzową, choć wciąż nosiła zbroję. Mimo udręczonych stratą oczu miała w sobie coś – wdzięk, z jakim dowodziła ludźmi wokół siebie – co sprawiło, że pomyślałam, iż od zawsze było jej przeznaczone władać A'landi.

Gdy mnie zobaczyła, przez jej twarz przemknęło zdziwienie.

– Ona żyje. – Pokazała mnie palcem. – Dlaczego nikt mi nie powiedział, że ona żyje?

– Dopiero wróciłam – odparłam, stając na nogi i składając ukłon – dzięki łasce bogini Amany.

Lady Sarnai pociągnęła nosem i prędko odzyskała opanowanie.

– Wyprostuj się, Tamarin. Dosyc tych ukłonów. – Zlustrowała mnie od stóp do głów.

Gdy się podniosłam, lekko opuściła głowę i przycisnęła ręce do piersi. To nie był ukłon, ale uznałam jej gest za oznakę wielkiego szacunku. Pewnie za jeszcze większą oznakę szacunku mogłam uznać to, że przyszła z pola bitwy aż na plażę, by należycie odesłać do nieba zwykłą krawcową.

Wiedziałam, że będzie sprawiedliwą władczynią. Może nie uwielbianą przez wszystkich, lecz wzbudzającą lojalność i szacunek. To już więcej, niż udałoby się osiągnąć innym.

Jednym ruchem ręki odprawiła kapłanów.

– Już was nie potrzebujemy. – Następnie zwróciła się do mnie i do Edana z miną tak surową, że bałam się, iż zaraz udzieli mi

reprimendy. – Krawcowa zmarłego cesarza i dawny Lord Czarodziej są zaproszeni na koronację – powiedziała jednak, a potem zrobiła pauzę, jakby już przemyślała swoje kolejne słowa, ale jeszcze musiała się nad nimi zastanowić. – Jeśli Maia Tamarin nie jest już dotknięta czarem, może zostać na dworze jako doradczyni i główna cesarska krawcowa. A... – Urwała, szukając właściwego tytułu dla Edana.

– Edan – podsunął. – Po prostu Edan. Nie jestem już Lordem Czarodziejem.

– Edan może zostać na dworze jako czarodziej i doradca.

– Dziękuję za tę możliwość, Wasza Wysokość – zaczęłam. – To wielki zaszczyt i razem z Edanem zawsze przybędziemy, gdy będziesz nas potrzebować. Ale myślę, że wypowiem się za nas oboje, kiedy wyznam, że chcielibyśmy wrócić do domu.

Zmarszczyła brwi.

– Do domu?

– Tak, do Port Kamalan. Moja rodzina potrzebuje pomocy w sklepie, Wasza Wysokość – wyjaśniłam.

Sarnai założyła ręce na piersi. Wyglądała na zmęczoną.

– Nie możesz wrócić do domu z pustymi rękami. Czego życzysz sobie w zamian za swoją służbę?

– Ni...

Edan szturchnął mnie łokciem i rzucił mi spojrzenie, które mówiło: „Cesarzowa proponuje, że da ci wszystko, co zechcesz. Nie odmawiaj”.

O co mogłam poprosić? Nie potrzebowałam drogich klejnotów, pięknych sukien ani wielkiego dworu z setką służących.

– Życzę sobie warsztatu – oznajmiłam. – W Port Kamalan, blisko oceanu. Tak dużego, by ojciec i brat mogli ze mną zamieszkać, ale nie tak dużego, bym upoiła się sukcesem. – Zastanowiłam się. – I najlepszych wierzchowców A'landi dla Edana.

Popatrzyła na mnie spode łba.

– Oferuję ci miejsce w radzie, a ty prosisz o proste życie?

– Tak, Wasza Wysokość.

Spojrzała na mnie, jakby chciała się upewnić, że nie żartuję, a potem westchnęła.

– Chyba nie spodziewałam się po tobie nic innego, krawcowo. – Machnęła ręką na doradców u boku. – Dopilnujcie, by jej życzenia zostały spełnione.

Już obracała się na pięcie, ale w ostatniej chwili przystanęła.

– Życzę ci szczęścia, mistrzyni krawiectwa. – Skinęła głową na Edana. – Czarodzieju.

Ukloniliśmy się, nie podnosząc wzroku, aż wiatr zatarł jej ślady na piasku i jej cień na brzegu zniknął.

A potem wpadłam w ramiona Edana, nie mogąc uwierzyć, że w końcu jesteśmy wolni.

Rozdział trzydziesty piąty

Nastał środek lata, a ja zbierałam kokony jedwabników w ogrodzie. Było ich tak dużo, że wysypywały się z koszyka. Baba i ja nie musieliśmy już produkować własnego jedwabiu – stała dostawa materiałów przybywała co tydzień ze stolicy, a nasz warsztat zatrudniał pół tuzina pracowników. Mimo to pozwalałam sobie na to zajęcie, bo sprawiało mi przyjemność.

Odkąd wróciłam do Port Kamalan, rozkoszowałam się swoim rzemiosłem od początku do końca: zbierałam włókna i przędłam nici, jak nauczyła mnie Mama. Uwielbiałam tkać i patrzeć, jak moje palce zmieniają tkaninę w coś pięknego. Coś całego. Coś mojego.

Kupcy codziennie przychodzili do warsztatu i próbowali sprzedać Babie i mnie swoje towary.

– Jedwabie od mistrzów z prowincji Yunia – kusili. – Spójrzcie na tę cudowną satynę z serca Frevery.

– To perły z morza Taidżin, aż z Królestwa Kiaty!

Baba i ja zawsze kręciliśmy głowami. Nie interesowały nas ich wyroby.

Nauczyli się czekać, aż Keton zostanie sam w sklepie, bo choć mój brat miał bystre oko do wybierania tkanin i uzupełniania zapasów, najłatwiej było chwycić go za serce. Każda opowieść dawnego żołnierza wyciągała mu kilka jenów z kieszeni.

Nigdy go za to nie ganiłam. Na ustach mojego brata zwykle gościł uśmiech, który stał się jeszcze szerszy, odkąd postanowiliśmy jesienią odwiedzić Dżappor.

Ammi tam zamieszkała i otworzyła piekarnię przy głównym szlaku. Jej specjalnością były ciasteczka z plastrem miodu i bułeczki z pastą z nasion lotosu. Pod rządami Khanujina kobiety nie mogły posiadać majątku, ale kiedy do władzy doszła cesarzowa

Sarnai, wszystko się pozmieniało. Słyszałam, że piekarnia Ammi radzi sobie całkiem dobrze. Na tyle dobrze – miałam nadzieję – że może jej rodzina kiedyś o niej usłyszy.

– Powinniśmy ją odwiedzić – sugerował Keton co najmniej raz w tygodniu. – Uwielbiasz ciasteczka z plastrem miodu, prawda, Maiu?

– Tak, ale nie wiedziałam, że ty masz słabość do słodczy, bracie!

Na te słowa zamykał usta. Choć nie chciał tego przyznać, odliczał dni do spotkania z moją przyjaciółką. Duchy w jego oczach prawie zniknęły. Nic nie mogło wygnać ich na zawsze, ale teraz w jego spojrzeniu najczęściej tańczyło światło.

Dlatego gdy dziś znalazł mnie w ogrodzie ze zbyt poważną miną, zmartwiłam się, że coś się stało.

– Ketonie, co...

– Masz gościa – oznajmił.

Och. Wróciłam do jedwabników.

– Jeśli to mistrz Chiran, powiedz, że żakiet będzie gotowy na wie...

– To nie klient.

Podniosłam wzrok.

– A kto?

– Przyjdź i zobacz.

Zniknął w sklepie, a kiedy podążyłam za nim, jakby wyparował. Minęłam Babę, który polecał szwaczce zrobić przerwę.

– Już prawie pora na obiad – mruknęłam. – Kto to może być, o takiej godzinie?

Miałam nadzieję, że to nie Calu, syn piekarza. Kiedy wyjechałam, poślubił córkę rolnika i choć – dzięki bogom – już się mną nie interesował, męczył mnie i Babę o darmowe cerowanie.

To nie był klient. I z całą pewnością nie Calu.

Kiedy go zobaczyłam, niemal upuściłam koszyk. Rozpoznałabym tę sylwetkę wszędzie – wysoki i szczupły, lekko przygarbiony, żeby nie uderzyć głową o niską futrynę. Czarne włosy dłuższe, niż

pamiętałam, więcej niż kilka zbłąkanych loków okalających chłopięcą twarz, za którą tak bardzo tęskniłam.

Czekał, aż go przywitam, wpadnę mu w ramiona i złożę pocałunek na jego ustach. Ale ja powstrzymałam się z całych sił i rzuciłam tylko:

– Musisz ściąć włosy.

No i proszę. Wyczekujący uśmiech zmienił się w krzywy uśmieszek, który tak uwielbiałam, a w oczach zalśniło rozbawienie.

– Chciałem zrobić dramatyczne wejście – powiedział. – Może wlecieć przez twoje okno, jak kiedyś, albo wysłać tysiąc ptaków, żeby napisały twoje imię na niebie.

– Ale?

– Ale wtedy nie mógłbym zrobić tego. – Pochylił się i mnie pocałował. Wypuściłam koszyk z rąk, a on cicho upadł na podłogę.

Gdy Wojna Sześciu Zim się skończyła, nalegałam, by Edan wrócił do Świątyni Nanduna i dokończył nauki u mistrza Tstringa. Było nam trudno znów się rozstać, ale wiedziałam, że Edan kocha magię tak, jak ja kocham szycie. Nie mogłam odebrać mu szansy, by ją odzyskać.

Poza tym potrzebowałam trochę czasu dla siebie. Moi klienci wiedzieli, żeby nie mówić o mojej przeszłości demona, ale nawet gdy świat zapominał, ja nie mogłam. Demony i cienie pod postacią wilków wciąż co jakiś czas nawiedzały moje sny. Teraz rzadziej, ale sądziłam, że nigdy nie znikną tak do końca.

Opowiadałam Edanowi moje sny w listach, które pisaliśmy do siebie co tydzień. Wymieniliśmy między sobą masę papierowych ptaków. Wiele razy budziłam się o świcie i znajdowałam na parapecie nową wiadomość, która pomagała załagodzić moje koszmary. Edan podpisywał każdy list jednym ze swoich tysiąca imion.

– Nie spodziewałam się ciebie do jesieni.

– Skończyłem nauki wcześniej – odparł, nie bez cienia dumy. – Wygląda na to, że po tylu latach nadal jestem dobrym uczniem. No

i chciałem cię zaskoczyć.

Przewróciłam oczami.

– Więc to koniec?

– To koniec. Zostaję tutaj. Jeśli mnie zechcesz.

Otworzył dłoń i zobaczyłam ziarenko. Gdy go dotknęłam, rozkwitło w kwiat śliwy. Miękkie, pachnące płatki połaskotały moje palce.

Zasłoniłam usta dłonią.

– Ćwiczyłem to przez miesiąc – przyznał Edan. – Tylko po to, żeby zobaczyć twoją reakcję.

– Było warto?

– Zdecydowanie – potwierdził i poderwał mnie z podłogi, zanim zdążyłam zaprotestować. Pisnęłam ze śmiechem, gdy okręcił mnie w kółko. Nagle odstawił mnie na miejsce i spieszył się, gdy zobaczył Babę z surową miną stojącego w drzwiach.

Mój ojciec przywitał Edana, serdecznie ściskając jego ramię.

– Witaj z powrotem. Teraz, kiedy wróciłeś, moja córka będzie mogła spędzać więcej czasu przy krośnie, a mniej na pisaniu listów miłosnych.

– Tak, proszę pana.

– Jesteś gotowy pracować w sklepie? – zapytał Baba.

– Ćwiczyłem zmianę czerwieni w niebieskości i...

– Czerwieni w niebieskości? Mam na to barwniki. – Żartobliwie zmarszczyłam nos. – Lepiej nie marnuj swojej magii. Możesz zajmować się końmi albo pomagać z rachunkami. Nie wspomniałeś kiedyś o drzewie pieniężnym?

– Mówiłaś, że nie dbasz o pieniądze.

– Kłamałam.

Edan się zaśmiał.

– Nie potrafisz kłamać, Maiu Tamarin. – Pochylił się, by znów mnie pocałować, ale Baba odchrząknął i spojrzał na mnie z ukosa.

– Możecie zacząć od pójścia na rynek – oznajmił. – Złożyłem zamówienie u mistrza Geha. Jego statek przyплыł dziś rano. Pójdźcie je odebrać, dobrze?

Zazwyczaj to Keton odbiera zamówienia, ale Edan skłonił głowę.

– Tak, proszę pana – powiedział i poprowadził mnie do tylnych drzwi.

– Czekaj, to nie w tę stronę. Sklep mistrza Geha jest na końcu ulicy. Z tyłu nie ma nic oprócz...

Słowa zamarły mi na ustach, gdy tylko zobaczyłam łódź. Przywiązana do drewnianego pala, którego na pewno nie było tam wczoraj, delikatnie unosiła się na falach.

– Oceanu? – dokończył za mnie Edan.

Milcząco pokiwałam głową.

Tak, za sklepem Baby nie było nic oprócz oceanu. Sendo i ja przesiadywaliśmy nad wodą i obserwowaliśmy statki wpływające do portu, marzyliśmy, że pewnego dnia my również popłyniemy jednym z nich. Ale byliśmy zbyt biedni, by kupić łódź, a rybacy zawsze odrzucali nasze prośby, mówiąc, że są zbyt zajęci, by spełniać nasze dziecięce fantazje.

Wzięłam płytki wdech.

– Co to jest?

– Kiedyś powiedziałaś, że nigdy nie płynęłaś statkiem. Myślałem, żeby wynająć łódź, ale co to za zabawa, popływać godzinę albo dwie i oddawać ją z powrotem? – Oparł się o daszek łodzi w moim ulubionym odcieniu niebieskiego. – Więc zbudowałem ci łódź, z pomocą uczniów ze świątyni i drobnym wkładem twojego brata. Nie jest zbyt piękna, ale zaczarowałem ją, żeby nie zatoneła. Pomieści twoją rodzinę i...

Przytknęłam mu palec do ust, by go uciszyć. A potem dotknęłam nosem jego nosa.

– Mówiłam ci kiedyś, że za dużo gadasz?

Ujął moje palce i pocałował jeden po drugim, kontynuując:

– I została godzina do zachodu słońca, więc jeśli prądy będą łaskawe, zdążymy wypłynąć i zobaczyć stąd Letni Pałac.

– Nie obchodzi mnie pałac – rzekłam, ściskając dłoń Edana. Pomógł mi wejść na łódź. Stałam na krawędzi, a ona zakołysała

się pod moimi stopami. Zobaczyłam skrzynię wypchaną mapami A'landi, Samaranu, Balaru i innych miejsc, których nigdy nie odwiedziłam. – Żadnego kompasu, żadnych map, żadnego nawigowania na wschód, zachód, północ czy południe. Będzie na to tysiąc innych dni. – Chwyciłam cumę, żeby złapać równowagę, i weszłam na niewielki pokład. – Chwyćmy wiatr i pozwólmy, by zabrał nas tam, gdzie powinniśmy popłynąć.

– Możemy to zrobić. Ale to potrwa dłużej niż godzinę.

– Mamy czas. – Puściłam linę i zatoczyłam się w jego stronę. Złapał mnie i pociągnął za sobą do steru, a potem objął w talii.

Morze lśniło przed nami, pełne możliwości. Jeszcze niedawno wydawało mi się, że moja historia przypomina baśń. W końcu były w niej demony i duchy, zaczarowany cesarz i księżniczka, która została najwspanialszą wojowniczką swojego pokolenia. Czasami nie wierzyłam, że opuściłam swój kąt w sklepie Baby, że uszyłam legendarne suknie Amany ze słońca, księżycy i gwiazd.

Moja baśń dobiegła końca. Może los miał dla mnie więcej magii zanadru. Ale na razie cieszyłam się, że mogę dryfować po migoczącym morzu z chłopakiem, którego kocham.

Wtuliłam się w Edana i wsunęłam dłoń do kieszeni jego peleryny. Moje palce odnalazły mały skórzany dziennik. Wyciągnęłam go.

– Co to?

– Notatki. – Zawstydził się. – Sławni poeci już o nas piszą i pozwalają sobie na niepokojącą swobodę twórczą.

– Na przykład?

– Nazywają mnie pasterzem.

Zamrugłam, zdeorientowana, aż sobie przypomniałam.

– Ale przecież byłeś synem pasterza.

– To było wieki temu. – Skrzywił się, ale w jego oczach błądziło rozbawienie. – Tyle lat służby i nie zostanę zapamiętany jako najznakomitszy, najświatlejszy i najpotężniejszy czarodziej w całej A'landi? Na szczęście tobie nadali o wiele bardziej odpowiedni przydomek.

Zaśmiałam się.

– Jaki?

Ujął moją dłoń.

– Tkaczka.

Tkaczka. To tak wiele dla mnie znaczyło.

Spojrzałam w gwiazdy i zastanowiłam się, czy mój przodek Tkacz tam jest, czy czuwa nade mną razem z Mamą i moimi braćmi. Przeniosłam wzrok na czerwoną nitkę na moim nadgarstku, a potem na tę na nadgarstku Edana.

To zdumiewające, że syn pasterza i prosta tkaczka, rozdzieleni przez wieki spadających gwiazd, się odnaleźli. Gdyby Edan nie złożył przysięgi czarodzieja, a ja nie odważyłabym się wyjść poza wyznaczoną mi ścieżkę i pojechać do pałacu, być może nigdy byśmy się nie spotkali. Cokolwiek zapamięta historia – czy przyrówna nas do słońca i księżyca, którym wolno spotkać się tylko raz do roku, czy po prostu do chłopaka i dziewczyny dotkniętych magią gwiazd – los zatańczył, by nas połączyć.

Dotknęłam czerwonej nitki, szczęśliwa, że wreszcie znalazłam jej drugi koniec.

– Maiu – zaczął Edan. – Przeczytać ci któryś wiersz?

– Później. – Uśmiechnęłam się, a gdy uniósł brew, ciekaw, o czym myślę, pocałowałam go i rozpostarłam ramiona na migoczące wody.

– Na razie wystarczy mi gwiazd. Zabierz mnie do morza.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Wam, drodzy czytelnicy, czytelniczki i osoby czytelnicze, że dotrwaliście do końca. Pisanie zakończenia historii, którą zawsze chciałam przeczytać i opowiedzieć, było słodko-gorzkim doświadczeniem. Kontynuacje pisze się o wiele trudniej (przynajmniej mnie) i choć będę tęsknić za Maią i jej podróżą, jestem wdzięczna i czuję ulgę, że udało mi się skończyć jej opowieść i wysłać ją w świat. Jestem wdzięczna przede wszystkim wspomniałym ludziom, którzy tchnęli życie w *Tkając świat* i *Snując zmierzch*.

Nieustanne podziękowania dla Giny Maccoby, mojej agentki, za towarzyszenie mi od początku i prowadzenie mnie przez gąszcze działalności wydawniczej z pomocą jej mądrości i dobrego wyczucia.

Dla Katherine Harrison za ponowne ulepszenie książki poprzez wnikliwe poprawki oraz za wiecznie zachwycające mnie cierpliwość, entuzjazm i profesjonalizm. Jestem szczęściarą, że mam taką redaktorkę. Ogromne podziękowania dla wszystkich w Knopf BFYR, w tym: Alex Hess, Alison Impey, Melanie Nolan, Gianni Lakenauth, Janet Wygal, Artiego Bennetta, Jake'a Eldreda, Alison Kolani, Lisy Leventer, Judy Kiviat, Julie Wilson i Barbary Perris. Dziękuję Wam za bycie najbardziej wspierającym zespołem, jaki mogłam sobie wymarzyć, i za przybliżenie historii Mai większej liczbie czytelników. Mam ogromne szczęście, że mogę z Wami pracować.

Dla Tran Nguyen za kolejną zapierającą dech w piersiach okładkę. Ktoś na Instagramie nazwał ją wersją „Maia 2.0”, a ja całkowicie się z tym zgadzam. Nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo ją

uwielbiam. Dla Kim Mai Guest za użyczenie pięknego głosu i poprowadzenie opowieści Mai w audiobookach.

Dla moich krytyków, Douga Tyskiewicza i Leslie Zampetti, za użyczenie przenikliwych oczu i uszu oraz za zabawianie Charlotte, kiedy musiałam zabierać ją na nasze spotkania. Wyrazy uznania dla moich koleżanek pisarek Liz Braswell, Bess Cozby, Lauren Spieller, June Tan, Swati Teerdhali i The Electric18s za serdeczną przyjaźń i współczucie w trudnych chwilach (szczególnie przy zmartwieniach związanych z książką numer dwa). Moim beta-czytelniczkom, Amaris White, Evie Liu, Joyce Lin i Dianie Inadomi, za to, że są moimi najdroższymi przyjaciółkami, a często także najbardziej krytycznymi czytelnikami.

Oczywiście dziękuję też wszystkim kolegom po piórze, czytelnikom, księgarzom, bibliotekarzom Goodreads, bookstagrammerom i blogerom, którzy tak bardzo wspierali *Tkając świt* i *Snując zmierzch*. Specjalne podziękowania dla Catarina Book Designs, Rachele Raka i Yoshi Yoshitani za przepiękne grafiki, które była częścią kampanii przedsprzedażowej *Snując zmierzch*.

Na koniec dziękuję mojej rodzinie. Rodzicom i siostrze za pomoc w organizacji i moderowaniu moich premier książkowych, za dawanie mi szczerych opinii na wszystkie tematy, od dialogów po jedzenie, które powinni jeść moi bohaterowie, i za pielęgnowanie mojej wyobraźni, kiedy byłam dzieckiem, abym miała odwagę i determinację, by zostać pisarką.

Dziękuję Charlotte za bycie radością, która rozśmiesza mnie każdego dnia, i za przypominanie mi, że dzieci są przyszłością książek!

A przede wszystkim dziękuję mojemu mężowi, Adrianowi. Dziękuję, że słuchasz, jak ciągle martwię się o moje książki, że dokładnie czytasz moje drafty, kiedy mała śpi, i że dzięki Tobie wierzę w miłość.

O AUTORCE

ELIZABETH LIM dorastała w San Francisco Bay Area, gdzie pochłaniała niezliczoną liczbę baśni, mitów i piosenek. Zanim została autorką, była zawodową kompozytorką muzyki filmowej i gier wideo, a najlepsze pomysły na książki wciąż przychodzą jej do głowy, gdy pisze przy pianinie. Jest absolwentką Harvard College i Juilliard School, obecnie mieszka w Nowym Jorku z mężem i córką. *Tkając świt* (pierwsza książka w dylogii *Krew gwiazd*) była jej pierwszą oryginalną powieścią. *Snując zmierzch* jest drugą.

elizabethlim.com

Spis treści

[Mapa](#)

[* * *](#)

[CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚMIECH SŁOŃCA](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[CZĘŚĆ DRUGA. ŁZY KSIEŻYCA](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[CZĘŚĆ TRZECIA. KREW GWIAZD](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)

[Rozdział trzydziesty](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)

[Rozdział trzydziesty drugi](#)

[Rozdział trzydziesty trzeci](#)

[Rozdział trzydziesty czwarty](#)

[Rozdział trzydziesty piąty](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[O AUTORCE](#)